

# Grafton Sue

**B jak bezwzględność**



*Z wyrazami miłości dla moich drogich przyjaciół  
- Sally i Gregory'ego Gilothów oraz  
Connie, Marshalla i Laury Swain*

## PODZIĘKOWANIA

Autorka dziękuje za cenną pomoc Stevenowi Humphreyowi, Ericowi S.H. Chingowi i Louisowi Skiera, reprezentantowi Stowarzyszenia Weteranów, B.J. Seebold, J.D., Carterowi Hicksowi, Carlowi Eckhartowi, Rayowi Connorsowi, kapitanowi Edwardowi A. Aastedowi, porucznik Charlene French oraz Jackowi Coganowi z Wydziału Policji Santa Barbara, Merrilowi Hoffmanowi z Cechu Ślusarzy Santa Barbara, Vaughanowi Armstrongowi, Kim Oser, Hyatt Dallas/Forth Worth, Sheili Burr, Stowarzyszeniu Automobilistów Kalifornii, A. LaMott Smith, Charlesowi de Earbre, Janet Van Velsor i Cathy Peterson z Santa Barbara Travel oraz Johnowi Huntowi z CompuVision, który uratował rozdział czternasty z Atramentowej Próżni.

Nie chcę być wredna, ale w przyszłości trzy razy się zastanowię, nim wyświadczę przysługę znajomemu znajomego. W życiu nie spotkało mnie tyle przykrych zajść, choć na początku wszystko wydawało się niewinne i proste. Nigdy bym nie pomyślała, że tak się to potoczy. Otarłam się o śmierć, a co gorsza (tak przynajmniej twierdzi moja przyjaciółka, która panicznie boi się dentystów) omal nie straciłam obu górnych jedynek. Na głowie wyrósł mi za to guz wielkości pięści. A wszystko to z powodu roboty, za którą nie dostałam złamanego grosza!

Z prośbą o pomoc zwrócił się do mnie właściciel mojego wynajętego mieszkania, Henry Pitts, którego jak wszyscy wiedzą, Kocham miłością czystą od wielu lat. Nie zmienia tego nawet fakt, że ma na karku osiemdziesiąt pięć lat (czyli jest ode mnie o pół wieku starszy). Zawsze odnosił się do mnie z atencją i nigdy o nic nie prosił, nie mogłam mu więc odmówić. Zwłaszcza że sprawa wydawała się oczywista i nic w niej nie zapowiadało kłopotów.

Był czwartek, dwudziesty pierwszy listopada, tydzień przed Świętem Dziękczynienia oraz zbliżającym się wielkimi krokami weselem. William, starszy brat Henry'ego, zenił się z moją przyjaciółką Rosie, która prowadziła

niewielką tawernę nieopodal naszego domu. Tradycyjnie zamykała ją w Święto Dziękczynienia, liczyła więc, że wyjdzie za Williama i będzie się cieszyć weselnym dniem bez uszczerbku dla interesów. Co więcej, organizując przyjęcie i ślub we własnym lokalu, eliminowała potrzebę wynajmowania sali oraz płacenia za usługę Kościołowi. Umówiła urzędnika dla udzielenia ślubu, zakładając przy tym, że to jego święty obowiązek, wobec czego wynagrodzenie odbierze sobie w formie pensji od państwa. Henry ośmielił się wprawdzie zasugerować, że sługa paragrafów zasługuje na bodaj skromne honorarium za swój wysiłek, ale Rosie obrzuciła go ciężkim spojrzeniem, udając, że nie zna angielskiego na tyle, by zrozumieć aluzję. Była Węgierką, z czego skwapliwie korzystała w dogodnych dla siebie momentach, udając, że nie rozumie ni w ząb, o czym mowa.

Rosie i William zaręczyli się rok temu z okładem, nadeszła więc stosowna chwila na kolejny krok, czyli małżeństwo. Nie wiedziałam, ile lat ma naprawdę Rosie, zakładałam jednak, że zbliża się do siedemdziesiątki. William niedawno skończył osiemdziesiąt osiem, więc w ich przypadku słowa „póki śmierć nas nie rozłączy” nabierały istotniejszego znaczenia niż w ustach większości młodych par.

Zanim przejdę do omawiania szczegółów owej nieszczęsnej sprawy, winna jestem wyjaśnienie co do tego, kim jestem. Nazywam się Kinsey Millhone. Mam licencję detektywa. Jestem kobietą. Dwa razy się rozwiodłam, nie mam dzieci ani żadnych innych uciążliwych krewnych. Przez sześć lat pracowałam dla towarzystwa ubezpieczeniowego z Kalifornii, California Fidelity Insurance - na podstawie nieformalnej ugody sprawdzałam przypadki

podpaleń oraz nagłych zgonów, w zmian za co podnajmowali mi biuro. Umowa dobiegła końca, teraz więc, mniej więcej od roku, wynajmuję biuro od kancelarii prawnej Kingsman i Ives w Santa Teresa. Z powodu ślubu wzięłam tydzień urlopu, licząc, że w przerwach między pomaganiem Henry'emu w przygotowaniach do wesela zaznam odrobiny spokoju. Henry, emerytowany piekarz, zaangażował się ponad miarę: zamierzał upiec tort i przygotować bufet.

W przyjęciu weselnym miało uczestniczyć osiem osób. Jeżdżącej na wózku siostrze Rosie, Klotilde, przypadła zaszczytna funkcja drużny panny młodej. Henry został drużbą, a jego starszym braciom, Lewisowi i Charliemu, powierzono zadanie odprowadzania gości na miejsce. Czterej panowie - Henry, William, Lewis i Charlie - zwani powszechnie chłopcami, dawno już przekroczyli wiek młodzieńczy. Najstarszy Charlie miał dziewięćdziesiąt trzy lata, najmłodszy Henry - osiemdziesiąt pięć. Ich jedyna siostra, Neli, pełna energii dziewięćdziesięciopięciolatka, miała towarzyszyć pannie młodej jako kolejna drużna. Mnie dostała się trzecia strojna sukienka drużny. Panna młoda postanowiła na ten wyjątkowy dzień włożyć długą luźną hawajską szatę w kolorze złamanej bieli, a jaskrawoczerwone włosy przybrać rodzajem diademu z gipiury. Wcześniej po okazyjnej cenie kupiła belę kwiecistej, lekko połyskliwej bawełny - przez wielkie fioletowe i różowe kwiaty prześwitywało na niej tło w kolorze jaskrawej zieleni. Pieczołowicie zapakowała materiał i wysłała go do Flint w stanie Michigan, gdzie Neli „uszyła” z niego trzy identyczne hawajskie suknie dla druhen. Nie mogłam się doczekać, by przymierzyć swoją. Czułam przez skórę, że

ustawione gęsiego za panną młodą będziemy w nich przywodzić na myśl wzorzysty szpitalny parawan. Liczyłam, że jako dobrze zakonserwowana trzydziestopięciolatka załapię się też do roli dziewczynki sypiącej kwiaty, ale Rosie wielkodusznie zwolniła mnie z tej funkcji. Tak czy inaczej, zapowiadał się ślub stulecia. Nie opuściłabym tej imprezy za żadne pieniądze. Teraz jednak powróćmy do zdarzeń poprzedzających „zajście”, jak mawiamy w naszej branży.

W czwartkowy poranek już o dziewiątej wpadłam na Henry'ego. Mieszkałam w przybudówce będącej jego dawnym garażem, więc specjalnie mnie jego obecność nie zdziwiła. Zamierzałam pojechać do pobliskiego supermarketu i zrobić zapas mrożonek na kilka dni. Ledwie jednak otworzyłam drzwi, zobaczyłam go siedzącego na progu, z kawałkiem papieru i rolką taśmy klejącej. Zamiast tradycyjnych szortów, koszulki i kłapek miał na sobie długie ciemne spodnie i niebieską bluzę od dresu z podwiniętymi rękawami.

- Wyglądasz świetnie - rzuciłam na powitanie, doceniając fakt, że umył i wyszczotkował starannie siwe włosy. Nawet stojąc nad nim, czułam cytrusowy zapach jego wody po goleniu. Niebieskie oczy lśniły w opalonej twarzy. Był wysoki, smukły, pełen ciepła. Zawsze intrygowały mnie jego bystry umysł i nienaganne maniery. Gdyby nie był w wieku mojego dziadka, uwiodłabym go bez drgnienia powieki.

- A więc jesteś! - zawołał Henry i uśmiechnął się szeroko. - To bardzo dobrze. Właśnie pisałem do ciebie kartkę. Gdybym wiedział, że siedzisz w domu, pewnie bym zapukał. Jadę na lotnisko po Neli i chłopców, ale mam do ciebie prośbę. Mogę zająć ci chwilę?

- Jasne. Jadę po zakupy. Nie spieszy mi się. O co chodzi?

- Pamiętasz pana Lee? Wszyscy tu mówili na niego Johnny. Mieszkał za rogiem. W małym białym domku z zapuszczonym ogrodem. Właściwie w domu mieszkał jego wnuk Bucky z żoną. Johnny zajmował mieszkanie nad garażem.

Dom, o który mówił, mijałam codziennie podczas porannej przebieżki. Był duży, biały i zaniedbany. Wyglądał jak wielki biały kamień ukryty w gęstych zaroślach. Wydawał się kompletnie opuszczony, czemu jednak przeczył stojący w ogródku pordzewiały samochód. Sąsiedzi od lat narzekali na opieszałość Bucky'ego, któremu nie chciało się nawet skosić trawy.

- Dom znam, ale człowieka nie - przyznałam po chwili.

- Na pewno widziałaś któreś z nich u Rosie. Bucky to w sumie porządny chłopak, ale jego żona jest dziwaczna. Ma na imię Babe. Mała, pulchna, nigdy nie patrzy w oczy. Johnny z kolei wyglądał jak lump, choć zaiste nieźle mu się wiodło.

Zaczęłam kojarzyć, kogo opisuje: staruszka w brudnej marynarce i parę małych bawiących się w małżeństwo. Przyłożyłam dłoń do ucha, udając, że nie dosłyszałam.

- Mówisz w czasie przeszłym. Staruszek przeniósł się na łono Abrahama?

- Niestety. Biedak zszedł na atak serca cztery-pięć miesięcy temu. Zdaje się, że w czerwcu. W sumie trudno się dziwić - dodał po chwili z wahaniem. - Miał ledwie siedemdziesiątkę, ale zdrowie zawsze mu szwankowało. Niedawno zjrzałem do młodych i Bucky poprosił mnie o przysługę. To nic wielkiego, drobiazg, choć irytujący. Mam nadzieję, że mi nie odmówisz.



Wyobraziłam sobie, że chodzi o tajemniczy klucz do skrytki bankowej, zaginionego spadkobiercę lub zagubione akcje, o których wspomniano w testamencie, słowem o coś, co nie pozwala zstępny objąć należnego im spadku.

- Na pewno nie odmówię. W czym problem?

- Chcesz wersję skróconą czy ze szczegółami?

- Ze szczegółami, ale mów szybciej, żebym zdążyła jeszcze zadać pytania.

Henry zerknął na zegarek.

- Nie chcę się spóźnić na samolot - wyjaśnił. -W skrócie sytuacja wygląda tak. Johnny nie chciał być pochowany w ziemi. Zażyczył sobie kremacji i Bucky spełnił to życzenie. Zamierzał zawieźć prochy dziadka do Columbus w Ohio, gdzie mieszkali wcześniej i gdzie został jego ojciec Chester, przyszło mu jednak do głowy, że staruszek miał prawo do wojskowego pogrzebu z flagą i kanonadą. Podczas drugiej wojny światowej Johnny służył w lotnictwie pod dowództwem Claire'a Chennault. Nie lubił o tym mówić, zdarzało mu się jednak wspomnieć o Birmie albo o bitwie o Rangun. Bucky'emu zamarzył się dla dziadka biały marmurowy nagrobek, ryte w kamieniu nazwisko, rzewne nuty trąbki. Pogadał o tym z ehesterem. Ojcu też podobał się ten pomysł, więc Bucky poszedł do Urzędu Weteranów i wypełnił odpowiedni formularz. Nie wiedział wszystkiego, ale się chłopak postarał. Wściekł się, gdy nadeszła odpowiedź, że w biurze nikt o aktach starego Johnny'ego nie słyszał. W sumie trudno się dziwić, Johnnych Lee mieli pewnie na pęczki. Skąd mieli wiedzieć, który jest który? Bucky zadzwonił więc do nich z pretensjami. Zaproponowali, by wystąpił o zgodę na udostępnienie akt. Przysłali mu nawet formularz, który Bucky znów wypełnił. Po trzech tygodniach

dostał odpowiedź odmowną. Bucky nie jest idiotą, ale ma raptem dwadzieścia trzy lata i niewielkie doświadczenie z urzędnikami. Zadzwoił więc do ojca i wszystko mu opowiedział. Chester wpadł w szal. Ledwie odłożył słuchawkę, zadzwonił do bazy lotniczej Randolph w Teksasie, w której przechowuje się akta byłych wojskowych. Nie wiem, z kim o tym rozmawiał i do ilu ludzi się zwrócił, tak czy inaczej akt nie dostał. Ponoć ich nie mają, a nawet jeśli mają, nabrali wody w usta. Chester czuł, że go zbywają, ale niewiele mógł na to poradzić. Skończyło się na tym, iż Bucky chodzi markotny, a jego ojciec wściekły. Obaj zarzekają się, że znajdą jeszcze dla staruszka sprawiedliwość i dadzą mu to, na co zasłużył, czyli pogrzeb z kano-nadą. Pomyślałem, że może podsuniesz im jakiś sensowny pomysł.

- Są pewni, że Johnny służył w wojsku?

- Na to wygląda.

Zerknęłam na Henry'ego z miną, która jasno mówiła, że w to wątpię.

- Porozmawiam z Buckym - obiecałam, wzdychając z rezygnacją. - Ale niewiele wiem o takich sprawach. Poza tym, o ile dobrze zrozumiałam, wojsko nie odżegnuje się od Johnny'ego. Urzędnicy napisali jedynie, że nie odnaleźli jego akt na podstawie informacji, które przekazał im chłopak.

- To prawda, ale póki nie znajdą tych akt, nie zgodzą się na wojskowy pogrzeb.

Zaczynałam rozumieć, w czym tkwi problem. W wyobraźni już widziałam go jako węzełek na drucie.

- Czy Johnny nie był przypadkiem w Grupie Ochotniczej?

- A co za różnica?
  - Może akta takich jak on przechowuje się gdzie indziej. Może nadal ma je wojsko.
  - Zapytam Bucky'ego. Pewnie już to sprawdził.
  - Możliwe też, że chodzi o jakiś drobny błąd. Chłopak pomylił inicjał drugiego imienia albo podał błędną datę urodzenia dziadka.
  - Też mu to powiedziałem, ale wiesz, jak jest. Kiedy człowiek długo o czymś myśli, w końcu przestaje dostrzegać nawet to, co oczywiste. Tobie zajmie to najwyżej kwadrans, a Bucky wreszcie przejrzy na oczy. Przyda mu się pomoc. Chester przyjechał już z Ohio, żeby uporządkować sprawy spadkowe. Pomyślałem, że chętnie do nich zajrzysz.
  - Postaram się. Nawet zaraz do nich wpadnę. Bucky jest teraz w domu?
  - Powinien być. Widziałem go przed godziną. Jestem ci wdzięczny, Kinsey. Nie przyjaźniłem się z Johnnym, ale od lat byliśmy sąsiadami. Chciałbym, żeby go godnie pochowano.
  - Zrobię, co się da, ale uprzedzam, że to nie moja działka.
  - Wiem. Jeśli będziesz miała dość, rzuć to w diabły i nie przejmuj się. Wzruszyłam ramionami.
  - To jedyna zaleta pracy za Bóg zapłać. Można ją rzucić w każdej chwili.
  - Jasne. Rozumiem.
- Zamknęłam drzwi na klucz. Henry tymczasem poszedł do garażu i wyprowadził samochód. Na specjalne okazje miał zabytkowe auto, chevroleta coupé z tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku z oryginalnym,

jaskrawożółtym lakierem. Dziś jednak postanowił jechać kombi, bo miał odebrać z lotniska trzech pasażerów z mnóstwem bagażu. Chłopcy planowali spędzić w naszym mieście dwa tygodnie, z pewnością więc spakowali się z myślą o upale, mrozach, gradobicjach i ulewach.

Przejeżdżając obok mnie, Henry zatrzymał się na chwilę i opuścił okno.

- Nie zapomnij, że jemy dziś razem kolację - rzucił.
- Pamiętam. I wiem, że Lewis ma urodziny. Kupiłam mu coś.
- Kochana jesteś, choć on tego i tak nie doceni.
- Jakiś czas temu zapowiedział, że nie życzy sobie prezentów, a potem miał pretensje, że goście nic mu nie przynieśli. O której zaczynamy?
- Rosie przyjdzie za kwadrans szósta. Wpadnij, kiedy ci wygodnie. Znasz Williama. Jeśli się nie naje, zapada w śpiączkę hipoglikemiczną.
- Nie jedzie z tobą na lotnisko?
- Ma dziś przymiarkę smokingu. Lewis, Charlie i ja zmierzymy swoje po południu.
- Sprytnie - pochwaliłam. Wobec tego do zobaczenia.

Pomachałam mu, patrząc, jak znika za zakrętem, po czym zamknęłam bramę wjazdową. Dojście do domu Bucky'ego Lee zajęło mi pół minuty - musiałam minąć sześć innych domów i skręcić za róg. Zanedbany budynek kompletnie pozbawiony stylu stał tuż za nim. Straszyl obłazącym sidingiem i spłowiałą czerwienią zniszczonych dachówek. Szeroki betonowy podjazd prowadził do wypaczonych drzwi od podwójnego garażu. Wśród wybujałego zielska pod oknami krył się na wpół rozebrany ford fairlane z zardzewiałą karoserią. Fasadę domu zasłaniały

krzaki i sięgająca mi do ramion trawa. Ścieżkę prowadzącą do domu ocieniało coś, co wyglądało jak pochylone ku sobie dwie kępy dzikiego owsa. Musiałam zasłonić twarz ramionami i przecisnąć się między nimi bokiem, by dotrzeć do rozpadającego się ganku.

Zadzwoiłam do drzwi. Czekając, aż ktoś mi otworzy, pochyliłam się i zaczęłam zbierać ze skarpet poźółkłe źdźbła. Wyobraziłam sobie chmurę pyłków wdzierających mi się do nosa i gardła. Czułam, że zaraz kichnę. Próbowałam o tym nie myśleć, ale oczyma wyobraźni już widziałam znajdujące się wewnątrz domu ciemne, maleńkie pokoje z grubą na palec warstwą kurzu na sztukateriach i meblach. Wiedząc, że i tak nic to nie da, niecierpliwie nacisnęłam przycisk dzwonka po raz drugi.

Po chwili drzwi otworzył mi znajomy chłopak. Bucky niedawno skończył dwadzieścia trzy lata. Był nieco wyższy ode mnie, co oznacza, że miał jakieś sto siedemdziesiąt trzy do stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Nie wydawał się gruby, ale ciało miał wiotkie i ciastowate - przywodził mi na myśl precel piwny. Złocistorude włosy związał w kitkę na karku. Spomiędzy ciemniejszej, rzadkiej bródki prześwitywała typowa dla rudzielców jasna skóra z żółtymi piegami. Oczy zdawały się lśnić zimnym błękitem. Miał na sobie niebieskie džinsy i granatową sztruksową koszulę z postawionym kołnierzem. Patrząc na niego, trudno było zgadnąć, czym się zajmuje, jeśli w ogóle kawał się pracą. Równie dobrze mógł być drwalem, jak i gwiazdą rocka z pokaźnym kontem, w co zresztą szczerze wątpiłam.

- Ty jesteś Bucky? - spytałam na wszelki wypadek.

-Tak.

Wyciągnęłam do niego rękę.

- Kinsey Millhone. Znajoma Henry'ego Pittsa. Ponoć masz kłopoty z Urzędem Weteranów.

Potrząsnął moją dłoń. Patrzył na mnie przy tym tak, że miałam ochotę grzmotnąć go w łeb i spytać, czy w ogóle wie, co się wokół dzieje. Brnęłam jednak dalej.

- Przysłał mnie tu Henry. Mogę wejść?

- Przepraszam. - Bucky ocknął się wreszcie z odrętwienia. - Jest pani detektywem. Z początku myślałem, że przysłał panią ktoś z Urzędu. To jak się pani nazywa?

- Kinsey Millhone. Wynajmuję od Henry'ego mieszkanie. Spotykamy się czasem u Rosie. Bywam tam trzy-cztery razy w tygodniu.

Na jego twarzy pojawił się wreszcie cień zrozumienia.

- To pani zawsze siada z tyłu.

- Zgadza się.

- Już kojarzę. Proszę. - Przesunął się na bok, wpuszczając mnie do niewielkiego przedpokoju z drewnianą podłogą, której nie czyszczono od lat.

Wchodząc, zerknęłam w głąb domu, do zagraconej kuchni.

- Ojca nie ma w domu - mówił tymczasem Bucky. -A Babe chyba się kąpie. Uprzedzę ją, że pani przyszła. Babe!

Cisza.

Bucky przechylił głowę, nasłuchując.

- Hej, Bebe!

Nie znosiłam takich wrzasków.

- Idź do niej. Zaczekam.

- Tak? To dobrze. Zaraz wracam. Proszę usiąść. Odwrócił się i pomaszerował korytarzem, głośno stukając obcasami o podłogę. Otworzył drzwi po prawej

i wsunął przez nie głowę. Usłyszałam szum wody, a potem metaliczny odgłos zakręcanych kurków.

Weszłam do salonu, którego podłogę niemal w całości zakrywał duży dywan. Wewnątrz od razu zauważyłam niewielki, pomalowany na biało ceglany kominek z drewnianą półką uginającą się pod ciężarem tandetnych bibelotów. Naprzeciw kominka, na wbudowanych w ścianę regałach, piętrzyły się stosy papierów i kolorowych magazynów. Obróciłam się niepewnie i przysiadłam na brzeжку wytartej kanapy, na której leżał rozwalony brązoworu-dy chart afgański. W nieruchomym powietrzu unosił się zapach pleśni i mokrej psiej sierści.

Zerknęłam na stół zawalony pustymi puszkami po karmie i mimowolnie skonstatowałam, że wszystkie siedzenia w pokoju ustawiono tak, by miały w perspektywie stary telewizor ustawiony na komodzie pod oknem.

Bucky raczył się znów pojawić.

- Mówi, że nie przyjdzie. Wybieramy się dokądś, chce się przygotować. Ojciec zaraz wróci. Pojechał do Perdido obejrzeć lampy. Remontujemy domek dziadka, żeby go wynająć. - Przystanął w drzwiach i rozejrzał się po pokoju dokładnie tak samo, jak ja przed chwilą. - Nie wygląda to najlepiej, ale u dziadka krucho było z forszą.

- Od dawna tu mieszkacie?

- Od ślubu. Niedługo miną dwa lata. Myślałem, że dziadek odpuści nam czynsz, ale miał fioła na punkcie oszczędności.

Często nie starczało mi do pierwszego, byłam więc ciekawa, jak radził sobie z problemem stary pan Lee. A nuż wymyślił coś, na co sama jeszcze nie wpadłam?

- I co robił? - spytałam

Kąciki ust Bucky'ego opadły. Wyglądał jak smutny clown.

- Nie znosił płacić za wywóz śmieci, więc codziennie rano upychał swoje w koszach sąsiadów. A wie pani, jak sobie radził z prowizją za rachunki? Kupował znaczek za centa, nie podawał na kopercie z pieniędzmi adresu zwrotnego i wrzucał list do skrzynki. Wiedział, że poczta i tak dostarczy list adresatowi, bo przecież miastu zależy na pieniądzach od obywateli.

- Dobrze - pochwaliłam. - Oszczędzał na tym z dziesięć dolarów rocznie. Pewnie bystry był z niego facet.

- Nie znała go pani?

- Widywałam go u Rosie, ale nie poznałam osobiście.

- To on. Po prawej. - Bucky skinął głową w stronę kominka.

Obróciłam się, pewna, że zobaczę na półeczce fotografię starego Johnny'ego. Tymczasem chłopak miał na myśli trzy urny i średniej wielkości metalową puszkę.

- Ta zielona marmurowa urna to babcia - wyjaśnił. - Przy niej stoi urna wujka Duane'a. Był bratem mojego ojca, zginął jako dziecko. Miał chyba z osiem lat. Bawił się na torach i pociąg go przejechał. W czarnej urnie są prochy ciotki Mapie.

Z wrażenia odebrało mi mowę. Choć bardzo się starałam, do głowy nie przychodziła mi żadna uprzejma odpowiedź. Kształt i jakość urn świadczyły o tym, że wraz z upływem lat rodzina ubożała i coraz mniej była skłonna wydawać na swoich zmarłych członków - ostatni, Johnny Lee, dostał już tylko puszkę przydzielaną przez krematorium. Co gorsza, na półeczce zrobiło się ciasno. Kolejny „drogi zmarły” trafi pewnie do pudełka po butach



i zostanie wyrzucony przez okno samochodu w drodze do domu.

- Mniejsza z tym. - Bucky machnął szybko ręką. - Nie przyszła tu pani na pogaduszki. Zaraz przyniosę papiery.

Podreptał w stronę biblioteczki i zaczął pospiesznie przerzucać stosy magazynów, teczek, niezapłaconych rachunków, ulotek i luźnych kartek.

- Chodzi o zapomogę pogrzebową. Jakieś trzysta dolców. Zapłaciliśmy z Babe za kremację. Przydałoby się odzyskać choć część forsy. Do tego rząd dorzuca jeszcze sto pięćdziesiąt dolców na pochówek. Niby to mało, ale nam się przyda każdy cent. Nie wiem, co powiedział Henry, ale nie stać nas, żeby pani zapłacić.

- Wiem. Zresztą, nie na wiele wam się przydam. Nie znam się na takich sprawach. Sami pewnie wiecie już więcej ode mnie.

Ze stosu papierów Bucky wyciągnął wreszcie właściwe, przejrzał je szybko i podał mi cały plik. Zdjęłam spinacz do papieru i przyjrzałam się zadrukowanym kartkom. Przeczytałam akt zgonu Johna Lee, dowód kremacji, metrykę urodzenia, polisę i kopię dwóch podań do Urzędu Weteranów. Pierwsze dotyczyło zapomogi, drugie natomiast zawierało prośbę o wgląd w akta. Wpisano doń imię, nazwisko i datę urodzenia Johnny'ego, Bucky nie znał jednak jego stopnia ani numeru identyfikacyjnego. Nie potrafił nawet określić, kiedy dokładnie dziadek służył w wojsku. Nic dziwnego, że urząd nie zdołał zweryfikować starego Lee i w konsekwencji odmówił pomocy.

- Nie podałeś wielu istotnych informacji. Nie znasz nawet stopnia dziadka ani numeru oddziału, w którym służył?

- Nie. W tym właśnie problem - mruknął Bucky, zerkając mi przez ramię. - Kółko się zamyka. Nie dostaniemy zgody na wgląd do akt, bo nie podaliśmy ważnych informacji, które pewnie byśmy poznali, gdybyśmy mogli do akt zajrzeć. Z kolei gdybyśmy już je znali, nie musielibyśmy prosić o te pieprzone akta.

- Rząd wie, co robi. Pomyśl, ile dzięki temu oszczędza na zapomogach.

- Dziadkowi się to należy i kropka. Służył ojczyźnie i nigdy nie prosił o nic w zamian. Poza tym to raptem trzysta dolców. Nasz rząd marnuje miliardy.

Przełożyłam kartkę i przeczytałam notatkę na odwrocie podania. Brzmiała ona: „nie kwalifikuje się”, co oznaczało, że „ww. został zwolniony ze służby wojskowej i pobierał z tego tytułu emeryturę lub też złożył nierozpatrzone jeszcze wnioski o rentę albo też został wydalony z armii z powodów dyscyplinarnych”.

- Czy dziadek pobierał wojskową emeryturę?

- Nawet jeśli, to nam o tym nie powiedział. Spojrzałam na Bucky'ego.

- Z czego żył?

- Miał rentę socjalną. Od czasu do czasu ojciec mu coś podsyłał. My z Babe płaciliśmy za wynajem domu sześć stów miesięcznie. Nie spłacał kredytu hipotecznego, czyli że rentę przeznaczał na jedzenie, lekarstwa i opłaty.

- Mieszkał z wami?

- Nad garażem. Miał tam niewielkie, ale wygodne pokoje. Znaleźliśmy już lokatora. Wprowadzi się, gdy skończymy remont. Przyjaźnił się z dziadkiem. Jest nawet gotów uprzątnąć jego rzeczy, jeśli opuścimy mu z czynszu za pierwszy miesiąc. Na razie nie chcemy się jednak

pozbywać *rzeczy* dziadka. Trzeba najpierw sprawdzić, czy na pewno nic nie są warte. Na razie połowę z nich spakowaliśmy do kartonów, a resztę upchnęliśmy po kątach.

Jeszcze raz przeczytałam podanie o zgodę na wgląd do akt.

- Nie wpisałeś daty zwolnienia ze służby - zauważyłam.

- Mogę? - Złapał za kartkę i przesunął ją tak, by zobaczyć rubrykę, którą wskazałam palcem. - Pewnie zapomniałem, bo według taty dziadek wrócił z wojny siedemnastego sierpnia czterdziestego czwartego roku. Ponoć zdażył na urodziny mojego ojca, który kończył wtedy cztery lata. Nie było go dwa lata, czyli że zaciągnął się w czterdziestym drugim.

- A może zwolniono go dyscyplinarnie? Wtedy też nie miałby prawa do zapomogi.

- Nie ma takiej możliwości. - Bucky wydawał się szczerze dotknięty.

- Tak tylko pytam. - Jeszcze raz odwróciłam podanie i przyjrzałam się rubryczkom dotyczącym okresu służby, stopnia, numerów, danych jednostki i tym podobnych. Wszędzie pełno skrótów, definicji, symboli. Ślepy zaułek. Spróbowałam inaczej. - Sprawdzaliście w szpitalach? Jako weteran dziadek miał prawo do bezpłatnej opieki medycznej. Może w miejscowej przychodni zachowały się jakieś papiery.

Bucky potrząsnął głową.

- Sprawdziliśmy. Niczego nie mają. Ponoć dziadek nie korzystał z przychodni.

- To co robił, gdy był chory?

- Leczył się sam.

- Nie mam więcej pomysłów - przyznałam i oddałam Bucky'emu papiery. - Przejrzeliście jego rzeczy? Zachował jakieś listy z czasów wojny albo fotografie z grupą kolegów? Może ktoś go rozpozna?

- Na razie niczego nie znaleźliśmy. Ale o zdjęciach nie pomyślałem. Chce pani zajrzeć do pudeł?

Zawahałam się, próbując ukryć kompletny brak zainteresowania.

- Chętnie, choć szczerze mówiąc, nie wiem, czy te trzy setki warte są takiego zachodu.

- Z pieniędzmi na pochówek wychodzi cztery i pół.

- Co z tego? Zrób bilans zysków i strat. Sprawdź, czy na pewno ci się to opłaca.

Bucky popatrzył na mnie w milczeniu, najwyraźniej oburzony moim brakiem zrozumienia dla jego problemów. Cóż, później się okazało, że trzeba było posłuchać głosu rozsądku i uciec stamtąd gdzie pieprz rośnie. Zamiast tego jednak podreptałam potulnie za Buckym, który poprowadził mnie w głąb domu. Głupota w czystej postaci. I mówię tu o sobie, nie o nim.

2

Bucky poprowadził mnie do tylnych drzwi i schodków z werandy.

- Czy twój dziadek miał depozyt bankowy?

- To nie w jego stylu. Nie znosił banków i nie ufał doradcom finansowym. Miał konto, na które wpływała renta, ale nie przechowywał w banku biżuterii ani papierów. Oszczędności - a było tego góra sto dolców - chował w starej puszcze po kawie, którą trzymał w lodówce.

- Tak tylko spytałam.

Minęliśmy betonowy podjazd prowadzący do garażu i weszliśmy na rozchwiane schody wiodące na drewnianą antresolę. Biegła ona do drzwi mieszkania Johnny'ego z wąskim podnoszonym do góry oknem wychodzącym na stopnie. Kiedy Bucky szukał klucza, zajrzałam przez szybę do umeblowanego wnętrza. Mieszkanko rzeczywiście było niewielkie. Dwa pomieszczenia ze skośnym dachem. Korytarz pomiędzy nimi kończył się otworem drzwiowym, w którym drzwi zastąpiono firanką. Uchylony materiał pozwalał się domyślać, że w środku kryła się niewielka garderoba.

Bucky otworzył drzwi i wszedł do środka. Z wnętrza mieszkania uderzyła w nas fala gorąca. Nawet teraz, w listopadzie, słońce nagrzewało słabo izolowany dach i sprawiało, że wewnątrz panował trudny do zniesienia zaduch. Przystanęłam na progu, wężąc jak zwierzę. Powietrze było zatęchłe, dominowała woń suchego drewna i starego kleju do tapet. Mimo że od śmierci Johnny'ego minęło pięć miesięcy, nadal wyczuwałam w nim swąd dymu papierosów i przypalonego tłuszczu. Gdybym powęszyła jeszcze chwilę, pewnie wiedziałabym, co stary Lee zjadł na ostatni posiłek.

Bucky podszedł do okna i otworzył je na oścież. Powietrze ani drgnęło. Podłoga była zniszczona i nierówna, pokryta starym popękany linoleum. Ściany oblepiała kremowa tapeta w maleńkie niebieskie kwiatuszki, tak stara, że wystrzępiła się na styku pasm. W czterech oknach - dwóch na ścianie frontowej i dwóch na tylnej - wisały żółtawe zasłony, na wpół zaciągnięte dla ochrony przed palącym słońcem.

W pokoju stało pomalowane na biało pojedyncze żelazne łóżko, a obok niego przytulona do ściany duża drewniana komoda. Stare wiklinowe meble z werandy udawały komplet wypoczynkowy. W najdalszym kącie upchnięto maleńkie drewniane biurko i pasujące do niego krzesło. Na podłodze pomiędzy meblami ktoś pracowicie poustawiał dziesięć, może dwanaście różnej wielkości kartonowych pudeł. Część z nich była pełna - kartonowe klapki skleiono taśmą, by zabezpieczyć zawartość. Dwa regały zostały już opróżnione, na pozostałych książki ułożono bokiem, by łatwiej je było przenosić.

Balansując między pudłami, przeszłam do kuchni, w której mieściła się sporych rozmiarów kuchenka i lodówka. Na blacie pomiędzy nimi stała mikroskopijna kuchenka mikrofalowa. Zlewozmywak trzymał się na starej drewnianej szafce z tandetnymi, odrapanymi uchwytami. Jej drzwiczki kleiły się od brudu. Za kuchnią kryła się maleńka łazienka z toaletą, umywalką i krótką wanną na wygiętych nóżkach. Porcelanę pokrywały duże, żółte plamy. W wiszącym nad umywalką lustrze dostrzegłam wyraz obrzydzenia na własnej twarzy. Bucky zachwalał to mieszkanie, ja jednak wolałabym strzelić sobie w łeb, niż się tu wprowadzić.

Wyrzałam przez jedno z okien. Babe, żona Bucky'ego, stała przy drzwiach na werandę. Miała okrągłą buźkę, wielkie brązowe oczy i perkaty nosek. Długie ciemne włosy założyła za uszy. Po kąpieli włożyła klapki, czarne obcisłe legginsy i czarny top bez rękawów, który opinał się na ciężkich piersiach. Mocno ściągała ramiona, przez co jej łopatki wyglądały tak, jakby ocierały się o siebie przy każdym jej kroku. Cała wydawała się jakoś nieprzyjemnie wilgotna.

- Chyba żona cię woła - powiedziałam, oglądając się na Bucky'ego.

W tej samej chwili dobiegł nas głos Babe:

- Bucky?!

Chłopak wyszedł na antresolę i wychylił się przez barierkę.

- Już idę! - wrzasnął, a potem spytał znacznie ciszej: - Mogę tu panią zostawić?

Nie czekając na odpowiedź, zaczął odpinać klucz od mieszkania z pęku, który trzymał w dłoniach.

- Oczywiście - zapewniłam. - Świetnie się spisaliście.

- Też tak myślę. Ojciec urabiał sobie ręce po łokcie. Ma na imię Chester. To na wypadek gdyby pojawił się tu przede mną. - Podał mi klucz. - Proszę zamknąć, a klucz wrzucić do domu przez otwór na listy w drzwiach frontowych. Jeśli znajdzie pani coś ważnego, proszę dać nam znać. Wrócimy koło pierwszej. Ma pani wizytówkę?

- Oczywiście. - Sięgnęłam do torby i wręczyłam mu biały kartonik, który szybko wsunął do kieszeni.

- Przyda się - rzucił.

Przez chwilę nasłuchiwałam jego ciężkich kroków na schodach. Zastanawiałam się przy tym, ile czasu powinnam poczekać, nim wyjdę, zamknę drzwi i zapomnę o sprawie. Żołądek ścisnął mi się z mieszaniny niepokoju i podekscytowania, jaką zwykle odczuwam, przemykając się gdzieś nielegalnie. Tu oczywiście miałam prawo wejść, gnębiło mnie jednak nieodparte wrażenie, że ktoś próbuje mnie w coś wrobić. Z dołu dobiegały stłumione głosy Babe i Bucky'ego, który zamykał drzwi, a potem otwierał bramę garażu pod podłogą, na której stałam. Podeszłam do okna i patrzyłam, jak samochód wolno wynurza się niemal wprost spod moich stóp. Wyglądał jak klasyczny

buick z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, zielony z wielką chromowaną maskownicą. Za kierownicą siedział Bucky i spoglądał przez ramię na podjazd. W fotelu obok usadowiła się Babe - usta jej się nie zamykały, rękę trzymała na kolanie męża.

Zamierzałam wyjść, jak tylko auto zjedzie z podjazdu, ale przypomniałam sobie pełną nadziei minę Henry'ego. Postanowiłam zostać i przynajmniej udawać, że staram się pomóc. Powiedzmy sobie wprost: Johnny Lee nic dla mnie nie znaczył. Dziwacznie się czułam z myślą, że za chwilę zacznę przetrząsać jego rzeczy. Całe mieszkanie było ponure, duszne i gorące. Nawet cisza wydawała się w nim paskudnie lepka.

Kilka minut zmarnowałam, wałęsając się bezcelowo po kolejnych pomieszczeniach. W kuchni i łazience nie znalazłam nic ciekawego. Wróciłam do pokoju i zaczęłam przeglądać kąty. Odsunęłam zasłonę, za którą kryła się garderoba. Kilka ubrań Johnny'ego wisiało na drążku w równym rzędzie. Materiał koszul był miękki od wielokrotnego prania, miały wytarte kołnierzyki, w kilku brakowało guzików. Pomacałam wszystkie kieszonki, zajrzałam do ustawionych na półce pudełek po butach. Nie zaskoczyły mnie - wszystkie co do jednego zawierały stare, zniszczone obuwie.

Szuflady pełne były bielizny, skarpet, podkoszulków i powypalanych żelazkiem chusteczek do nosa. Tu też nie znalazłam nic wartego uwagi. Usiadłam więc przy biurku i zaczęłam systematycznie otwierać szuflady. Nadal nic. Bucky już w nich posprzątał, usuwając skarby staruszka: rachunki, notatki, unieważnione czeki, ulotki, rozliczenia podatkowe. Wstałam i zajrzałam do kilku spakowanych już kartonów, odginając ich klapki. Na papiery i śmieci



z szuflad natrafiłam w drugim. Przejrzałam je pobieżnie, ale nie odkryłam nic, co mogłoby mi pomóc. Ani śladu listów, prywatnych notatek, żadnych dokumentów świadczących o wojskowej przeszłości. W sumie mnie to nie zdziwiło. Po co przechowywać takie dokumenty przez czterdzieści kilka lat? Gdyby Johnny postanowił zmienić zdanie i skorzystać z dobrodziejstw przychodni dla weteranów, pewnie bez trudu potwierdziłby swoją tożsamość, podając z pamięci potrzebne dane.

Trzecie pudło wypełniały po brzegi książki o drugiej wojnie światowej, dowód, że stary Lee żywo interesował się tym okresem historii. Cokolwiek zrobił dla ojczyzny, lubił pewnie poczytać, co zawdzięczała innym. Tytuły brzmiały mało zachęcająco, jeśli nie liczyć tych, których wydźwięk wzmocniono tłustym wykrzyknikiem: *Myśliwce! Bomby precz! Ścisłe tajne! Kamikadze!* Wszystkie inne zwierały słowo „strategiczne”. *Dowodzenie strategiczne. Lotnictwo strategiczne w Europie. Bombardowanie strategiczne. Taktyka walki strategicznej.* Przysunęłam do pudła krzesło. Usiadłam i zaczęłam wyjmować kolejne tomy. Każdy z nich chwyciłam za okładki, rozkładałam je i potrząsałam książką nad kolanami. Zawsze tak robiłam. Czy liczyłam, że zwolnienie ze służby Johnny'ego Lee ot tak upadnie mi do stóp? Po trosze tak. Poza tym zawodowym nawykom trudno się oprzeć. Detektywów szkoli się w technikach przeszukania, przykładalam się więc, nawet bez większej ochoty. Gdybyście zostawili kiedyś detektywa samego w waszym mieszkaniu, przez najbliższe dziesięć minut przeszukiwałby wam szuflady, przeglądałby książki i wtykał nos w nie swoje sprawy. Zajmowanie się własnymi nie jest nawet w połowie tak zabawne. Myśląc

o niebie, wyobrażałam sobie archiwum miejskie ze swobodnym dostępem do wszystkich akt.

Przeczytałam kilka stron pamiętnika jakiegoś pilota, pełnego opowieści o bombardowaniach, powietrznych bitwach, krzyżowym ogniu, mustangach, P-40, myśliwcach z Nakajimy i raketach VI. Trzeba przyznać, że sporo się działo. Nic dziwnego, że takie książki rozgrzewały umysły młodych napaleńców. Sama miałam gęsią skórkę, bo lektura przywołała wspomnienia z dwóch lat służby w policji.

Z zewnątrz dobiegł odgłos kroków. Uniosłam głowę, nasłuchując. Zerknęłam na zegarek. Dziesiąta trzydzieści pięć. Co oznaczało, że po schodach na pewno nie wspinał się Bucky. Podniosłam się i na placach podeszłam do drzwi. Wyjrzałam i stanęłam oko w oko z mężczyzną pod sześćdziesiątkę.

- Pomóc w czymś? - spytałam.

- Jest tu Bucky? - Miał łysinę otoczoną wianuszkami siwych włosów, łagodne orzechowe oczy, dołek w brodzie i twarz poznaczoną siateczką zmarszczek.

- Nie. Wyszedł. Czy pan jest Chester?

- Nie, proszę pani - mruknął. Wyglądał tak, że pewnie gdyby miał czapkę, zdarłby ją szybko z głowy i zaczął międlić w dłoniach. Uśmiechnął się nieśmiało, ukazując szeroką przerwę między górnymi zębami. - Nazywam się Ray Rowson. Przyjaźnię się z Johnnym. To znaczy przyjaźniłem się, nim umarł. - Otarł ręce w zielone bojówki. Oprócz nich miał na sobie białą koszulkę i skarpety, a do tego tenisówki.

- Kinsey Millhone - przedstawiłam się, wyciągając dłoń, którą pospiesznie uścisnął. - Mieszkam po sąsiedzku. - Machnęłam szybko ręką, wskazując z grubsza właściwy kierunek.

Ray zajrzał ponad moim ramieniem do wnętrza mieszkania.

- Czy Bucky wspomniał, kiedy wróci?

- Koło pierwszej.

- Chce pani wynająć to mieszkanie?

- Dobry Boże, nie! A pan?

- Owszem. I mam nadzieję, że się uda. - Westchnął teatralnie. - Jeśli tylko Bucky się zgodzi. Dałem mu zadatek, ale teraz chłopak mnie unika. Boję się, że znalazł innego lokatora, który zaoferował mu więcej. Szczerze mówić, gdy zobaczyłem pudła, pomyślałem, że pani się wprowadza.

W jego głosie usłyszałam cień akcentu z Południa. Z Teksasu albo z Arkansas.

- Bucky próbuje tu posprzątać. Czy to pan zaproponował, że wywiezie rzeczy Johnny'ego w zamian za obniżenie czynszu?

- Tak. Myślałem, że to podniesie moje notowania. Ale teraz przyjechał Chester i zaczęły się schody. - Wzruszył ramionami. - Najpierw Bucky i jego żona wymyślili, że wprowadzą się do mieszkania po dziadku, a dom wynajmą. Potem Chester uznał, że zatrzyma je dla siebie, żeby miał gdzie nocować, gdy wpadnie z wizytą. Nie chcę być natrętny, ale chętnie wprowadziłbym się tutaj już w tym tygodniu. Na razie mieszkam w hotelu i sporo mnie to kosztuje.

- Niestety, nie pomogę. Trzeba się dogadać jakoś z Buckym.

- Nie liczyłem na pomoc. Chciałem się tylko wygadać. Wpadnę, gdy wróci Bucky. Nie będę przeszkadzał.

- Nie przeszkadza pan. Proszę wejść. Przeglądam zawartość pudeł.

Nie czekając na odpowiedź, wróciłam do pokoju, usiadłam na krześle i zabrałam się do kolejnej książki.

Ray Rawson wszedł do środka ostrożnie, niczym czający się kot. Miał jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i dziewięćdziesiąt kilogramów wagi, a do tego imponujące w jego wieku mięśnie ramion i klatki piersiowej. Na jedynym potężnym bicepsie dostrzegłam wytatuowane imię Marla, na drugim - pokraccznego smoka z wywalonym jęzorem.

Ray rozejrzał się z zaciekawieniem, dłużej zatrzymując spojrzenie na meblach.

- Miło znów je zobaczyć. Choć przyznam, że wcześniej mieszkanie wydawało mi się większe. Pamięć płata czasem figle. Myślałem, że jest tu więcej miejsca. - Oparł się o zagłówek łóżka i przyjrzał ciekawie książce, którą wertowałam. - Szuka pani czegoś?

- Tak jakby. Bucky potrzebuje informacji o przebiegu służby dziadka. Obiecałam, że pomogę. Znacie się z wojska?

- Nie. Pracowaliśmy razem w stoczni Jeffersonville na przedmieściach Louisville w Kentucky. Tuż po wybuchu wojny budowaliśmy statki desantowe. Miałem dwadzieścia lat, Johnny dziesięć lat więcej. Traktowałem go trochę jak ojca. W czasach wielkiego kryzysu, w latach trzydziestych, większość stoczniovców nie wyciągała nawet kawałka rocznie. Niewykwalifikowani robotnicy nie dostawali nawet połowy z tego, zarabiali mniej od kelnerek. Kiedy przyszedłem do pracy, zarobki były już wyższe. Niewiele wtedy umiałem. Johnny miał duże doświadczenie. Był bystry i wiele mnie nauczył. - Zamyślił się na chwilę. - Pomóc pani? - zapytał.

- Nie. - Pokręciłam głową. - Już prawie skończyłam. Chyba nie ma mi pan za złe, że nie zabawiam rozmową?

Chcę przejrzeć wszystko, nim wyjdę. - Podniosłam kolejną książkę i mocno nią potrząsnęłam. Jeśli Johnny nie lubił banków, być może trzymał forszę między stronicami.

- Znalazła pani coś?

- Nie. Powiem Bucky'emu, że nic z tego. Miałam znaleźć numer jednostki jego dziadka. Jestem prywatnym detektywem i pracuję tu za Bóg zapłać. Szkoda mojego czasu. Dobrze znał pan Johnny'ego?

- Chyba tak. Dzwoniliśmy do siebie raz czy dwa razy w roku. Wiedziałem, że ma rodzinę, ale Bucky'ego poznałem dopiero po jego śmierci.

Złapałam wreszcie rytm. Brałam książkę za okładki, wywracałam stronami w dół i potrząsałam. Chwycić, wywrócić, potrząsnąć. Chwycić, wywrócić, potrząsnąć. Wkrótce na dnie pudła został ostatni tom.

- Ciekawi mnie pański akcent - zagadnęłam znów Raya. - Pochodzi pan z Kentucky? - Wstałam, oparłam pięści na biodrach i wypchnęłam miednicę do przodu, by rozprostować bolący kręgosłup. Potem pochyliłam się i zaczęłam wkładać wyjęte książki do kartonu. Ray przykucnął obok i sięgnął po najbliższy tom.

- Zgadza się. Z Louisville. Nie byłem tam od lat. Mieszkam w Ashland. Johnny zawsze powtarzał, żebym do niego wpadł, gdy będę w Kalifornii. Dałem się namówić. Miałem trochę czasu, więc wsiałem do auta i w drogę. Znałem adres Johnny'ego i wiedziałem, że mieszka nad garażem. Nikogo nie zastałem, zapukałem więc do drzwi Bucky'ego. Od niego dowiedziałem się, że Johnny nie żyje.

- Pewnie był pan w szoku.

- Jasne. Poczuję się podle. Żałowałem, że wcześniej nie zadzwoniłem. Kilka tygodni wcześniej Johnny do

mnie napisał. Chciałem mu zrobić niespodziankę, a tymczasem to mnie los zaskoczył. Gdybym wiedział, nie wybrałbym się w taką drogę. Podróż słono mnie kosztowała.

- Kiedy pan przyjechał?

- Ponad tydzień temu. Nie zamierzałem zostawać, tyle że pokonałem ponad trzy tysiące kilometrów. Niedobrze mi się robiło na myśl, by znów ruszać w drogę. Nie sądziłem, że polubię Kalifornię, ale podoba mi się tutaj.

Ray włożył do pudła ostatnią książkę, a potem zamknął je i odsunął na bok, podczas gdy ja zabrałam się do otwierania kolejnego.

- Wiele osób potrzebuje czasu, by się przyzwyczaić do tutejszej pogody.

- Ja nie. I liczę, że mój wygląd nie odstraszył Bucky'ego, bo naprawdę mam ochotę tu zamieszkać. Zwykle nie korzystam z cudzego nieszczęścia, ale tym razem... -Wzruszył ramionami. - Niech coś dobrego wyniknie ze śmierci Johna. To miła okolica i do plaży blisko. - Podniósł pudło, postawił je na innym, po czym oba przysunął do ściany.

- Gdzie się pan zatrzymał?

- Kilka przecznic stąd. W Lexington. Mimo że to przy plaży, z okien nie widać morza. A stąd między gałęziami można dostrzec cienki pas oceanu.

Przytaknęłam machinalnie. Rozejrzałam się uważnie, ale nie znalazłam już nic wartego uwagi. Johnny nie miał zbyt wiele rzeczy.

- Chyba się poddam - westchnęłam.

Otrzełam z kurzu dzinsy. Czulałam się brudna i lepka od potu. Poszłam do kuchni i umyłam ręce. Rury skrzypiały przeraźliwie, a woda była czerwona od rdzy.

- Może chce się pan rozejrzeć! - zawołałam do Raya. - Sprawdzić rury, wymierzyć zasłony... Zaczekam.

- Nie chciałbym zapeszyć. Niech najpierw podpiszę umowę. Nie wiem, czy Bucky wynajmie mi to mieszkanie. Dzieciak wolno myśli.

W pełni się z nim zgadzałam, ale wołałam nie mówić tego głośno. Wróciłam do pokoju, znalazłam torebkę, przerzuciłam ją sobie przez ramię i wygrzebałam z kieszeni klucze. Ray wyszedł tuż przede mną. Zaczekał, stojąc na schodach, aż zamknę drzwi. Razem zeszliśmy na dół, minęliśmy podjazd i ruszyliśmy w stronę ulicy. Po drodze podbiegłam do drzwi domu Bucky'ego i przez otwór na listy wrzuciłam do środka klucze. Dołączyłam do Raya.

- Dzięki za pomoc. Mam nadzieję, że uda się panu ubić z Buckym interes.

- Ja też. Na razie. - Skinął mi na pożegnanie i poszedł w dół ulicy.

Idąc do siebie, minęłam otwarte drzwi kuchenne domu Henry'ego. Dobiegający ze środka gwar głosów świadczył o tym, że Nell, Charlie i Lewis przyjechali zgodnie z planem. Zanim pójda spać, zagrają jeszcze w karty i w scrabble, a na koniec pokłócą się jak dzieci nad planszą chińczyka.

Nim weszłam do domu, wybiła jedenasta. Już od progu zauważyłam migającą lampkę automatycznej sekretarki. Wcisnęłam przycisk, by odsłuchać wiadomość.

*Kinsey? Mówi Tasha, twoja kuzynka z Lompoc. Zadzwoń jak najszybciej.* Tu podała numer telefonu. Chwyciłam notatnik i szybko go zapisałam. Od chwili nagrania wiadomości minęło pięć minut.

Niedobrze, pomyślałam.

Kiedy moja matka miała osiemnaście lat, zbuntowała się przeciwko życzeniom babki i uciekła z listonoszem, za co rodzina wyrzekła się jej raz na zawsze. Moi rodzice pobrali się przed sędzią pokoju w Santa Teresa. Świadkiem na ślubie była ciotka Gin, która jako jedyna z sióstr matki ośmieliła się stanąć po jej stronie. Obie zostały więc wyklęte. Rodzina nie utrzymywała z nimi kontaktu aż do dnia moich narodzin, czyli mniej więcej przez piętnaście lat. Kiedy rodzice porzucili już nadzieję na potomstwo, ni stąd, ni zowąd matka powiła córkę, o czym powiadomiła swoje siostry. Wszystkie zadzwoniły z gratulacjami, utrzymując jednak kontakty z matką w tajemnicy. Kiedy z okazji swoich któryś tam urodzin babka pojechała na wycieczkę, rodzice wybrali się ze mną do Lompoc. Nie pamiętam szczegółów tej podróży. Rok później znów trafiła się okazja na sekretny zjazd rodzinny. Kiedy jechaliśmy przez góry, ze stoku stoczył się głaz, spadł na przednią szybę samochodu i zabił ojca. Auto zsunęło się w przepaść. Matka została śmiertelnie ranna. Zmarła jakiś czas później, gdy ratownicy próbowali wyciągnąć nas z wraku.

Dzieckiem, czyli mną, zajęła się ciotka Gin, która nadal nie utrzymywała kontaktów z rodziną. Nigdy nie wyszła za męża. Wychowywała mnie zgodnie ze swoimi dziwacznymi poglądami na temat tego, jak powinna zachowywać się dziewczynka. W rezultacie wyrosłam na dziwoląga, choć pewnie nie aż tak postrzelonego, jak niektórzy sądzili. Ciotka nie żyła od dziesięciu lat, ja zaś pogodziłam się z myślą, że jestem na świecie sama.



Swoich „nieznanych” krewnych odkryłam dopiero podczas dochodzenia, jakie prowadziłam rok temu. Jak dotąd, udało mi się trzymać ich na dystans. Fakt, że chcieli odnowić kontakty, do niczego mnie przecież nie zobowiązywał. Przyznaję, że trochę się ich obawiałam, i wcale z tym strachem nie walczyłam. Miałam trzydzieści cztery lata i od zawsze czułam się sierotą. Było mi z tym dobrze. Gdybym teraz dała się „adoptować”, pewnie w krótkim czasie znów by się mnie pozbyli.

Wiedząc, że jeszcze chwila, a nic już mnie do tego nie zmusi, chwyciłam za telefon i wybrałam numer Tashy. Przedstawiłam się.

- Dzięki, że tak szybko oddzwoniasz. Co u ciebie? -zapytała uprzejmie moja kuzynka.

- W porządku - odpowiedziałam ostrożnie, desperacko próbując wymyślić, czego ode mnie chce. Nie poznałyśmy się osobiście, ale raz czy dwa rozmawiałyśmy przez telefon. Wiedziałam, że jest adwokatem i specjalizuje się w prawie spadkowym. Czyżby potrzebowała usług prywatnego detektywa? A może zamierzała namówić mnie na ubezpieczenie na życie?

- Dzwonię, żeby zaprosić cię do Lompoc na Święto Dziękczynienia. Przyjedzie cała rodzina. Wszyscy chętnie cię poznamy.

Poczułam, że serce we mnie zamiera. Nie znosiłam rodzinnych spotkań, ale chciałam być uprzejma, postarałam się więc, by w moim głosie zabrzmiała nutka żalu.

- Dzięki, Tasho, ale jestem już umówiona. Moi przyjaciele się pobierają. Zostałam druhną.

- W Święto Dziękczynienia? Dziwny zwyczaj.

- Tylko wtedy udało im się wziąć wolne - odparłam, chichocząc w duchu z zadowolenia.

- Może więc przyjedziesz w piątek albo sobotę? -Och... - W głowie miałam kompletną pustkę.

Hmm... Sprawdzę terminarz.

W sprawach zawodowych kłamałam jak z nut, w prywatnych - zupełnie mi to nie wychodziło. Sięgnęłam po kalendarz, choć doskonale wiedziałam, że jest pusty. Przez chwilę kusiło mnie, by się zgodzić i spotkać z rodziną, ale w głębi duszy już czułam narastający protest.

- Niestety. Nie dam rady.

- Wiem, że masz do nas żal. Przykro mi z tego powodu. Cokolwiek dzieliło twoją matkę i babcię, ciebie nie dotyczy. Spróbujemy wynagrodzić ci samotne dzieciństwo, ale daj nam szansę.

Wywróciłam oczami w bezsilnej złości. Wyglądało na to, że będę musiała powiedzieć to wprost.

- Posłuchaj mnie, doceniam twoją szczerłość, Tasho, ale też wiem, że nic z tego nie wyjdzie. Nie mam ochoty jechać do Lompop, a już na pewno nie na święta.

- Doprawdy? Dlaczego?

- Nie wiem. Przez lata obywałam się bez rodziny. Przywykłam do samotności. Nie chcę kolejnych zmian w swoim życiu.

- Nie kusi cię, by poznać kuzynów?

- Nie obraż się, ale dotąd świetnie sobie bez nich radziłam.

- Może jesteś dokładnie taka jak my.

- Możliwe. Wcale mnie to nie martwi.

- To w czym problem?

- Nie lubię rodzinnych spędów i nie znoszę, kiedy się mnie do czegoś zmusza.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

- Czy to ma coś wspólnego z ciotką Gin? - padło wreszcie pytanie.
  - Z ciotką? Nie. A dlaczego pytasz?
  - Ponoć była ekscentryczna. Pewnie nastawiała cię przeciwko nam.
  - Zdecydowanie nie. Nigdy nawet o was nie wspomniała.
  - Nie wydaje ci się to dziwne?
  - Owszem. I co z tego? Ciotka Gin była świetna w teorii, ale z ludźmi radziła sobie kiepsko. Co nie znaczy, żebym miała powód do narzekań. Wiele się od niej nauczyłam, jednak nie wpoila mi przywiązania do rodziny. Lubię swoją niezależność.
  - Bzdura. Nie wierzę ci. Każdy chce być niezależny, ale ludzie to zwierzęta stadne. Źle znoszą samotność. Szukają oparcia w rodzinie, potrzebują poczucia przynależności. Tak już jest, i kropka. Należysz do naszej rodziny. Jesteś jedną z nas, czy ci się to podoba, czy nie.
  - Dajmy temu spokój, póki jeszcze możemy. Nawet jeśli przyjadę, nie ma mowy o ckliwych powitaniach. Nie zamierzam niczego udawać. Nie usiądziemy wokół pianina i nie zaśpiewamy razem starych piosenek.
  - To ci nie grozi. Nie śpiewamy starych piosenek.
  - Nie chodzi o was, tylko o mnie.
  - Niczego od nas nie chcesz?
  - Niby czego?
  - Rozzłościłaś się.
  - Mam mieszane uczucia - poprawiłam zimno. - Złość schowałam bardzo głęboko. Jeszcze się do niej nie dokopałam.
- Tasha wreszcie zamilkła.

- W porządku. Rozumiem - rzekła po chwili. - Nie wiem tylko, dlaczego chowasz do nas urazę. Jeśli ciotka Gin ci dopiekła, trzeba było to z nią załatwić.

- Ciotka Gin mi nie dopiekła - wycedziłam przez zęby. - Nigdy tego nie powiedziałam. Nie miała pojęcia o wychowywaniu dzieci, ale starała się, jak mogła.

- Na pewno cię kochała. Nie zamierzałam jej oskarżać.

- Powiem to wprost. - Czułam, że kończy mi się cierpliwość. - Nawet jeśli ciotka popełniała błędy, zrobiła dla mnie dużo więcej niż moja babka. Zakładałam zresztą, że wychowując mnie, powielala schematy wyniesione z domu.

- A więc to do babci masz pretensje?

- Oczywiście! Powiedziałam to przecież jasno już na początku. - Westchnęłam ciężko. - Nie zamierzam grać ofiary. Co się stało, to się nie odstanie. Potrafię z tym żyć. Dziwię się tylko, że jesteście aż tak naiwni, by myśleć, że kilka rodzinnych spotkań zmieni przeszłość.

- Nie zamierzamy zmieniać przeszłości, tylko przyszłość - wpadła mi w słowo Tasha. Wyraźnie zmieniła ton. - Zresztą mniejsza z tym. Nie zadzwoniłam, by się z tobą wyklócać.

- Ja też niepotrzebnie się uniosłam.

- Wiesz... Nie bronię babci, bo powinna była cię odnaleźć. Popełniła błąd. Ale to już przeszłość. Było, minęło. Nie przenoś swojej niechęci na kolejne pokolenie. Kochałam ją. Była dla mnie dobra, choć miewała humory i wtykała nos w nie swoje sprawy. Niezależnie od tego, co o niej myślisz, nie zachowywała się jak potwór.

- Nie ośmieliłabym się tak o niej myśleć.

- A więc wybacz, zapomnij i żyj dalej. Los nie obszedł się z tobą łaskawie. Miałaś dzieciństwo trudniejsze niż my, ale żal niczego już nie zmieni.

- Jasne, bo to nie ty poniosłaś konsekwencje. Dobrze zapamiętałam tę lekcję, czego dowodem są dwa nieudane małżeństwa. Pogodziłam się z tym, ale nie wymagaj ode mnie, żebym do was przyjeżdżała i słodziła wam tylko po to, żeby poprawić babce nastrój.

- Przerażasz mnie, Kinsey. Tyle w tobie urazy. Musisz ją w końcu wyrzucić.

- Nie przejmuj się. Sama się z tym uporam - mruknęłam. - Wiesz, czego się w życiu nauczyłam? Nie muszę być idealna. Mam prawo do własnych uczuć. A skoro te uczucia cię przerażają, to już twój problem.

- Za nic nam nie darujesz, prawda?

- Nie ja do ciebie zadzwoniłam. To ty się odezwałaś. Szkoda tylko, że tak późno.

- A więc jednak żywisz do mnie urazę?

- Po prostu jestem realistką.

Niemal słyszałam myśli kotłujące się w jej głowie. Zastanawiała się, biedaczka, co teraz ze mną począć. Pewnie w jej naturze prawnika tkwiło przekonanie, że powinna przyłapać mnie na jakimś kłamstwie, tyle że chwilowo nie mogła.

- Widzę, że cię nie przekonam - westchnęła w końcu.

- Fakt.

- I pewnie nie warto namawiać cię na wspólny lunch?

- Zgadza się. Nie warto.

- Cóż... - Znów ciężko westchnęła. - Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, jak mnie znaleźć.

- Dzięki, choć nie bardzo wiem, co by to mogło być.

Odłożyłam słuchawkę. Miałam wrażenie, że napięcie usztywniło mi kark. Wyciągnęłam więc ręce nad głowę i spróbowałam rozluźnić wszystkie mięśnie. Pomogło. Wtem poczułam przejmujące zimno - bałam się, że Tasha zadzwoni raz jeszcze. Szybko pobiegłam do sklepu. Kupiłam mleko, chleb i papier toaletowy. Wpadłam też do banku, gdzie zdeponowałam czek na pięćdziesiąt dolarów. Potem zatankowałam do pełna i wróciłam do domu. Rozpakowywałam zakupy, kiedy rozległ się dźwięk telefonu. Niechętnie sięgnęłam po słuchawkę.

- Kinsey? - usłyszałam głos Bucky'ego. - Mówi Bucky. Wpadnij do nas. Ktoś włamał się do mieszkania dziadka. Lepiej, żebyś to obejrzała.

### 3

Zapukałam do drzwi Bucky'ego po raz drugi tego dnia. Słońce wczesnego popołudnia paliło trawę, w listopadowym powietrzu unosił się zapach siana i ziół. Patrząc w prawo, w obramowaniu, jakie tworzyły drewniane łuki ganku, widziałam ząbkowane wykończenia dachówek. W Santa Teresa wykonywało się je ręcznie. Miały kształt litery C, powstawały bowiem poprzez oblepianie gliną uda dekarza. Teraz produkuje się je maszynowo, nadając im kształt litery S. Ceny dachówek robionych ręcznie osiągały teraz niebotyczne wyżyny. Ta, na którą patrzyłam, warta była dziesięć, może piętnaście kawałków. Dziwne, że złodziej się na nią nie połuszczył, zamiast tego włamał się do mieszkania starego Lee, ciasnego, brudnego, z podłogą pokrytą popękany linoleum.

Drzwi otworzyła mi Babe. Przebrała się, zastępując czarny top i ciemne legginsy bezkształtnym jasnym dressem. Miała ogromne oczy w kolorze ciepłej czekolady i mnóstwo piegów. Widoczne poprzednio krągłości teraz rozkładały się równomiernie, jakby tuż przed moim przyjściem wcisnęła się w elastyczny kostium.

- Cześć, jestem Kinsey. Bucky prosił, żebym zajrzała.

- Miło cię poznać. Przepraszam, że nie przywitałam się wcześniej.

- Nie szkodzi. Założyłam, że i tak w końcu się spotkamy. Bucky jest nad garażem? - Skinęła głową, uciekając spojrzeniem gdzieś w bok.

- Jest z ojcem. Chester wrzeszczy, odkąd wróciliśmy. Dupek - mruknęła. - Cały czas przeklina. Mam już dosyć. W końcu to nie my okradliśmy dziadka, więc o co się tak piekli?

- Zgłosiliście włamanie?

- Tak. Policja już tu jedzie. Podobno - dodała z pogardą. Pewnie uważała, że gliniarze nigdy nie zjawiają się wtedy, gdy są potrzebni. Mówiła wolno, miękko przeciągając słowa. Jakimś cudem prawie w ogóle nie otwierała przy tym ust. Może kiedyś występowała jako brzucho-mówczyni.

Przesunęła się o krok, wpuszczając mnie do środka, a potem poprowadziła przez korytarz do salonu, tak jak wcześniej Bucky. Jej gumowe klapki uderzały rytmicznie o drewnianą podłogę.

- Pewnie dopiero wróciliście - powiedziałam, nie mogąc oderwać oczu od jej przelewających się pośladków. W myślach zaordynowałam jej już dietę... Bardzo rygorystyczną dietę.

- Tak. Niedawno. Byliśmy w Colgate, u mojej matki. Chester wrócił do domu przed nami. Przywiózł zyrandol, żeby zastąpić nim stary, który się zepsuł. Wszedł na górę i zauważył rozbite okno. Szkło leżało na schodach. Ktoś przetrząsnął wszystkie rzeczy.

- Coś zginęło?

- Bucky i Chester próbują to ustalić. Stary ma pretensje, że mąż zostawił tu panią samą.

- Głupota. Nie musiałabym się włamywać, bo miałam klucze. I nigdy nie zostawiam śladów przeszukania.

- To samo powiedział Bucky, ale Chester nigdy nikogo nie słucha. Nim przyjechaliśmy, dostał napadu szału. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wróci do siebie, do Ohio. Przez niego mam zszarpane nerwy. Mój ojciec nigdy się tak nie wydzierał, nie jestem przyzwyczajona do wyzwisk. Matka by mu chyba łeb urwała, gdyby się tak do niej odezwał. Powiedziałam Bucky'emu, że nie życzę sobie, by Chester mnie obrażał.

- Sama zwróć mu uwagę.

- Kiedyś próbowałam. Nic dobrego z tego nie wynikło. Miał cztery żony. Teraz się nie dziwię, że każda w końcu puszczała go kantem. Ostatnio umawia się z dwudziestolatkami, ale nawet one go rzucają, kiedy już nakupi im pełną szafę szmat.

Doszliśmy do schodów wiodących nad garaż. Drzwi do mieszkania Johnny'ego stały otworem. W wąskim oknie brakowało kilku kawałków szkła. Złodziej się nie wysilił - darował sobie drzwi oraz okna znajdujące się na piętrze i wybrał najłatwiejszą drogę. Zresztą, żaden szanujący się włamywacz nie korzystałby z drabiny w biały



dzień. Zamiast tego rozbił okienko przy drzwiach, sięgnął przez nie i otworzył klamkę. Nie musiał nawet korzystać z wytrychów ani żadnych innych narzędzi.

Chester chyba nas usłyszał, bo wyszedł przed drzwi, ledwie zahaczając spojrzeniem o Babe, która przypadła do drewnianej poręczy, próbując wtopić się w tło. Wysnułam stąd wniosek, że teść często czynił z niej obiekt niewybrednych ataków. Tym razem jednak nie raczył jej zauważyć.

Od razu rzucało się w oczy, komu Bucky zawdzięcza swój wygląd. Jego ojciec był wysoki i mocno zbudowany. Jasne kręcone włosy sięgały mu do ramion. Czyżby je farbował? Próbowałam nie przyglądać mu się zbyt natarczywie, ale mogłabym przysiąc, że widziałam ten kolor w reklamie Clairola. Do blond włosów pasowały małe niebieskie oczka, jasne rzęsy i siwiejące bokobrody. Rozciągnięta koszulka skrywała jakieś piętnaście kilogramów nadwagi. Chester wyglądał na byłego rockmana, piszącego przerażająco amatorskie teksty. Zaskoczył mnie kolczyk w jego uchu - zwisający nad obojczykiem złoty krzyżyk oraz podobny krzyżyk na złotym łańcuszku niknący za wycięciem koszulki. Patrząc na niego, pomyślałam, że Bucky ma jeszcze szansę się wyrobić. I pewnie mu się to uda.

- Kinsey Millhone. - Wyciągnęłam do niego rękę. -Ma pan prawo się denerwować, panie Lee.

- Daruj sobie pana Lee. - Lekko uściśnął mi dłoń. -Mów mi Chester. Lepiej przejdźmy na ty, bo nie mam zamiaru traktować cię ulgowo. Nie mam pojęcia, o co poprosił cię Bucky, ale na pewno nie o to.

Przełknęłam ostrą odpowiedź i ponad jego ramieniem zajrzałam do mieszkania. Pudła były opróżnione, książki

porozrzucane po całym pokoju. Materac został zwinięty, kołdry i poduszki wały się po podłodze. Część ubrań Johnny'ego rzucono na stos w jednym z kątów. Z otwartych kuchennych szafek wysypywały się garnki i patelnie. Wszędzie panował bałagan, ale o dziwo, nic nie zostało zniszczone ani połamane. Ani śladu bezmyślnych zniszczeń, obscenicznych napisów, porozrzucanego jedzenia, pozrywanych tapet. Wandale często zostawiają po sobie fekalia, ale tu ich nie zauważyłam. Mieszkanie wyglądało jak melina dilerów metodycznie przeszukana przez gliniarzy. Pytanie tylko, po co?

Przemknęło mi przez myśl, że ktoś próbuje mnie zrobić w rolę świadka włamania, którego w rzeczywistości nie było, tylko po to, by Bucky i jego ojciec mogli zgłosić kradzież cennych przedmiotów.

W drzwiach kuchni pojawił się Bucky. Od razu mnie zauważył. Niczym wspólnicy zbrodni wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. Oskarżenia bliskich sprawiają, że człowiek czuje się winny, nawet jeśli nie było go w pobliżu, gdy stało się coś złego.

- Spłuczka jest pęknięta - oznajmił ojcu. - Możliwe, że tak było, tylko nie zauważyłem.

- Zapłacisz za wymianę. - Chester oskarżycielko wymierzył palec w jego pierś. - To był twój genialny pomysł, żeby ją tu ściągnąć. - Odwrócił się do mnie i wskazał kciukiem łazienkę. - Idź, obejrzyj to sobie. Wyrwali apteczkę ze ściany razem z kawałkiem tynku.

Poczerwieniał i zaczął ciężiej oddychać. Widać było, że nakręca się analizowaniem szczegółów. Pewnie uwielbiał narzekać i zadręczał znajomych opowieściami o swoich rzeczywistych lub urojonych dolegliwościach oraz

sposobach na ich uśmierzenie. Z każdą chwilą coraz bardziej działał mi na nerwy. Wreszcie przekroczył granicę.

- Hej! - zawołałam, przerywając jego monolog. - To nie ja się tu włamałam, Chester! Mów sobie, co chcesz, ale wiem, że zostawiłam idealny porządek. Zamknęłam drzwi i wrzuciłam klucz przez otwór na listy, tak jak sobie życzył Bucky. I mam świadka. Był ze mną Ray Rawson.

- Jasne. Wszyscy do cholery jesteście niewinni! - wrzasnął Chester. - I wszyscy wymyślicie na poczekaniu jakieś bajeczki.

- Ona nic nie zrobiła, tato - wtrącił się Bucky.

- Nie wtrącaj się. - Chester zmierzył mnie zimnym spojrzeniem zmrużonych oczu. - Chcesz mi wmówić, że to Ray się tu włamał?

- Oczywiście, że nie. Po co miałby to robić, skoro chciał wynająć mieszkanie? - Mój głos uniósł się niebezpiecznie. Wzięłam głęboki oddech, by się uspokoić.

Chester odął pogardliwie wargi.

- Wobec tego znajdź go i wypytaj - mruknął niechętnie.

- A o co mam go pytać? Wyszliśmy stąd razem. Bucky stanął między nami, próbując załagodzić sytuację.

- Dziadek nie miał nawet nocnika. I zmarł w czerwcu, kilka miesięcy temu. Gdyby trzymał tu coś cennego, a złodziej o tym wiedział, dlaczego by tak długo zwlekał?

- Może to wygłup dzieciaków - podsunęłam.

- W tej okolicy nie ma dzieciaków.

- To prawda - przyznałam, bo w sąsiedztwie mieszkali głównie emeryci. Pozostawała oczywiście możliwość, że mieszkanie spustoszyła banda wędrownych wandalów, którzy szukali tu przygód i okazji, by ukraść coś cennego.

- Bzdura - syknął z odrazą Chester. - Zejdę na dół i zaczekam na gliniarzy. Kiedy skończycie już swoje uczone wywody, weźcie się do sprzątanania.

- Nie zamierzam ruszyć nawet palcem - odparłam, mierząc go hardym spojrzeniem.

- Nie mówiłem do ciebie. Bucky, Babe, bierzcie się do roboty!

- Lepiej zaczekajcie na policję.

Chester obrócił się na pięcie i spojrzał na mnie groźnie.

- A niby po co?

- To miejsce przestępstwa. Może uda się zebrać odciski palców.

Twarz Chestera pociemniała.

- Gówno prawda! - wrzasnął. - Coś kombinujesz. Idziesz ze mną.

Nie raczyłam mu odpowiedzieć, zwróciłam się za to do Bucky'ego.

- Na twoim miejscu nic bym nie ruszała. Nie wolno zacierać śladów.

- Jasne - odparł.

Chester tylko wzruszył ramionami i ponaglił mnie niecierpliwym gestem.

Schodząc za nim po schodach, zerknęłam na zegarek. Był kwadrans po trzynastej, a ja miałam już dość tego towarzystwa. Mogłabym znosić ich fochy, gdyby mi płacili, nie zamierzałam jednak podkładać się za dziękuję.

Chester tymczasem wszedł do kuchni i od razu pomaszerował do lodówki. Z impetem otworzył drzwi i wsadził głowę do środka. Po chwili wyciągnął słoik majonezu, musztardę, ostry sos chilli, opakowanie mortadeli i bochenek tostowego chleba. Czyżby ściągnął mnie tutaj, żebym patrzyła, jak je?

- Przepraszam za te wrzaski - burknął. - Nie znoszę takich niespodzianek.

Nie podniósł głowy, zajęty rozstawianiem słoików, ja zaś ledwie oparłam się pokusie, by uważniej mu się przyjrzeć. Miałam wrażenie, że do kuchni wszedł ze mną zupełnie inny facet. Uspokoił się i spuścił z tonu. Wyglądał niemal łagodnie.

- Masz jakąś teorię? - spytałam.

- Usiądź.

Zaciekawił mnie, posłusznie usiadłam więc przy stole i obserwowałam, jak przygotowuje jedzenie. Często widywałam mężczyzn zajmujących się gotowaniem i muszę przyznać, że są w tym znacznie lepsi od kobiet. Niczego się nie boją. Nie liczą kalorii i rzadko czytają skład produktów. Nigdy nie odcinają skórki od chleba i nie przejmują się wyglądem gotowych dań. Guzik ich obchodzi, czy się komuś spodoba, czy nie. Nie kładą na talerz gałązek pietruszki ani rozetek wyciętych z rzodkiewki. Myślą tylko o tym, by się porządnie najeść.

Chester z trzaskiem postawił na palniku mosiężną patelnię i wrzucił do niej kawałek masła, które po kilku sekundach zaczęło się topić.

- Popełniłem błąd, pozwalając Bucky'emu zamieszkać z dziadkiem. Liczyłem, że razem będzie im łatwiej. Ale ledwie spuściłem chłopaka z oczu, zajął się tą laską. Nie mam nic przeciwko Babe. Jest głupia jak but, ale i z mojego chłopaka nie orzeł. Mam jednak wrażenie, że ci dwoje do siebie nie pasują.

- Johnny cię nie ostrzegł, jak się sprawy mają?

- Nie. I założyłem się, że zachęcał chłopaka, byle tylko zrobić mi na złość. Podły był z niego kutwa.

Nie skomentowałam tego, by nie zakłócać opowieści. Chester przez chwilę milczał, zajęty pitraszeniem. Wyjął z opakowania wielki jak spodek plaster różowej mortadeli i wrzucił ją na patelnię, nie zdejmując nawet plastikowej osłonki. Kiedy skwierczała na patelni, rozsmarował na jednej kromce majonez, a na drugiej musztardę, po czym upstrzył je kropkami czerwonego sosu chilli.

Wychowałam się na chlebie tostowym i niezmiennie doceniałam jego cudowne właściwości - zgnieciony, nigdy nie wracał do poprzedniego kształtu. Kiedy zmiażdżyło się go przypadkiem w torbie z zakupami, zrobione z niego kanapki miały fantastyczny wygląd. Jako dziecko często robiłam z niego maleńkie kulki i obrzucałam nimi siedzącą po drugiej stronie stołu ciotkę, kiedy tylko na mnie nie patrzyła. Gdy chlebowe kulki wpadały jej we włosy, strzepywała je niecierpliwym gestem, myśląc, że to mucha. Pamiętam, jak po raz pierwszy skosztowałam pszennego chleba domowego wypieku. Przyniosła go nam sąsiadka. Wydał mi się szorstki i suchy jak celulozowa gąbka. Miał zapach pustych butelek po piwie i za nic na świecie nie nadawał się do gniecenia, bo naciśnięty, rósł z powrotem, ledwie zabrało się palec.

Powietrze w kuchni napełniło się aromatem smażonej wędliny. Mortadela wygięła się teraz na brzegach, tworząc beżowo-różowe miseczki z kałużą masła pośrodku. Zakręciło mi się w głowie od jej woni.

- Za każdy plaster dam sto dolców - oświadczyłam. Po raz pierwszy tego dnia Chester spojrzał na mnie z uwagą. Uśmiechnął się szeroko.
- Lubisz przypieczone?

- Ty jesteś tu szefem - odpowiedziałam. - Zrób tak, jak lubisz.

Przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu, ale w końcu postanowiłam zaspokoić ciekawość.

- Czym się zajmujesz w Columbus?

Nim odpowiedział, łapczywie jak głodny pies wgrzył się w ostatni kawałek kanapki, przeżuł ją i otarł usta serwetką.

- Mam małą drukarnię w Bexley. Offset i prasa. Na zimno i gorąco. Broszury, ulotki, wizytówki, foldery. Projektuję je, składam, drukuję i binduję, jeśli trzeba. Wyjeżdżając, zatrudniłem pracownika, żeby pilnował interesu. Jeśli dobrze się spisze, chętnie sprzedam mu cały kram. Pora zająć się czymś innym. Jestem za młody na emeryturę, ale mam dość tej roboty.

- Przeniesiesz się tutaj?

Zapalił papierosa, camela bez filtra, który śmierdział jak płonące siano.

- Jeszcze nie wiem. Dorastałem w tym mieście, ale wyniosłem się, ledwie skończyłem osiemnaście lat. Ojciec przyjechał tu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, kiedy kupił ten dom. Często powtarzał, że nie wyniesie się stąd, póki szeryf go nie wykurzy. Nigdy nie mieliśmy wspólnego języka. Traktował mnie jak kapral niesfornego rekruta. Dziś nazywa się to dręczeniem, ale w czasach mojego dzieciństwa nikt nie słyszał o czymś takim. Wszyscy moi koledzy dostawali baty od ojców. Po to się ich miało. Ojcowie chodzili do fabryki, po powrocie do domu wypijali kilka piw, po czym spuszczały łomot pierwszemu dzieciakowi, który się nawinął. Stary okładał mnie pięściami, kopał i rzucał mną o ścianę. Gdy coś przeskrobałem, bił mnie, póki nie straciłem

przytomności, a jeśli wyrwało mi się słowo protestu, lał mi do gardła sos tabasco. Nie znosiłem tego i nienawidziłem ojca, ale myślałem, że tak musi być. Dziś wystarczy malucha poklepać po policzku, a już ciągną cię po sądach i straszą więzieniem. Dzieciak trafia do rodziny zstępczej, a ty masz przeciwko sobie wszystkich sąsiadów.

- Co nieco zmieniło się na lepsze.

- Racja. Obiecałem sobie, że nie będę traktował tak własnych dzieci. I nigdy, przenigdy nie podniosłem na nie ręki.

Patrzyłam na niego, czekając na jakąś żalospną wymówkę, mającą mi wyjaśnić, dlaczego wrzeszczy na własnego syna, ale Chester chyba już skończył. Szybko zmieniłam więc temat.

- Twój ojciec miał atak serca?

Chester zaciągnął się papierosem i czubkami palców zdjął z języka drobinę tytoniu.

- Przewrócił się na podjeździe. Lekarz kazał mu ograniczyć spożycie tłuszczu. Ale stary nigdy nikogo nie słuchał. W sobotę zjadł na śniadanie talerz jajek na bekonie, kilka smażonych kiełbasek i placki ziemniaczane z poprzedniego dnia. Poprawił to czterema kubkami mocnej kawy i papierosem. Odsunął krzesło, powiedział, że dawno się tak nie najadł, i poszedł do siebie. Nie dotarł nawet do schodów. Niedrożność tętnicy wieńcowej, jak powiedział patolog. Podczas sekcji okazało się, że światło tętnicy miało grubość włosa.

- Czyli jego śmierć nie ma związku z włamaniem?

- Nie zamordowano go, jeśli o to ci chodzi. Choć może istnieć jakiś związek. - Zapatrzył się w rozżarzoną końcówkę papierosa. - Musisz coś zrozumieć. Ojciec miał paranoję. Uwielbiał hasła, pułapki, szarady, skrytki.



Nie lubił mówić o sobie, a tematu wojny unikał jak ognia. Od czasu do czasu, kiedy opił się whisky, wymykało mu się to i owo, ale wystarczyło go wtedy o coś spytać, a natychmiast milkł jak zakłęty.

- Dlaczego?

- Mam pewne podejrzenia, ale chyba za wcześnie, by o nich mówić. Ostatnie zajścia wydają mi się bardzo dziwne. Staruszek umarł i na tym powinno się skończyć. Tymczasem Bucky wpadł na genialny pomysł z zapomogą i ściągnął na nas ich uwagę.

- Czyją?

- Rządu.

- Rządu? - powtórzyłam z powątpiewaniem. Chester pochylił się w moją stronę.

- Stary chyba krył się przed federalnymi - wyjaśnił ściszym głosem.

- Dlaczego?

- Wiem, co mówię. Zastanów się. Odkąd skończyła się wojna, nigdy nie zwrócił się do wojska z żadną prośbą. Nie leczył się w przychodni dla weteranów, nie pobierał dodatków ani zapomóg, nie korzystał z usług psychologa. Dlaczego?

- Poddaję się.

Uśmiechnął się lekko, niezniechęcony faktem, że mu nie wierzę.

- Możesz mnie wziąć za wariata, ale przyjrzyj się faktom. Wypełniliśmy formularz prośby... podaliśmy właściwe informacje... I co? W Biurze Weteranów nie potrafili ojca zidentyfikować, co jest oczywistą bzdurą. Kłamstwem szytym grubymi nićmi. Bo co to znaczy, że nie mają jego akt? To znaczy, że je mają, tylko nie chcą

nam ich pokazać. Rozumiesz? Dlatego zadzwoniłem do Randolph. To baza lotnicza, w której przechowuje się akta z czasów drugiej wojny światowej. Znowu wypełniłem formularz i znowu dostałem odpowiedź odmowną. Zadzwoniłem do St. Louis, do Krajowego Archiwum Akt Osobowych. Nikt tam nie słyszał o moim ojcu. Nie zniechęciłem się i wykonałem kolejny telefon. Do Waszyngtonu. Rozmawiałem z gościem z Pentagonu. I znowu nic, żadnych akt. Pogubiłem się. Nie widziałem w tym sensu. Wtedy znów odezwał się Bucky. Ustaliliśmy, że nie odpuścimy. To niby marne trzysta dolarów, ale nam chodzi o coś więcej. I nie poddamy się tak łatwo. Staruszek służył ojczyźnie i ma prawo do przyzwoitego pogrzebu. Nie dam się spławić urzędnikom. A teraz to... - Wskazał kciukiem w kierunku garażu. - Rozumiesz? -Nie.

- Pomyśl chwilę.

Czekałam. Nie miałam pojęcia, co chce ode mnie usłyszeć.

Znów zaciągnął się papierosem.

- Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? - zawiesił głos. Dramatyczna pauza miała wzmóc napięcie. - Potrzebowali trochę czasu, by zorganizować ekipę. Próbują sprawdzić, co wiemy.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co mu chodzi. Patrzyłam na niego w milczeniu, bezradnie mrugając powiekami. Staralam się nie okazać zdziwienia.

- Wiecie *o czym!* - spytałam ostrożnie.

- O tym, co ojciec robił podczas wojny - rzekł powoli, jakby mówił do nierozgarniętego dziecka. - Podejrzewam, że staruszek służył w wywiadzie wojskowym.

- Jak wielu innych. Co z tego?
- Sęk w tym, że on nigdy się do tego nie przyznał. Nigdy nie puścił farby. A wiesz dlaczego? Bo był podwójnym agentem.
- Nie wygłupiaj się. Agentem?
- Nadawał się do tej roboty. Pewnie zbierał informacje. Właśnie dlatego jego akta są tajne.
- Myślisz, że Biuro Weteranów nie zidentyfikowało twojego ojca, bo jego akta zostały utajnione? - spytałam dla pewności. Zaczynałam pojmować jego punkt widzenia.
- Bingo. - Wycelował we mnie palec i mrugnął, szczerząc do mnie zęby, zadowolony, jakbym wreszcie udowodniła, że nie urodziłam się idiotką.
- Przyjrzałam mu się zimno. Zaczynałam się czuć jak ktoś, kto rozmawia z fanatykiem UFO, który brak dowodów na istnienie tajemniczych obiektów latających traktuje jak argument na poparcie tezy, że rząd nas oszukuje.
- Pracował dla Niemców czy działał po naszej stronie? - zagadnęłam z ciekawości.
- Zwąchał się z Japończykami. I pewnie dla nich szpiegował, choć tego akurat nie jestem pewien. Był przecież w Birmie. Przynajmniej do tego się przyznał.
- Dlaczego po tylu latach miałoby to aż takie znaczenie?
- Ty mi powiedz.
- Skąd mam wiedzieć? - westchnęłam. - Szczerze mówiąc, wolałabym się nie wypowiadać. Nie znałam twojego ojca. Nie mam pojęcia, czy nadawał się na szpiega i czy rzeczywiście nim był.
- Nie pytam cię o domysły. Chcę, żebyś spojrzała na sprawę obiektywnie. Dlaczego staruszek tak gorliwie odżegnywał się od lotnictwa? Podaj mi choć jeden dobry powód.

- Dobrze, jeśli przekonasz mnie, że Johnny zajmował się szpiegostwem.

- Jeśli nie, to po co by kłamał? Byli wojskowi chętnie opowiadają o swoich przygodach, a on milczał jak grób. Nie zapominaj o tym.

- Nie zapominam - zapewniłam. - To ty nie dostrzegasz istoty problemu. Biuro Weteranów nie stwierdziło, że twój ojciec nie brał udziału w walkach. O ile pamiętam, w uzasadnieniu napisano, że nie udało się go zidentyfikować na podstawie podanych przez was informacji. Lee to popularne nazwisko, a Johnów Lee mają pewnie setki, jeśli nie tysiące.

- I wszyscy urodzili się w tym samym dniu, i dostali ten sam numer ubezpieczenia? Nie wygłupiaj się. Myślisz, że nie mają komputerów? Wystarczyłoby wpisać nazwisko, wcisnąć ENTER i bum! Mają go. Czemu więc nie chcą się do tego przyznać?

- Dlaczego zakładasz, że oni mają w bazie te wszystkie dane? - podsunęłam, by się z nim podroczyć. Trudno by go było przekonać do swoich racji, więc nie zamierzałam próbować.

- A dlaczego ty zakładasz, że nie? Odchrząknęłam. Zaczynałam mieć dość tej rozmowy, ale nie bardzo wiedziałam, jak się wycofać.

- Dajmy już temu spokój.

- Sama zaczęłaś. Ja tylko odpowiedziałem na twoje pytanie.

- Nieważne. Niech ci będzie. Załóżmy, tylko na potrzeby dyskusji, że John rzeczywiście był szpiegiem. Minęło czterdzieści kilka lat. Twój ojciec nie żyje. Jego przeszłość i tak nie ma już znaczenia.

- Chyba że agentom nie chodzi o staruszkę, tylko o coś, co miał przez wszystkie te lata. Coś, co im ukradł i dobrze schował. Coś, co chcą teraz odzyskać.

- Chyba z tobą zwariuję! Coś, czyli co?!

- Pojęcia nie mam. Ale stawiam na jakieś ważne papiery.

Miałam ochotę walnąć głową w stół i zawyc z wściekłości.

- To bez sensu - jęknęłam.

- Tak? A dlaczego?

- Bo gdyby tak było, woleliby wyciszyć całe to zamieszanie. Daliby ci trzysta dolców, albo nawet więcej, i grzecznie poprosiliby o zwrot skradzionych im dokumentów... czy co tam Johnny im podprowadził. Gdyby naprawdę czegoś szukali, po śmierci staruszka po prostu zamknęliby ci gębę pieniędzmi. Nie żałowałiby tych trzystu dolców.

- Z zasiłkiem pogrzebowym czterystu pięćdziesięciu. W myślach jeszcze raz to przeliczyłam.

- Niech będzie. Czterystu pięćdziesięciu. Pytanie jednak się nie zmienia. Po co mieliby się tu włamywać?

- Nie umiem wyjaśnić, dlaczego rząd zachowuje się w tej sprawie tak a nie inaczej. Poza tym, gdyby federalni byli tak bystrzy, jak ci się zdaje, dawno znaleźliby staruszkę. Głowę dam, że trop podsunęło im dopiero nasze podanie.

Wzięłam głęboki oddech.

- Pochopnie wyciągasz wnioski.

- Jasne - mruknął, gasząc papierosa. - Bardziej obchodzi mnie, czym mam rację, czy nie. Jak dla mnie, kolesie bardzo się ucieszyli z nowiny i przyjechali tu powęszyć.

- Skinął głową w stronę mieszkania Johnny'ego. - I bardzo mnie ciekawi, czy znaleźli to, czego szukali, czy też nadal mamy w domu bombę z opóźnionym zapłonem. A jak chcesz znać moje zdanie, to ten cały Rawson też macza w tym palce.

Tym razem nie zdołałam powstrzymać reakcji. Jęknęłam głośno i ukryłam twarz w dłoniach, czubkami palców uciskając skronie.

- Ciekawa hipoteza - rzuciłam w końcu. - Życzę szczęścia. Obiecałam, że pomogę wam znaleźć coś, co pozwoli ustalić przeszłość Johnny'ego. Listy, fotografie, nieśmiertelniki... Nie mam ochoty na zabawę w szpiegów. Na mnie nie licz. Dzięki za kanapkę. Smażysz świetną mortadelę.

Zamiast odpowiedzieć, zerknął szybko ponad moim ramieniem. Nagłące pukanie do tylnych drzwi sprawiło, że podskoczyłam.

- Policja - syknął Chester. - Zachowuj się normalnie.

Ruszył do drzwi, by otworzyć. Odwróciłam się i patrzyłam za nim. Zachowuj się normalnie... Co to niby miało znaczyć? Przecież zachowuję się normalnie. *Jestem normalna.*

Stojący za progiem umundurowany policjant przedstawił się mrukliwie. Chester gestem zaprosił go do środka.

- Cieszę się, że pan przyjechał. - powiedział, siląc się na sympatyczny ton wzorowego obywatela. - To nasza sąsiadka. Kinsey Millhone. Sierżant Wettig.

Zerknęłam na plaketkę z nazwiskiem. P. Wettig. Paul, Peter, Philip... Nie kojarzyłam go, więc pewnie nie spotkaliśmy się przy okazji żadnej z prowadzonych przeze mnie spraw. Mnie zawsze się trafiali Gutierrez

i Pettigrew. Choć nie wierzyłam w teorie spiskowe Chester a, sugestie zrobiły swoje. Patrząc na mężczyznę w mundurze, zastanawiałam się, czy naprawdę służy w policji, czy też może agenci rządowi przechwycili wezwanie i przysłali tu swojego szpiega. Wettig dobiegał pięćdziesiątki i wyglądał bardziej na piosenkarza z kasyna niż na funkcjonariusza służb publicznych. Długie jasne włosy ściągnął w kitkę na karku. Miał brązowe oczy, perkaty nos i okrągłe policzki. Oceniałam go na jakieś sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ponad sto kilogramów wagi. Mundur wydawał się autentyczny, ale czy facet nie był za stary, by nadal jeździć w patrolu?

- Miło mi - powiedziałam, ściskając jego dłoń. - Spodziewałam się Geralda Pettigrew i Marii Gutierrez.

Spojrzał na mnie spokojnie.

- Nie pracują już razem - wyjaśnił bez emocji. - Pettigrew trafił do drogówki, a Maria do biura szeryfa hrabstwa.

- Nie wiedziałam. - Zerknęłam na Chestera. - Zostać z tobą? Mam trochę czasu.

- Nie trzeba. Zadzwoń później. - Popatrzył na Wettiga. - Pokażę panu mieszkanie ojca.

Patrzyłam za nimi, kiedy wyszli tylnymi drzwiami i skręcili w stronę betonowego podjazdu.

Kiedy zniknęli mi z oczu, przebiegłam przez korytarz i wyjrzałam zza drzwi frontowych. Przy krawężniku stał biało-czarny radiowóz. Rozejrzałam się. W płytkiej niszy w głębi hallu znalazłam telefon. Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer Departamentu Policji Santa Teresa. Po chwili usłyszałam kobiecy głos.

- Dzień dobry - powiedziałam. - Czy sierżant Wettig ma dzisiaj służbę?

- Chwileczkę. Zaraz sprawdzę. - Dyspozytorka odłożyła słuchawkę. Zaszleściły papiery. - Tak. Pracuje dziś do piętnastej. Czy coś mu przekazać?

- Nie trzeba. Zadzwoń później. - Rozłączyłam się. Oblał mnie krwawy rumieniec na myśl, że dałam się wciągnąć w głupie zabawy Chestera. Wettig był gliniarzem z krwi i kości. Zachowałam się jak kompletna idiotka.

4

Wróciłam do siebie i uciąłam sobie krótką, ale odprężającą drzemkę. Szczerze mówiąc, był to najprzyjemniejszy moment całego tego dnia. Trzy minuty przed piątą wyszczotkowałam włosy i wybiegłam z domu.

Wiszące nisko chmury sprawiły, że zmrok zapadł szybko. Kiedy zamykałam drzwi, włączyły się uliczne latarnie. Mimo że wieczorne powietrze było chłodne, tylne drzwi domu Henry'ego pozostały otwarte. Zaslaniała je jedynie siatka na owady. Dobiał zza niej dźwięk wesołych śmiechów oraz słodki aromat świeżo upieczonych ciasteczek. Henry grał w salonie na czymś w rodzaju klawiatury honky-tonk. Przeszłam przez kamienne patio i zapukałam w siatkę. Przygotowania do urodzin Lewisa już się rozpoczęły. Kupiłam mu w prezencie posrebrzany komplet do golenia z pędzlem i włosianą szczotką. Nie był to antyk, ale liczyłam, że mu się spodoba. Chciałam, by miał ode mnie coś, co mu się przyda.

Lewis polerował właśnie srebrną zastawę, jednak przerwał i mnie wpuścił. Zdjął wprawdzie marynarkę, ale wciąż miał na sobie spodnie od garnituru, kamizelkę i lśniący



białą wykrochmaloną koszulę z podwiniętymi rękawami. Charlie w jednym z fartuchów brata okręconym wokół talii kręcił się przy urodzinowym torcie, tu i ówdzie dodając kleks lukru. Wiedziałam od Henry'ego, że coraz bardziej zamykał się w sobie i tracił kontakt z otoczeniem, bo słuch pogarszał mu się niemal z dnia na dzień. Po raz ostatni poddał się badaniom pięć lat temu. Laryngolog zalecił mu wtedy korzystanie z aparatu. Charlie zamówił odpowiedni model, nosił go przez tydzień, może dwa, po czym schował do szuflady. Utrzymał, że nie może się do niego przyzwyczaić, bo cały czas ma wrażenie, jakby ktoś trzymał mu kciuk w uchu. Kiedy spuszczał wodę w toalecie, jak twierdził, rozlegał się grzmot Niagary, a kiedy przeczesywał włosy grzebieniem, słyszał taki chrzęst, jakby ktoś chodził po żwirze. Nie przeszkadzało mu, że ludzie muszą do niego krzyknąć i przez większość czasu trzymał dłoń przy uchu, do znudzenia powtarzając „Co?”. Jego bracia po prostu nie zwracali już na to uwagi.

Jedna strona tortu była gotowa. Na drugiej Charles rysował białym lukrem esy-floresy. Zerknął na mnie porozumiewawczo.

-Nie wypadło, żeby Lewis sam piekł sobie tort - wyjaśnił. - Neli jak zawsze upiekła ciasto... zwalniamy ją z tego obowiązku tylko w jej urodziny... a ja przygotowałem masy kremowe i lukier, bo ona się na tym nie zna.

- Pachnie bosko - powiedziałam, podnosząc pokrywkę brytfanny. W środku znajdowało się coś białego i pełnego grudek, w czym wyśledziłam ziele angielskie, jajka na twardo oraz spore kupki konserwowych warzyw. - Co to takiego?

- Słucham?

- Ale przecież miała być sałatka ziemniaczana - wtrącił się Lewis. - Tymczasem Charlie nie usłyszał dzwonka

minutnika i ziemniaki rozgotowały się na papkę. Postanowiliśmy więc dodać do niej wszystkie niezbędne składniki, dorzucić coś od siebie i nazwać ją słynną zapiekanką ziemniaczaną Charliego Pittsa. Mamy do niej smażonego kurczaka, gotowaną fasolę, surówkę z kapusty, nadziewane jajka oraz sałatkę z pomidorów i ogórków z sosem winegret. Urodzinowe menu bez zmian od osiemdziesięciu sześciu lat. Po raz pierwszy zjadłem to w dniu drugich urodzin. - Westchnął. - Każdy z nas ma własne menu, a podstawowa zasada brzmi: jedzenie dla jubilata przygotowują jego bracia i siostra. Raz wychodzi im lepiej, a raz gorzej, jak widać - dodał, zerkając na Charliego.

- A co tobie podają w urodziny? - zwróciłam się do walczącego z tortem staruszka.

- Słucham?

Powtórzyłam pytanie dużo głośniej.

- Hot dogi, chilli, kiszzone ogórki i grillowane pomidory. Matka zawsze na to narzekała, bo zamiast świeżych warzyw wołałem przetworzone. I zamiast o tort prosiłem o czekoladowe ciastka Henry'ego, które brat przesyłał mi z drugiego końca kraju.

- A jak wygląda menu Henry'ego?

Charlie znów przytknął dłoń do ucha, odpowiedzi udzielił mi więc Lewis.

- Szynka w sosie kawowym z wytrawnymi biszkoptami, zasmażana kapusta na zielono, fasolka i krem serowy. Neli dostaje się pieczeń rzymska z purée ziemniaczanym, zielona fasolka z wody i placek jabłkowy zapiekany z serem cheddar. I tak od wielu, wielu lat.

William, który właśnie wszedł do kuchni, usłyszał tylko ostatnie zdanie.

- Co od wielu, wielu lat?

- Nie zmieniają się nasze urodzinowe kolacje. Opowiadałem o nich Kinsey.

Uśmiechnęłam się do Williama.

- Co przyrządzają w twoje urodziny?

- Zawsze błaga o gotowaną wołowinę z warzywami -znów wtrącił Lewis. - Ale go przegłosujemy.

- Lubię gotowaną wołowinę - zaperzył się William.

- Nikt jej nie lubi - uciął Lewis. - Ty też nie. Robisz nam na złość. Chcesz patrzeć, jak się męczymy, by to zjeść.

- To co mu dajecie? - spytałam raz jeszcze.

- To, na co akurat mamy ochotę - odparł z zadowoleniem Lewis.

Rozległo się pukanie do tylnych drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam wchodzącą Rosie. Kiedy jej oczy napotkały spojrzenie Williama, oboje się roz pogodzili. Rzadko okazywali sobie uczucia publicznie, ale nikt nie wątpił w ich wzajemne oddanie. Jemu nie przeszkadzały jej dziwactwa, a ona przymykała oko na jego hipochondrię. W rezultacie on tylko sporadycznie narzekał na urojone dolegliwości, a ona ograniczyła do minimum napady złego humoru.

Na dzisiejszą kolację Rosie owinęła się w ciemnoczerwona hawajską suknię zestawioną z amarantowo-granatowym szalem. Głębokie kolory podkreśliły jeszcze płomienną czerwień jej włosów. Wydawała się odprężona. Zawsze myślałam o niej jak o osobie chorobliwie wręcz nieśmiałej. Wśród obcych czuła się skrępowana, wśród przyjaciół - trochę przygaszona. Z mężczyznami flirtowała, kobiet nie znosiła, dzieci uwielbiała. Jednocześnie tyranizowała swoich pracowników i płaciła im najniższą

z możliwych stawkę. William i ja od dawna próbowaliśmy ją namówić, by otworzyła sakiewkę trochę szerzej, ale miała gdzieś naszą opinię. Mnie dręczyła niemiłosiernie od chwili, gdy się tu wprowadziłam. Nie była wobec mnie niemiła, skąd, ale bez przerwy raczyła mnie komentarzami na temat mojego zachowania i prosto z mostu mówiła mi, także publicznie, co jej się nie podoba. Choć uważałam się za osobę stanowczą i odważną, jakoś nigdy nie mogłam stawić jej czoła. Postawiłam na bierny opór i konsekwentnie odmawiałam wzięcia sobie męża i psa, których, jak niezmiennie utrzymywała, powinnam sobie sprawić dla własnego bezpieczeństwa.

Tego dnia, u progu małżeńskiego życia, Rosie wydawała mi się osobą w pełni ze sobą pogodzoną, skorą do żartów, pełną radości. Bracia Williama przyjęli ją do rodziny bez chwili wahania... Z wyjątkiem Henry'ego, który wydawał się zaskoczony faktem, że tych dwoje postanowiło się pobrać. W pewnym sensie uważałam nadchodzący ślub nie tyle za uroczystość zawarcia związku między Williamem a Rosie, ile za rytuał inicjacji, po którym Rosie zostanie przyjęta do ich plemienia.

Z sąsiedniego pokoju dobiegły grane głośno przez Henry'ego dźwięki „Happy birthday”. Dołączyliśmy do niego, a potem śpiewaliśmy razem jeszcze przez godzinę. Po kolacji Henry odciągnął mnie na bok.

- O co chodzi z tym włamaniem? - spytał.

- Nie jestem pewna. Chester wierzy, że padł ofiarą nikczemnego spisku, ale jakoś mnie nie przekonał. Ktoś włamał się do mieszkania Johnny'ego, to fakt. Nie wydaje mi się jednak, żeby to miało jakikolwiek związek z jego śmiercią.

- Chester sądzi inaczej?

- Owszem. Uważa, że obie te sprawy są ściśle ze sobą splecione. Jak dla mnie, obejrzał za dużo filmów akcji. Podejrzewa, że podczas wojny jego ojciec był podwójnym agentem i że ukrył w domu skradzione dokumenty. Podanie o zapomogę zaalarmowało Biuro Weteranów i sprawiło, że rząd trafił na ślad starego Lee. Do mieszkania staruszka wtargnęli agenci rządowi.

- Kto? - Henry zamrugął z niedowierzaniem.

- Chyba chłopcy z CIA, którzy w końcu odkryli, co tak skrzętnie chował przed nimi Johnny. Tak w każdym razie brzmi teoria Chestera. Facet wydaje się absolutnie przekonany, że ma rację.

- Wybacz, że cię w to wciągnąłem. Nie sądziłem, że Chester postradał rozum.

- Nie przejmuj się. I tak mnie nie zatrudnili, więc nic się nie stało.

- Zrobiłaś, co się dało. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Nie ma o czym mówić. - Machnęłam lekceważąco dłonią. W ciągu ostatnich lat Henry zrobił dla mnie tyle, że i tak byłam jego dłużniczką.

O dziesiątej, kiedy na stole pojawiła się plansza do gry w Monopol i kilka misek popcornu, pożegnałam się i wróciłam do siebie. Wiedziałam, że zabawa przeciągnie się do północy albo i dłużej, i nie czułam się na siłach, by w niej uczestniczyć. Pewnie byłam jeszcze za młoda.

Spałam jak kamień do szóstej czternaście rano. Przycisnęłam guzik budzika na kilka sekund przed tym, nim uruchomił się alarm. Wiosną i latem zaczynałam poranną przebieżkę już o szóstej, w pozostałe miesiące czekałam na wschód słońca, czyli mniej więcej do siódmej. Lubiłam oglądać świt ze ścieżki. Biegałam od dwudziestego piątego roku życia... sześć dni w tygodniu po pięć kilometrów,

chyba że byłam chora, ranna lub dopadał mnie atak lenistwa, co nie zdarzało się często. Miałam fatalne nawyki żywieniowe i nie zważałam na dietę, bieg traktowałam więc jak pokutę za grzechy. Nie byłam masochistką. Uwielbiałam poczucie wolności, jakie dawał mi sport. Kochałam poranne powietrze, rześkie i lekko wilgotne. Unosiła się w nim słona woń oceanu, żywiczny aromat sosen i eukaliptusów oraz cierpki zapach świeżo skoszonej trawy. Nim wracałam spacerkiem do domu, by ochłonać, słońce unosiło się znad horyzontu, kładąc za drzewami długie cienie i zmieniając poranną mgłę w rosę. To była najprzyjemniejsza chwila poranka. Czułam, że serce mi wali, mięśnie są rozgrzane, a po twarzy spływa pot. Rozluźniona, wzdychałam z ulgą, uwalniając stres, napięcie, niepokój. I jeszcze świadomość, że pozbyłam się zbędnych kalorii z pizzy z podwójnym serem na grubym spodzie.

Wracałam do domu leniwym krokiem. Otworzyłam drzwi, wzięłam prysznic i przebrałam się. Przelykałam właśnie ostatnią łyżkę płatków z zimnym mlekiem, kiedy zadzwonił telefon. Zerknęłam na zegarek. Była siódma czterdzieści jeden. Nie spodziewałam się, że świat dopadnie mnie tak szybko. Podniosłam słuchawkę po drugim dzwonku.

- Halo?

- To ja, Chester. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Oczywiście, że nie. Co porabiasz?

- Czy to ty biegałaś dziś rano wzdłuż Cabany?

- Taak... - odparłam z wahaniem. - Dzwonisz, żeby o to spytać, czy stało się coś ważnego?

- Nie, nic się nie stało. Po prostu byłem ciekaw - przyznał. - Chciałbym ci coś pokazać. Natknęliśmy się na to wczoraj wieczorem.

- Co to jest?

- Przyjdź i zobacz. Bucky to odkrył, sprzątając mieszkanie dziadka. Nie pozwolę mu niczego tknąć, póki się nie zjawisz. Będziesz musiała odszukać wszystko, co powiedziałaś - dodał radośnie.

- Daj mi pięć minut.

Umyłam łyżkę i miskę po płatkach, schowałam pudełko do szafki, a mleko do lodówki i przeciągnęłam wilgotną gąbką po blacie. Jedną z zalet mieszkania w pojedynkę jest to, że sprząta się wyłącznie po sobie. Schowałam klucze do kieszeni kurtki, zatrzasnęłam drzwi i zbiegłam po schodach. Okolica zaczęła się już budzić do życia. Lewis sunął leniwie w stronę chodnika, by podnieść rzuconą tam gazetę. Moza Lowenstein zamiatała ganek, a gość z papugą na ramieniu wyprowadzał na spacer psa.

Zaczął się jeden z tych idealnych listopadowych poranków, kiedy powietrze jest rześkie, słońce świeci jasno, a unoszący się nad trawnikami dym pachnie drewnem wykorzystywanym do palenia w kominkach. Rosnące wzdłuż ulicy palmy i iglaki stanowiły stały element krajobrazu, który w miarę upływu pór roku zmieniał się tylko nieznacznie. Ale nawet tu, w Kalifornii, smakowaliśmy urok jesieni dzięki kolorowym liściom miłorzębów, ambrowców, czerwonych dębów i białych brzoź. Rosnące gdzieś kasztanowce znaczyły wzgórze plamami jaskrawej rudości, ale najjaskrawsza czerwień zarezerwowana była dla pożarów lasu, które wybuchały tu corocznie z przerażającą regularnością. W tym roku płomień już cztery razy ogarnął stan, pozostawiając za sobą tysiące akrów spalonej na popiół ziemi, szarą równinę przywodzącą na myśl zimną pustkę Księżyca.

Obeszłam dom Bucky'ego i podążyłam podjazdem w stronę garażu. Pomalowane były jak białą farbą miejsce parkingowe tuż przed bramą zastawione było kartonowymi pudłami różnej wielkości. Wyglądało na to, że włamanie przyspieszyło nieco likwidację dobytku Johnny'ego. Wbiegłam po drewnianych stopniach na górę. Z otwartych drzwi dobiegały ściszone głosy. Weszłam do środka i zatrzymałam się za progiem. Bez pudeł mieszkanie wydawało się jeszcze mniejsze i ciemniejsze. Meble zostały, ale ogołocone pomieszczenia sprawiały wrażenie obskurnych.

Bucky i Chester stali w drzwiach opustoszałej garderoby. Obaj mieli na sobie hawajskie koszulki bez rękawów: Bucky jaskrawozieloną, a Chester jadowicie niebieską. Nieopodal Babe pakowała ubrania dziadka do starych próżniowych worków. Puste wieszaki rzucała na stos po prawej stronie. Klapki japonki, króciutkie szorty i sięgający żeber top nie maskowały wałków tłuszczu. W myślach pogratulowałam dziewczynie, że tak dobrze się czuje ze swoim zbyt obfitym ciałem. Ja bym tego na siebie nie włożyła.

Chester uśmiechnął się na mój widok.

- Nareszcie jesteś! - zawołał. - Właśnie o tobie mówiliśmy. Chodź i zobacz. Ciekaw jestem, co na to powiesz - dodał złośliwie

Przyjemniaczkę, pomyślałam.

Bucky odsunął się nieco i wskazał na obłuzowany panel tylnej ściany garderoby. Za nią, zamiast betonowej ściany, której należało się spodziewać, krył się nieduży sejf. Jego drzwiczki miały czterdzieści centymetrów szerokości i trzydzieści pięć centymetrów wysokości. Zasłaniający je panel wykonano starannie z grubej, wygładzonej



sklejki zawieszanej na zawiasach. Od dołu zamykał je magnetyczny zatrzask, zwalniany dotykiem palca.

- Niesamowite - przyznałam. - Jak to znaleźliście? Bucky uśmiechnął się głupawo, wyraźnie zadowolony z siebie.

- Kiedy wyjęliśmy stąd wszystkie rzeczy i zacząłem zmiatać, zawadziłem o ten panel trzonkiem miotły. Wydał dziwny dźwięk, więc przyjrzałem mu się lepiej. Opukałem całą ścianę. Wiedziałem, że coś się tam kryje. Oparłem się o deskę, a wtedy się otworzyła.

Nacisnęłam drzwiczki ze sklejki i pochyliłam się, by zajrzeć do środka. Z wierzchu schowek wyglądał imponująco, ale wewnątrz mogło mnie rozczarować. Większość domowej roboty skrytek, jakie widziałam, nie oparłaby się zręcznym palcom wyposażonego w wytrych złodzieja. Ta sprawiała raczej wrażenie schowka przeciwpożarowego. Kryjące się za sklejką drzwi wyglądały na stalowe, ale kiedy przyjrzałam się im lepiej, to, co wydawało się solidną ścianą stali, okazało się w istocie cienką blaszką okrywającą warstwę materiałów izolacyjnych. Tego typu schowki chronią zwykle pieniądze lub dokumenty przed skutkami krótkotrwałego pożaru domu. W starszej wersji materiałem izolacyjnym jest zwykła zaprawa cementowa, w nowocześniejszych sejfach - wermikulit lub ziemia okrzemkowa. Dodatkową zaletą jest fakt, że jej drobinki osiadają na ubraniach i narzędziach złodzieja, często stanowią więc dowód w sprawie, bo prowadzą do konkretnego producenta.

Jeszcze raz obejrzałam dokładnie skrytkę i odkryłam swój błąd. Ściany skrytki nie były wykonane z cementu. Zaprawa stanowiła jedynie ramę, w którą wsunięto metalowy sejf.

- Ślusarz już jedzie - oznajmi! z dumą Chester. - Nie chciałem czekać, więc wykręciłem numer alarmowy i kazałem mu się pospieszyć. Za tymi drzwiami kryją się odpowiedzi, których szukamy. - Jego mina świadczyła, że wyobraża już sobie stosy map oraz zaszyfrowanych wiadomości, radiostację i koniecznie lśniącego lugera na stosie tej kupki.

- Szukaliście szyfru? - spytałam. - Pewnie zapisał go na skrawku papieru i gdzieś ukrył. Większość ludzi nie ufa pamięci i robi notatki, a potem trzyma je gdzieś pod ręką.

- Pomyśleliśmy o tym, ale nie znaleźliśmy nawet śladu czegoś podobnego. A ty? Wczoraj przeszukiwałaś rzeczy ojca. Na nic nie natrafiłaś?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie zauważyłam kartki z cyframi, jeśli o to pytasz. Może Johnny wykorzystał do szyfru datę urodzenia albo numer polisy ubezpieczeniowej.

- Wyciągniemy sejf ze ściany? - podsunął Chester.

- Nie zaszkodzi. Ślusarz też by od tego zaczął. Wyprostowałam się i wyszłam z garderoby, żeby zrobić

im miejsce. Długo stękali i sapali, ale w końcu wydobyli sejf z betonowej otuliny i wynieśli go na środek pokoju. Nadeszła pora, by lepiej mu się przyjrzeć. Wszyscy troje pochyliliśmy się nad nim i wbiliśmy w niego wzrok, jakby był tajemniczym obiektem wprost z przestrzeni kosmicznej. Miał jakieś czterdzieści centymetrów głębokości, beżowoszary kolor i podklejone gumą nóżki. Wyglądał na nowy. Na pokrętle widniały cyfry od jednego do stu, co sugerowało, że możliwych kombinacji szyfru może być coś około miliona. Nie warto było zgadywać.

Babe darowała sobie pakowanie ubrań i przyglądała się nam w milczeniu.

- A może jest otwarty - rzuciła w końcu w przestrzeń. Odwróciliśmy się jak na komendę, patrząc na nią z osłupieniem.

- Cóż, to możliwe. - Wzruszyła ramionami.

- Warto spróbować - mruknęłam. Sięgnęłam do gałki i pociągnęłam, oczywiście bez rezultatu. Potem kilka razy przekręciłam ją w tę i z powrotem, z tym samym skutkiem, choć liczyłam, że uda mi się znaleźć prawdopodobną kombinację, bo na przykład komuś, kto ostatni zamykał sejf, nie chciało się daleko jej przesunąć. Tym razem szczęście mi nie dopisało.

- Co robimy? - spytał Bucky.

- Czekamy - odparłam.

Po mniej więcej godzinie zjawił się wezwany ślusarz z dużą czerwoną skrzynką na narzędzia. Przedstawił się jako Bergan Jones z cechu ślusarzy Santa Teresa. Podał rękę Chesterowi, a potem Bucky'emu i mnie. Babe wróciła do składania ubrań, więc tylko skinęła mu głową na powitanie. Jones był wysoki i kościsty. Miał płowe włosy i brwi, wysokie lśniące czoło, zgarbione ramiona i wielkie okulary w szylkretowej oprawce. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, ale równie dobrze mógł mieć o pięć więcej albo o pięć mniej.

- Liczę, że pan nam z tym pomoże - zagaił Chester, wskazując dłonią porzucony na środku pokoju sejf.

- Żaden problem - zapewnił Jones. - Otwieram ze trzydzieści sejfów miesięcznie. Znam ten model. Uwinę się w try miga.

Wszyscy czworo stanęliśmy mu nad głową i zafascynowani przyglądaliśmy się, jak otwiera skrzynkę. W wywa-

zonych ruchach Jonesa było coś, co przywodziło na myśl dziewiętnastowiecznych lekarzy składających wizyty swoim pacjentom. Obejrzał sejf i postawił wstępną diagnozę: nie jest źle. Odetchnęliśmy z ulgą. Teraz należało zastosować odpowiednią terapię. Wyciągnął dziwne narzędzie w kształcie tuby, przycisnął je do pokrętła i delikatnie obrócił. Po kilku minutach zdjął pokrętło i odłożył je na bok, odkręcił śruby mocujące ukryty pod nim metalowy pierścień, a potem sam pierścień. Następnie wziął elektryczną wiertarkę i zaczął ostrożnie wiercić otwór w drzwiach sejfu w miejscu, które wcześniej zakrywało pokrętło.

- Przewierci to pan na wylot? - spytała Babe. Wydawała się rozczarowana. Pewnie liczyła, że Jones rozwali sejf za pomocą dynamitu lub nitrogliceryny.

Jones uśmiechnął się pod nosem.

- Nie do końca. To sejf ognioodporny. Musimy się więc najpierw dowiercić do wzmocnienia: twardego materiału znajdującego się pod warstwą stali. Mam do tego siłownik pneumatyczny, ale i tak pół godziny zajmie mi wiercenie otworu o głębokości niecałego centymetra. Większość sejfów wyposaża się w zapasowy sprężynowy mechanizm zamykający. Wystarczy jeden nieostrożny ruch i już się go uruchamia. A wtedy będzie nam dużo trudniej. To proste.

Patrzyliśmy w milczeniu, jak wierci otwór. Nie było sensu rozmawiać, bo zgrzyt metalu zagłuszał słowa. Obejrzałam sobie dokładnie dłonie Johnsa. Miał smukłe palce, wąskie nadgarstki, silne przedramiona porośnięte złotymi włoskami. Od czasu do czasu uśmiechał się do siebie, jakby wiedział coś, o czym pozostali nie mieli pojęcia, albo jakby praca sprawiała mu wielką przyjemność. Kiedy otwór był gotowy, sięgnął po kolejne narzędzie.

- Co to? - spytałam.

- Wziernik. Coś, z czego korzystają lekarze, by zajrzeć pacjentom w oczy. Światło oświetli koła mechanizmu, dzięki czemu będę widział, co się dzieje.

Zajrzał w świeżo wywiercony otwór. Przysuwał się i odsuwał, manewrując pokrętłem wziernika, by ustawić ostrość. Mrużąc oczy, popatrzył wreszcie do wnętrza mechanizmu, obracając jednocześnie ostrożnie wystający po lewej stronie trzpień.

- Poruszam w ten sposób koło napędowe, które wprawia w ruch trzecie koło mechanizmu szyfrującego, to zaś porusza koło drugie, a to pierwsze - wyjaśnił powoli. - Pierwsze z kół mechanizmu zaczyna się poruszać dopiero za czwartym obrotem. Znajduje się najbliżej drzwi sejfu. Ruszyło. Bardzo dobrze. Za tym płotkiem znajduje się furka. Teraz zacznę obracać trzpień w przeciwnym kierunku, stopniowo zmniejszając liczbę obrotów. Kiedy uda mi się ustawić w rzędzie wszystkie koła, płotek ustąpi. Wtedy zajmę się furką, podnosząc końcówkę widełek, które uderzą w koło zamachowe. Wówczas wystarczy kilka kolejnych obrotów i zamek ustąpi.

Ledwie przebrzmiały te słowa, Jones pociągnął za rączkę sejfu i otworzył drzwi. Chester, Bucky i ja westchnęliśmy niemal równocześnie. Nasze zachwycone „ooo” zabrzmiało jak okrzyk tłumu na widok fajerwerków.

- Kurczę, jest pusty - pierwsza skomentowała Babe.

- Pewnie już się do tego dobrali - warknął Chester. - Niech to szlag.

- Do czego się dobrali? - spytała przytomnie Babe, ale teść nie raczył jej odpowiedzieć, tylko obrzucił ją kosym spojrzeniem.

Bergan Jones zapisał szyfr na kartce, po czym zajął się pakowaniem narzędzi. Bucky pochylił się, żeby zajrzeć do sejfu. Potem położył się na plecach jak mechanik samochodowy i wsadził głowę do środka, oświetlając latarką wnętrze skrytki.

- Coś tu jest, tato! - zawołał.

Pochyliłam się i też zerknęłam do sejfu. Wewnątrz, na górnej ścianie ktoś przykleił wystrzępiony kawałek beżowej taśmy, z grubsza przypominający kwadrat o boku dwudziestu pięciu centymetrów. Chester przeszedł ponad nogami syna, przykucnął, odchylił głowę i zajrzał do środka.

- Co to jest? Kiepsko widzę. Odklej to i dawaj tutaj. Niech się temu przyjrzę.

Bucky ostrożnie podważył paznokciem jeden róg taśmy, a potem oderwał ją jednym szarpnięciem, tak jak się ściąga plaster z rany. Naszym oczom ukazał się przyklejony do beżowego papieru duży żelazny klucz. Wyglądał na stary. Miał rzeźbione ucho i wyciętą w podwójny ząbek końcówkę. Chester ujął go w dwa palce i uniósł na wysokość oczu.

- Ktoś go poznaje?

- A niech mnie - mruknęłam. - Wiesz, co to jest?

- Nie, ale przypominam sobie, że ojciec lubił bawić się zamkami. Miał na ich punkcie świra. Często ściągał je z drzwi i opisywał pasujące do nich klucze.

- W życiu nie widziałem, żeby tak robił - wtrącił Bucky.

- Nie było cię wtedy na świecie, a ja ledwie z pieluch wyrosłem. W czasach wielkiego kryzysu pracowałem jako ślusarz. Często opowiadałem, że lubi tę robotę. Miał też kolekcję starych zamków - było ich chyba ze sto, ale od dawna ich nie widziałem.

Obróciłam klucz w palcach. Piękna ręczna robota. Duże, rzeźbione ucho, długa nóżka z otworem na końcu. Kiedy patrzyło się na niego na wprost, wyglądał prawie jak znak zapytania.

- Taki zamek i dziurkę trudno przeoczyć - stwierdziłam. - Nie zauważyłeś ich?

Chester wydał usta.

- Niestety nie. A wy? - zwrócił się do syna i synowej. -Znacie to miejsce dużo lepiej ode mnie.

Bucky potrząsnął głową, a Babe wzruszyła lekko ramionami.

Podaliśmy klucz Jonesowi.

- Ma pan jakiś pomysł?

Uśmiechnął się blado, zamykając skrzynkę na narzędzia.

- Wygląda jak klucz od bramy - podsunął. - Od takich wielkich kutych wrót, jakie widuje się przy rezydencjach. - Odwrócił się do Chestera. - Mam to zapisać na pański rachunek?

- Wypiszę panu czek. Chodźmy do kuchni i załatwmy to od ręki. Pewnie już pan wie, że mój ojciec zmarł przed kilkoma miesiącami. Próbujemy uporządkować jego sprawy. Ten sejf nas zaskoczył. Nic o nim nie wiedzieliśmy, a staruszek nie zostawił nam instrukcji. Jesteśmy wdzięczni za pomoc.

- Na tym polega moja praca.

Wyszli, zostawiając mnie z Buckym i jego żoną. W zadumie oglądaliśmy klucz.

- Co teraz? - przerwał milczenie Bucky.

- Mam kumpla, który sporo wie o zamkach - powiedziałam. - Pogadam z nim. Może będzie wiedział, do czego służy taki klucz.

- Niech będzie. To nam nie zaszkodzi.

Babe przyjrzała się kluczowi, marszcząc czoło.

- Może dziadek go zatrzymał, bo podobał mu się jego kształt? - zauważyła. - Jest ładny. Taki staroświecki. - Podała klucz Bucky'emu, a ten przekazał go mnie.

- Możliwe - mruknął. - Pytanie tylko, po co zadał sobie tyle trudu i schował go do sejfu? Wystarczyło przecież wrzucić go do szuflady albo nosić na szyi na łańcuszku.

- Zapytam eksperta, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Nie ma sprawy - zapewnił Bucky.

Wsunęłam klucz do kieszeni kurtki. Nie zamierzałam im mówić, że mój ekspert jest włamywaczem i że przy jakiejś okazji sprezentował mi zestaw gustownych wytrychów, które zawsze nosiłam w torebce.

Wracając do siebie, analizowałam w myślach przebieg wydarzeń. Szczerze mówiąc, ostatnia doba obudziła moją ciekawość. Nadal nie wierzyłam w szpiegowską teorię Chestera. Jak dla mnie, była zbyt mocno naciągana. Mimo to martwiły mnie niejasności i pytania, narastające wokół życia Johnny'ego. Lubiłam porządek i jednoznaczność. Nie znosiłam zakurzonych tajemnic kryjących się w szafach i pod łózkami.

Ledwie przekroczyłam próg domu, usiadłam przy biurku, wyjęłam kilka kartek i zaczęłam robić notatki. Zawsze zdumiewał mnie fakt, jak wiele szczegółów potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy przelewałam myśli na papier. Po skończeniu przypięłam kartki do korkowej tablicy wiszącej na ścianie nad blatem. Oparłam stopy na biurku i odchyliłam się na krześle, zakładając splecione ręce na karku. Przyjrzałam się swoim zapiskom. Coś się nie zgadzało, na razie nie umiałam jednak powiedzieć



co. Zdjęłam kilka kartek i ułożyłam je w innej kolejności. Czytałam gdzieś o tym. Birma. Chennault. Amerykańska Grupa Ochotnicza. Prawda wciąż wymykała mi się z rąk, ale czułam, że jestem blisko. Postanowiłam dowiedzieć się, w której jednostce służył Johnny. Mówił prawdę czy zmyślił część swojego życiorysu? Przeglądając książki starego Lee, natrafiłam na kilka pamiątek żołnierzy i pilotów służących pod rozkazami Chennault. Każdy z nich wspominał pewnie nazwiska kolegów, ludzi, którzy być może nadal żyją. Na pewno pomogą mi odnaleźć towarzyszy broni Johna Lee. Ta sprawa to wrzód na tyłku i powinnam się od niej trzymać z daleka, ale mogłam przecież podsunąć Chesterowi kilka wskazówek. Na wszelki wypadek przejrzę jeszcze książki z kartonów i wypiszę nazwiska żołnierzy, ale więcej już palcem nie ruszę. Bo jeśli zacznę naprawdę o tym myśleć, to już nie odpuszczę.

Zadzwoiłam do znajomego złodzieja. Telefon był uszkodzony. Pewnie szczury przegryzły kabel. Postanowiłam, że rano popytam w wydziale policji. Detektyw Halpern z kryminalnej na pewno będzie wiedział, gdzie podział się mój ekspert.

## 5

Następnego dnia o dziesiątej byłam już u Bucky'ego. Zapukałam do drzwi. Odczekałam kilka minut, ale ponieważ nikt mi nie otworzył, obeszłam dom i ruszyłam w stronę garażu. Imponującą kolekcję pudeł ktoś przesunął w jedną stronę, robiąc miejsce na samochód. Drzwi po lewej były otwarte. Buick zniknął. Możliwe, że cała rodzina

pojechała gdzieś na śniadanie. Drugie drzwi podwójnego garażu tarasowała sterta śmieci, góra pudeł, starych mebli, zepsutego sprzętu AGD i poobijanych kosiarek.

Karton z książkami o drugiej wojnie światowej stał na jej szczycie. Zdjęłam go i przyciągnęłam do schodów. Usiadłam na nich wygodnie, zabierając się do czytania. To, czego szukałam, znalazłam na samym dnie. Tom zatytułowany *Myśliwce! Historia walk lotniczych w latach 1936-1945*. Autor: Robert Jackson.

Czwartego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Amerykańska Grupa Ochotnicza została oficjalnie uznana za samodzielną jednostkę lotniczą i weszła w skład świeżo powołanej Grupy Myśliwskiej Amerykańskich Sił Powietrznych w Chinach (CAFT). Jej dowódcą został Claire Chennault, który zmienił mundur chiński na amerykański i otrzymał stopień generała brygady.

Piloci Grupy Ochotniczej, którzy tak długo utrzymali przyczółek w Birmie, walcząc przeciwko wielokrotnie liczniejszemu siłom wroga, rozproszyli się po świecie. Kilku z nich postanowiło zostać w Chinach. Ci stworzyli jądro nowej Dwudziestej Trzeciej Grupy Lotnictwa Myśliwskiego i nadal latali na zużytych P-40.

W tekście pojawiło się kilka nazwisk: Charles Older, „Tex” Hill, Ed Rector i Gil Bright. Najciekawszy okazał się fakt, że w okresie od kwietnia do czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku pilotów Grupy Ochotniczej zatrudniły zakłady produkujące samoloty CAMCO. Tworzyli oni elitarną grupę pracowników wojskowych związanych z firmą rocznym kontraktem. Bucky powiedział jednak, że według Chestera Johnny wrócił do domu

po dwóch latach nieobecności akurat na czwarte urodziny syna, siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Bardzo dokładnie zapamiętałam tę datę i zapisałam ją nawet na jednej z kartek z notatkami. Problem w tym, że Amerykańska Grupa Ochotnicza nie istniała już wtedy od dwóch lat. Co zatem było prawdą? Czy Johnny rzeczywiście służył w Amerykańskiej Grupie Ochotniczej? I czy, co chyba istotniejsze, w ogóle zaciągnął się do wojska? Chester uważał, że niezgodności w datach są dowodem słuszności jego teorii. Niemal słyszałam, co mi odpowie: *Mówiłem ci przecież, że służba w Grupie Ochotniczej to tylko przykrywka!* Wyobrażał sobie pewnie, że jego ojca zrzucano ze spadochronem za linią wroga, być może tylko po to, by dał się złapać i zyskał dostęp do japońskich dowódców.

Z drugiej strony, jeśli Johnny nigdy nawet nie wahał prochu, pewnie kupił wszystkie te książki, żeby potem snuć opowieści o wojnie. Być może dlatego tak niechętnie wspominał żołnierską przeszłość. Bał się, że trafi na kogoś, kto służył we wspomnianej przez niego jednostce i zostanie wtedy zdemaskowany. Tworząc wokół siebie atmosferę tajemnicy i spisku, zyskiwał gwarancję, że nikt nie będzie wypytywał go o szczegóły i że jego sekret pozostanie bezpieczny.

Rozejrzałam się po podwórku, dłużej zatrzymując spojrzenie na zajmującym kawał podjazdu fordzie farlaine. Nie do końca wiedziałam, dlaczego w ogóle przejęłam się tą sprawą. Czy którakolwiek z odpowiedzi robiłaby mi różnicę? Stary Lee już nie żył. Jeśli jego syn i wnuk pragnęli myśleć, że był bohaterem (albo nawet szpiegiem, którego zdemaskowano dopiero po czterdziestu latach, co pewnie zaspokajało ich ambicje), czy musiałam

wyprowadzać ich z błędu? Nie płacono mi za wynajdowanie słabych punktów opowieści Johnny'ego. Właściwie w ogóle mi nie płacono, dlaczego więc nie chciałam odpuścić?

Bo to byłoby sprzeczne z moją naturą, odpowiedziałam sobie w duchu. Szukałam prawdy z gorliwością teriera węszącego za zdobyczą. Musiałam wetknąć nos do dziury i kopać, póki nie dopadnę ofiary. Istniało oczywiście ryzyko, że po drodze zbiorę cięgi, ale to mnie nigdy nie zniechęcało. W gruncie rzeczy nie tyle zależało mi na prawdzie, ile na wiedzy o tym, dlaczego próbowano ją ukryć.

Poczułam, że wielki żelazny klucz wbija mi się w biodro. Wyprostowałam nogę i wsunęłam palce do kieszeni džinsów. Wyjęłam go i przez chwilę ważyłam w dłoni. Przesunęłam kciukiem po pociemniałym ze starości metalu, próbując spojrzeć na klucz oczyma Babe i docenić jego piękno. Na trzonku zauważyłam na wpół zatartą nazwę zakładu ślusarskiego, w którym go wykonano, ale w świetle poranka nie zdołałam odczytać liter. Tak czy inaczej, nie kojarzyły mi się z żadną znaną firmą: Schlage, Weslock, Weiser ani Yale. Sejf zamykał skomplikowany zamek szyfrowy Amseca, od razu więc wykluczyłam możliwość, że klucz ma z nim cokolwiek wspólnego.

Wstałam i wsunęłam go z powrotem do kieszeni. Zastanawiałam się rozpaczliwie, co ze sobą począć, nim Chester wróci do domu. Dręczyła mnie myśl, że zawiodła go pamięć i pomylił datę powrotu ojca. A może to Bucky coś poplątał? Opowieść o przyjeździe Johnny'ego słyszałam tylko raz, i to z ust jego wnuka. Ray Rawson z kolei twierdził, że pracował z Johnnym w stoczni tuż po rozpoczęciu wojny, czyli mniej więcej w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Fakt, że pojawił się w Kalifornii

dopiero po śmierci staruszka, wydawał mi się podejrzany. Jego wyjaśnienia brzmiały wprawdzie dość wiarygodnie, ale czułam przez skórę, że chodzi o coś więcej.

Hotel Lexington mieścił się tuż przy plaży, w bocznej uliczce odchodzącej od State Street. Przypominał wyglądem masywne czteropiętrowe pudło z wyblakłej żółtej cegły, wsparte na arkadach biegnących wzdłuż ścian parteru. Na jednej z bocznych ścian widniało głębokie pęknięcie, niczym błyskawica przecinające cegły od dachu po fundamenty, ślad wielkiego trzęsienia ziemi w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku. Przy krawędzi frontowej ściany biegł pionowo napis „Lexington” złożony z wielkich neonowych żółtych liter, brudnych od masy martwych owadów. Napisy na markizach głosiły: OBSŁUGA HOTELOWA \* TELEFON \* KOLOROWY TELEWIZOR W KAŻDYM POKOJU. Po jednej stronie wejścia znajdowała się meksykańska restauracja, po drugiej - przeszklony bar. Z obu dobiegały hałaśliwe dźwięki szaf grających, tworząc kakofoniczną mieszankę głosów Lindy Ronstadt i Helen Reddy.

Weszłam do niemal pozbawionego mebli lobby śmierdzącego wybielaczem. Wystrzępiony czerwony dywan tworzył ścieżkę wiodącą do recepcji. Po obu jego stronach ustawiono pożółkłe palmy w doniczkach. Za kontuarem nie było nikogo. Podniosłam słuchawkę stojącego na nim telefonu i poprosiłam o połączenie z pokojem Raya Rowsona. Odebrał po drugim sygnale. Przedstawiłam się. Po krótkiej rozmowie zaprosił mnie na czwarte piętro.

- Wejź schodami. Winda za długo się wlecze - powiedział na koniec, uznawszy widać, że znamy się już dostatecznie, by przejść na ty, i odłożył słuchawkę.

Wbiegłam na górę po dwa schody, żeby sprawdzić wydolność płuc. Na drugim piętrze byłam już tak zasapana, że musiałam chwilę odpocząć, uwieszona poręczy. Widać poranne przebieżki nie poprawiają ogólnej sprawności organizmu. Znałam biegaczy, którzy mimo regularnych treningów nie wytrzymywali na rowerze nawet dwudziestu minut, i pływaków, którzy nie potrafili przebiec kilometra.

Uspokoiliam nieco oddech, nim zapukałam do drzwi pokoju numer czterysta siedem. Ray otworzył drzwi. Trzymał w dłoni elektryczną maszynkę do golenia. Był boso. Miał na sobie spodnie bojówki i białą koszulkę. Łysiejąca głowa lśniła wilgocią. Szczecinka siwiejących włosów wyglądała na świeżo przyciętą. Uśmiechnął się z zażenowaniem. Przerwa między górnymi zębami nadała mu przy tym wygląd niewinnego dziecka. Wpuścił mnie do środka.

- Pospieszyłaś się. Liczyłem, że zdążę się ogolić. Zaczekaj chwilę. - Wrócił do łazienki. Zza zamkniętych drzwi dobiegło buczenie golarki.

Pokój był duży i czysty. Białe ściany, biała pościel, białe grube zasłony wiszące na grubym drewnianym karniszu. Dwa duże podwójne okna wychodziły na tyły budynku i biegnącą tam ulicę. Zielona wykładzina robiła wrażenie stosunkowo czystej. Zerkając wcześniej do łazienki, zauważyłam białe ceramiczne kafelki i czarno-białą podłogę wyłożoną drobnymi sześciokątnymi płytkami.

Do pokoju wszedł Ray. Wokół niego unosił się mocny zapach wody po goleniu.

- Wygląda nieźle - powiedziałam, rozglądając się dookoła.

- Pięć dych za noc. Wynająłem pokój na tydzień, licząc, że do tego czasu znajdę mieszkanie. Bucky chyba zarzucił pomysł z wynajmem, bo już o nim nie wspomina.

- Mnie się nie zwierzył. - Uśmiechnęłam się. - Słyszałeś o włamaniu?

- Jakim włamaniu? Czyżby ktoś okradł Bucky'ego? Kiedy?

Podaliśmy mu ogładzoną wersję tej historii, pomijając kilka szczegółów. W jego oczach odbiło się najpierw niedowierzanie, a potem troska.

- Rany... To straszne. - Westchnął. Podchwycił moje spojrzenie. - Zaraz... Chyba nie myślisz, że mam z tym coś wspólnego.

- Problemy pojawiły się dopiero po twoim przyjeździe. Johnny nie żyje od czterech miesięcy. Zjawili się tydzień temu i wtedy zaczęły się kłopoty.

- Daj spokój. Chyba w to nie wierzysz? Cały wieczór spędziłem wczoraj w barze, gapiąc się w telewizor. Spytaj, kogo chcesz.

- Mogę usiąść?

- Jasne. Weź lepsze krzesło.

W pokoju były dwa krzesła: jedno drewniane i jedno obite tapicerowaną gąbką. Ray podsunął mi to ostatnie, sam usiadł na drewnianym. Położył ręce na kolanach i kilkakrotnie przesunął dłońmi po materiale, jakby wycierał z nich pot.

- Byłem jednym z najlepszych przyjaciół Johnny'ego. Znaliśmy się od lat. Nigdy nie zaszkodziłbym jego synowi, wnukowi ani nikomu, kto byłby mu bliski. Uwierz mi.

- O nic cię nie oskarżam.

- Odniosłem inne wrażenie.

- Gdybym myślała, że to ty włamałeś się do mieszkania Johnny'ego, nigdy bym tu nie przyszła. Poprosiłabym tylko gliniarzy, żeby zdjęli odciski palców.

- Nie zrobili tego?

- Chester nie był pewien, czy coś zginęło. Z punktu widzenia prawa nie został więc okradziony. Ekipę techniczną wysyła się tylko na miejsce zbrodni. Przystępstwa, nie wykroczenia. Kradzież się nie kwalifikuje, chyba że straty sięgają kilku tysięcy dolarów. Czyli nie w tym przypadku.

Nie uznałam za stosowne dodać, że procedury wloką się przy tym niemiłosiernie i zawsze dochodzi do opóźnień. Odciski identyfikuje się nie wcześniej niż po trzech tygodniach. Kiedy trzeba się spieszyć, ich fotografie przesyła się do centralnej bazy w Sacramento. Tam uwijają się w dzień lub dwa. W przypadku włamania do pana Lee nie było nawet podejrzanego. Oczywiście, jeśli nie liczyć Raya. Obserwowałam go, czując na nodze ciężar tajemniczego klucza. Nie zamierzałam mu o nim mówić. Jeszcze nie.

Wyglądał na kogoś, kto się nad czymś głęboko zastanawia. Chciałam poznać jego myśli, nim ujawnię własne.

- Co jest w Ashland? - spytałam. Milczał przez chwilę.

- Mam tam rodzinę.

- Czy Johnny służył w wojsku?

- Nie wiem. Już mówiłem. Przez wiele lat nie mieliśmy kontaktu.

- To jak go znalazłeś?

- Johnny się do mnie odezwał.

- Skąd wiedział, gdzie cię szukać?



Przez jego twarz przemknął wyraz zniecierpliwienia.

- Znał mój adres. Dajmy już temu spokój. Nie muszę odpowiadać na takie pytania. Zresztą, to nie twój interes.
- Próbuję rozwikłać tę sprawę.
- Próbuj gdzie indziej.
- Chester myśli, że podczas wojny Johnny był szpiegiem. Podwójnym agentem, bo dogadał się z Japończykami.

Ray wywrócił oczami i potrząsnął głową.

- Skąd mu się to wzięło?
- Za długo by mówić. Ponoć Johnny był paranoikiem i zawdzięczał to swojej przeszłości.
- Był paranoikiem, to prawda, ale zupełnie bez związku z Japońcami.
- A dlaczego?
- Nic nie muszę ci mówić. Nie ufam ci, tak samo jak ty mnie.
- Sądziłam, że jesteśmy kumplami.
- Twój błąd - powiedział miękko.

Wyjęłam z kieszeni klucz i uniosłam go do światła.

- Poznajesz? - spytałam.

Obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem.

- Skąd to masz?
- Z sejfu, który Bucky znalazł w mieszkaniu Johnny'e-go. Widziałeś go już?
- Nie.
- A sejf? Wiedziałaś o nim?

Potrząsnął lekko głową. Czułam się tak, jakbym wyrywała mu ząb.

- Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi - przyznałam.
- O nic.
- Skoro tak, dlaczego milczysz? Nie zaszkodzi, jeśli podzielisz się ze mną informacjami.

- Chyba znam włamywacza. Jeśli to ktoś, o kim myślę, pewnie mnie śledził. Teraz to już mój problem.

- Czego szuka ten ktoś?

- Jezu! Czy ty nigdy nie odpuszczasz?

- Musisz *coś* wiedzieć.

- Nie wiem.

- Oczywiście, że wiesz - powtórzyłam. - Bo inaczej po co włókłbyś się taki kawał drogi z Ashland?

Wstał i podszedł do okna. Wbił ręce w kieszenie spodni.

- Mam dość tych pytań. Nie zmusisz mnie do odpowiedzi, więc daruj sobie przesłuchanie.

Podniosłam się i podeszłam do niego. Oparłam się o ścianę, żeby widzieć jego twarz.

- Powiem ci, co myślę. Dla mnie ta sprawa śmierdzi kryminałem na odległość. - Popukałam się palcami w skroń. - Jest coś, co mnie zastanawia... A jeśli Johnny wcale nie służył w wojsku? To zmieniłoby obraz sytuacji. I wywołałoby kolejne wątpliwości. Bo jeśli nie zaciągnął się do wojska, czym się w tym czasie zajmował?

Ray popatrzył mi w oczy. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale po namyśle chyba sobie darował.

- Powiedzieć ci, jaką mam na ten temat teorię? - spytałam. - Właśnie na to wpadłam. Być może Johnny siedział w pudle i wymyślił tę historyjkę o Grupie Amerykańskich Ochotników, żeby zgrabnie wyjaśnić kilkuletnią nieobecność. Wybuchła wojna. Jego żona wołała pewnie mówić, że wysłano go na front, niż że trafił za kratki.

Zaczekałam chwilę na odpowiedź, ale Ray uparcie milczał. Przyłożyłam dłoń do ucha.

- Bez komentarza? Pokręcił głową.

- Masz prawo myśleć, co ci się żywnie podoba.  
- Nie pomożesz mi?  
- Na pewno nie. Odepchnęłam się od ściany.  
- Cóż, liczę, że zmienisz zdanie. Jeśli tak, mieszkam pięć domów od Johnny'ego w stronę Albanii, tuż za rogiem. Wpadnij pogadać. -  
Ruszyłam w stronę drzwi.

- Jednego nie rozumiem - mruknął. - Co cię to wszystko obchodzi?  
Obejrzałam się przez ramię.  
- Wymyśliłam teorię. Chcę sprawdzić, czy mam rację. W moim zawodzie trzeba często ćwiczyć.

Na obiad zamówiłam sobie pizzę z serem na grubym spodzie, po czym zwinęłam się na kanapie i przez resztę popołudnia czytałam nową powieść Elmore'a Leonarda. Powtarzałam sobie, że świetnie się bawię, choć w rzeczywistości miałam powyżej uszu tego nieróbstwa. Nie wymyślałam sobie zajęć na siłę, ale też nie znoszę, gdy czas przecieka mi przez palce. Posprzątałam więc mieszkanie i uporządkowałam kilka szuflad, a potem wróciłam do lektury, próbując się skupić. Późnym popołudniem narzuciłam kurtkę i poszłam za róg, by coś zjeść. Postanowiłam też, że potem pójdę do kina, jeśli tylko trafi się ciekawy film.

Okolica była opustoszała. Światła paliły się tylko na połowie frontowych ganków. W powietrzu unosił się chłód, mrok zapadał coraz wcześniej. Owionął mnie zapach czyjejś kolacji. Oświetlone okna zapraszały ciepłem. W takich chwilach czułam się samotna i zagubiona. Brakowało mi kogoś bliskiego. Miłość nadawała życiu sens. Nie miałabym też nic przeciwko odrobinie seksu, gdybym tylko

pamiętała, na czym to polega. Gdyby kiedyś trafił mi się kochanek, musiałabym najpierw przejrzeć poradniki.

U Rosie było niewielu gości. Ledwie usiadłam, w drzwiach pojawili się Bucky i Babe. Pomachałam do nich, podeszli więc do mojego stolika, biodro w biodro, objęci wpool.

- Gdzie jest twój ojciec, Bucky? - spytałam. - Byłam dziś u niego. Chciałam pogadać.

- Wywoził śmieci po dziadku. Pewnie niedługo wróci. Przyłączysz się do nas, Kinsey? - Sama nie wiem, kiedy zaczął mi mówić po imieniu. Wskazał głową za siebie. - Usiądziemy przy barze i obejrzymy wiadomości. Zaczekamy na niego. - W przytłumionym świetle tawerny wydawał się niemal przystojny. Babe wyglądała przy nim kiepsko. Miała na sobie kozaki, dzinsy i błękitną koszulę.

- Dzięki za propozycję, ale nie. - Uśmiechnęłam się przepraszająco. - Zjem coś szybko i pójdę do kina.

- Wiesz, gdzie nas szukać, gdybyś zmieniła zdanie. Odwrócili się i odeszli w stronę baru.

W drzwiach kuchni stanęła Rosie. Nim do mnie podeszła, podała im dwa piwa. Wyjęła ołówek i notatnik. Nie pytając mnie o zdanie, zaczęła pisać.

- Mam coś w sam raz dla ciebie, Kinsey - oznajmiła na koniec. - Podsmażona na smalcu, pokrojona w plastry wątróbka wieprzowa z dodatkiem warzyw marynowanych z czosnkiem i kawałków kiełbasy. Do tego surówka z kapusty włoskiej z jabłkami i chrupiące krakersy.

- Brzmi nieźle - przyznałam, w żadnej mierze nie sygnalizując, że mam na to ochotę.

- Podam ci do tego piwo, bo wino nie pasuje do marynowanych warzyw.

- Nie odmówię.

Zjadłam z niekłamanym apetytem, choć wiedziałam, że potem będę cierpieć z powodu niestrawności. Sala wypełniała się szybko gośćmi łąsami na promocję. Przeważali nasi sąsiedzi i samotni pracownicy małych firm. Knajpka Rosie szybko zyskiwała też popularność wśród miejscowych drużyn sportowych, co z kolei odstraszało tych, którzy szukali tu ciszy i spokoju. Gdyby nie to, że lubiałam Rosie i że miałam do niej niedaleko, pewnie już dawno poszukałabym innego miejsca. Bucky i Babe przesiedli się już do stolika. Chester zjawił się chwilę później. Nim złożyli zamówienie, odbyli dość burzliwą naradę. Zrobiło się głośno i tłoczno. Uznałam, że byłoby nietaktem, gdybym się teraz do nich przysiadła i rozpoczęła rozmowę o przeszłości Johnny'ego.

O osiemnastej trzydzieści pięć uregulowałam rachunek i ruszyłam do wyjścia. Przeszła mi ochota na kino, liczyłam jednak, że wykrzeszę w sobie entuzjazm na spotkanie z „rodzinką”.

W drodze do domu minęłam patio i zapukałam we framugę. Odpowiedziało mi gromkie „Juhuuu!”. Zajrzałam przez drzwi z siatki. W głębi kuchni zauważyłam Neli. Siedziała na drewnianym krześle przysuniętym do piekarnika. Gdy mnie zobaczyła, skinęła ręką, zapraszając do środka.

Otworzyłam drzwi i wetknęłam przez nie głowę.

- Cześć, Neli. Co słychać?

Piekarnik był otwarty, blachy i ruszt wyjęte na zewnątrz. Widać Neli zabrała się do porządków. Blaty szafek wyłożyła gazetami, rozstawiła na nich wyjęte z piekarnika wyposażenie i wszystkie jego elementy spryskała płynem do czyszczenia.

- Wszystko gra. Wejdz, Kinsey. Milo cię widzieć.

Neli zwykle splatała swoje gęste srebrne włosy w skomplikowaną koronę na karku, podpiętą szylkretowym grzebieniem, dziś jednak owinęła je tylko zawiązaną z tyłu chustką. Wyglądała w niej jak Kopciuszek.

- Jesteś pracowita jak mróweczka - zauważyłam. - Ledwie przyjechałaś i już wzięłaś się do roboty.

- Nie mogłam się oprzeć, gdy zajrzałam do piekarnika. Wiedziałam, że nie zasnę spokojnie, póki go nie rozmontuję i porządnie nie wyczyszczę. Henry świetnie sobie radzi z domem, ale jego piekarnik zdecydowanie potrzebował kobiecej ręki. Może gadam jak szowinistka, ale tak już jest.

- Pomóc ci?

- Dotrzymaj mi towarzystwa.

Na domową bawełnianą sukienkę Neli miała narzucony wiązany z boku fartuch na szelkach. Długie rękawy owinęła kawałkami papierowego ręcznika, który podtrzymywały gumki recepturki. Była wysoka i mocno zbudowana. W młodości mierzyła pewnie co najmniej metr osiemdziesiąt. Miała szerokie ramiona, ciężkie piersi, duże stopy i dłonie, których kłykcie przypominały teraz węzły liny. Twarz wydawała się długa i koścista, niemal bezpłciowa. Krzaczaste siwe brwi sterczały nad intensywnie błękitnymi oczami. Skóra policzków i podbródka opadała w niezliczonych fałdach i zmarszczkach.

Wcześniej Neli opróżniła też lodówkę. Na stole i blatach stały niezliczone pudełka z resztkami jedzenia, słoiki oliwek i marynat, przyprawy i świeże warzywa. Dolne szklane szuflady moczyły się w zlewie pełnym wody z mydlinami. Kosz wypełniały wyrzucone produkty. Przy mnie Neli wrzuciła do rozdrabniacza na odpady coś, co obrosło pleśnią.

- Nie patrz - powiedziała. - To coś jeszcze żyje. - Zamoczyła i wyjęła szmatkę, którą przecierała półki. - Kiedy skończę, wezmę pachnącą kąpiel i wskoczę w ciepły szlafrok oraz kapcie. Czeka na mnie sporo książek. Mam wrażenie, że oczy coraz częściej odmawiają mi posłuszeństwa. Chcę się nacieszyć lekturą, póki jeszcze mogę.

Odkręciła wieczko słoiczka i zajrzała do środka. Potem przytknęła słoik do nosa. Powąchała. Widać było, że nie rozpoznaje zawartości.

- Cóż to, u licha, jest? - mruknęła, unosząc słoik do światła. Płyn wewnątrz był czerwony i gęsty. - To chyba syrop z wiśni, którymi Henry nadziewał tartę. Mój braciszek zaklina się, że wysprzątał w lodówce dwa dni temu.

Zakręciła słoik i odstawiła go na blat.

- I myśli, że w to uwierzę - prychnęła. - Tak się składa, że jestem specjalistką w dziedzinie sprzątania lodówki. Nauczyłam tego Henry'ego jeszcze w dziewięćset dwunastym roku. Problem w tym, że chłopak nie umie zachować dyscypliny. Jak zresztą większość ludzi. Nie znosimy pozbywać się śmieci, a to błąd. Ale skoro tu jestem, wszystko będzie lśniło.

- Często zdarzało ci się przyuczać braci do obowiązków domowych?

- Owszem. Pomagałam matce wychować i wykształcić całą dziesiątkę. Po śmierci ojca przejęłam większość jej obowiązków, czekając, aż wróci do równowagi. Zajęło jej to prawie trzydzieści lat. Rozpaczała po jego stracie, choć o ile pamiętam, nie byli zgodnym małżeństwem. Długo tkwiła z uporem w żałobie. Później zrozumiałam, że udawała, by jak najdłużej zatrzymać mnie w domu i w swojej władzy.

- Było was dziesięcioro? Myślałam, że o połowę mniej. Ty, Charlie, Lewis, William i Henry.

Pokręciła głową.

- Pięcioro z nas żyje. Jesteśmy długowieczni jak Tilmannowie, rodzina mojej matki. W pewnym sensie rodzice podzielili się dziećmi po równo. Połowa z nas odziedziczyła cechy po matce, druga połowa po Pittsach, rodzinie ojca. Wystarczyło spojrzeć na fotografię, by to dostrzec. Widziało się rodzinne podobieństwo jak na dłoni. Uwierz mi. Ci, którzy byli podobni do ojca, dawno już nie żyją. To przykre, ale na nich wygasła ta gałąź rodziny. Byli drobni, mieli maleńkie główki, brakowało im więc naszej bystrości umysłu, i ciągle podupadali na zdrowiu. Moja babka ze strony ojca wywodziła się z Mauritzów. Ponoć nazwisko to wzięło się od „Maurów”, co z kolei oznaczało, że w ich żyłach płynęła krew mieszańców. Wszyscy byli drobni, śniadzi i słabi. Babka Mauritz zmarła na gripę, podobnie jak dwaj moi starsi bracia. Odeszła pierwsza, pociągając za sobą chłopców. Potem straciliśmy moją siostrę Alice. Też miała ciemną skórę i małą głowę. Zachorowała na gripę. Następnego dnia już nie żyła. Tak samo jak moja ciotka i czworo kuzynów. Dwóch zmarło tego samego dnia, mieliśmy więc podwójny pogrzeb. Wszyscy potomkowie Mauritzów popadali jak muchy w ciągu zaledwie pięciu miesięcy, od listopada do marca. Epidemię przetrwaliśmy tylko my, nosiciele genów Tilmannów. Pisany nam był długi żywot. Moja matka dożyła stu trzech lat. Gdy skończyła dziewięćdziesiąt, stała się tak zrzedliwa, że musieliśmy jej odebrać ulubionego burbona, żeby choć na chwilę się przymknęła. Wypijała go w niewielkich ilościach, ledwie sześć łyżek dziennie, uważała jednak, że to on utrzymuje ją przy życiu. Kiedy szczególnie nam dopiekała, stawialiśmy butelkę wysoko na półce, żeby była widoczna, ale



poza zasięgiem jej rąk. To wystarczyło. Kolejne trzynaście lat matka przeżyła potulna jak baranek.

Neli zamknęła z trzaskiem drzwi lodówki i podeszła do zlewu. Woda z mydlinami przestygła, mogła więc włożyć w nią ręce i umyć szuflady. Nim to zrobiła, otworzyła drzwi szafki i zajrzała do środka. Zmarszczyła z niezadowoleniem nos.

- Co się stało? - spytałam.

- Skończył się płyn do czyszczenia piekarnika, a ja nie wytarłam jeszcze rusztu. Trudno. Będę musiała wyszorować go w pocie czoła.

- Może pobiegnę do sklepu i przyniosę ci ten płyn? Uwinę się w dziesięć minut.

- Nie trzeba. Wystarczy mi mocny druciak. Raz-dwa i gotowe. A ty masz pewnie ciekawsze zajęcia.

- Wcale nie. Wybierałam się do kina, ale straciłam ochotę na film.

- I nie obrazisz się, jeśli cię wykorzystam?

- Słowo skauta, że nie - odparłam.

- Wobec tego zgoda. Kup płyn do czyszczenia i mleko, bo jeśli chłopcy popiją dziś nim ciasteczka, nie wystarczy na śniadanie. Jesteś kochana.

- Nie przesadzajmy. Zaraz wracam. Mleko ma być odtłuszczone?

- Tak. Cały litr. Próbuję ograniczać chłopakom spożycie tłuszczu.

Pogrzebałam w torebce w poszukiwaniu kluczyków, a potem zarzuciłam ją sobie na ramię i pobiegłam w kierunku auta, które zaparkowałam nieco dalej na chodniku. Odpaliłam silnik i zjechałam na ulicę. Na rogu Albanii i Bay skręciłam w prawo, mijając dom Bucky'ego, który

stał się ostatnio moim ulubionym punktem orientacyjnym. Teraz pewnie już nigdy nie uda mi się przejść obok obojętnie. Zerknęłam w stronę mieszkania nad garażem. Wewnątrz paliło się światło, za oknami majaczył jakiś cień.

Zwolniłam, by lepiej się przyjrzeć. Podejrzewałam, że Bucky z żoną i Chester nadal bawią poza domem. Kiedy widziałam ich po raz ostatni, właśnie zamawiali kolację, co oznaczało, że pewnie siedzą teraz w tawernie u Rosie. Światło na górze zgasło. Na ciemny podest ktoś wyszedł. Wypatrzyłam wolne miejsce i zaparkowałam przy chodniku. Zgasiałam silnik i światła. Ustawiłam lusterko tak, żeby widzieć dom Bucky'ego, po czym osunęłam się w dół siedzenia.

Po chwili na podjeździe pojawił się mężczyzna z ciężką torbą w prawej ręce. Ruszył w moją stronę. Głowę miał pochyloną, ramiona zgarbione. Choć latarnie świeciły blado, wiedziałam z całą pewnością, że nie jest to Bucky, Chester ani Ray. Dostrzegłam kędzierzawe ciemne włosy. Facet miał na sobie ciemne ubranie i chyba buty na gumie, bo poruszał się bezszelestnie. Przemknął przez ulicę. Śledziłam go wzrokiem aż do białego forda taurusa zaparkowanego przy krawężniku po drugiej stronie jezdni przodem do kierunku, z którego przyjechałam. Przystanął przy aucie, przełożył pakunek do lewej ręki, a prawą pogrzebał w kieszeni, szukając kluczyków. Otworzył drzwi po stronie kierowcy. Zdziwiona, zerknęłam do tyłu. Dom Bucky'ego i mieszkanie nad garażem były pogrążone w mroku. Nikt więcej się tam nie kręcił.

Facet z kędzierzawymi włosami wrzucił torbę na siedzenie pasażera, usiadł za kierownicą i z trzaskiem zamknął drzwi. Ustawił lusterko wsteczne, przeczesał

palcami włosy i wcisnął na głowę statsona. Nie zauważył mnie. Odpalił silnik, włączył światła i odjechał, omiatając reflektorami przednią szybę mojego auta. Zaczekałam, aż skręci za róg, po czym uruchomiłam silnik i wjechałam na jezdnię. Zawróciłam i ruszyłam za nim. Miał nade mną nie więcej niż sześć sekund przewagi. Dojeżdżając do zakrętu, zauważyłam tylne światła taurusa przy rogu Castle. Przyspieszyłam, by nie stracić go z oczu. Po kilku minutach skręcił na wjazd na obwodnicę północną prowadzącą w kierunku Colgate. Włączyłam się do ruchu dwa auta za nim. Docisnęłam gaz do dechy.

## 6

Nie da się długo jechać za śledzonym autem w pojedynkę. To strata czasu. Wcześniej czy później kierowca zwróci wreszcie uwagę na fakt, że ktoś za długo siedzi mu na ogonie. Tym razem jednak miałam pewność, że gość się nie połapie. Wychodząc z mieszkania Johnny'ego, nawet się nie rozejrzał i nie zachował podstawowych środków ostrożności. Pewnie nie przyszło mu do głowy, że ktoś go może obserwować. W sumie nic dziwnego. Sama byłam zaskoczona jego widokiem. Jechał więc sobie spokojnie. Nie zmieniał pasów, nie skręcał, nie przyspieszał, słowem nie robił nic, co świadczyłoby o tym, że mnie zauważył. Cień jego kapelusza wyraźnie rysował się w świetle przejeżdżających aut. Przy State Street wybrał pas do zjazdu. Pospiesznie wcisnęłam się więc w kolejkę jadących w tamtą stronę samochodów. Trzymając kierownicę lewą ręką, prawą grzebałam w leżącej na siedzeniu obok torebce. Szukałam długopisu i kawałka papieru. Uznałam, że póki dobrze go

widzę, zapiszę numery rejestracyjne wozu. Wywnioskowałam z nich, że samochód został wynajęty, przyjrzałam się więc bliżej i na dole dostrzegłam napis: wypożyczalnia Penny. Co za kretyn! Zapisałam numery na odwrocie kwitu ze sklepu spożywczego. Obiecałam sobie, że po powrocie do domu znajdę kogoś, kto je dla mnie sprawdzi.

O dziewiętnastej siedemnaście biały taurus wjechał na żwirowy podjazd dziesięciopokojowego motelu Capri usytuowanego przy głównej drodze. Wjazd na parking przed wejściem wyznaczały girlandy świątecznych lampek rozwieszonych pomiędzy słupami. Motel tworzyły dwa rzędy identycznych maleńkich domków z małą werandą od frontu i wiatą garażową przy jednej ze ścian bocznych. Ciemność litościwie otuliła cieniem ich obłazącą farbę, wystrzępione zasłony, liche budulec. Większość chat była pusta: w oknach nie paliło się światło, pod wiatami nie parkowały auta. Przed jedną stała niewielka ciężarówka z naczepą. Światło w oknach dwóch pierwszych od lewej chat w pierwszym rzędzie świadczyło o tym, że przebywali w nich goście. Taurus zatrzymał się przed jednym z domków drugiego rzędu.

Kierowca zamknął auto i wszedł na betonową werandę słabo oświetloną czterdziestowatową żarówką. Zaczekałam, aż otworzy drzwi i wejdzie do środka, po czym przejechałam przez żwirowy podjazd i zatrzymałam się przed jedną z ciemnych chat w drugim rzędzie. Tyłem wjechałam pod wiatę, wyłączyłam światła i opuściłam boczną szybę. Wieczorną ciszę zakłócało teraz tylko metaliczne stukanie stygnącego auta oraz pszczele brzęczenie migoczącej gdzieś nad moją głową zepsutej żarówki ze świątecznej girlandy. Siedziałam w ciemności, dumając, ile

czasu powinnam jeszcze zaczekać, nim podejść do chaty. Biedna Neli zastanawiała się teraz pewnie, jak daleko mamy do sklepu. Obiecałam jej, że wrócę w ciągu kwadransa. Tymczasem minęło właśnie pół godziny, odkąd wyjechałam sprzed domu Henry'ego. W żołądku czułam dziwny ucisk. Byłam jednocześnie podekscytowana i zaniepokojona. Co kryło się w torbie, którą kędzierzawy gość wyniósł z mieszkania nad garażem? Narzędzia niezbędne do włamania? Na razie przyjął założenie, że mężczyzna ten był już w naszej okolicy i że to on przetrząsnął wcześniej rzeczy starego Lee. Problem w tym, że nie umiałam sobie wyobrazić, po co wrócił. Ray Rawson żywił pewne podejrzenia co do tożsamości włamywacza, ja jednak nie miałam pojęcia, dlaczego ktoś w ogóle zawracał sobie głowę mieszkaniem nieboszczyka. Żałowałam teraz, że go nie przycisnęłam i nie wydobylam od niego więcej informacji. W ramach pokuty postanowiłam zaczekać jeszcze trochę. Obiecałam też sobie, że jeśli nie starczy mi cierpliwości, zapiszę adres motelu, a rano zadzwonię tu i podstępem wydobędę z recepcjonisty nazwisko interesującego mnie gościa.

Po raz kolejny zerknęłam na zegarek. Była dziewiętnasta trzydzieści dwie. Facet siedział w pokoju już od kwadransa. Czy zamierzał zostać tu na noc? Nie miałam ochoty tkwić w aucie w nieskończoność, ale nie widziałam też sensu w tym, by węszyć wokół chaty, próbując zajrzeć przez okno do środka. Możliwe, że koleś wozi ze sobą jakiegoś złośliwego kundla, który tylko czeka, by rzucić mi się do gardła. W tak podłym motelu kierownictwo z pewnością nie zabrania gościom wprowadzać do pokoi dzieci ani zwierząt. Inaczej już dawno poszłoby z torbami.

W chwili gdy podjęłam decyzję, że pora wysiadać, zauważyłam jakiś ruch na werandzie. Pojawił się na niej kędzierzawy gość w towarzystwie kobiety, która taszczyła torbę. Nadal był w kapeluszu, ale tym razem trzymał w ręce walizkę. Podszedł do auta i wrzucił ją do bagażnika. Kobieta podała mu torbę, która natychmiast powędrowała w ślad za walizką. Facet zatrzasnął bagażnik, otworzył drzwi po stronie pasażera i pomógł swojej towarzyszce wsiąść do środka. Żadne w nich nawet nie pomyślało o tym, by się wymeldować, co oznaczało, że albo wyjeżdżają na krótko, albo zamierzają czmychnąć bez płacenia. Gość obszedł samochód i wsunął się za kółko. Odpaliłam silnik w tej samej chwili, w której uruchomił swój, licząc, że dzięki temu mnie nie usłyszy. Wbiłam wzrok w tył jego auta. Przy białych tylnych światłach zalśniły na chwilę dwa czerwone punkty - światła hamowania.

Zaczekałam, aż taurus wyjedzie spomiędzy chat i skręci w prawo na główną drogę. Dopiero wtedy włączyłam światła. Ford zmierzał w stronę autostrady. Ruszyłam za nim, trzymając się w dyskretnej odległości. W okolicy panował niewielki ruch, martwiłam się więc, że gość w końcu zauważy, iż go śledzę. Na szczęście skierował się w stronę wjazdu na północną obwodnicę. Z każdą chwilą pojawiały się za nim kolejne samochody, wśród których zrećnie się ukryłam.

Kierowca taurusa trzymał się prawego pasa. Minął dwa kolejne zjazdy, po czym skręcił na trzeci, wiodący w stronę lotniska i uniwersytetu. Biorąc pod uwagę bagaże, które widziałam, wątpiłam, by wybierał się na wieczorne zajęcia na uczelni. Zjazd zakręcił ślimakiem w górę i w lewo, po czym przeszedł w szeroką, sześciopasmową

jezdnię. Po prawej pojawiła się taksówka. Przyhamowałam, wpuszczając ją pomiędzy mojego volkswagena a taurusa, który nadal trzymał się prawego pasa. Po jakimś czasie skręcił w prawo na Rockpit, a potem na najbliższych światłach znowu w prawo. Starłam się nie zgubić go z oczu, kiedy wjechał w aleję prowadzącą w kierunku lotniska. Zaczekałam, aż taksówka wykona ten sam manewr, po czym minęłam oba zwalniające auta i przystanęłam obok stojących wzdłuż krawężnika samochodów.

Taurus przejechał na lewy pas i zatrzymał się przy bramce parkingu przeznaczanego na krótki postój. Automatyczny szlaban podniósł się wolno, jakby salutował. Taksówka tymczasem skręciła w prawo i przystanęła przed wejściem do portu lotniczego, w strefie przeznaczonej dla pasażerów. Wsiadło z niej dwóch objuczonych bagażami mężczyzn.

Zaczekałam, aż kierowca taurusa znajdzie miejsce parkingowe, cofnęłam się trochę, po czym ruszyłam jego śladem. Automat zabrzączał cicho. W jego szczelinie, niczym język, ukazał się bilet parkingowy. Wzięłam go i wjechałam na parking.

Biały ford stał w pierwszej alejce po lewej, we frontowym rzędzie, tuż przy drodze. Odszukałam wzrokiem śledzoną parę. Kędzierzawy facet i jego partnerka zmierzali w kierunku terminalu. On dźwigał walizkę i torbę. Ona owinęła się prochowcem dla ochrony przed wieczornym chłodem. Rozejrzałam się szybko i zaparkowałam na pierwszym wolnym miejscu, jakie udało mi się znaleźć. Zamknęłam auto i pobiegłam za nimi. Rozmawiali z ożywieniem. Żadne z nich mnie nie zauważyło.

Zapadła ciemność. Terminal lśnił światłami niczym miniaturowa szopka, jaką kładzie się czasem pod choinką.

Przed wejściem dwaj bagażowi oznaczali plakietkami walizki, które przywieźli ze sobą pasażerowie taksówki. Kędzierzawy i jego dziewczyna weszli do hali lotniska, beztriosko mijając biuro wynajmu aut. Dokąd się tak spieszyli? Narzuciłam szybsze tempo. Czułam, jak z każdym krokiem ciężka torebka obija mi się o biodro. Ostatni kawałek drogi do wejścia przebyłam biegiem. Port lotniczy w Santa Teresa miał tylko sześć bramek.

Znajdujące się w lewym skrzydle bramki pierwsza, druga i trzecia służyły odprawie pasażerów linii lokalnych, głównie biznesmenów latających awionetkami do Los Angeles, San Francisco, San Jose, Fresno, Sacramento i innych miast w promieniu sześciuset kilometrów. W holu głównym pracownicy United Airlines dzielili kontuar z personelem American Airlines. Rozejrzałam się szybko wśród siedzących na krzesłach pasażerów. Wydawać by się mogło, że dzięki charakterystycznemu stetsonowi szybko znajdę kędzierzawego, ale szczęście mi nie dopisało. Nigdzie nie dostrzegłam nawet śladu tajemniczej pary.

Większość pasażerów kierowała się do bramki numer pięć, którą ze swojego miejsca w holu widziałam jak na dłoni. O tej porze ruch lotniczy zamierał, na tablicy informacyjnej widniały więc dane tylko dwóch lotów: samolotu turboodrzurowego United do Los Angeles oraz mniejszej jednostki American Airlines do Palm Beach z międzylądowaniem w Dallas na Fort Worth. Dokładnie naprzeciwko mieściła się bramka numer cztery, przez którą przechodzili pasażerowie przybywający do miasta samolotami linii United. Łukowe okna terminalu wychodziły na niewielki trawnik oświetlony wbitymi w ziemię niskimi latarniami i otoczony kamiennym murem, na



którym ustawiono metrowej wysokości tafle hartowanego szkła. Mimo to wyraźnie słyszałam warkot lądujących na płycie niewielkich samolotów. Wyszłam przez oszklone podwójne drzwi i rozejrzałam się na zewnątrz. Kręciło się tam sześć, może osiem osób. W oczy rzuciła mi się kobieta z małym dzieckiem, trzech młodych mężczyzn wyglądających na studentów oraz dwoje starszych z psem na smyczy. Ani śladu pary, której szukałam.

Przechodząc przez hol w stronę bramek linii lokalnych, zauważyłam wreszcie kapelusz kędzierzawego - czarny filcowy stetson z szerokim rondem i wysoką główką. Gość stał przy ladzie w sklepiku z pamiątkami i płacił za kolorowe magazyny. Widziałam go wprawdzie tylko z profilu, za to w wyjątkowo jasnym świetle. Jakby dosłyszał moje pobożne życzenia, zdjął kapelusz i kilka razy przeczesał palcami włosy, po czym znów nasunął stetsona na czoło. Przyjrzałam mu się uważnie, chcąc zyskać pewność, że go rozpoznam, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat. Miał małe, wąsko osadzone ciemne oczy i pociągłą twarz o orlim nosie. Szczeciniaste wąsy przyprószyła siwizna. Kręcone włosy, które w świetle ulicznych latarni wzięłam za bardzo ciemne, okazały się gęsto poprzetykane pasmami srebra. Ubrany w wysokie kowbojskie buty, dzinsy i grubą wełnianą kurtkę prezentował się dość okazale. Jak dla mnie, wyglądał na jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu (choć kilka centymetrów mogły mu dodać obcasy) i osiemdziesiąt-osiem-dziesiąt pięć kilogramów wagi. Wetknął magazyny pod pachę i niedbałym ruchem zgarnął drobne do kieszeni. Kiedy spojrzał w moją stronę, cofnęłam się za drzwi.

Zerkając przez ramię, dostrzegłam za sobą rząd aparatów telefonicznych. Desperacko szukając kryjówki, chwy-

ciłam słuchawkę najbliższego z nich i pochyliłam się nad leżącą na półeczce poniżej książką telefoniczną. Szukałam w niej numeru Bucky'ego, póki kędzierzawy nie wyszedł ze sklepu i nie minął mnie różnym krokiem. Obserwowałam go spod oka. Przeszedł przez hol i dołączył do kobiety, która stała tyłem do mnie przy kasie biletowej, opierając stopę na wypchanej torbie. Jak to się stało, że jej nie zauważyłam? Pewnie zaraz po wejściu na lotnisko pomaszerowała do toalety. Teraz czekała cierpliwie w kolejce, by kupić bilety. Prochowiec trzymała na zgiętym ramieniu. Mężczyzna stojący przed nią zebrał z lady resztę i poszedł w swoją stronę, przesunęła się więc do przodu i umieściła na wadze walizkę. Potem zahaczyła stopą o leżący na podłodze pakunek i zaczęła go przesuwać w stronę lady.

Kasjerka pochyliła się w jej stronę. Zamieniły kilka słów. Kasjerka zaczęła wstukiwać do komputera niezbędne informacje, kobieta zaś sięgnęła do stojącego przy klawiaturze pudełka i wyjęła z niego tekturową plakietkę na bagaże. Wpisała dane, po czym podała kartonik kasjerce, która wypełniała bilet. Wyjęła kilka banknotów i położyła je na ladzie. Kasjerka przeliczyła pieniądze, a potem schowała je do kasetki. Pomogła kobiecie przymocować identyfikator do walizki, po czym umieściła ją na taśmie. Walizka zniknęła w ciemnym otworze jak trumna wsuwana do krematoryjnego pieca. Transakcja dobiegła końca. Kasjerka położyła na blacie koperty z biletami.

Kobieta, którą obserwowałam, zwróciła się teraz do towarzysza. Zauważyłam, że jest w szóstym, może w siódmym miesiącu ciąży. Czy podróżowała z ojcem, czy z mężem? Na pewno była od niego sporo młodsza. Miała góra trzydzieści-trzydzieści pięć lat i płomiennorude włosy

zaczeseane w kok na czubku głowy. Zbyt jasny podkład obsypany ciemniejszym pudrem sprawiał, że jej twarz wyglądała jak nienaturalnie blada maska z pasmami brudu. Sukienka ciążowa z jasnego džinsu miała podniesiony stan, który uwydatniał jeszcze jej zaokrąglony brzuch. Pod nią włożyła obszerną białą bluzkę z długim rękawem i pasiaste, biało-czerwone legginsy zestawione z wysokimi czerwonymi tenisówkami. Takie kiecki widziałam kiedyś w czasopiśmie poświęconym ogrodnictwie. Chętnie nosiły je były hipiski, które porzuciły zioło i seks grupowy na rzecz organicznej żywności i odzieży z włókien naturalnych.

Kędzierzawy podniósł z podłogi torbę i wziął kobietę pod ramię. Odeszli od lady, a ich miejsce zajął kolejny interesant. Dziwna para uszła kilka kroków i przystanąła. Mężczyzna opuścił ciężko torbę na ziemię i wdał się w gorącą dyskusję ze swoją towarzyszką. Wszystko wskazywało na to, że zaraz wsiądą do samolotu, a ja zostanę z niczym. Co teraz? Aresztowanie obywatelskie nie wchodziło w grę, bo nawet nie wiedziałam, czy popełnili jakieś przestępstwo. Z drugiej jednak strony, co właściwie kędzierzawy robił w mieszkaniu Johnny'ego Lee? Służyłam w policji dość długo, by ufać instynktowi, który podpowiadał mi, że nie patrzę na niewinnych turystów. Dowód przestępstwa, być może tkwiący w wielkiej torbie, już wkrótce opuści nasz stan. Nie miałam pojęcia, czy dziwna para zamierza wrócić do Santa Teresa, czy też zniknie stąd na zawsze i nielegalnie przekroczy gdzieś granicę.

Wróciłam do wertowania książki telefonicznej. Niecierpliwie przerzucałam strony, mamrocząc pod nosem: Lawrence, Laymon... Przesunęłam palcem w dół. Leason, Leatherman, Leber.... Jest! Piętnastu Lee, ale tylko jeden w Bay. Bucyrus Lee. Bucky miał na imię

Bucyrus? Z kieszeni kurtki wydobylam ćwiercdolarówkę, wsunęlam ją do otworu w aparacie i wybrałam numer. Po drugim sygnale usłyszałam dźwięk podnoszonej słuchawki.

- Bucky?

- Chester. Kto mówi?

- Kinsey.

- Niech to szlag. Lepiej przyjeżdżaj. Wszystko diabli wzięli.

- Co się stało?

- Kiedy wróciliśmy od Rosie, na podjeździe leżał Ray Rawson. Zwijał się z bólu. Miał zalaną krwią twarz i łapy spuchnięte do rozmiarów rękawicy bejsbolowej. Ktoś zmiądzzył mu dwa palce i cholera wie, co jeszcze. Ten ktoś znów się włamał do mieszkania dziadka. Tym razem rozwalił szafkę pod zlewem.

Jednym uchem podchwyciłam rozbrzmiewającą z głośników informację o odlocie samolotu linii American Airlines.

- Zaczekaj chwilę - rzuciłam do słuchawki. Zakryłam dłonią membranę i rozejrzałam się po hali.

Jeśli dobrze usłyszałam, zapowiadano lot do Palm Beach. Kątem oka dostrzegłam, że kędzierzawy podniósł torbę i poprowadził swoją ciężarną towarzyszkę w stronę stanowiska odpraw American Airlines. Serce biło mi jak oszalałe. Wróciłam do rozmowy.

- Czy Ray się z tego wylize?

- Nie wiem. Wszędzie pełno radiowozów. Czekamy na karetkę. Koleś nie wygląda najlepiej. Co tam tak głośno? Ledwie cię słyszę?

- Dzwonię z lotniska - wyjaśniłam. - Przejeżdżając obok waszego domu, zauważyłam podejrzanego faceta.

Wychodził z mieszkania dziadka z wypchaną torbą. Za chwilę on i jego dziewczyna wsiądą do samolotu. Śledziłam ich, ale jeśli stracimy z oczu tę torbę, stracimy i dowód.

- Zaczekaj. Już do ciebie jedziemy. Nigdzie go nie puszczaj.

- Samolot zaraz startuje. Wiesz, co facet zabrał z mieszkania Johnny'ego?

- Nie mam pojęcia. Zresztą, policja mnie tam teraz nie wpuści. Wezwij strażników lotniska. Na pewno ci pomogą.

- Jakich strażników? Tu nikogo nie ma. Jestem zdana na własne siły.

- Zrób coś, do cholery.

Szybko przeanalizowałam w myślach możliwe rozwiązania.

- Kupię bilet i polecę z nimi.

- Dokąd?

- Nie wiem. Samolot leci do Palm Beach z międzylądowaniem w Dallas. Decyduj się szybko, bo za dwie minuty gościa już tu nie będzie.

- Zgoda. Rozliczymy się później. Zadzwoń, gdy nadarzy się okazja.

Rzuciłam słuchawkę i podbiegłam do tablicy z informacją o odlotach. Przy numerze lotu pięćset osiem do Palm Beach migotał komunikat: **BOARDED**, oznaczający, że pasażerowie zajmują już miejsca na pokładzie. Terminal opustoszał, bo podróżni rzucili się do bramki. Pobiegłam przez hol do kasy biletowej American Airlines. Jedna z kasjerek obsługiwała jakiegoś mężczyznę, druga podchwyciła moje spojrzenie.

- Zapraszam - powiedziała. Ruszyłam do jej stanowiska.
- Przepraszam, macie jeszcze wolne miejsca na lot do Palm Beach? - Nie miałam pojęcia, czy podejrzana para leci do Palm Beach czy do Dallas, na wszelki wypadek podałam więc nazwę miasta docelowego, licząc, że w razie potrzeby wsiądę wcześniej.
- Już sprawdzam. O ile wiem, nie mamy kompletu pasażerów. - Zaczęła pisać coś szybko na klawiaturze. Co jakiś czas przerywała, by sprawdzić dane na stojącym przed nią monitorze. - Jest siedemnaście wolnych foteli.... Dwanaście w klasie ekonomicznej i pięć w pierwszej.
- Ile kosztuje bilet w ekonomicznej?
- Czteryście osiemdziesiąt siedem dolarów. Nie jest najgorzej.
- W obie strony?
- W jedną.
- Czteryście osiemdziesiąt siedem dolarów w jedną stronę? - Mój głos zabrzmiał piskliwie, jakbym przechodziła mutację.
- Zgadza się.
- Biorę - zdecydowałam. - Proszę bilet w dwie strony, otwarty. Nie wiem, kiedy wrócę.

Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, dokąd wybiera się tajemnicza para. Być może nawet podróżowali do Meksyku albo innego kraju Ameryki Południowej. Nie widziałam wprawdzie, by wyciągali paszporty, nie wykluczałam jednak i takiej możliwości. Kasjerka, z którą rozmawiałam, nie obsługiwała wcześniej ciężarnej kobiety, nie mogłam więc pociągnąć jej za język. Wydobyłam z torebki portfel i wyciągnęłam kartę kredytową. Położyłam ją na kontuarze. Jej widok nie zniechęcił mnie

do działania pod wpływem impulsu, pomyślałam jednak w przyptywie rozsądku, że jeśli Chester nie odda mi za bilet, będzie po mnie.

- Woli pani siedzieć przy oknie czy przy przejściu?

- Przy przejściu. I jak najbliżej czoła samolotu. -Chciałam mieć pewność, że jeśli para wysiadzie, zerwę się z miejsca i pobiegnę za nimi.

Kasjerka niespiesznie wklepała kolejne informacje.

- Jakiś bagaż?

- Tylko podręczny. - Miałam ochotę wrzasnąć, żeby się pospieszyła, wiedziałam jednak, że to nic nie da. Drukarka zaczęła zgrzytać i pobrzękiwać, wypluwając bilet, kartę pokładową i potwierdzenie dokonania wpłaty kartą kredytową, które podpisałam we wskazanym miejscu. Kiedy jeszcze raz spojrzałam na sumę, przymknęłam oczy ze zgrozą. Bilet w jedną stronę w klasie ekonomicznej bez żadnych ulg i zniżek za wcześniejszy zakup biletu kosztował mnie dziewięćset siedemdziesiąt cztery dolary. Szybko dokonałam w myślach obliczeń. Limit na karcie wynosił dwa i pół tysiąca, a nadal spłacałam nią raty kredytów zaciągniętych latem. Jeśli się nie pomyliłam, zostało mi jakieś czterysta dolców. Cóż... Nie znaczyło to wcale, że popadam w ruinę i nie mam oszczędności. Po prostu o tej porze nie mogłam się do nich dostać.

Wzięłam kopertkę z biletem, podziękowałam kasjerce, po czym pośpieszyłam przez terminal do bramki numer sześć. Położyłam torebkę na taśmie zmierzającej do skanera. Wcześniej wyjęłam z kieszeni tajemniczy klucz Johnny'ego i wsunęłam go do paczki chusteczek higienicznych w torebce. Przez bramkę z wykrywaczem metalu przeszłam bez problemów, po czym odebrałam torebkę po drugiej stronie. Pasażerowie pierwszej klasy

i rodzice małych dzieci przeszli już przez odprawę i opuścili terminal. Widziałam, jak wysypują się na pas i zacierają w stronę czekającego samolotu. Teraz rozpoczęła się odprawa pozostałych pasażerów. Westchnęłam zrezygnowana i ustawiłam się na końcu wolno przesuwanej się kolejki. Faceta w stetsonie widziałam stąd jak na dłoni.

Stał obok swej towarzyszki sześć osób przede mną. Oboje milczeli, tylko od czasu do czasu wymieniali parę słów. Ona trzymała pod pachą magazyny, on dźwigał torbę. W ich zachowaniu czuło się napięcie, choć nieruchome twarze nie zdradzały emocji. Wyglądało, jakby się nie znali, mimo że jej ciążowy brzuch dobitnie świadczył, że przed paroma miesiącami coś ich jednak połączyło. Być może musieli się pobrać właśnie z powodu dziecka.

Kiedy dotarli do bramki, facet wręczył kobiecie torbę, pochylił się i coś do niej powiedział. Wymamrotała pod nosem odpowiedź, nawet na niego nie patrząc. Chyba była zła, bo potraktowała go z ostentacyjną niechęcią. Otoczył ramieniem jej plecy i pocałował ją w policzek. Cofnął się o krok, wepchnął ręce do kieszeni i patrzył za nią, gdy podeszła do bramki, podała kartę pokładową stojącemu przy niej mężczyźnie, a potem ruszyła korytarzem, przechylając się pod ciężarem torby. Kurczę, i co teraz? Kędzierzawy zaczął przy bramce, póki kobieta nie znikła mu z oczu. Zawahałam się, próbując zdecydować, co dalej. Mogłam zostać i nadal go śledzić, torba jednak wydawała mi się teraz dużo bardziej istotna, przynajmniej dopóki nie dowiem się, co w niej jest. Jeśli kryjący się w niej dowód zniknie, nikt go już nie znajdzie. Przepadnie jak kamień w wodę.



Kędzierzawy obrócił się w moją stronę i ruszył do wyjścia. Podchwycił moje spojrzenie, nim zdążyłam odwrócić wzrok. Mimo to dobrze mu się przyjrzałam, by zapisać w pamięci każdy szczegół jego bladej twarzy, zwłaszcza bliznę na policzku. Jasna szrama zaczynała się w kącie ust i biegła przez policzek w dół aż do szyi. Wskazywała na to, że albo kiedyś wychodził przez rozbite okno albo ktoś spuścił mu niezły łomot.

Szef odprawy przyjął ode mnie bilet i oderwał część karty pokładowej. To był ostatni moment, by się wycofać. Tuż przed sobą, w słabym świetle latarni, widziałam ciężarną kobietę, która weszła właśnie na szczyt schodów i zniknęła w drzwiach samolotu. Wzięłam głęboki oddech i wyszłam na płytę lotniska, podążając w stronę schodów. Na zewnątrz było zimno. Przejmujący wiatr wciskał się pod tkaninę mojej cienkiej kurtki. Wchodząc na górę po schodkach, słyszałam metaliczny stukot własnych kroków.

Odetchnęłam z ulgą, przestępując próg siedem trzy siedem i wchodząc do ciepłego wnętrza. Zerknęłam w stronę pierwszej klasy. Siedziało tam troje pasażerów, ale nie było wśród nich ciężarnej kobiety. Sprawdziłam numer fotela na karcie pokładowej: 10D, prawdopodobnie po lewej stronie alejki biegnącej przez środek samolotu. Czekałam, aż stojący przede mną pasażerowie upchną bagaże w schowkach i zajmą miejsca, obrzuciłam spojrzeniem kilka najbliższych rzędów foteli. Kobieta w ciąży siedziała w ósmym rzędzie przy oknie po prawej stronie. Wyjęła z torebki puderniczkę i przejrzała się w lusterku. Potem wydobyła buteleczkę podkładu, nabrała go na czubek palca i rozprowadziła na policzkach.

Większość wiszących nad fotelami schowków na bagaże była otwarta. Przesunęłam się nieco do przodu i czekałam, aż chłopak wyglądający na studenta upchnie nad swoją głową torbę wielkości kanapy. Przechodząc obok ósmego rzędu, zauważyłam torbę częściowo zakrytą prochowcem, wciśniętą między teczkę i pękaty gobelinowy worek z wózkiem - niemal stworzony do tego, by podczas lądowania wypaść i rąbnąć w głowę jakiegoś siedzącego obok kobiety nieszczęśnika. Gdybym miała dość odwagi, po prostu chwyciłabym torbę, a potem upchnęła ją pod własnym fotelem i przejrzała przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ledwie o tym pomyślałam, kobieta spojrzała prosto na mnie. Pospiesznie się odwróciłam.

Usiadłam, wsuwając torebkę pod fotel z przodu. Dwa miejsca obok były puste. W myślach podziękowałam za to losowi. Podczas lotu będę mogła rozprostować ramiona albo nawet położyć się i uciąć sobie drzemkę. Ciężarna kobieta wstała, z trudem przesunęła się do przejścia i sięgnęła do schowka. Przesunęła gobelinowy wór i z bocznej kieszeni wypchanej torby wydobyla książkę w twardej oprawie. W alejce pojawiła się stewardesa. Szła w moją stronę, zatrzymując po drodze otwarte klapy schowków nad fotelami.

Wkrótce potem drzwi samolotu zostały zamknięte. Jedna ze stewardes stanęła w przejściu i udzieliła pasażerom instrukcji dotyczących bezpieczeństwa, a następnie zademonstrowała, w jaki sposób zapinać i odpinać pasy. Zastanawiałam się, czy jest na pokładzie ktoś, kto jeszcze tego nie wie. Na koniec powiedziała nam, co należy robić, gdybyśmy zostali zmiażdżeni, poranieni lub oparzeni, w sytuacji gdy samolot runie z ogromną prędkością na

ziemię z wysokości prawie ośmiu tysięcy metrów. Według mnie, małe woreczki z tlenem w niczym nam wtedy nie pomogą, ale skoro opowiadanie o nich sprawiało jej przyjemność, cóż, proszę bardzo - wysłuchałam, jak z nich korzystać. Kiedy już stewardesa postraszyła nas wizjami gwałtownej śmierci, uśmiechnęła się promiennie i obiecała nam coś do picia oraz przekąski, gdy będziemy w powietrzu.

Samolot zaczął kołować na pas startowy. Zatrzymał się, a potem ruszył, stopniowo nabierając prędkości. My, pasażerowie, podskakiwaliśmy w fotelach i trzęśliśmy się tak, że omal nam głowy nie pospadały z karków. Wreszcie maszyna wzbiła się w nocne niebo. Światła miasta wydawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie zlały się w wielką jasną plamę.

7

Zajrzałam do kieszonki na oparciu fotela przede mną. Znalazłam papierową torebkę na wymioty, laminowaną kartę z rysunkowymi wskazówkami, jak zachować się w razie niebezpieczeństwa oraz katalog prezentów, na wypadek gdybym podczas lotu postanowiła się zabawić w Świętego Mikołaja i kupić coś najbliższym. Czekala mnie długa podróż, i to bez ulubionej powieści Leonarda. Zerknęłam na ciężarną kobietę, która siedziała dwa rzędy przede mną po drugiej stronie alejki. Ze swojego miejsca widziałam tylko fragment jej twarzy. Patrząc na splecione rude włosy, miałam ochotę podejść i porządnie je wyszczotkować.

Nadal nie mogłam uwierzyć, że zdecydowałam się wsiąść za nią do samolotu. Szybko zrobiłam w głowie przegląd rzeczy, które miałam przy sobie. Na mój dobytek składały się głównie ubrania, które miałam na sobie, czyli adidasy, skarpetki, bielizna, dżinsy, golf i kurtka. Obszukałam jej kieszenie i znalazłam rachunek ze sklepu z zeszłego tygodnia. Dwie ćwierćdolarówki, długopis i spinacz do papieru. Prawa kieszeń spodni była pusta. W lewej zawieruszyła się zgnieciona chusteczka, w którą teraz wydmuchałam nos. Przyszła kolej na torbę. Jeden po drugim wyciągnęłam z niej wszystkie przedmioty i ułożyłam je na fotelu obok. Portfel, a w nim prawo jazdy i dowód osobisty oraz dwie karty kredytowe, jedna z limitem dwa i pół tysiąca dolarów (teraz miałam do dyspozycji znacznie mniej, rzecz jasna) i druga anulowana. Niech to szlag. Miałam też czterdzieści sześć dolarów i pięćdziesiąt dwa centy w gotówce i dwie karty telefoniczne, w tym jedna ATM nieważna poza granicami stanu. A gdzie książeczka czekowa? No tak... W domu, na biurku, razem z ostatnio opłacanymi rachunkami. Jak widać, co nagle, to po diable. Gdybym odłożyła spłaty, miałabym teraz dostęp do czeków, co zwiększyłoby mój stan posiadania o jakieś trzysta-cztery dolarów. W wewnętrznej kieszeni portfela tkwiły małe wytrychy, przydatne podczas improwizowanych akcji.

W foliowym woreczku na dnie torby znalazłam szczoteczkę i pastę do zębów oraz czystą parę majtek - zestaw, który zawsze ze sobą nosiłam. Miałam też: skomplikowany scyzoryk, okulary słoneczne, grzebień, pomadkę, korkociąg, klucz z sejfu Johnny'ego, dwa długopisy, stary kwit ze sklepu spożywczego, na którym zapisałam numery rejestracyjne taurusa, buteleczkę aspiryny i tabletki

antykonceptyjne. Przynajmniej nie zajdę w ciążę podczas tej misji, spokojna głowa. Po co się więc martwiłam? Byłam w końcu na urlopie i nie miałam żadnych poważnych zobowiązań.

Nie miałam też bladego pojęcia, co zrobię, gdy wylądujemy. Na początek zamierzałam oczywiście poczekać i sprawdzić, gdzie wysiadzie moja towarzyszką oraz w jakim kierunku potem pojedzie. Jeśli postanowi przekroczyć granicę, zostanę z niczym, bo nie zabrałam ze sobą paszportu. Do Meksyku mogłabym wprawdzie wjechać za okazaniem prawa jazdy, ale wolałabym nie ryzykować. Zbyt wiele słyszałam o warunkach w tamtejszych więzieniach. Z drugiej strony, miałam w zanadrzu opłacony bilet powrotny, gdyby więc coś poszło nie tak, wystarczyło wsiąść do samolotu i wrócić do domu. W takim przypadku co najwyżej zrobiłabym z siebie idiotkę... Co zdarzyło mi się już kilka razy w życiu.

Ledwie zgasło światelko sygnalizujące konieczność pozostania w fotelu, rozpięłam pas, wstałam i zaczęłam grzebać w schowku w poszukiwaniu poduszki oraz koca. Potem przeszłam na tył samolotu, skorzystałam z toalety, umyłam ręce i przejrzałam się w lustrze. W drodze powrotnej na miejsce wzięłam sobie leżący na półeczce przy wejściu numer „Timesa”. Z głośników rozlegał się krzepiący głos kapitana, który wyjaśniał pasażerom szczegóły lotu. Opisywał warunki atmosferyczne, podawał wysokość, trasę i przybliżony czas lądowania.

Z wózka z napojami zamówiłam kosztujący trzy dolary kieliszek wina, jak się okazało, kiepskiego. Burczało mi w brzuchu, ledwie więc doczekałam obiecanej przekąski: pomidorka koktajlowego, gałązki koperku i bułeczki

otrębowej wielkości podstawki pod szklanę. W charakterze deseru wystąpił czekoladowy wafelek owinięty folią. Po posiłku światła przygasły. Połowa pasażerów zapadła w drzemkę, pozostali włączyli lampki do czytania i pogrążyli się w lekturze albo zaczęli przeglądać papiery. Czterdzieści pięć minut później ciężarna kobieta przeszła obok mnie.

Odwróciłam się i popatrzyłam za nią. Zmierzała w kierunku toalet mieszczących się w tylnej części samolotu. Szybko omiotłam wzrokiem siedzących w pobliżu pasażerów. Większość spała. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. W chwili gdy kobieta zamknęła za sobą drzwi toalety, podniosłam się z fotela i przeszłam dwa rzędy do przodu. Przystadłam w fotelu przy przejściu, o jeden fotel dalej od jej miejsca. Ostentacyjnie zajrzałam do schowka na oparciu fotela przede mną, jakbym w nim czegoś szukała. Nie miałam czasu (ani odwagi), by wyjąć torbę ze schowka na bagaże, rozejrzałam się więc na dole. Kobieta zabrała ze sobą torebkę - wreszcie jakiś znak zdrowego rozsądku - nie mogłam zatem liczyć, że poznam jej tożsamość. Zamiast tego zlustrowałam schowek na oparciu. Nie znalazłam w nim nic wartego uwagi. Na środkowym fotelu dostrzegłam powieść Danielle Steel w twardej oprawie. Przerzuciłam kilka stron, ale książka nie była podpisana. Między kartkami tkwiła jako zakładka karta pokładowa. Wyjęłam ją i wsunęłam do kieszeni kurtki. Wróciłam na miejsce. Nikt nie spytał mnie, co robiłam. Nikogo to nie obeszło.

Chwilę później ciężarna kobieta znów przeszła obok mnie, wracając na miejsce. Usiadła. Podniosła książkę. Uniosła się nieco, sprawdzając siedzisko fotela. Potem przesunęła dłońmi po podłodze wokół stóp i pod fotelem. Widać było, że szuka karty. Niemal widziałam wielki znak

zapytania wiszący nad jej głową niczym ciemna chmura. Delikatnie wzruszyła ramionami. Wstała i sięgnęła do schowka po poduszkę oraz cienki pled. Zgasiła lampkę i zapadła się głębiej w fotel, okrywając ramiona kocem.

Wyjęłam z kieszeni jej kartę pokładową i przeczytałam wydrukowane na niej skąpe informacje. Kobieta nazywała się Laura Huckaby. Leciła do Palm Beach.

Dallas i lotnisko Fort Worth leżały w innej strefie czasowej, zegarki należało przesunąć dwie godziny do przodu. Po trzech godzinach w powietrzu wylądowaliśmy o pierwszej czterdzieści pięć. Kilka minut wcześniej kobiecy głos z interkomu podał nam wszystkie ważniejsze połączenia wraz z numerami bramek, do których należało się udać na odprawę. Poinformował nas również, że spędzimy w Dallas godzinę i dziesięć minut, po czym podejmiemy lot numer pięćset osiem do Palm Beach. Jeśli zamierzamy wyjść, powinniśmy zabrać ze sobą karty pokładowe i pokazać je przed wejściem do samolotu. Biedna Laura. Moje knowania pozbawiły ją karty, a tym samym możliwości spaceru po lotnisku. Zerknęłam na nią z poczuciem winy. Już sobie wyobrażałam, że w Dallas wda się w ożywioną dyskusję ze stewardesą, a potem poskarży się komuś ze współpasażerów, pozostanie jednak w swoim fotelu, póki znów nie wzniesiemy się w powietrze.

Ledwie jednak zgasły lampki sygnalizacyjne, odpięła pas, wstała, wyjęła ze schowka płaszcz i wepchnęła książkę do bocznej kieszeni torby, po czym dołączyła do wolno przesuwającej się kolejki wysiadających. Nie miałam pojęcia, jak się zachować, na wszelki wypadek jednak ruszyłam za nią. W różnym tempie podążaliśmy w stronę terminalu w gronie zmęczonych nocną podróżą pasażerów. Część z nich, objuczona walizkami, zmierzała do wyjścia, większość jednak

kierowała się do hali odbioru bagaży. Cały czas widziałam przed sobą Laurę Huckaby. Płomiennorude włosy zmierzwiły się podczas snu, z tyłu zakietu pojawiły się pionowe zagięcia. Płaszcz niosła przewieszony przez ramię. W ręce dźwigała torbę. Dwa razy zatrzymała się, by odpocząć i przelożyć ją do drugiej ręki. Dokąd się wybierała? Czyżby nie wiedziała, że nie jesteśmy w Palm Beach?

Wnętrze portu lotniczego Fort Worth w Dallas utrzymane było w neutralnych kolorach. Dominowały odcienie beżu. Podłogi wyłożono kafelkami w barwie palonej gliny. W pewnej chwili z warkotem przejechał obok nas wózek elektryczny wiozący azjatyckich biznesmenów. Kierowca przycisnął klakson, by ostrzec nieostrożnych pieszych. W świetle reflektorów nasze twarze wydawały się żółte. Sklepiki w pasażu handlowym były nieczynne, ciemne i zakratowane. Minęliśmy restaurację, a potem kilka kiosków sprzedających pamiątkowe drobiazgi, prasę i książki w twardych kolorowych okładkach, buteleczki sosów do grilla, meksykańskie książki kucharskie, koszulki z nadrukowanym godłem Teksasu. Hala odbioru bagaży dla pasażerów lotu pięćset osiem do Palm Beach mieściła się na wprost, za przesuwными drzwiami. Laura Huckaby wysforowała się do przodu, po czym nagle przystanęła, jakby ogarnęły ją spóźnione wątpliwości. Z początku myślałam, że na kogoś czeka, potem jednak uznałam to za niemożliwe.

Przeszłam obok niej. Stałam przy pasie transmisyjnym tuż przy otworze, z którego wylaniały się walizki. Nie miałam pojęcia, co jest grane. Czy Laura od początku zamierzała tu wysiąść, by rozprostować nogi? Czy zamierzała zabrać ze sobą torbę aż do Palm Beach, czy może planowała ją tu zostawić? Po lewej stronie zauważyłam rząd



połączonych ze sobą chromowych krzeseł obitych czarnym skajem. W pobliskim rogu wisiał duży telewizor. Większość głów zwracała się w jego kierunku. Na kolorowym ekranie widniał obraz rozbitego samolotu. W oczy bił jaskrawy kolor płomieni i kłęby gęstego czarnego dymu unoszącego się nad wrakiem na tle oświetlonego bladym słońcem krajobrazu. Ubrana w jasnobrązowy wełniany płaszcz reporterka mówiła wprost do kamery. Śnieg wirował wokół jej twarzy. Wiatr szarpał włosy kobiety i barwił policzki na różowo. W panującym wokół chaosie ledwie było ją słyszeć, nikt z nas jednak nie miał wątpliwości co do tego, o czym mówi. Podeszłam do kranu z wodą. Piłam długo i dość hałaśliwie.

Kątem oka obserwowałam Laurę, która stanęła przy wiszącej na ścianie tablicy i z zainteresowaniem przyjrzała się wiszącym na niej kolorowym folderom reklamującym okoliczne hotele wraz z informacją, jak zamówić do nich dojazd. Podniosła słuchawkę i wcisnęła cztery cyfry. Rozmawiała krótko. Zaczekałam, aż odłoży słuchawkę, a potem ruszyłam za nią aż do ruchomych schodów. Wyjechałyśmy nimi na poziom ulicy i szklanymi rozsuwanymi drzwiami wyszłyśmy z terminalu.

Nocne powietrze było zaskakująco zimne. Mimo ulicznych lamp wszechobecny mrok otulał teren przed wejściem. Między budynek a chodnik wciśnięty był rachityczny skwerek. Wzdłuż ścian w kolorze piasku trawa rosła kępkami w równych odstępach, jak implanty włosów na łysinie. Podeszłyśmy do miejsca opisanego jako „strefa transportu hotelowego”. Laura przystanęła. Minęłam ją i stanęłam nieco dalej. Wpatrzyłam się w drogę, jakbym na coś czekała. Unikałam wzroku Laury, ale co jakiś czas zerkałam na nią dyskretnie. Wyglądała na zmęczoną i zniechęconą, nie

patrzyła na nikogo. W pewnej chwili jęknęła, przycisnęła pięść do pleców i wypchnęła brzuch do przodu. Dołączyło do nas dwoje innych pasażerów: korpulentny biznesmen w garniturze, z teczką pod pachą i walizką w ręce, oraz dziewczyna w kangurce z wypchanym plecakiem. Przed nami przemknęło kilka samochodów, wzbudzając małe wiry kurzu, które zatańczyły nam u stóp. O tej porze nocy ruch lotniczy był niewielki, co jakiś czas słyszałam jednak głuchy odgłos silników startujących samolotów.

Przeuściliśmy kilka hotelowych busów, przejeżdżających jeden za drugim. Ani Laura, ani dwoje pozostałych nie uniosło dłoni, by je zatrzymać. Wreszcie zza zakrętu wyłonił się czerwony van. Na jednym z jego boków widniał złoty napis: The Desert Castle oraz stylizowana sylwetka zamku. Laura Huckaby uniosła dłoń. Kierowca zauważył gest przywołania i zatrzymał się przy krawężniku. Wskoczył na ulicę i pomógł biznesmenowi zapakować do środka walizkę. W tym czasie do auta wsiadła Laura, za nią ja, a za mną biznesmen. Na przystanku została tylko zaniepokojona dziewczyna z plecakiem, wpatrzona w wyjeżdżające zza zakrętu pojazdy. Zająłam miejsce w głębi ciemnego busa. Laura Huckaby usiadła z przodu, opierając policzek na pięści. Jej fryzura dawno się już rozsypała, większość włosów wysunęła się z koka.

Kierowca wrócił za kółko i zatrzasnął drzwi. Wyciągnął podkładkę z klipsem, obrócił do nas głowę i zaczął sprawdzać nazwiska na liście.

- Wheeler?

- Tutaj - odezwał się mężczyzna w garniturze.

- Hudson?

Ku mojemu zaskoczeniu Laura podniosła rękę. Hudson? Skąd jej się to wzięło? Ciekawe. Nie tylko wysiadła

w innym mieście niż to, do którego kupiła bilet, ale też dokonała rezerwacji pokoju na fałszywe nazwisko. Co chciała przez to osiągnąć?  
- Jadę na spotkanie - rzuciłam, gdy kierowca posłał mi pytające spojrzenie.

Skinął głową, odłożył podkładkę, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył. Sprawnie pokonał labirynt uliczek biegnących wokół terminalu, po czym wyjechał na otwartą przestrzeń. Okolica była płaska i otulona mrokiem. Pojawiające się z rzadka oświetlone budynki wyglądały na tle czerni jak lśniąca miraż. Po chwili mineliśmy kilka knajp: rząd jadłodajni i barów z grillem, oświetlonych tak rzęsiście jak główne ulice Las Vegas. Wreszcie naszym oczom ukazał się wielki hotel, mieszczący się w jednym z tych ogromnych, zaprojektowanych bez stylu budynków, nastawionych na jak największy zysk. Tuż za jego nazwą - The Desert Castle - widniała cena pojedynczego pokoju: sześćdziesiąt dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. Czerwone neonowe litery wyglądały tak, jakby ktoś regularnie spuszczał z nich kolor, po czym napełniał je nim z powrotem. Neonowy mniejszy dopisek głosił: Tu WYŚPISZ

SIĘ WYGODNIE, JAK RYCERZOWI PRZYSTAŁO. Błagam... Logo uzupełniały dwie neonowe palmy, ustawione po obu stronach zwieńczonej blankami czerwonej neonowej wieży.

Bus wjechał w aleję wysokich palm prowadzącą do makiety wieży przedstawionej na budynku, dziwacznej konstrukcji ze sztucznego kamienia, otoczonej równie sztuczną fosą, nad którą wznosił się zwodzony most. Minął bramę i zatrzymał się przed wejściem do hotelu. Kierowca pospiesznie wyskoczył na podjazd i pomógł wysiąść Laurze Huckaby (alias Hudson). Wyglądało na to, że hotel zaoszczędził na konsjerżach, bo nikt do niej nie

podszedł. Facet w garniturze zgarnął swoją teczkę i walizkę. Wysiadł, a ja za nim. Wszyscy troje weszliśmy przez drzwi obrotowe do jasno oświetlonego lobby. Rozsądnie trzymałam się z tyłu, tuż za Laurą, która dźwigała swoją ciężką torbę.

We wnętrzu hotelu królowały motywy rodem ze „starej dobrej Anglii”. Dominowały złoto i purpura. Wszędzie, gdzie się dało, wisały aksamitne kotary i ozdobne, udające marmur sztukaterie. Haftowane sztandary zwieszały się z metalowych drążków wbitych w ściany „zamku”. Umieszczona nieopodal wind strzała wskazywała drogę do hotelowych toalet, oznaczonych jako „dla dam” i „dla rycerzy”.

Przy kontuarze ustawiłam się jako ostatnia. Rozpaczliwie starałam się nie ściągnąć na siebie uwagi Laury Huckaby. Biorąc pod uwagę stawki hotelu, stać mnie było co najwyżej na dwa noclegi, oczywiście, o ile do rachunku nie doliczono dodatkowych opłat. Nie miałam pojęcia, na jak długo zatrzyma się tutaj Laura. Na razie dopełniła formalności meldunkowych i ruszyła w stronę windy, ciągnąc za sobą torbę. Odwracając nieco głowę, dostrzegłam nad drzwiami wind metalowe panele z rozbłyskującymi światełkami oznaczającymi numery pięter, na wysokości których znajduje się kabina. Laura weszła do pierwszej. Drzwi zamknęły się niemal natychmiast. Rzuciłam w przestrzeń: „Zaraz wracam” i pognałam w jej ślady. Czerwone światełka migotały regularnie, póki winda Laury nie zatrzymała się na dwunastym piętrze.

Wróciłam do kontuaru. Facet w garniturze właśnie się zameldował i ruszył do windy. Podeszłam do recepcjonistki. Biorąc pod uwagę wystrój hotelu, spodziewałam

się, że będzie miała na głowie kwef, albo co najmniej opaskę z welonem, ale mnie rozczarowała. Ubrana w typowy hotelowy uniform: białą bluzkę, granatową kamizelkę i prostą granatową spódnicę, przywitała mnie zawodowym uśmiechem. Plakietka na wysokości piersi głosiła, że nazywa się Vikki Biggs i pracuje na nocnej zmianie. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Pewnie była tu nowa, dlatego trafiła jej się taka kiepska fucha. Podała mi formularz meldunkowy. Wpisałam doń nazwisko i adres. Zaczekałam, aż umieści kartę w czytniku i wydrukuje pokwitowanie.

Spinając je z formularzem meldunkowym, zerknęła na adres.

- Ciekawe - powiedziała. - Wszyscy państwo przylecieliście z Kalifornii. Kobieta przed panią też z Santa Teresa.

- Wiem - odparłam. - Podróżujemy razem. Jesteśmy szwagierkami. Zechce nas pani umieścić na tym samym piętrze?

- Spróbuję. - Jej palce zatańczyły szybko na klawiaturze, kiedy wpisywała do komputera kilka zdań. Popatrzyła na monitor. Zmarszczyła brwi.

Miałam ochotę przechylić się przez ladę i zerknąć na to, co przeczytała. Niestety, nie miała dla mnie dobrych wieści.

- Całe piętro jest już zajęte. Najbliższy wolny pokój mieści się na ósmym.

- Może być. - Westchnęłam. - Jaki jest numer pokoju Laury? - spytałam po chwili, jakby wypadło mi to z głowy.

Vikki nie była głupia. Widać przekroczyłam jakąś niewidzialną granicę, bo skrzywiła się lekko, opuszczając kąciki ust w wyćwiczonym grymasie żalu.

- Przykro mi. Nie mam prawa podawać takich informacji. Proszę zadzwonić do niej z pokoju. Telefonistka z pewnością chętnie was połączy.

- Oczywiście. Nie pomyślałam o tym. Spotkam się z nią później. Jest pewnie tak samo zmęczona jak ja. Nocna podróż potrafi wykończyć każdego.

- To prawda. Przyjechałyście panie dla przyjemności czy w interesach?

- Jedno i drugie po trosze.

Nikki wsunęła klucz między karty folderu i pchnęła go na blacie kontuaru w moją stronę.

- Życzę miłego pobytu.

Jadąc na górę windą, patrzyłam na swoje odbicie w przydymionym lustrze, zasluchana w dźwięki płynącej z głośników muzyki klasycznej.

- Wyglądasz okropnie - powiedziałam sobie prosto w nos.

Światło na ósmym piętrze było przyćmione. Panowała głucha cisza. Poruszając się na palcach niczym złodziej, dotarłam do drzwi swojego pokoju i otworzyłam je. Nie dotarła tu średniowieczna stylizacja. Z czternastowiecznej Anglii przeniosłam się wprost na Dziki Zachód. Widać o wystroju wnętrza zdecydował jeszcze poprzedni właściciel hotelu. Utrzymane było w kolorach przygaszonego poma-rańcu i brązu, tłoczona tapeta udawała boazerię. Narzutę zdobił wzór złożony z kaktusów i siodeł. W kilku miejscach naszyto na nią kolorowe łatki imitujące znaki wypalane na zadach bydła. Rozejrzałam się ciekawie po pokoju, po czym ruszyłam na obchód pozostałych pomieszczeń.

Na prawo od drzwi wejściowych, w niewielkim przedpokoju umieszczono szafę dwudrzwiową. W części z drąż-

kiem wisiały cztery drewniane wieszaki. Dodatkowo znalazłam tam żelazko i rozkładaną deskę do prasowania na metalowych nóżkach. Naprzeciwko szafy zamontowano umywalkę. Wisiała nad nią szafka z lustrem, a obok niej, na ścianie po prawej stronie - suszarka do włosów na haczyku. Na blacie stał spory ekspres do kawy, a przy nim koszyczek z kilkoma torebkami cukru i śmietanki w proszku. W drugim koszyczku umieszczono małe buteleczki szamponu, odżywki do włosów i balsamu oraz foliowy woreczek z czepkiem do kąpielii i miniaturowy zestaw do szycia. W łazience królowała akrylowa wanna. Mniej więcej na wysokości szyi kąpiącej się w niej osoby od ściany odchodził drążek, na którym wisiała słuchawka prysznicowa. Na zasłonce widniały podkowy i wierzgające rumaki. Prócz wanny w łazience były jeszcze toaleta, trzy ręczniki kąpielowe wiszące na drążkach, jasny dywanik oraz dziwaczna gumowa mata antypoślizgowa, która miała zredukować ryzyko upadku podczas kąpieli, a tym samym oszczędzić hotelowi uciążliwych procesów o odszkodowanie.

Barku nie przewidziano, w pokoju wypatrzyłam jednak słoiczek landrynek w celofanowych papierkach o czterech owocowych smakach. Mniemam. Cóż za gościnność. Do tego dostałam telefon, kablówkę i radio z budzikiem. Rano zadzwonię do Henry'ego i wypytam go o wieści z Santa Teresa. Zasunęłam zasłony i zdjęłam ubranie, rozwieszając je starannie na skromnej kolekcji wieszaków. Wyprałam bieliznę, dodając do wody kilka kropli szamponu. Uznałam, że w razie potrzeby wysuszę ją suszarką albo żelazkiem, żeby nie wkładać mokrej. Zadzwoniłam do American Airlines. Okazało się, że z Dallas do Palm Beach pierwszy samolot leciał dopiero przed południem, co oznaczało, że Laura zostanie tu na noc.

O wpół do czwartej nad ranem powiesiłam wreszcie na klamce od zewnątrz napis: NIE PRZESZKADZAĆ i wsunęłam się nago do łóżka. Niemal natychmiast zapadłam w głęboki, spokojny sen. Jeśli Laura Huckaby postanowi czmychnąć i wymelduje się w ciągu najbliższych godzin, cóż, droga wolna. Wsiądę wtedy do samolotu i wrócę do domu.

Ocknęłam się koło południa. Wyszczotkowałam zęby podróżną szczoteczką, żeby pozbyć się przykrego nalotu z języka. Wzięłam prysznic, umyłam głowę i z powrotem wskoczyłam we wczorajsze ubranie, wkładając zapasowe majtki, bo te wyprane wczoraj wciąż były wilgotne. Następnie zjadłam pożywne śniadanie złożone z kawy z dwiema torebkami cukru i dwiema śmietankami oraz czterech landrynek, dwóch pomarańczowych i dwóch wiśniowych. Kiedy w końcu rozsunęłam zasłony, aż zmrużyłam oczy od blasku ostrego teksańskiego słońca. Na zewnątrz po horyzont rozciągał się suchy płaskowyż, bez śladu drzew i krzewów. W jasnym świetle promieni słonecznych za oknem widziałam tylko inne budynki. Na końcu pobliskiej uliczki wznosił się biurowiec z lustrzaną fasadą. Po prawej biegła szeroka, czteropasmowa autostrada i ginęła za horyzontem. Nigdzie nie dostrzegłam drogowskazów z określeniem kierunków. Miałam wrażenie, że hotel wzniesiono w samym środku przemysłowo-handlowego kompleksu, którym dzielili się co najwyżej dwaj dzierżawcy. Po lewej stronie pojawiła się grupa biegaczy. Wyglądali na bardzo młodych, większość chodziła pewnie do gimnazjum - byli w wieku, kiedy ciała zaczynają się zmieniać, ale nie u wszystkich jednocześnie, przez co prezentowali całą galerię typów. Wysocy, niscy,



korpułentni i chudzi jak szkapy o gruzłowatych kolanach. Biegli w miarę równym tempem, najślabi zamykali stawkę. Wszyscy mieli na sobie granatowe szorty i zielone błyszczące koszulki, ale z tej odległości nie mogłam odczytać nazwy szkoły.

Znów zaciągnęłam zasłony i wróciłam do łóżka. Rozciągnęłam się wygodnie, opierając plecy na poduszkach. Sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Henry'ego. Ledwie podniósł słuchawkę, powiedziałam:

- Zgadnij, gdzie jestem.

- W pudle. Roześmiałam się.

- W Dallas.

- Specjalnie mnie nie zaskoczyłaś. Rano rozmawiałem z ehesterem. Wiem, że kogoś śledziłaś.

- Co u Bucky'ego? Odkrył już, co zginęło?

- O ile wiem, to nie. Ponoć złodziej poodrywał dna kuchennych szafek. Meblując mieszkanie, Johnny urządził sobie skrytkę pod zlewem. Być może już wcześniej była pusta, ale bardziej prawdopodobne jest to, że włamywacz coś z niej zabrał.

- Staremu mało było sejfu? Ciekawe, co tak ukrywał?

- Chester twierdzi, że dokumenty z czasów wojny.

- Wiem. Mnie też o tym wspomniał. Nie wierzę w to, ale sprawdzę, co się da. Facet, którego widziałam tamtego wieczoru, oddał torbę żonie albo dziewczynie. Zabrała ją ze sobą na pokład samolotu. Gość został na lotnisku, ale pewnie w swoim czasie do niej dołączy. Dziewczyna kupiła bilet do Palm Beach, ale wysiadła w Dallas. A ja, oczywiście, za nią.

- Oczywiście. W końcu dlaczego nie?

Uśmiechnęłam się, słysząc jego ton.

- Zadzwoń na policję i powiedz, żeby sprawdzili motel Capri. Za bardzo się spieszyłam, żeby wspomnieć o tym Chesterowi. Nie znam numeru pokoju, ale to druga chata po prawej w drugim rzędzie. Być może zastaną tam jeszcze tego gościa, choć pewnie do tej pory już się wymeldował.

- Zaczekaj, zapiszę to sobie i przekażę policji.

- A co z Rayem? Myślisz, że maczał w tym palce?

- W jakiś sposób na pewno jest w to zamieszany. Policjanci próbowali go przesłuchać, ale milczy jak zakłęty. Nawet jeśli coś wie, na pewno nam tego nie powie.

- Pewnie ktoś wydusił z niego informacje o skrytce -podsunęłam.

- Też tak myślę. Jeden z policjantów zawiózł go na ostry dyżur do St. Terry's, ale jak tylko doktor go opatrzył, zniknął i słuch po nim zaginął.

- Zrób coś dla mnie. Jedź do hotelu Lexington i sprawdź, czy się tam nie ukrył. Pokój czterysta siedem. Nie dzwoń i nie uprzedzaj, że przyjdiesz. Pewnie nie podniesie słuchawki, ale...

- To nic nie da - przerwał mi Henry. - Już za późno. Uciekł i pewnie się tu więcej nie pokaże. Bucky był rano w tym hotelu. Pokój już posprzątało. Ray się przestraszył, bo policja uznała go za ważnego świadka. A co z tobą? Powiedzieć gliniarzom, co widziałaś?

- Możesz, ale nie sądzę, żeby coś im to dało. Kiedy już dowiem się, co jest grane, sama zadzwonię na komisariat w Santa Teresa. Do Dallas ich władza nie sięga, a poza tym nie wiemy przecież, do jakiego przestępstwa doszło.

- Do pobicia, między innymi.

- Owszem, ale Ray zniknął. A jeśli się pojawi, może powiedzieć, że nie widział napastnika albo że nie chce wnosić oskarżenia. A co do włamania... Nie wiemy nawet, co zginęło, o tożsamości włamywacza nie wspomnę.

- Ponoć go widziałaś.

- Widziałam, że wyszedł z mieszkania Johnny'ego, a nie że coś z niego ukradł.

- A dziewczyna z torbą?

- Może nie wie nawet, co przewozi, i z całą pewnością nie brała udziału w pobiciu Raya.

- Nie wystarczy, że wywiozła z Kalifornii skradzione przedmioty?

- Nie, bo nie wiemy, czy to, co ma w torbie, zostało skradzione - powtórzyłam. - Poza tym może powiedzieć, że niczego nie podejrzewała. Mąż wrócił do domu, a ona wybierała się na wycieczkę. Poprosił, żeby zabrała ze sobą torbę. Brzmi wiarygodnie.

- Co zamierzasz?

- Jeszcze nie wiem. Chętnie zgarnęłabym jakoś tę torbę i zajrzała do środka. Może to by coś wyjaśniło.

- Kinsey... - W głosie Henry'ego zabrzmiało ostrzeżenie.

- Nie martw się. Nie będę ryzykować bez potrzeby.

- Nie znoszę, gdy tak mówisz. Za dobrze cię znam. - Westchnął. - Gdzie się zatrzymałaś? Podaj mi numer.

Odczytałam cyfry zapisane na podkładce telefonu.

- Hotel nazywa się Desert Castle. Jest niedaleko lotniska w Dallas. Pokój osiemset piętnaście. Dziewczyna od torby mieszka wyżej, na dwunastym piętrze.

- Jaki masz plan?

- Przyłapałeś mnie. Żadnego - przyznałam. - Zaczekam

na jej ruch. Kupiła bilet do Palm Beach. Jeśli wróci na lotnisko i wsiądzie do samolotu, polecę razem z nią. Henry milczał przez chwilę.

- Wystarczy ci na to pieniędzy?

- Mam jakieś czterdzieści dolców gotówką i bilet powrotny do domu. Póki nie skończy się limit na karcie, dam sobie radę. Mam nadzieję, że przekonałeś Chestera co do moich umiejętności. Liczę, że zwróci mi wydatki.

- Nie podoba mi się to wszystko.

- Ja też nie jestem zachwycona, ale chcę wiedzieć, co się tu dzieje.

- Pamiętaj, żeby nie popaść w konflikt z prawem.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym znała prawo stanu Teksas.

8

Zeszłam do hotelowego lobby i dokładnie je sobie obejrzałam, żeby rozeznąć się w sytuacji. Za dnia czerwone aksamitne kotary i pozłacany blichtr przywodziły na myśl ponury, opustoszały teatr. Błady gość w czerwonym uniformie przesuwiał metodycznie szczotkę odkurzacza po dywanie. Zniknęli pracownicy nocnej zmiany - za kontuarem recepcji roіło się od ubranych w jednakowe granatowo-białe mundurki młodych ludzi. Tu nie mogłam liczyć na pomoc. Moją nietypową prośbę przekazano by kierownikowi zmiany, asystentowi menedżera, menedżerowi albo innej ważnej osobie, która potraktowałaby moje życzenie z odpowiednią dozą sceptycyzmu. Wiedziałam, że aby zdobyć informacje, muszę uciec się do podstępu, czyli mówiąc wprost - do kłamstwa i oszustwa.

Większość gości hotelowych szuka w lobby miejsc mogących zaspokoić ich potrzeby: kontuaru recepcji, restauracji, sklepów z pamiątkami, toalet, automatów telefonicznych, barów, sal konferencyjnych i pokoiów spotkań. Ja tymczasem zamierzałam znaleźć biura personelu. Obeszłam drążki zagradzające wejście i pchnęłam szklane drzwi wiodące do wyłożonego grubą wykładziną korytarza. Ściany zdobiły drewniane rzeźbione panele. Światło było przytłumione. Na drzwiach biur kierowników działów lśniły miedziane tabliczki.

W tej części hotelu nie dbano już o stylizację - ani średniowieczną, ani rodem z westernów. Była sobota, ciemne przeszklone biura szefów działu handlu i ochrony świeciły więc pustkami. Wypisane złotymi głoskami godziny urzędowania jasno dawały do zrozumienia, że mogę tu robić, co dusza zapagnie, aż do poniedziałku, do dziewiątej rano. W pobliżu na pewno kręcili się jacyś strażnicy, żadnego z nich jednak nie widziałam. Kierowniczką działu sprzedaży nazywała się Jillian Brace, a szef ochrony - Burnham J. Pauley. Zapamiętałam te nazwiska, po czym ruszyłam na obchód pozostałych pomieszczeń administracyjnych. Dotarłam do kolejnych drzwi na końcu korytarza.

Wróciłam do recepcji. Cierpliwie czekałam, aż jeden z kręcących się tam młodych mężczyzn znajdzie dla mnie chwilkę. Wreszcie podszedł dwudziestoparolatek: gładko ogolony, ze świeżą cerą, błękitnymi oczami i lekką nadwagą. Plakietka na piersi głosiła, że nazywa się Todd Luckenbill. Jego rodzice zadbali o to, by miał równe zęby, nienaganne maniery i dobrą prezencję. Żadnych kolczyków, ćwieków w nosie, widocznych tatuaży.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał.

- Mam nadzieję. - Uśmiechnęłam się do niego promiennie. - Przyjechałam do Dallas na krótko w sprawach rodzinnych, wiem jednak, że mój szef poszukuje sali na dużą konferencję handlową, która odbędzie się wiosną przyszłego roku. Chętnie poleciałabym mu to miejsce, chciałabym jednak poznać lepiej waszą ofertę. Czy kierownik działu sprzedaży jest dziś w pracy?

- To kobieta, kierowniczką - poprawił mnie Todd z uśmiechem. - Jillian Brace. Niestety, nie pracuje w weekendy. Proszę przyjść w poniedziałek rano. Przychodzi przed dziewiątą. Chętnie udzieli pani wszystkich informacji.

- Bardzo bym chciała, ale o szóstej mam samolot. Da mi pan jej wizytówkę? Zadzwoń tu po powrocie do Chicago.

- Oczywiście. Proszę poczekać. Zaraz przyniosę.

- Bardzo proszę. Aha, i jeszcze jedno, póki pamiętam. Mój szef jest bardzo czuły na punkcie bezpieczeństwa. W zeszłym roku mieliśmy drobne problemy w pewnym bardzo znanym hotelu. Na pewno będzie chciał omówić szczegóły z szefem ochrony, zanim zdecyduje się przyjechać.

- Czym się państwo zajmujecie?

- Bankowością inwestycyjną. Na wysokim szczeblu.

- Proszę porozmawiać z panem Pauleyem. To nasz szef ochrony. Przynieść i jego wizytówkę?

- Bardzo proszę. Będę bardzo wdzięczna.

- Nie ma za co.

Kiedy go nie było, wybrałam kilka widokówek ze stojaka na ladzie. Na jednej z nich, na lśniącym papierze uwieczniono front hotelu z szeroko otwartymi drzwiami, przez które widać było bordowoczerwone kotary z lobby

i dwóch heroldów w tunikach dmących w fanfary dłuższe od ich ramion. Rozejrzałam się, ale nigdzie ich nie dostrzegłam. Pewnie mieli dziś wolne. Chwilę później wrócił Todd z wizytówkami. Podziękowałam mu i przeszłam do jednej z wnęk, gdzie stał mahoniowy stolik i dwa kryte aksamitem fotele.

W szufladzie stolika znalazłam notes hotelowy. Wyjęłam go i zapisałam kilka potrzebnych informacji. Wzięłam głęboki oddech, podniosłam słuchawkę jednego z telefonów wewnętrznych i poprosiłam o połączenie z pokojem Laury Huckaby. Zapadło milczenie.

- Przykro mi, ale nie mieszka u nas nikt o tym nazwisku - powiedziała wreszcie telefonistka.

- Nie? To dziwne... Wobec tego proszę połączyć mnie z panią Hudson.

Nie doczekałam się odpowiedzi, ale usłyszałam sygnał świadczący, że otrzymam połączenie z żądanym pokojem. Miałam nadzieję, iż odbierze kobieta, o którą mi chodziło. Na wszelki wypadek napisałam sobie na kartce jej nazwisko i wzięłam je w kółeczko, żeby się nie pomylić.

Słuchawkę podniesiono po pierwszym sygnale.

- Farley? - spytał zniecierpliwiony kobiecy głos. Farley? A cóż to za imię? Ciekawe, czy chodzi o faceta, który w Santa Teresa odprowadził ją na lotnisko.

- Pani Hudson? Mówi Sara Fullerton, asystentka Jillian Brace z działu marketingu i sprzedaży. Jak się pani czuje? - Staralam się mówić ciepłym, fałszywie serdecznym tonem, jaki w odniesieniu do gości przyjmują pracownice centrali wszystkich hoteli na świecie.

- Dobrze - odpowiedziała niepewnie Laura. Pewnie już się zastanawiała, o co chodzi.

- Miło mi to słyszeć. Prowadzimy anonimową ankietę wśród naszych gości. Chciałabym zadać pani kilka pytań. Obiecuję, że zajmie to góra dwie minuty. Zechce mi je pani poświęcić?

Laura nie miała ochoty na rozmowę, to było jasne, ale też nie chciała odprawić mnie z kwitkiem.

- No dobrze, ale proszę się pospieszyć. Czekam na ważny telefon. Wolałabym nie blokować linii.

Serce waliło mi jak młotem. Zaraz się okaże, czy trafiłam do właściwej osoby.

- Rozumiem. I bardzo dziękuję za pomoc. Z formularza meldunkowego wynika, że przyleciała pani wczoraj w nocy z Santa Teresa z Kalifornii, lotem numer pięćset osiem linii American Airlines. Czy to się zgadza?

Chwila ciszy.

- Pani Hudson? Jest tam pani?

- Tak. - Znow ten ostrożny ton.

- Lądowanie o pierwszej czterdzieści pięć?

- Zgadza się.

- Czy bez problemów zamówiła pani z lotniska transport do hotelu?

- Tak. Wystarczyło podnieść słuchawkę i wybrać numer.

- Czy bus zjawił się punktualnie?

- Tak mi się zdaje. Czekałam tylko kwadrans.

- Rozumiem. Czy kierowca był uprzejmy i starał się pomóc?

- Był w porządku.

- Jak oceniłaby pani przyjęcie w recepcji? Została pani obsłużona bardzo dobrze, dobrze, odpowiednio czy nie najlepiej?

- Bardzo dobrze. Obyło się bez problemów.



- Miło mi to słyszeć. Jak długo zamierza pani u nas zostać?
- Jeszcze nie wiem. Na pewno spędzę tu przynajmniej jedną noc. Czy mam panią powiadomić, gdy podejmę decyzję?
- Nie trzeba. Cieszymy się, że wybrała pani nasz hotel na dowolnie długi pobyt. Teraz proszę potwierdzić numer pokoju.
- Dwanaście trzydzieści sześć.
- Znakomicie. Zgadza się. To było ostatnie pytanie. Dziękuję za cierpliwość, pani Hudson i życzę przyjemnego pobytu w naszym hotelu. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę niezwłocznie zawiadomić o tym personel.

Teraz musiałam jeszcze znaleźć sposób, by dostać się do jej pokoju. Ponownie obeszłam lobby, tym razem szukając wyjścia na tyły budynku. Liczyłam, że natknę się na windy towarowe, zapasową klatkę schodową, drzwi bez oznaczenia albo z napisem: „Wstęp tylko dla personelu”. W końcu znalazłam drzwi z tabliczką głoszącą: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Oczywiście, weszłam do środka. Stałam przed kilkoma betonowymi stopniami wiodącymi do kolejnych drzwi z ostrzeżeniem: „Przejścia nie ma”. Jak widać, ktoś wierzył w moc takich napisów, bo drzwi były otwarte. Wyjrzałam na zewnątrz.

Każdy hotel ma dwie twarze. Pierwsza przeznaczona jest dla gości: czyste pomieszczenia, dywany, tapicerka, lśniące dodatki, rzeźby, wypolerowane drewno. Druga prezentuje się znacznie mniej dostatnio. Korytarz, do którego weszłam, miał gładkie betonowe ściany i podłogę wyłożoną brązowym winylem. W dusznym powietrzu

unosila się mieszanina zapachu smażenia, smaru i wilgotnych ścierek. Wysoko pod sufitem biegły rury, grube kable i przewody wentylacyjne. Słyszałam grzechot naczyń, nie potrafiłam jednak określić, skąd dobiega.

Rozejrzałam się. Po lewej zauważyłam podniesione metalowe drzwi, za którymi ciągnęła się strefa wyładunku i załadunku towarów. Wielkie ciężarówki stały w zatoczkach. W rogach pomieszczenia wisiały kamery przemysłowe. Mechaniczne oczy obserwowały każdego, kto znalazł się w ich zasięgu. Nie chciałam, by ktokolwiek odkrył moją obecność, odwróciłam się więc i pomaszero wałam w przeciwnym kierunku.

Po kilku krokach w głąb korytarza skręciłam za róg i znalazłam się w pierwszej z wielu kuchni, które łączyły się ze sobą, tworząc wielki labirynt. Na wprost mnie stało rzędem sześć ogromnych maszyn do lodu. Nieopodal czekało ze dwadzieścia metalowych wózków do rozwożenia posiłków. Podłogi były świeżo umyte. Lśniły wilgocią i śmierdziały płynem dezynfekcyjnym. Weszłam ostrożnie w głąb pomieszczenia, mijając duże stalowe miski do mikserów, kotły i przemysłowe zmywarki z funkcją wyparzania naczyń. Co jakiś czas zerkał na mnie któryś z pracowników w białym fartuchu i czapce, nikt jednak nie wydawał się zdziwiony moim widokiem. Czarnoskóra kobieta kroila zieloną paprykę. Biały mężczyzna pchał przed sobą wózek z jedzeniem. Zawartość talerzy ukrywały przed moim wzrokiem plastikowe pokrywki. Minęłam wielkie piekarniki i lodówki wielkości kostnicy w szpitalu miejskim w Santa Teresa, a potem kolejnych pracowników kuchni. Odziani w białe fartuchy, siatki na włosy

i długie gumowe rękawice myli warzywa na surówki, po czym rozkładali je na talerze stojące na długim blacie ze stali nierdzewnej.

Zajrzałam do ogromnego magazynu, który wielkością dorównywał zbrojowni Gwardii Narodowej. Zgromadzono w nim kartony buteleczek keczupu i słoików musztardy, oliwek oraz marynowanych warzyw. Na półkach leżały niezliczone bochenki chleba tostowego w folii. Obok stały ruszty pełne rogalików, tart, serników, placków i bułek. Plastikowe kontenery wypełniały świeże warzywa. W powietrzu unosiła się mieszanka ostrych zapachów: krojonej cebuli, podgrzewanego sosu pomidorowego, gotowanej kapusty, selera, cytrusów, drożdży - przełamana chemicznym odorem środków czyszczących. Razem tworzyły woń drażniącą nozdrza. Zmarszczyłam nos, mając świadomość, że mój mózg rejestruje te zapachy i reaguje obrzydzeniem. Z ulgą stamtąd wyszłam. Zrobiło się dużo chłodniej i nagle omal nie zapachniało mi lasem. Znów byłam w korytarzu. Skręciłam w prawo.

Na wprost mnie stały pod ścianą ustawione jeden za drugim wózki na pościel. Zamocowane na nich żółte lniane worki wypełniały góry zużytych prześcieradeł, poszewek i ręczników. Minęłam je i zaczęłam zaglądać do wszystkich pomieszczeń, obok których przechodziłam. Przystanąłam przy drzwiach pralni: ogromnego pokoju pełnego przytwierdzonych do ścian pralek, z których większość była wyższa ode mnie. Pod sufitem biegł pas transmisyjny, z którego zwieszały się na hakach wielkie siatkowe torby na pościel. Gdzieś w głębi huczały przemysłowe suszarki. Powietrze wydawało się gęste od

zapachu wilgotnego płótna i detergentów. Dwie kobiety w fartuchach pracowały zgodnie przy maszynie, która prasowała i składała hotelowe prześcieradła. Mechanicznymi ruchami zabierały złożoną pościel. Szybko składały ją po raz ostatni i odkładały na bok, bo maszyna już podawała kolejną sztukę.

Ruszyłam dalej w głąb korytarza. Zwolniłam przy drzwiach, których górna połowa była otwarta, dolna zaś wyposażona w wąską półeczkę tworzącą ladę. Napis nad framugą głosił: „Ubrania robocze”. Proszę, proszę... Przystanęłam i zajrzałam w głąb pomieszczenia, w którym czyszczono uniformy pracowników hotelu. Wielka maszyna do czyszczenia chemicznego świadczyła, że w tygodniu odświeżano tu co najmniej kilkaset mundurków, które następnie prasowano, pakowano w worki i wieszano na hakach transportera taśmowego, gdzie czekały, aż odbierze je ktoś z pracowników.

Oparłam dłonie na ladzie i wsadziłam głowę w głąb pomieszczenia, próbując zajrzeć za gęstwinę pokrowców na ubrania. Chyba nikogo tam nie było.

- Halo? Jest tu kto?

Cisza.

Sięgnęłam w dół do gałki i otworzyłam dolną połowę drzwi. Podeszłam do wieszaków i przyjrzałam się uniformom. Wszystkie składały się z krótkiej czerwonej spódnicy i wkładanej na nią czerwonej tuniki. Trudno było zgadnąć rozmiar. Na kartkach przypiętych do wieszaków zapisano ręcznie imię posiadaczki uniformu: Lucy, Guadelupe, Juanita, Lateesha, Mary, Gloria, Nettie i tak dalej. Wybrałam trzy pokrowce na chybił trafił i pospiesznie wyszłam na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Pomóc w czymś?

Podskoczyłam, omal nie wpadając na potężną białą kobietę w czerwonym uniformie, która stała tuż za mną. W głowie czułam pustkę.

Jej nozdrza zadrżały, jakby wyczuła oszustwo.

- Co robisz z tymi mundurkami?

Podnosząc głowę, widziałam jej dziurki od nosa. Nie był to przyjemny widok. Na plakietce widniał napis: Spitz, kierowniczka pralni.

- Dobrze pytanie, pani Spitz. Właśnie pani szukałam. Jestem asystentką Jillian Brace z działu sprzedaży i marketingu. - Wolną ręką sięgnęłam do kieszeni, wyjęłam wizytówkę i pomachałam jej przed nosem.

Wzięła ją i przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu, mrużąc oczy.

- Burnham J. Pauley - przeczytała. - Co tu jest grane? Każda fałdka jej wielkiej twarzy zdradzała podejrzliwość.

- Cóż... Dobrze, że pani pyta. Bo... Dyrekcja rozważa możliwość zakupu nowych uniformów. Z powodów bezpieczeństwa. Pan Pauley poprosił panią Brace, żeby pokazała mu obecnie używane fasony.

- W życiu nie słyszałam takich bzdur - warknęła. - Jak dyrekcja zapewne wie, te uniformy dostaliśmy dopiero niedawno. Mam dość szarogęszenia się tych z góry. Powiedziałam już na zebraniu panu Tompkinsowi, że pralnia to mój teren i tak ma zostać. Zaczekaj tutaj. Zaraz do niego zadzwonię. Nikt z góry nie będzie mi tu wtykał nosa.

Nawet jej oddech miał zapach detergentów. Spojrzała na mnie surowo.

- Jak się nazywasz?

- Vikki Biggs.

- Gdzie masz plakietkę?

- Na górze.

Wycelowała we mnie grubym paluchem.

- Nie ruszaj się stąd. Dowiem się, o co tu chodzi. Mają czelność nasyłać na mnie, nie wiadomo kogo. Jaki jest wewnętrzny do Jillian Brace?

- Dwieście dwa - odpowiedziałam machinalnie. Rozumiecie teraz? Wrodzone zdolności czasem się przydają, a ja miałam nieograniczoną wprost wyobraźnię. Otwierałam usta i kłamałam jak z nut. Ktoś mniej uzdolniony z pewnością by sobie nie poradził.

Kobieta weszła do pralni, poruszając się z zadziwiającą jak na jej tuszę zręcznością. Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Przewiesiłam sobie pokrowce przez lewe ramię i wolno ruszyłam korytarzem. Serce waliło mi jak młotem. Ledwie skręciłam za róg, puściłam się biegiem. Wypadłam na klatkę schodową i zaczęłam przeskakiwać po dwa stopnie naraz. Nie zamierzałam ryzykować i iść do windy. Niemal widziałam, jak Spitz zawiadamia ochronę, a strażnicy rozbiegają się po hotelu, by mnie odnaleźć. Nim dotarłam na trzecie piętro, sapałam już ze zmęczenia, ale nie zwolniłam. Na szóstym poczułam palenie w płucach. Miałam wrażenie, że za chwilę wyskoczą mi rzepki z kolan. Ledwie doczołgałam się na ósme. Na znajomym terenie odetchnęłam z ulgą. Mój pokój znajdował się tuż za rogiem.

Otworzyłam drzwi opatrzone numerem osiemset piętnaście. Skradzione mundurki przewiesiłam przez oparcie krzesła i rzuciłam się na świeżo pościelone łóżko. Roześmiałam się w głos, próbując uspokoić oddech. Pani Spitz powinna częściej badać poziom hormonów albo brać mocniejsze lekarstwa. Jeśli będzie dalej narzekać

na dyrekcję, w końcu wyleci stąd z hukiem. Bałam się trochę, że ktoś zacznie się dobijać do pokoju, żądając wyjaśnień. Już zaczęłam układać sobie w głowie zręczne kłamstewko.

Wstałam jednak i zamknęłam drzwi na łańcuch. Przez kilka minut przymierzałam mundurki. Pierwszy z nich pasował najlepiej. Przyjrzałam się sobie w dużym lustrze. Spódnica była trochę za szeroka w talii, ale nie miało to znaczenia, gdy włożyłam tunikę. Do każdego z uniformów przyczepiono szpilkami kawałek białej tkaniny, którą należało przypiąć do dekoltu, tworząc kołnier. Krótkie rękawki tuniki miały niewielkie bufki. Kolor też nie był najgorszy. Ubrana w mundurek, z gołymi nogami i w adidasach wyglądałam, jakbym umiała w mgnieniu oka wyczyścić toaletę.

Włożyłam z powrotem dzinsy i schowałam mundurek do szafy. Nie bardzo wiedziałam, co zrobić z pozostałymi dwoma, złożyłam je więc razem i upchnęłam w szufladzie biurka. Obiecałam sobie, że przed wyjazdem znajdę lepszą kryjówkę.

Zjadłam lunch dostarczony do pokoju, bo trochę bałam się kręcić po hotelu. O czternastej wyszłam na korytarz, by zorientować się w sytuacji. Zlokalizowałam gaśnicę, dwa wyjścia ewakuacyjne i maszynę do lodu. Telefon wewnętrzny stał na konsolce na wprost windy. W schowku na końcu korytarza znalazłam dwa wepchnięte pod dziwacznymi kątami wózki na pościel. Weszłam tam. Przez kilka minut rozglądałam się po wnętrzu schowka. Dojrzałam kilka żelazek i desek do prasowania, niżej dwa odkurzacze. W tylnej ścianie mieściła się wielka szafa na pościel, a w niej ułożone równo aż pod sufit stosy

prześcieradeł, poszewek i ręczników. Obok leżały worki papieru toaletowego i ręczników papierowych, a także palety pełne miniaturowych buteleczek kosmetyków. Super. Coraz bardziej mi się tu podobało. Stosy ręczników zasłaniały twarz, ułatwiały więc zwykłe wejście do cudzego pokoju. Na jednej z półek znalazłam plastikową zawieszkę na klamkę z napisem: „Sprzątanie”, utrzymującą gości na dystans.

Mój plan nabierał kształtów, zeszłam więc do sklepu z pamiątkami i kupiłam sobie książkę. Musiałam wybrać jeden z piętnastu łzawych romansów, jakimi zawsze zavalone są półki w hotelach. Skusiłam się też na paczkę miętowych ciasteczek w czekoladzie i napój. Wracając do siebie, przystanęłam przy jeden z aparatów telefonicznych i wybrałam numer pokoju Laury. Kiedy odebrała, wymamrotałam:

- Przepraszam, pomyłka. - I odwiesiłam słuchawkę. Jej głos brzmiał tak, jakbym przeszkodziła jej w drzemce.

Popołudnie spędziłam na lekturze, po czym dowiodłam całkowitego braku wyobraźni, zamawiając do pokoju obiad, który okazał się repliką lunchu. Składały się nań cheeseburger, frytki i dietetyczna cola.

Tuż po dziewiętnastej zdjęłam dżinsy i założyłam fikuśny czerwony mundurek. Nie podobały mi się wprawdzie adidas na gołych nogach, ale czy miałam inne wyjście? Do jednej z kieszeni wepchnęłam ciasteczka, z szuflady wyjęłam pozostałe uniformy. Zamknęłam drzwi na klucz, wsunęłam go do drugiej kieszeni i pomaszerowałam rażno w stronę schodów pożarowych. Na dziesiątym piętrze zatrzymałam się na chwilę, żeby zostawić mundurki w schowku na końcu korytarza. Nie chciałam, by jakaś pokojówka odpowiadała za kradzież.



Dwunaste piętro miało dokładnie taki sam rozkład jak ósme, tyle że schowek był mniej zagracony. Chwyciłam ściereczkę do kurzu oraz odkurzacz. Znalazłam w korytarzu gniazdko i zaczęłam przesuwając ssawką po wykładzinie, z każdym krokiem zbliżając się do pokoju Laury Huckaby. Wykładzina przypominała wyglądem łąkę ze snu szaleńca pełną geometrycznych kształtów. Przez jej środek biegła hipnotyzująca linia złożona z nachodzących na siebie trójkątów w kolorach złota i zieleni.

Odkurzanie zawsze mnie odprężyło: spokojne, powtarzalne ruchy, szum odkurzacza i pełne triumfu grzechotanie, gdy ssawka wciągnie jakiś większy przedmiot. Kolorowa wykładzina pewnie nigdy dotąd nie była tak starannie czyszczona. Pociłam się przy tym, owszem, ale za to mogłam wałęsać się po korytarzu do woli.

O siódmej trzydzieści sześć usłyszałam charakterystyczne *ping* sygnalizujące przybycie windy i w korytarzu pojawił się kelner z tacą. Zmierzał do pokoju dwanaście trzydzieści sześć. Zapukał, opierając tacę na ramieniu. Przysunęłam się w jego stronę, nie przerywając odkurzania. Chciałam zerknąć na Laurę, gdy otworzy mu drzwi. Była boso. Wyglądała bardzo grubo w hotelowym szlafroku, spod którego wystawała długa do ziemi koszula nocna. Strój ten świadczył, że szykowała się już do snu, co bardzo mi odpowiadało. Kelner zniknął w pokoju. Po chwili pojawił się ponownie. Minął mnie, jakbym była powietrzem, przywołał windę i zjechał na dół. Nie spuszczałam oka z drzwi Laury, na wypadek gdyby ktoś się u niej pojawił lub gdyby zmieniła zdanie i postanowiła gdzieś wyjść.

Kiedy miałam już dość odkurzania, chwyciłam ściereczkę, osunęłam się na kolana i zaczęłam wycierać drewniane panele biegnące wzdłuż ścian. Widać było, że od lat

nie tknęła ich ręka pokojówki. Detektyw mężczyzna na pewno nie posunąłby się aż tak daleko w swoich obserwacjach. Od czasu do czasu przechylałam głowę i nasłuchiwałam, ale z pokoju Laury nie dobiegał żaden dźwięk. Może gdybym zaszczekała i zaczęła skrobać w drzwi, chętniej by mnie wpuściła. Wokół kręcili się goście, ale żaden nie zwrócił na mnie uwagi.

Wiecie, czego się dowiedziałam na tym korytarzu? Ze ludzie rzadko patrzą pokojówkom w oczy. Czasem ktoś przemknie spojrzeniem po ich twarzach, ale nie poświęci im aż tyle uwagi, by w razie czego potem je rozpoznać. Cieszyłam się z tego, nawet mogąc przypuszczać, że w Teksasie przebieranie się za pokojówkę nie jest uważane za czyn karalny.

Piętnaście po ósmej odniosłam odkurzacz do schowka. Z szafy wyjęłam stos świeżych ręczników. Zapukałam do drzwi pokoju dwanaście trzydzieści sześć i dźwięcznym głosem zawołałam:

- Obsługa hotelowa!

Chwilę później Laura Huckaby otworzyła.

- Tak? - spytała przez szczelinę w drzwiach zamkniętych na łańcuch. Jej niepodkreślone tuszem piwne oczy wydawały się blade i bez wyrazu. Policzki i nos obsypane były jasnymi piegami, które wcześniej maskował podkład. Podbródek znaczyła charakterystyczna dziurka, której dotąd nie zauważyłam.

Wbiłam oczy w gałkę u drzwi, by nie wyglądać arogancko.

- Przyszłam pościelić łóżko.

- To standardowa usługa? - Ton jej głosu świadczył, że pomysł ten wydał jej się absurdalny.

- Tak, proszę pani.

Przez chwilę milczała, po czym wzruszyła ramionami.

- Chwileczkę - powiedziała i zamknęła drzwi. Kilka minut później zdjęła łańcuch i wpuściła mnie do środka.

Zdumiewające, ile można dostrzec kątem oka. I jaka ta Laura jest próżna! Kazała mi czekać, bo nakładała makijaż! Splątane rude włosy były świeżo umyte i gładko opadały jej na policzki. W ciepłym wilgotnym powietrzu łazienki unosił się zapach szamponu. Położyłam ręczniki na blacie przy umywalce, weszłam w głąb pokoju i zaciągnęłam zasłony. Telewizor był włączony, głos ściszone do minimum. Laura rzuciła klucz na blat biurka. Natychmiast zaswędziały mnie ręce, by go zabrać. Wygnieciona narzuta i przesunięty telefon świadczyły o tym, że niedawno leżała na łóżku i rozmawiała z kimś. Może wreszcie zadzwonił ten ktoś, na kogo czekała. Rozejrzałam się. Nigdzie nie dostrzegłam nawet śladu tajemniczej torby.

Laura usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać magazyn. Skrzyżowała nogi, spod koszuli błysnął kawałek nagiej skóry. Na prawej kostce, łydce i wyżej aż do kolana widać było stare siniaki, których krawędzie już się zażółciły. Czyżby kędzierzawy koleś okładał ją w przyпіływie złości? To by wyjaśniało, dlaczego traktowała go tak chłodno i dlaczego miała obsesję na punkcie własnego wyglądu. Taca z kolacją stała przed nią na biurku, zmięta biała serwetka leżała rzucona niedbale na brudne talerze. Cokolwiek zamówiła, niewiele tego zjadła. Wydawała się skrepowana obecnością pokojówki, co działało na moją korzyść. Udawała, że mnie nie widzi, choć od czasu do czasu rzucała mi spod oka niepewne spojrzenia. Zaczęło mnie to bawić. Mogłam obserwować ją z bliska, nie narażając się na osobiste pytania.

Czyżbym na jej szczęce dojrzała cień siniaka, czy tylko mi się zdawało? Kim był facet, który jej to zrobił? Jeśli wierzyć Chesterowi i Henry'emu, sprzał Raya Rawsona na kwaśne jabłko, może więc i jej zdarzało mu się przyłożyć?

Mój czerwony mundurek zaszeleścił cicho, kiedy złożyłam narzutę na pół, a potem jeszcze raz na pół. Następnie zwinęłam ją w rulon i położyłam w rogu łóżka. Następnie odchyliłam róg kołdry, wstrząsnęłam poduszki i położyłam owinięte w papierek miętowe ciasteczko na nocnym stoliku.

Przeszłam do przedpokoju. Umyłam umywalkę i przetarłam kurki, odkręcając przy tym wodę. Przy okazji zajrzałam do jej kosmetyczki: korektor, podkład, puder, róż. W małym okrągłym słoiczku coś o nazwie DermalSeal, „wodoodporny kosmetyk kryjący niedoskonałości cery”. Zerknęłam na Laurę i podchwyciłam jej wzrok. Za plecami miałam szafę, którą pragnęłam przeszukać, ale musiałam zachować cierpliwość. Weszłam do łazienki. Zgarnęłam wilgotny ręcznik, który powiesiła na brzegu wanny. Poprawiłam zasłonkę prysznicową i spuściłam wodę w toalecie, jakbym ją przed chwilą wyszorowała. Wróciłam do przedpokoju. Otworzyłam szafę. Bingo! Torba.

- Co pani robi? - zawołała Laura. Podniesiony ton świadczył o zdenerwowaniu. Pomyślałam, że pewnie przekroczyłam granice.

- Czy potrzebuje pani więcej wieszaków?

- Nie trzeba. Tyle, ile mam, mi wystarczy.

No tak. Spytała z ciekawości. Nie zamierzała okazać irytacji.

Zamknęłam szafę i zaczęłam rozkładać przyniesione ręczniki. Przeszła przez pokój, oparła się o framugę

i patrzyła mi na ręce. Spojrzałam nad jej ramieniem w głąb pokoju.

- Czy mogę zabrać tacę? Laura zerknęła w stronę biurka.

- Tak. Proszę.

Odłożyłam ręczniki i poszłam po tacę. Przy okazji wsunęłam leżący na blacie klucz pod zmiętą serwetkę. Otworzyłam drzwi i przytrzymałam je biodrem, stawiając tacę na podłodze korytarza. Wróciłam po resztę ręczników.

Laura stała przy drzwiach, wyciągając coś w moją stronę. Najpierw myślałam, że próbuje przekazać mi jakąś wiadomość. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że wręcza mi napiwek. Mruknęłam:

- Dziękuję. - I wsunęłam banknot do kieszeni tuniki, nie patrząc na nominał, żeby się nie zdradzić. - Życzę miłego wieczoru.

- Dziękuję.

Ledwie zamknęła za mną drzwi, sięgnęłam do kieszeni i sprawdziłam, ile mi dała. Wow! Pięć dolców. Nieźle jak na dziesięć minut sprzątnięcia po łepkach. Może powinnam zapukać do drzwi obok? Napiwki za wysprzątnięcie wszystkich pokoiów na piętrze wystarczyłyby mi na kolejny nocleg. Pochyliłam się, wyjęłam klucz spod serwetki, a tacę zostawiłam pod drzwiami. Wyglądała na brudną i niszczyła efekt mojego dzisiejszego sprzątnięcia, ale znoszenie jej do kuchni nie należało do moich obowiązków.

9

Do pokoju wróciłam za piętnaście dziewiąta. Czulałam się lepka i zmęczona z powodu dawki ciężkiej fizycznej

pracy, tłustego jedzenia i wyczerpania podróżą. Zdjęłam mundurek i wskoczyłam pod prysznic, pozwalając, by gorąca woda lała się na mnie z góry jak wodospad. Wytarłam się i otuliłam jednym z dwóch hotelowych szlafroków. Moje majtki wreszcie wyschły, choć szampon sprawił, że były trochę sztywne i zwisały z wieszaka na ręczniki jak skóra jakiegoś dziwnego zwierzątka. Wychodząc z łazienki, zauważyłam, że na telefonie pali się lampka sygnalizująca pozostawioną wiadomość. Pewnie szum wody zagłuszył dzwonek. Byłam pewna, że wiadomość zostawił Henry, bo tylko on znał mój numer. Zaniepokojona, wybrałam numer centrali.

- Mówi Kinsey Millhone. Przy moim telefonie pali się lampka oznaczająca, że ktoś zostawił dla mnie wiadomość.

Telefonista zamilkł na chwilę, po czym odczytał tekst.

- Ma pani jedną wiadomość. O dwudziestej pięćdziesiąt jeden dzwonił pan Pitts. Prosił, żeby pani się z nim skontaktowała. Mówił, że to pilne.

- Dziękuję.

Rozłączyłam się i wybrałam numer Henry'ego. Odebrał, nim jeszcze zabrzmiał sygnał.

- Szybki jesteś - zauważyłam. - Siedzisz przy telefonie? Co się stało?

- Dobrze, że dzwonisz. Nie mam pojęcia, co robić. Czy Ray Rawson się do ciebie odezwał?

- Dlaczego pytasz? Sam mówiłeś, że zwinął żagle.

- Tak. Ale wrócił i pojawiły się komplikacje. Tuż po twoim ostatnim telefonie wybrałem się z Neli na zakupy. William i Lewis poszli do Rosie, żeby pomóc jej w przygotowaniach do lunchu. Charlie został sam. Jesteś tam jeszcze?

- Tak. Nie wiem, do czego zmierzasz, ale słucham.
  - Rawson odwiedził Chestera. Bucky opowiedział mu o wszystkim.
  - O czym? Ze widziałam gościa, który go pobił?
  - Ze cię zatrudnił. Co do reszty nie jestem pewien. Bucky wiedział, że wyjechałaś, ale nie miał pojęcia dokąd. Wtedy Ray zajrzał do nas i wcisnął Charliemu jakąś bajeczkę o tym, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znalazłaś.
  - W niebezpieczeństwie? A to ciekawe. Co mi grozi?
  - Tego Charlie nie zrozumiał, ale ponoć ma to związek z kluczem.
  - Pewnie tym, który znaleźliśmy w sejfie Johnny'ego. Zamierzałam pokazać go koledze, który pasjonuje się zamkami. Niestety, okazało się, że ta pasja zaprowadziła go do więzienia.
  - Gdzie jest ten klucz? Bo Bucky powiedział Rayowi, że go ze sobą zabrałaś.
  - To prawda. Ukryłam go na dnie torebki. Wydajesz się zmartwiony.
  - Nie chodzi o mnie. - W głosie Henry'ego zabrzmiała złość. - Charlie powiedział Rayowi, gdzie jesteś, bo dał sobie wmówić, że potrzebujesz pomocy.
  - A skąd to wiedział?
- Henry westchnął ciężko. Wyznanie z trudem przechodziło mu przez gardło.
- Zapisałem nazwę hotelu i twój numer w notesie leżącym obok telefonu. Znasz Charliego. Słyszy tylko piąte przez dziesiąte. Z niewiadomych powodów wbił sobie do głowy, że Ray to twój przyjaciel, więc nie będziesz mu miała za złe, jeśli cię znajdzie. Zwłaszcza że grozi ci niebezpieczeństwo.

- Podał Rayowi numer pokoju?

- Niestety tak.

Henry wydawał się tak nieszczęśliwy i tak pełen poczucia winy, że nie miałam sumienia robić mu wyrzutów, choć ani trochę nie podobała mi się myśl, że Ray wpadł na mój ślad.

- Nie sądzę, żeby chciało mu się lecieć do Dallas -podjął tymczasem Henry. - Ale pewnie do ciebie zadzwoni. Wolałbym, żebyś nie była zaskoczona. Martwię się, Kinsey, nawet jeśli stąd nie mogę ci pomóc.

- Nie przejmuj się. I dzięki, że mnie uprzedziłeś.

- Mam ochotę skrócić Charliemu kark.

- Niepotrzebnie. Próbował pomóc. I pewnie wcale mi nie zaszkodził. Ray Rawson nie stanowi poważnego zagrożenia.

- Obyś się nie myliła. Żałuję, że zostawiłem ten notes na wierzchu.

- Nie przesadzaj. Nie mogłeś przewidzieć, że Ray zacznie o mnie wypytywać.

- Wiem, ale i tak powinienem był uprzedzić chłopaków, żeby trzymali gęby na kłódkę. Nawrzeszczałem na Charliego, bo czułem się winny. Nie przeszło mi przez myśl, że zrobi coś takiego.

- Co się stało, to się nie odstanie. Przestań się wreszcie kajać.

- Kochana jesteś. I cieszę się, że do ciebie zadzwoniłem. Dzięki temu trochę mi lżej na duszy. Najlepiej szybko się wymelduj albo przynajmniej przenieś się do innego pokoju. Nie podoba mi się myśl, że Rawson może się zjawić na twoim progu. Jak dla mnie, cała ta sprawa za bardzo śmierdzi.



- Zgadzam się, ale na razie nie wiem, jak się z niej wyplątać. Zaszycę się gdzieś na trochę.

- Po co? - W głosie Henry'ego usłyszałam panikę.

- Mam wrażenie, że lepiej trzymać się z daleka. Tak podpowiada mi rozsądek.

- Nie nadstawiaj karku z byle powodu. Wystarczy, że wsiadłaś do tego cholernego samolotu. Wracaj i zapomnij o sprawie, bo im głębiej się w nią pakujesz, tym gorzej dla ciebie.

Uśmiechnęłam się.

- Chester mnie wynajął, a ja przyjąłam zlecenie. Nie mogę się wycofać. Poza tym na razie dobrze się bawię. Przemykam po korytarzach i szpieguję ludzi.

- Rozumiem. Tylko nie siedź tam za długo. Pamiętaj o ślubie.

- Nie zapomnę. I na pewno go nie przegapię. Masz na to moje słowo.

- Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Ledwie odłożył słuchawkę, zerwałam się z łóżka, podbiegłam do drzwi i zamknęłam je na łańcuch. Przez chwilę miałam zamiar zawiesić na klamce napis: „Nie przeszkadzać”, potem jednak pomyślałam, że w ten sposób ogłosiłabym wszem wobec, że siedzę w pokoju. Zaczęłam krążyć między drzwiami a oknem, próbując zebrać myśli. Martwił mnie fakt, że Rawson odkrył, dokąd pojechałam, choć nie wiedziałam jeszcze, dlaczego mnie to tak niepokoi. Z tego, co mówił Chester, wywnioskowałam, że nieźle oberwał od włamywacza, to zaś oznaczało, że pewnie nie palił się do podróży. Liczyłam, że nie będzie mu się chciało płacić słono za bilet do Dallas, skoro nie ma pewności, że mnie tu jeszcze zastanie. Choć z drugiej strony, jeśli w Santa Teresa szukają go gliniarze, może wyjazd

z miasta wydaje mu się kuszącą perspektywą. Wątpiłam, by stanowił dla mnie zagrożenie, choć oczywiście nie należało wykluczyć i takiej możliwości. Nawet jeśli nie miał wielkiego wpływu na wydarzenia, z całą pewnością nie powiedział mi prawdy. Czułabym się pewniej, gdybym tę noc spędzała już w innym pokoju.

Nie miałam jednak ochoty schodzić do recepcji i prosić o zmianę pokoju. Pracownicy hotelu nie byli idiotami. Pani Spitz znalazłaby mnie w mgnieniu oka. Kradzież i przebieranki nie uszłyby mi wtedy na sucho. Widziała mnie w pralni z bardzo bliska i pewnie opisała ochroniarzom ze szczegółami. Ostrzeżenie przekazano pozostałym pracownikom. Jeśli Vikki Biggs z nocnej zmiany skojarzy mnie z opisem, wkrótce ktoś zastuka do moich drzwi. W tej sytuacji wołałam liczyć na łut szczęścia i nie pchać się do lobby. To zaś wykluczało zamianę pokoi.

Nie mogłam też wrócić do domu. Zakup biletu i wynajęciu pokoju poważnie nadszarpnęły moje fundusze. Rezygnacja ze zlecenia w ogóle nie wchodziła w grę. Za nic na świecie nie powiedziałabym Chesterowi, że uciekłam z Dallas, bo usłyszałam, że Rowson ruszył moim tropem. W tej sytuacji najlepiej było siedzieć cicho i niczego nie zmieniać, zwłaszcza że udało mi się zyskać dostęp do pokoju Laury Huckaby.

Ubrałam się szybko. Jeśli ktoś w środku nocy zacznie się do mnie dobijać, nie dam się zaskoczyć. Na wszelki wypadek wsunęłam do torebki kilka buteleczek z szamponem i żelem pod prysznic, pastę i zapasową szczoteczkę do zębów. W razie czego będę gotowa.

Wyjęłam klucz z sejfów Johnny'ego i przyjrzałam mu się z namysłem. Zastanawiałam się, czy nie warto byłoby

znaleźć mu bezpieczniejszy schowek. Postanowiłam, że rano włożę go do koperty i odeślę Henry'emu. Tymczasem obeszałam pokój, zaglądnę do szafek i szuflad, w nadziei że coś wpadnie mi w oko. Wahałam się... Ostatecznie jeśli będę musiała uciekać w popłochu, nie będzie czasu, by wyciągać go z jakiegoś zakamarka. Sięgnęłam po podręczny zestaw do szycia. Zdjęłam kurtkę i przesunęłam dłonią po jej szwach. Scyzorykiem zrobiłam w podszewce niewielkie nacięcie tuż przy poduszce na ramieniu. Wsunęłam w nie klucz i zaszyłam. Przez wykrywacz metalu w bramce na lotnisku na pewno bym nie przeszła, ale mogłam przecież zdjąć wcześniej kurtkę i razem z torebką położyć na taśmie prowadzącej do skanera.

Tej nocy spałam w ubraniu i w butach, leżąc płasko na plecach ze skrzyżowanymi nogami, okryta tylko narzutą.

Kiedy o ósmej rano zadzwonił telefon, zerwałam się z łóżka, tak jakby kopnął mnie prąd. Serce zaczęło mi bić w zawrotnym tempie, poziom adrenaliny wzrósł gwałtownie. Podniosłam słuchawkę, czując w gardle walący puls.

- Słucham.

- Oj, obudziłem cię. Przepraszam. Mówi Ray. Przełożyłam nogi na jedną stronę łóżka i usiadłam, przecierając dłonią twarz, by się na dobre obudzić.

- Już nie spałam. Gdzie jesteś?

- Na dole, w lobby. Muszę z tobą pogadać. Mogę wejść na górę?

- Nie - rzuciłam ze złością. - Co tu robisz?

- Szukałem cię. Powinnaś wiedzieć, w co się pakujesz.

- Będę w barze za piętnaście minut.

- Dzięki. Zaczekam.

Opadłam na łóżko i leżałam tak z minutę, wpatrzona w sufit. Próbowałam zebrać myśli. Na niewiele się to zdało. Wnętrznosci skręcały mi się ze strachu. Powlokłam się do umywalki. Wyczyściłam zęby i ochlapałam twarz zimną wodą. Powąchałam golf - zaczynał zalatywać, jak na zbyt długo noszony sweter przystało. Szkoda, że nie zdecydowałam się złamać swojej świętej zasady i nie kupiłam sobie czegoś nowego. Gdybym teraz odesłała rzeczy do pralni, do wieczora musiałabym chodzić w czerwonym mundurku i w razie czego ścigać Laurę Huckaby po całym Teksasie w przebraniu pokojówki. Sięgnęłam po balsam i wtarłam go w strategiczne miejsca na ciele, w nadziei że jego aromat zniweluje nieświeży zapach unoszący się z mojego ubrania.

W kieszeni kurtki upchnęłam dwa klucze - własny i ten, który ukradłam z biurka Laury - po czym zerknęłam przez wizjer na zewnątrz. Przynajmniej Ray nie kręcił się po korytarzu. Zeszłam w dół schodami pożarowymi i znalazłam się w głębi lobby.

Przystanąłam w drzwiach hotelowej kawiarni. Od razu zauważyłam Rawsona. Tylko on miał tu spuchniętą, czerwono-zieloną po pobiciu twarz, wielki plaster na nosie, podbite na czarno oko, pękniętą wargę, poobcierane kłykcie i zabandażowane razem trzy palce prawej ręki. Kawę popijał łyżeczką, być może po to, by zaoszczędzić sobie bólu połamanych, ruszających się lub wybitych zębów. Jego biała koszulka była nieskazitelnie czysta i tak nowa, że dostrzegłam na niej zagięcia od złożenia w paczce. Albo kupił ją o rozmiar za małą albo od naszego ostatniego spotkania rozbudował muskulaturę. Spod krótkiego rękawa wystawał wytatuowany smok.

Przeszłam przez salę i wsunęłam się na fotel naprzeciwko niego.

- Kiedy przyjechałeś?

Na blacie leżały dwa menu. Podał mi jedno, nim odpowiedział:

- O wpół do czwartej nad ranem. Lądowanie opóźniło się z powodu mgły. Z lotniska wzięłem taksówkę. Próbowałem od razu do ciebie zadzwonić, ale telefonistka nie chciała mnie połączyć o tak wczesnej porze. Musiałem poczekać do ósmej. - Uśmiechał się łagodnie, ale popękane naczynka krwionośne gałek ocznych nadawały mu demoniczny wygląd. Wzdłuż lewego ucha biegł szew świadczący o tym, że zostało niedawno przyszyte.

- Jakiś ty troskliwy - burknęłam. - Wynająłeś pokój?

- Tak. Numer tysiąc sześć. - Jego uśmiech zbladł. - Wiem, że pewnie mi nie ufasz, ale pora pogadać szczerze.

- Szkoda, że nie wpadłeś na to dwa dni temu. Oszczędziłbyś fadygi nam obojgu. Nie wpakowalibyśmy się w to coś.... Cokolwiek to jest.

Podeszła do nas kelnerka z tacą. Wyglądała na dobrą duszę, która przygarnia z ulicy bezdomne psy i koty. Jej kędzierzawe siwe włosy podtrzymywała siatka, wisząca jak pajęczyna z tyłu głowy. Szorstki głos świadczył o wieloletniej słabości do papierosów bez filtra.

Zerknęła na Raya podejrzliwie.

- Miałem wypadek - wyjaśnił, nie wdając się w szczegóły. - Jeśli da mi pani aspirynę, uwzględnię panią w testamencie.

- Sprawdzę na zapleczu. Na pewno coś znajdę. - Przeniosła wzrok na mnie. - Kawy? Wygląda pani na kogoś, kto jej potrzebuje. - Podała mi kubek i wypełniła go kawą po brzegi.

- Wystarczy! - zawołałam, mając wrażenie, że gorący napój zaraz przeleje się z kubka na moją dłoń.

- Zjedz coś - powiedział Ray. - Ja stawiam. Przynajmniej tyle ci się ode mnie należy.

Obejrzałam się na kelnerkę, która już odchodziła.

- Wobec tego poproszę do kawy sok pomarańczowy, bekon, dwie kiełbaski, jajecznicę z trzech jaj i ryżowe tosty.

- Dla mnie to samo. - Ray podniósł dwa zdrowe palce.

Kiedy kelnerka zniknęła, oparł łokcie na stole i pochylił się w moją stronę. Wyglądał jak bokser wagi lekkiej dzień po tym, jak stracił na ringu mistrzowski pas.

- Nie mam pretensji, że traktujesz mnie z dystansem, ale szczerze mówiąc... nie sądziłem, że po pierwszym włamaniu on tam jeszcze wróci. Założyłem, że już po sprawie i że nie warto o tym gadać.

- Co za „on”?

-Dojdziemy do tego, ale najpierw, nim zapomnę... Widziałaś klucz, który Bucky znalazł w sejfie Johnny'ego?

- Tak - przyznałam ostrożnie.

- Masz go jeszcze?

Zawahałam się, po czym posłuchałam głosu instynktu i postanowiłam kłamać. Nie ufałam mu. Jak dotąd, niczego mi jeszcze nie powiedział.

- Nie. Ale wiem, gdzie jest. Dlaczego pytasz?

- Pomyślałem, że jest pewnie bardzo ważny. Bo przecież Johnny nie trzymałby go w sejfie ot tak sobie.

- Sądziłam, że coś o nim wiesz. Powiedziałaś Charliemu, że z jego powodu grozi mi wielkie niebezpieczeństwo.

- Nie wspomniałem o zagrożeniu. Ciekawe, skąd wziął ten pomysł.

- Rozmawiałam wczoraj z Henrym. Ponoć dzięki temu przekonałeś Charliego, żeby powiedział ci, dokąd pojechałam. Powiedziałeś, że coś mi grozi. Tylko dlatego Charlie podał ci mój nowy adres.

Ray potrząsnął głową, wyraźnie zaskoczony.

- Pewnie źle mnie zrozumiał. Szukałem cię, to prawda, ale na pewno nie straszylem staruszka. Słabo słyszy. Pewnie coś pomieszał.

- Mniejsza z tym. Idźmy dalej.

Ray popatrzył w stronę wejścia do restauracji, przed którą zaczynała się zbierać grupka nastolatków. Pomyślałam, że to oni biegali wczoraj przed hotelem. Pewnie przyjechali tu na jakieś zawody. Gwar rozmów narastał. Ray podniósł głos, by go przekrzyczeć.

- Zaskoczyłaś mnie wtedy, przychodząc do mnie do hotelu.

- Bo?

- Miałaś rację co do Johnny'ego. Nie służył w wojsku. Siedział, jak podejrzewałaś.

Uwielbiałam mieć rację. Zawsze poprawiało mi to nastrój.

- A co z twoją opowieścią o tym, jak się poznaliście? Jest w niej choć ziarenko prawdy?

- Z grubsza wszystko się zgadza. - Przerwał i po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko, pokazując, że napastnik wybił mu jedną z jedynek. Policzek z wielkim granatowym siniakiem z ciemniejszą, fioletową obwódką. - Nie rozglądaj się teraz. Jesteśmy w pełnym okrążeniu.

Do sali weszli młodzi sportowcy. Rozdzielili się i zaczęli przepływać po obu stronach naszego stolika. Samotna kelnerka chwyciła plik menu i rozdawała je jak program zawodów.

- Przejdź do rzeczy - mruknęłam.
- Wybacz. Spotkałem Johnny'ego w Louisville, tyle że nie w zakładach stocznioowych i nie w czterdziestym drugim roku, tylko wcześniej, w trzydziestym dziewiątym albo czterdziestym. Piliśmy razem i tak nawiązała się przyjaźń. Miałem dziewiętnaście lat i kilka odsiadek na koncie. Włoczyliśmy się tu i ówdzie, czasem trafiła się robota. Żaden z nas się nie zaciągnął. Obaj zostaliśmy uznani za niezdolnych do służby. Johnny miał jakieś kłopoty z dyskiem, a ja - uszkodzone błony bębenkowe i wysięk w stawie kolanowym. Do dziś łupie mnie w nim na zmianę pogody. W każdym razie, kiedy wybuchła wojna, nudziliśmy się jak diabli. Zaczęło nas nosić. Włamywaliśmy się do sklepów i magazynów. W końcu posunęliśmy się za daleko. Złapano nas na gorącym uczynku. Mnie skazano na roboty publiczne, ale Johnny trafił do więzienia stanowego w Lexington. Odsiedział dwadzieścia dwa miesiące z pięcioletniego wyroku. Kiedy go zwolniono, wrócił do rodziny. Od tej pory, o ile wiem, nie wchodził już w konflikt z prawem.
- A ty? Spuścił oczy.
- Cóż... Kiedy Johnny wyjechał, wpadłem w złe towarzystwo. Wydawałem się sobie strasznie sprytny, a byłem tylko płótką. Szef posłał mnie z innymi na robotę. Zgarnęli nas gliniarze. Odsiedziałem piętnaście miesięcy w więzieniu federalnym w Ashland w Kentucky. Wyszedłem na cztery lata, a potem wróciłem za kratki. Nigdy nie miałem forsy na wygadanych adwokatów, więc zawsze zostawałem z ręką w nocniku. Jedna wpadka, potem druga... Niedawno wyszedłem.



- Spędziłeś w więzieniu czterdzieści lat?
- Z przerwami. Myślisz, że tylko ja siedziałem tak długo? Pewnie wypuściliby mnie wcześniej, ale kiepsko panowałem nad gniewem. Trochę trwało, nim się tego nauczyłem. - Westchnął. - Lekarze mówili, że nie mam mechanizmu kontroli instynktów. Widzisz, tej gadki też nauczyłem się w pudle. Tyle że to nieprawda. Kontrolowałem instynkty. I dlatego nigdy nikogo nie zabiłem - dodał po chwili wahania.
- Ulżyło mi.
- To znaczy zabiłem. Ale dopiero później, za kratkami. Pokiwałam głową ze zrozumieniem.
- No tak.
- W każdym razie w późnych latach czterdziestych zacząłem korespondować z kobietą o imieniu Marla. Raz udało mi się uciec. Pobraliśmy się wtedy. Zaszła w ciążę i urodziła córeczkę, której nie widziałem od lat. Byłabyś zdziwiona, jak wiele kobiet zakochuje się w osadzonych.
- W życiu nic mnie nie zaskakuje.
- Kiedy znów wyszedłem na wolność, złamałem zasady warunku. Zdarzało mi się myśleć, iż Johnny czuje się trochę winny, że tak mi się nie ułożyło. Gdybym się z nim nie zaprzyjaźnił, nie zszedłbym na złą drogę. Nie było tak, ale chyba gryzło go sumienie.
- Czyli że Johnny utrzymywał z tobą kontakt przez tyle lat, bo czuł, że jest ci coś winien?
- W większości tak. Poza tym tylko ja i jego żona wiedzieliśmy, że siedział podczas wojny. Przed innymi udawał bohatera. Wcisnął im opowieści o Birmie i oddziale Claire'a Chennault. Sporo o tym czytał. Jego dzieciaki uważały go za dzielnego żołnierza, ale on znał prawdę.

Przy mnie mógł być sobą. Tymczasem ja wdałem się w spektakularną kradzież auta i napad z bronią w rękę. Trafiłem do więzienia o zastrzonym rygorze, najpierw do Lewisburga, a potem do Leavenworth. Najdłużej siedziałem w Atlancie. Tamtejsze więzienie jest jak obóz przetrwania. Przywozi się tam kubańskich kryminalistów, których Castro przysłał do Stanów, żeby dotrzymywali nam towarzystwa.

- Co się stało z Marlą? - spytałam. - Nadal jesteście małżeństwem?

- Nie. W końcu się ze mną rozwiodła. Miała dość czekania, aż wyjdę na prostą. Sam jestem sobie winien.

- Pewnie dziwnie się czujesz, odzyskując wolność po czterdziestu latach.

Rawson wzruszył ramionami i rozejrzał się po sali.

- Rząd zrobił, co mógł, by mnie do tego przygotować. Kiedy skończyłem sześćdziesiątkę, departament więziennictwa zaczął oduczać mnie życia w izolacji. Poziom agresji spadł mi tak, że przenieśli mnie do więzienia otwartego. Wróciłem do Ashland. To było coś. Nie widziałem tej dziury od trzydziestu pięciu lat. Ze zdumieniem patrzyłem na koleśki, którzy mieli tyle lat, co ja, kiedy trafiłem tam po raz pierwszy. I nagle zrozumiałem. Miałem wrażenie, jakbym nagle zobaczył cały obraz, a nie tylko elementy mozaiki. W ciągu roku kompletnie zmieniłem swoje życie. Zdałem testy klasyfikujące na studia, zapisałem się do college'u. Zacząłem o siebie dbać, rzuciłem palenie, podnosiłem ciężary. Spodobało mi się. Wziąłem się w garść. Stałem przed komisją do spraw zwolnień warunkowych i oto jestem - przerwał i zerknął na siedzące dookoła dzieciaki.

Chłopcy tłoczyli się przy stolikach i przy barze, dostawiali krzesła. Podawali sobie karty dań z rąk do rąk i nad głowami. Co jakiś czas wybuchali śmiechem. Lubiłam taki śmiech: pełen radości i absolutnie niewinny.

- Mieszkają na moim piętrze - westchnął Ray. - Dwa numery dalej. Wrzeszczą, tupią i biegają po korytarzu. Bez końca, od rana do późnej nocy.

- Masz kontakt z Marlą?

- Tak. Nigdy go nie zerwaliśmy. Wyszła ponownie za męża. Ostatnio mieszkała gdzieś w Louisville. Kiedy to się skończy, pojedę się z nią spotkać. Chcę poznać córkę, nadrobić stracony czas. Nie byłem dobrym ojcem - za bardzo się starałem zepsuć sobie życie. I na pewno zobaczę się z matką.

- Twoja matka żyje? - spytałam z niedowierzaniem.

- Jasne. Skończyła osiemdziesiąt pięć lat, ale dobrze się trzyma.

- W sumie to nie moja sprawa, ale ile ty właściwie masz lat?

- Sześćdziesiąt pięć. Gdybym pracował, przeszedłbym już na emeryturę.

- A tymczasem właśnie wyszedłeś z pudła.

- Jakies trzy tygodnie temu. Sześć miesięcy po wyjściu z Ashland mieszkałem w domu przejściowym. Kiedy skończył się czas adaptacji, ruszyłem na wybrzeże. W kwietniu napisałem do Johnny'ego, żeby wiedział, kiedy wychodzę. Zaprosił mnie do siebie, chciał mi pomóc. No więc przyjechałem. Potem było tak, jak ci powiedziałem. Dopiero Bucky powiedział mi, że Johnny nie żyje.

- Jak Johnny zamierzał ci pomóc? Rawson wzruszył ramionami.

- Miałem z nim zamieszkać. Planowaliśmy wspólny biznes. W pudle pracowałem - jak każdy sprawny na ciele i umyśle więzień - ale zarabiałem tylko czterdzieści centów na godzinę. Kupowałem za to batoniki, napoje i dezodoranty. Nie zaoszczędziłem wiele.

- Czym zapłaciłeś za podróż?

- Pożyczyłem forszę od matki. Obiecałem, że oddam.

- Kto włamał się do mieszkania Johnny'ego?

- Gilbert Hays. Siedzieliśmy w jednej celi. Kilka lat temu nawet się przyjaźniliśmy. Rozpuściłem gębę, żeby mu zaimponować. Nie pytałem dlaczego. To taki gnojek, że jak o tym pomyślę, to bym sam sobie chętnie przyłał. - Pełen złości grymas sprawił, że znów otworzyła mu się rana na dolnej wardze. Popłynęła z niej strużka krwi. Przycisnął do ust papierową serwetkę.

- Co mu powiedziałeś?

- Siedzieliśmy w jednej celi. Nie mieliśmy nic do roboty, więc gadaliśmy o tym i owym. W kółko się czymś przechwalał, więc opowiedziałem mu o Johnnym. Gość był strasznym sknerą, lubił forszę, a ja wiedziałem, że Johnny ma spore oszczędności i że trzyma je w domu. Co prawda, nigdy mi się nie zwierzał, ale...

- Chciałeś go okraść! - Nie wierzyłam własnym uszom.

- Wcale nie. Nie zrobiłbym mu takiego świństwa. Tak sobie tylko gadaliśmy. A potem nasze drogi się rozeszły. Podejrzewam, że Hays postanowił się obłowić i dlatego włamał się do Johnny'ego.

- Podałeś mu adres?

- Powiedziałem, że to w Kalifornii. Pewnie mnie śledził, parszywy gnojek.

- Skąd wiedział, że cię wypuścili?

- Nie mam pojęcia. Może rozmawiał z moim opiekunem. Kiedyś kilka razy go postraszyłem. Pewnie wcisnął gościowi kit, że się mnie boi, i poprosił o informację, na wypadek gdybym wyszedł na wolność. Ze niby będę chciał go wykończyć. Na co zresztą mam ochotę.

- Jesteś pewien, że to on?

- Z początku nie byłem. Zaniepokoiła mnie wiadomość o włamaniu, ale nie skojarzyłem go z Haysem. Potem coś zaskoczyło. Czułem przez skórę, że to on. Nikt inny nie wchodził w rachubę. Tylko z nim rozmawiałem o Johnnym. - Odsunął serwetkę od ust. - I co ty na to?

- Nie tryskam entuzjazmem, jeśli o to pytasz - mruknęłam. - Cofnijmy się trochę w czasie. Dowiedziałeś się o śmierci Johnny'ego. Skąd miałeś pewność, że zostawił ukryte pieniądze?

- Nie miałem pewności, ale wydawało mi się to prawdopodobne. Umarł na atak serca, nie zdążył się przygotować. Rozmawiając z Buckym, uznałem, że chłopak nie ma centa przy duszy, czyli że Johnny nic mu nie zostawił. To z kolei oznaczało, że forsa nadal jest gdzieś u niego w mieszkaniu. Postanowiłem je wynająć i spokojnie się rozejrzeć.

- Oczywiście, Bucky'emu nie pisałeś słowa.

- O forsie? Jasne, że nie. A wiesz dlaczego? Bo nie chciałem rozbudzać w nim nadziei. Nie byłem pewien, czy coś znajdę. Zamierzałem jednak wszystko im oddać.

- Na pewno. Położyłbyś łapy na forsie, o której nawet nie słyszeli i dobrowolnie byś im ją oddał?

Uśmiechnął się głupio.

- Policzyłem sobie trochę za fatygę, ale to przecież nie grzech. I tak dostaliby więcej, niż się spodziewali.

- Ale pojawił się twój były kumpel z celi. Wyśledził cię i znalazł mieszkanie Johnny'ego.

- Tak sędzę.

- Skąd wiedział o skrytce pod dnem szafki?

- Powiedziałem mu o niej, żeby nie połamiał mi wszystkich palców. Wykorzystał przewagę, jaką daje zaskoczenie. Nie spodziewałem się go. Ale nie daruję draniowi. Następnym razem przeżyje tylko jeden z nas. Ja albo on.

- A ty skąd o niej wiedziałeś? Ray popukał się palcem w skroń.

- Dobrze znałem Johnny'ego i jego sposób myślenia. Pamiętasz dzień, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy? Przeglądałaś wtedy książki, a ja się trochę rozejrzałem. Często chował coś pod szafkami. Pomyślałem, że i teraz tak zrobił. - Poruszył się niespokojnie na fotelu. - Nie wierzysz mi. Widzę to w twoich oczach.

Uśmiechnęłam się lekko.

- Sprytny jesteś - pochwaliłam go niechętnie. - Kłamiesz prawie tak samo dobrze jak ja, tyle że masz dłuższą praktykę.

Zamierzał coś powiedzieć, ale pojawiła się kelnerka z dwoma parującymi talerzami na tacy. Wyglądało na to, że bardzo jej się spieszy. Postawiła na blacie sok, dwa talerze tostów z masłem i kilka miseczek z dżemami. Potem sięgnęła do kieszeni fartucha, wyjęła kilka papierowych paczuszek i położyła je przy talerzu Raya.

- To dla pana - oznajmiła. Ray podniósł jedną z nich.

- Midol?

- Najlepszy na skurcze, ale radzi sobie i z bólem. Tylko proszę nie przedawkować, bo trafi się panu PMS.

- PMS. - Ray nie zrozumiał dowcipu.

Żadna z nas nie raczyła mu tego wyjaśnić. Niech sobie pogłókuje. Kelnerka dołała nam kawy i podreptała do następnego stolika. Ray otworzył jedną z paczek, wyjął listek i wypchnął na dłoń dwie tabletki. Połknął je, popijając sokiem. Przez chwilę jedliśmy pospiesznie w milczeniu.

Po jakimś czasie Ray otarł delikatnie usta serwetką.

- Powiedziałem ci wszystko - rzucił. - Zapomnijmy o przeszłości i zastanówmy się, co przyniesie przyszłość.

- Czyli teraz jesteśmy partnerami? Ja pomogę tobie, a ty mnie?

- Dlaczego nie? Hays zabrał pieniądze Johnny'ego, a ja chcę je odzyskać. Nie tylko dla siebie, ale też dla Chestera i Bucky'ego. Ci dwaj z kolei wynajęli cię dokładnie w tym samym celu. Masz odzyskać to, co zostało skradzione.

- Na to wygląda. Wzruszył ramionami.

- To co robimy? Jaki masz plan?

- Mnie o to pytasz? Sam coś wymyśl.

- Tobie za to płacą, więc zostanę twoim pomocnikiem. Patrzyłam na niego przez chwilę, rozważając bajeczkę,

którą próbował mi wcisnąć. Nie wierzyłam mu, ale nie znałam go dość dobrze, by już teraz zdecydować, w co pogrywa.

- Mam pewien pomysł - powiedziałam w końcu. -I rzeczywiście, przyda mi się pomoc.

- Świetnie. Mów.

Wyjęłam z kieszeni klucz od pokoju Laury i położyłam go na stoliku.

- Zdobyłam klucz do pokoju Laury Huckaby.

Jego twarz nie wyrażała niczego. Czekał na wyjaśnienia. Wreszcie podniósł pytająco brwi i pochylił się w moją stronę.

- Czyjego pokoju? - spytał.
- Kobiety, która przywiozła tu torbę. Podaje się tu za panią Hudson, ale to na pewno ona. A to klucz do jej pokoju.

10

Ze schowka na piętrze Laury Huckaby pożyczyłam sobie wózek na pościel. Przebrałam się też na powrót w czerwony mundurek. Byłam gotowa do pracy. Na wózku ułożyłam stos czystej pościeli i ręczników, a do tego kilka pudełek chusteczek higienicznych, papier toaletowy, buteleczki kosmetyków oraz laminowaną zawieszkę z napisem: „Sprzątanie”, którą znalazłam poprzednim razem. Wcześniej sprawdziłam przyczepioną z przodu podkładkę z listą prac, przy której wisiał na sznureczku długopis. Wynikało z niej, że żaden z pokoiów nie został dziś sprzątnięty. Na porannej zmianie pracowały Bernadettę i Eileen, ale jak się zdaje, nie przystąpiły jeszcze do swoich obowiązków. Nie miałam pojęcia, co zrobię, jeśli któraś z nich się pojawi i przyłapie mnie na przebierankach. W gruncie rzeczy nie powinna mieć pretensji, że ją wyręczam, chyba że nie pozwala nikomu tknąć toalet na tym piętrze.

Ruszyłam korytarzem, popychając przed sobą wózek. Kółka skrzypiały cienko i skręcały na wykładzinie, musiałam więc pilnować, by nie uderzyć wózkami o ścianę.

Plan, który opracowałam do spółki z Rayem, miał wyglądać tak: Ray zadzwoni do pokoju Laury z telefonu wewnętrznego ukrytego w najdalszym kącie lobby, tak by nie



widział go nikt z recepcji. Przedstawi się jako pracownik hotelu i poinformuje ją, że na dole czeka na nią paczka, której odbiór musi pokwitować. Powie, że wychodzi na przerwę, ale zostawi pakunek na biurku kierownika. Jeśli Laura zechce zejść, odda go jej któryś z pracowników recepcji. Gdyby nalegała, żeby przyniósł jej paczkę do pokoju, grzecznie odmówi, tłumacząc, że jest to wbrew zasadom hotelu. Jakiś czas temu zdarzyło się, że omyłkowo oddano przesyłkę komuś innemu, i teraz szef wymaga, by goście sami kwitowali odbiór.

Tymczasem ja zaczaję się w korytarzu w pobliżu pokoju Laury i zaczekam, aż wyjdzie. Ledwie zamkną się za nią drzwi windy, pobiegnę do pokoju dwanaście trzydzieści sześć i otworzę go skradzionym kluczem. Laura będzie wtedy w lobby, gdzie któryś z chłopaków w recepcji odda się szukaniu w nieskończoność nieistniejącej paczki. Będzie zakłopotany, zdenerwowany, ale nadal bardzo uprzejmy. Na koniec przeprosi Laurę czołobitnie. Ponarzekają wspólnie na pocztę i politykę hotelu. Chłopcu będzie przykro, że naraził ją na niedogodności. Obieca, że jak tylko odnajdzie przesyłkę, natychmiast ją powiadomi.

Kiedy Laura odejdzie od kontuaru, by wrócić do siebie, Ray jeszcze raz zadzwoni do jej pokoju. Zaczeka na sygnał i zaraz odłoży słuchawkę. To będzie dla mnie znak, że pora się wynosić. Wiedziałam już, gdzie znajduje się torba. Kilka minut wystarczy, by przejrzeć jej zawartość i zabrać to, czego szukamy. Zanim Laura dotrze windą na dwunaste piętro, zbiegnę po schodach na ósme. Przebiorę się we własne ciuchy, wezmę torebkę i spotkam się z Rayem w lobby. Nim kobieta się zorientuje, że coś zginęło, będziemy w drodze na lotnisko, gdzie wsiądziemy do pierwszego samolotu do domu.

Nie przeszkadzała mi myśl, że ją okradnę. Ukraść coś złodziejowi to żaden grzech. Martwiłam się za to, co będzie, jak nas przyłapią.

Zatrzymałam wózek dwa pokoje od pokoju Laury i spojrzałam na zegarek. Rawson miał zadzwonić dopiero o dziesiątej, żebym zdążyła zająć dogodną pozycję. Zostały jeszcze dwie minuty. Czekałam, aż Laura wyjdzie, zajęłam się ręcznikami. Rozkładałam je i składałam na powrót, zerkając na drzwi. Panowała głucha cisza. Bez trudu usłyszałam telefon, który zadzwonił w jej pokoju. Odebrała po drugim dzwonku. Przez chwilę rozmawiała cicho. Czułam, jak ze strachu zaciska mi się żołądek. W myślach odtwarzałam po wielokroć każdy jej krok - niemal widziałam, jak wychodzi z pokoju, wsiada do windy, podchodzi do kontuaru. Rozmawia z recepcjonistą. Ten szuka paczki. Potem przeprosza i składa obietnice. Laura wraca do siebie.

Znów zerknęłam na zegarek. Dziesiąta osiem. Dlaczego tak się ociąga? Myślałam, że będzie podekscytowana, słysząc o paczce, zwłaszcza takiej, którą trzeba pokwitować. Nie wiem, dlaczego tak długo to trwało, ale wyszła z pokoju dopiero siedemnaście po dziesiątej. Zatrzęsnęła drzwiami. Odwróciłam twarz, unikając jej wzroku. Sięgnęłam po podkładkę i zaczęłam zapisywać coś w jednej z rubryk. Laura zamknęła drzwi i spojrzała wprost na mnie.

- Cześć. Pamiętasz mnie? - spytała. Zerknęłam na nią spod oka.

- Oczywiście, proszę pani. Jak się pani miewa? - Odłożyłam podkładkę i sięgnęłam po ręcznik. Złożyłam go na połowę.

- Czy nie zabrałaś przypadkiem mojego klucza, kiedy sprzątałaś pokój?

Jak zwykle była mocno umalowana, ale dziś ściągnęła włosy w koński ogon, obwiązując go szyfonową apaszką w kolorze jaskrawej zieleni.

- Nie, proszę pani. Ale jeśli się zapodziało, proszę to zgłosić w recepcji. Mają duplikaty. - Złożyłam kolejny ręcznik i rzuciłam go na stos.

- Pewnie tak zrobię. Dzięki. Miłego dnia.

- Nawzajem.

Patrzyłam za nią, gdy szła w stronę windy. Miała na sobie biały bawełniany golf pod ciemnozieloną sztruksową sukienką bez rękawów, która mogła, ale nie musiała być ubiorem ciężowym, z tyłu nieco dłuższą niż z przodu i mocno obciążoną na brzuchu. Całość uzupełniały wysokie czerwone tenisówki i ciemnozielone rajstopy. Jeśli moje spostrzeżenia były trafne i narzeczony od czasu do czasu spuszcza jej lanie, nic dziwnego, że tak szczelnie zakrywała ciało. Wsunęłam dłoń do kieszeni, trafiając na starannie złożony pięciodolarowy banknot, który mi wczoraj wręczyła. Był dowodem na to, że znakomicie wcieliłam się w rolę pokojówki. Szkoda, że Laura traktowała mnie tak przyjaźnie. Przez nią poczułam się podle.

Zniknęła za rogiem. Odłożyłam ręczniki i wyjęłam klucz. Zapadła cisza. Czekałam na sygnał do startu. Usłyszałam charakterystyczne *ping*, gdy winda zatrzymała się na naszym piętrze, drzwi otworzyły się i z cichym syczeniem zamknęły się z powrotem. Rzuciłam się do drzwi z numerem dwanaście trzydzieści sześć. Wsunęłam klucz do zamka, obróciłam go, otworzyłam drzwi, powiesiłam na gałce napis: „Sprzątanie”, na wypadek gdyby Laura

wróciła niespodziewanie. Była dziesiąta osiemnaście. Sprawdziłam, czy w pokoju i łazience na pewno nie ma nikogo. Zapaliłam światło w przedpokoju.

Zauważyłam, że pozostawione przeze mnie wczoraj buteleczki z kosmetykami zostały otwarte i stoją wokół umywalki. Podeszłam do szafy i otworzyłam ją. Torba leżała tam, gdzie się spodziewałam. Obok wetknięta była torebka. Wyciągnęłam torbę i postawiłam ją na blacie. Obejrzałam ją dokładnie z zewnątrz, by zyskać pewność, że nie czekają mnie żadne przykre niespodzianki. Uszyta z grubej beżowej tkaniny, prawdopodobnie wodoodpornej, miała skórzane uszy i zewnętrzną kieszonkę na prasę. Na obu jej końcach przewidziano schowki z klapkami na drobiazgi. Rozsunęłam zamek i zajrzałam do wnętrza głównej części torby, grzebiąc szybko w wypełniających ją ubraniach. Skarpety, flanelowe pidżamy, czysta bielizna, rajstopy. Sprawdziłam schowki - oba były puste, tak jak zewnętrzna kieszonka.

Może Laura przełożyła gdzieś pieniądze? Znów spojrzałam na zegarek. Dziesiąta dziewiętnaście. Miałam jeszcze co najmniej trzy minuty.

Odłożyłam torbę na miejsce i sięgnęłam po torebkę Laury. Szybko przejrzałam jej zawartość. Portfel, a w nim prawo jazdy z Kentucky, kilka kart kredytowych, fałszywy dowód osobisty i jakieś sto dolarów w gotówce. Zapięłam zamek i wsunęłam torebkę za torbę, tak by leżała jak poprzednio. Ile było skradzionych pieniędzy i ile zajmowały miejsca? Wspinając się na palce, zlustrowałam wszystkie półki, jedną po drugiej. Obmaciałam kieszenie płaszcza, a potem kieszenie wiszącej obok dzinsowej sukienki, którą Laura miała na sobie pierwszego dnia. Zajrzałam do szafki pod umywalką, ale znalazłam tam tylko rury

i zawór. Przesunęłam dłońmi po obudowie wanny i zerknęłam do spłuczki. Wróciłam do pokoju i zaczęłam otwierać wszystkie szuflady po kolei. I nic. Wszystkie były puste, tak samo jak szafka pod telewizorem i szafka nocna.

Nagle zadzwonił telefon. Raz. Zapadła cisza.

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Laura Huckaby wracała na górę. Mój czas się skończył. Podeszłam szybko do biurka i wyjęłam szufladę, by sprawdzić, czy niczego nie przyklejono do niej od spodu. Uklęknęłam i opierając się na rękach, zajrzałam pod łóżko. Odchyliłam narzutę i podniosłam oba rogi materaca. Nic. Zajął się więc drugim łóżkiem w pokoju, przesuwając dłońmi między materacem a stelażem. Nadal nic. Podniosłam się i wygładziłam obie kapy. Jeszcze raz przetrząsnęłam torbę, mnąc w dłoniach tkaninę ubrań, w nadziei że coś przeoczyłam. Może wewnątrz kryje się kolejna kieszonka, tym razem zapinana na zamek? Niech to szlag. Złapałam torbę i ruszyłam ku wyjściu. Ściągnęłam z gałki laminowaną tabliczkę i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Usłyszałam *ping* windy i szmer otwierających się drzwi. Pospiesznie wepchnęłam torbę pod stos czystych poszewek i ruszyłam korytarzem, popychając przed sobą wózek.

Laura Huckaby minęła mnie szybkim krokiem. Trzymała w ręku klucz, a więc przynajmniej jej wypad do lobby nie poszedł na marne. Tym razem nawet na mnie nie spojrzała. Wpadła do pokoju i z trzaskiem zamknęła drzwi. Wepchnęłam wózek do schowka na końcu korytarza, wyjęłam torbę spod poszewek i pomknęłam w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Pchnęłam drzwi na klatkę schodową i pobiegłam w dół, przeskakując co dwa stopnie. Jeśli Laura zacznie coś podejrzewać, szybko odkryje

bałagan, jaki po sobie zostawiłam. W myślach niemal widziałam, jak otwiera szafę, odkrywa, że torba zniknęła i przeklina głośno własną głupotę. Bez trudu skojarzy mnie z kradzieżą. Jeśli ma trochę zimnej krwi, nie od razu wywoła awanturę, ale jeśli zawiodą ją nerwy, już po mnie. Gdyby zachowała rozsądek, wybrałaby milczenie, wiedząc, że kierownictwo hotelu zapyta, dlaczego nie oddała tak dużej sumy pieniędzy do depozytu. Chyba że w ogóle nie doszło do kradzieży i Ray mnie okłamał, bo wtedy Laura nie będzie miała już nic do stracenia.

Dotarłam do ósmego piętra i pchnęłam drzwi na korytarz. Popędziłam w stronę pokoju numer osiemset piętnaście. Nagle przystanęłam. Przed moimi drzwiami stał mężczyzna w garniturze. Odwrócił się i spojrzał mi w oczy. Zerknęłam na plakietkę z nazwiskiem na jego piersi. Torba wydała mi się nagle ogromna i bardzo ciężka. Po co pokojówka miałaby biegać z takim bagażem po schodach?

Instynktownie ruszyłam w stronę schowka na końcu korytarza. Palilo mnie w piersiach, czułam, że brak mi tchu. Kątem oka dostrzegłam, że facet znów zapukał do moich drzwi. Zaczekał chwilę, po czym rozejrzał się, wyjął zapasowy klucz i wszedł do środka. O Boże! Co teraz?

Położyłam torbę na jednej z półek szafy z pościelą i przykryłam ją stosem czystych poszewek. Poruszyłam się zbyt gwałtownie - płótna spadły na ziemię, pociągając za sobą torbę. Podniosłam ją i wepchnęłam do ogromnego worka na brudną bieliznę. Uklęłam i zaczęłam na powrót składać poszewki. Musiałam się czym zająć i poczekać, aż nieproszony gość wyjdzie z mojego pokoju. Nigdzie go nie widziałam, założyłam więc, że nadal tam jest i grzebie

w moich rzeczach. W szafie zostawiłam torebkę. Nie chciałam nawet myśleć o tym, że ją przetrząsa. Chętnie bym go powstrzymała, ale niestety, nie bardzo wiedziałam jak. Usłyszałam, że drzwi na klatkę schodową otwierają się i zamykają. Proszę, proszę, błagam cię, Boże, spraw, by nie pojawiła się teraz prawdziwa pokojówka, modliłam się w duchu. Ktoś pojawił się obok otwartych drzwi do schowka. Zerknęłam spod oka. Moje modlitwy zostały wysłuchane. To nie była pokojówka tylko jeden z ochroniarzy.

Poczułam wszechogarniający strach, gorąco uderzyło mi do głowy, barwiąc policzki czerwienią. Facet miał czterdzieści-czterdzieści pięć lat, krótko przycięte włosy, okulary i nadwagę. Jak dla mnie, powinien częściej ćwiczyć, żeby zgubić ten wystający brzuch. Przystanął i obserwował, jak składam poszewki. Uśmiechnęłam się blado. Czułam się jak aktorka sparaliżowana tremą. Ślina napłynęła mi do ust. Miałam wrażenie, że za chwilę wyleje się jednym z kącików.

- Mogę spytać, co tu robisz? - rzucił.

- Składam poszewki. Pani Spitz prosiła, żeby sprawdzić, czy niczego tu nie brakuje. - Podniosłam się z podłogi. Może i byłam teraz pokojówką, ale to nie oznaczało, że pozwolę mu patrzeć na siebie z góry.

Przyjrzał mi się uważniej, lekko mrużąc oczy.

- Jak masz na imię? - spytał władcym tonem. Uznałam, że lepiej szybko udzielić mu odpowiedzi.

- Katy. Jestem tu nowa. Dopiero przechodzę szkolenie. Na tej zmianie pracują Eileen i Bernadette. Miałam im pomóc, ale upuściłam poszewki.

Patrzył na mnie w milczeniu, prawdopodobnie rozważając, czy mówię prawdę. Jego spojrzenie przemknęło po mundurku.

- Gdzie masz plakietkę, Katy?
- Przyłożyłam dłoń do serca, jakbym składała przysięgę. Żadna sensowna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy.
- Zgubiłam ją. Czekam na następną - oznajmiłam wreszcie.
- Pozwolisz, że zapytam o ciebie panią Spitz?
- Oczywiście. Proszę bardzo.
- Podaj mi nazwisko. - Wyciągnął walkie-talkie i poszukał palcem przycisku.
- Beatty. Jak Warren Beatty - powiedziałam bez namysłu. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że jako pokojówka nazywam się Katy Beatty. Nadeszła pora na improwizację. - Pański szef jest teraz w osiemset piętnaście. Kobieta, której szuka, pobiegła schodami na dół.
- Wskazałam w stronę pokoju, który jeszcze do niedawna zajmowałam. Ręka mi drżała, ale na szczęście tego nie zauważył. Obrócił się, by spojrzeć w głąb korytarza.
- Jest tu pan Denton?
- Tak. To znaczy tak mi się zdaje. Odniosłam wrażenie, że szuka kobiety z tamtego pokoju, ale ona niedawno wyszła.
- O co mu chodzi?
- Nie powiedział. Opuścił walkie-talkie.
- Dawno wyszła?
- Jakies pięć minut temu. Akurat wychodziłam z windy, gdy zamykała drzwi.
- Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, po czym wsunął walkie-talkie w futerał zawieszony z tyłu na pasku od spodni. Jego spojrzenie znów powędrowało w dół.
- Nie wolno wam nosić takich butów.



Zerknęłam na swoje adidas.

- Serio? Nikt mnie nie uprzedził.

- Jeśli pani Spitz je zobaczy, napisze na ciebie raport. Moja twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Dzięki. Zapamiętam.

Odszedł w głąb korytarza. Czekałam bez ruchu, marząc o tym, by móc zerwać się do ucieczki, a jednocześnie bojąc się znów przyciągnąć jego uwagę. Zapukał do moich drzwi. Po chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem. Mężczyźni wymienili kilka zdań. Wreszcie facet w garniturze wyszedł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Obaj ruszyli szybko w stronę windy. Zaczekałam na charakterystyczne *ping*, po czym wygrzebałam torbę ze stosu brudnej bielizny. Ledwie usłyszałam szum zamykanych drzwi, pognałam do swojego pokoju, wpadłam do środka i zamknęłam drzwi na łańcuch. Jak długo potrawa, nim odkryją, że Kinsey Millhone z pokoju osiemset piętnaście i niedoświadczona pokojówka w nieregulaminowych butach bez tabliczki z nazwiskiem na piersi to jedna i ta sama osoba?

Pochyliłam się i zdjęłam buty. Zdarłam przez głowę tunikę, odpięłam zamek spódnicy, zsunęłam ją przez biodra i przestąpiłam nad nią. Opierając się o ścianę, założyłam skarpetki. Wciągnęłam dzinsy, podskakując, by lepiej się ułożyły. Włożyłam golf i wsunęłam stopy w buty, nie zawiązując sznurówek. Otworzyłam drzwi szafy. Torebka leżała na podłodze, tak jak ją zostawiłam, ale wystarczył mi jeden rzut oka, by wiedzieć, że facet w niej grzebał. Niech go szlag! Ściągnęłam z wieszaka kurtkę i szybko ją na siebie narzuciłam. Objęłam pokój spojrzeniem, by sprawdzić, czy niczego nie zostawiłam. Przypomniałam sobie o pięciodolarowym banknocie w kieszeni mundurka i szybko go wyjęłam. Chwyciłam torbę. Odwróciłam się do wyjścia. Zawahałam się. Zawróciłam,

zebrałam z podłogi mundurek, zwinęłam go w kulę i schowałam w torbie Laury. Nie zamierzałam dać im tej satysfakcji i zostawić za sobą dowodu. Wyszłam, zatraskując drzwi. Ruszyłam szybko w stronę schodów.

Zeszłam osiem pięter w dół. Uchyliłam drzwi wiodące do lobby i wyjrzałam ostrożnie. Grupka biznesmenów odbywała nieformalne spotkanie przy jednym ze stolików w niszy. Na blacie leżały stosy papierów. Po lewej jakaś para konferowała z konsjerżem, który trzymał w dłoniach rozłożoną mapę. Nigdzie ani śladu Dentona, ani gorliwego strażnika. Raya Rawsona zresztą też nie. Umówiliśmy się przy telefonie, który widziałam stąd jak na dłoni. Pusto, ale jak na mój gust, zbyt niebezpiecznie, bo musiałabym pokonać lobby sama.

Zerknęłam w prawo. Jakieś półtora metra ode mnie zaczął się rząd płatnych aparatów telefonicznych. Za nimi dostrzegłam drzwi do toalet „dla dam” i „dla rycerzy”. Na wprost mnie, po lewej było wejście do baru. Wymknęłam się z klatki schodowej i bezpiecznie dotarłam do toalety. Dwie z pięciu kabin były zamknięte, ale kiedy uklękłam i zajrzałam od dołu, nikogo w nich nie dostrzegłam. Weszłam do jednej z otwartych kabin, usiadłam na toalecie i zawiązałam sobie buty. Następnie złapałam torbę, odwróciłam ją do góry dnem i wysypałam całą jej zawartość na podłogę.

Najpierw dokładnie obejrzałam torbę. Zajrzałam do każdej kieszeni i do każdego schowka. Obmacałam wszystkie narożniki. Liczyłam, że znajdę ukryty schowek, ale jak się okazało, moje nadzieje były płonne. Przesunęłam palcami po szwach, zamkach i klapkach. Potem zajęłam się ubraniami. Podniosłam z podłogi skradziony

mundurek, złożyłam go i odłożyłam na podłogę. W ten sam sposób potraktowałam piżamy, dwie pary rajstop, koszulkę, dwa staniki, niezliczone pary skarpet i podkolanówek oraz paczkę tamponów, które między nimi znalazłam. Na tym koniec. Nie trafiłam na nic podejrzanego.

Czułam, że narasta we mnie wściekłość. Szukając tej torby, pokonałam granice trzech stanów. Wszystko, co dotąd zrobiłam, opierało się na założeniu, że to, co się z niej znajduje, warto jest zachodu. Tymczasem okazało się, że w środku są tylko stare ciuchy. Co miałam teraz powiedzieć Chesterowi? Będzie wściekły, gdy odkryje, co zdobyłam w Dallas. Nie zechce zwrócić mi forsy za podróż, której jedynym owocem jest torba pełna bawełnianych gaci. Złamałam prawo. Omal nie trafiłam do więzienia. Ryzykowałam licencję i życie.

Zła jak osa, zaczęłam wrzucać ubrania z powrotem do torby. Przy okazji wybrałam sobie czystą parę majtek, które będą na mnie pasowały. Zawahałam się. Nie. To nie najlepszy pomysł. Jeśli aresztują mnie za kradzież, lepiej żebym nie miała dowodu na tyłku.

Wyszłam z kabiny. Próbowałam wyglądać na rozluźnioną, w umyśle kołatała mi jednak myśl, że oto zostałam oszukana przez los złodziejką gaci. Nie mogłam się zdobyć, by zostawić nieszczęsną torbę przy toalecie. Widać przyzwyczaiałam się już do myśli, że jest bezcenna i nie traktowałam jej jak potencjalnego zagrożenia, nawet jeśli była biletem za kratki. Przemknęłam przez lobby w stronę telefonu wewnętrznego. Nigdzie nie dostrzegłam Raya. Przesunęłam się więc w stronę automatów telefonicznych i przystanęłam przy jednym z nich. Zaczęłam grzebać w kieszeniach kurtki i opróżniać je, by znaleźć drobne. Na

melasową półeczkę trafiły: stary bilet do kina, długopis, pięć dolarów z napiwku, dwie ćwierćdolarówki i spinacz do papieru. Wsunęłam jedną z monet w szczelinę aparatu, po czym poprosiłam o połączenie z numerem Chestera w Kalifornii, deklarując, że zapłacę za rozmowę telefoniczną kartą kredytową. Odzyskaną ćwierćdolarówkę położyłam na półeczce tuż obok drugiej monety. Czekałam, aż Chester się zgłosi, przesuwałam je po metalu, licząc, że ukoi to moje skołatane nerwy. Wiedziałam, że nie będzie zachwycony. Przez chwilę miałam nadzieję, że mi się upiekło i że nie ma go w domu, ale podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku. -Tak?

- Chester? Mówi Kinsey.

- Proszę głośniej. Nic nie słyszę. Kto mówi? Osloniłam dłonią membranę i obróciłam się twarzą do aparatu, żeby nie wrzeszczeć na całe lobby.

- To ja, Kinsey - syknęłam. - Zdobyłam torbę. Nic w niej nie ma. Głucha cisza.

- To żart?

- Niestety nie. Albo ci dwoje schowali gdzieś łup, albo po prostu nie ukradli.

- Jestem pewien, że coś ukradli. Rozwalili dno szafki. Założę się, że ojciec trzymał tam forszę!

- Widziałeś ją kiedyś?

- Nie, ale to nie znaczy, że jej tam nie było.

- Jasne, tylko że to żaden dowód. Być może facet włamał się do mieszkania Johnny'ego i nie znalazł tego, czego szukał. Torba mogła być pusta.

Zaczęłam bawić się przedmiotami na półeczce. Jedną z ćwierćdolarówek przykryłam twarzą Lincolna na

pięciodolarowym banknocie. Widoczny na monecie George Waszyngton wyglądał, jakby był nagi. Lincoln na banknocie miał na sobie niedzielny garnitur. Co oznaczało, że George dał się przyłapać z przylizanymi włosami, kiedy wychodził z łaźni.

- Wiesz, Kinsey, czegoś tu nie rozumiem - sapnął ciężko Chester. - Dzwonisz do mnie tylko po to, żeby pogadać o takich bzdetach?

- Uznałam, że należy ci się raport. Próbuję postępować jak należy.

- Jak należy? A nie przeszkadza ci, że wydusiłaś ze mnie forszę na bilet do Dallas i nic nie dałaś mi w zamian? Oczekiwałem rezultatów.

- Chwileczkę. Jak dotąd, nie zapłaciłeś mi nawet centa. To ja cały czas płacę. Ty złożyłeś tylko mglistą obietnicę, że wszystko mi zwrócisz. - Zdjęłam skuwkę z długopisu i dorysowałam Lincolnowi wąsy. Dzięki temu jego nos wydał się mniejszy. Wcześniej jakoś nie zauważyłam, że miał tak imponujący nochal.

- Za to, że się opalasz i byczysz? Zapomnij.

- Nie wygłupiaj się. Wspólnie podjęliśmy tę decyzję. Nie moja wina, że nic nie znalazłam.

- To za co mam płacić? Nie zamierzam ponosić kosztów twojej niekompetencji.

- Zapracowałam na każdego centa. Za połowę tego, co zrobiłam, mogłabym stracić licencję. Nie wolno mi prowadzić dochodzenia w Teksasie.

Znów przesunęłam ćwierćdolarówki, układając je na przeciwległych rogach banknotu.

- To twój problem. Mnie nic do tego. Gdybym wiedział, że tak to rozegrasz, nigdy bym się nie zgodził na twój wyjazd.

- Ja też bym się do niego nie paliła. Podjęliśmy ryzyko i straciliśmy na tym. Nie wiedzieliśmy tego, co teraz. - Byłam coraz bardziej wściekła. Żeby sobie ulżyć, napisałam na banknocie soczyste przekleństwo. Tylko tak zdołałam powstrzymać się od wykrzyczenia go na głos.

- A niech to szlag! Zwalniam cię! - wrzasnął. Nim odłożył słuchawkę, usłyszałam jeszcze:

- Durna baba.

Pokazałam język aparatowi telefonicznemu i przewróciłam oczami. Sięgnęłam po książkę telefoniczną. Zaczęłam ją wertować w poszukiwaniu numeru biura rezerwacji biletów American Airlines. Wstyd było się przyznać, ale wszystkie moje wielkie plany spaliły na panewce. W tej sytuacji postanowiłam jak najszybciej wyjechać z Dallas. Popełniłam błąd, działając zbyt impulsywnie. Opierałam się na dostępnych informacjach, a że moje podejrzenia okazały się pomyłką, to już nie moja wina. Zgoda, usprawiedliwiałam się teraz i szukałam wymówek, ale czy można się temu dziwić w obliczu zachowania Chestera, który był mną wyraźnie zawiedziony?

Podniosłam z półeczki banknot pięciodolarowy i przyjrzałam mu się uważnie. Papier zdobiły isticie barokowe litery i koronkowe ślimacznice. Dostrzegłam też numer seryjny i oficjalne pieczęcie. Dziwne... Od kiedy Henry Morgenthau jest sekretarzem stanu? I kim jest ten Julian Jakiś Tam, którego zamaszystego podpisu nie udało mi się odcyfrować? Tuż obok portretu widniał napis Seria 1934 A. Pogrzebałam w torebce i wyjęłam portfel. Sprawdziłam znalezione w nim banknoty. Jedyne pięciodolarowy banknot, który tam miałam, oznaczony był jako 1981 Buchanan-Regan. Jednodolarówki nosiły sygnatury: 1981 Buchanan-Regan, 1981-A Ortega-Regan i 1985

Ortega-Bakers - tych ostatnich naliczyłam kilka. To samo było z dziesiątkami i dwudziestkami. Jeśli się nie myliłam, banknot, który dała mi Laura, pochodził z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku. Czy to znaczyło, że próbuje szybko pozbyć się pieniędzy? Tak czy inaczej, na pewno nie znalazła się w ich posiadaniu przypadkiem.

Odłożyłam książkę telefoniczną, porzucając myśl o powrocie do domu. Może nie wszystko jeszcze stracone. Chwyciłam torbę i ruszyłam przed siebie, omiatając wzrokiem lobby. Pięciu biznesmenów nadal siedziało przy stoliku, podając sobie kartki raportu. Jak zawsze w takich sytuacjach, jeden z nich referował coś pozostałym. Drzwi za moimi plecami otworzyły się gwałtownie. Zanim się obejrzałam, ktoś chwycił mnie mocno za łokieć i pociągnął w głąb klatki schodowej.

11

- Gdzieś ty się, u diabła, podziewała?

Odwróciłam się, zaskoczona. To był Ray - jego posiniaczona twarz znajdowała się jakieś dziesięć centymetrów ode mnie. Usunął już plaster z nosa, ale i tak wyglądał, jakby miał w nim kilka tamponów. Jego skóra cuchnęła szpitalem - taki zapach panuje zwykle w izbach przyjęć podczas ostrego dyżuru, a tworzy go mieszanina zapachów spirytusu, plastrów i materiałów opatrunkowych. Trzymał mnie mocno, zaciskając mi na przedramieniu poranioną dłoń o usztywnionych palcach.

- Gdzie ja się podziewałam? A gdzie ty łąziłeś? - Mój pełen oburzenia okrzyk odbił się echem w pustej klatce

schodowej. Hałasowaliśmy jak stado rozwrzeszczanych ptaków. Oboje równocześnie zdaliśmy sobie z tego sprawę i ściszyliśmy głos do szeptu.

Ray pociągnął mnie w dół, w miejsce, gdzie schody kończyły się betonową ścianą.

- Szukają cię ochroniarze - syknął. - Przez szpanera z walkie-talkie omal nie wyzionąłem ducha. Stałem sobie przy telefonie wewnętrznym, kiedy podszedł i zaprosił mnie do siebie do biura. Co miałem robić? Facet wiedział już, kim jesteś. Pytał, czym się tu zajmujesz.

- Dlaczego właśnie ciebie?

- Rozpytywał wcześniej pracowników. Kelnerka widziała nas razem. Jak wiesz, rzucam się w oczy. Nie każdy ma taki nochał. Powiedziałem, że jesteś prywatnym detektywem i pracujesz nad sprawą, której szczegółów nie mam prawa wyjaśniać.

- Wziął cię za gliniarza?

- Wmówiłem mu, że biorę udział w programie ochrony świadków i zostałem przeniesiony do innego stanu. Musiałem trzymać się tej wersji, by uwierzył, że twoja sprawa jest bardzo ważna i decyduje o życiu lub śmierci.

- Na pewno ci nie uwierzyli. Jak się wydostałeś?

- Nie mieli pojęcia, kim jestem, dlatego po prostu kazali mi się wynieść. Powiedziałem, że muszę się spakować. Odstawili mnie do windy. Ledwie zniknęli, zawróciłem i zszedłem na dół. To ta torba? Dawaj.

Wyszarpnęłam mu tobołek i schowałam go za siebie.

- Słuchaj, gnojku. Przysięgasz na Biblię, że powiedziałeś mi prawdę i że szukamy skradzionej forsy, a nie diamentów, prochów ani papierów?

- Chodzi o forszę. Przysięgam. Nie znalazłaś jej?



- Nie. O jakiej sumie mówimy?
- Mniej więcej osiem kawałków. Teraz być może mniej.
- Tak mało?
- Dla mnie dużo. Nie mam centa przy duszy.
- Odniosłam wrażenie, że jest tego więcej. - Znow podniosłam głos.  
Ray przycisnął palec do ust.
- Skąd się wzięły te pieniądze? - spytałam przenikliwym szeptem.
- Później ci powiem. Najpierw poszukajmy wyjścia.
- Pod klatką schodową ciągnie się korytarz dla personelu, ale stąd się tam nie dostaniemy.
- Spróbujmy wejść piętro wyżej.
- Lepiej nie. - Złapałam go za ramię, bo ruszył w stronę schodów. -  
Zaczekaj. Potrzebny nam plan.
- Raczej gotówka - poprawił mnie kąśliwie. - I to szybko, nim ochrona nas zgarnie. Może ta Huckaby zdeponowała forszę u kierownika hotelu.
- Niemożliwe. Stałam za nią, gdy się meldowała. Gdyby coś zdeponowała, na pewno bym zauważyła.
- To gdzie jest ta forsa? Na pewno ma ją gdzieś na oku. Znajdźmy ją, a ty ukradnij.
- Ja? Cudownie. A na czym polega twoje zadanie?
- Ja będę ją zagadywał.
- W pokoju pieniędzy nie ma. Sprawdziłam.
- Pewnie nosi je przy sobie.
- Na pewno nie. Mówiłam ci. O kaur...! - Gdzieś z tyłu głowy poczułam dudnienie. Miałam wrażenie, że doszło w niej do olśniewającego blaskiem wybuchu. - Zaraz... Już wiem! Wiem, gdzie schowała forszę. Idziemy.

Zapukałam do drzwi Laury Huckaby. Cisza. Pewnie podeszła i zajrzała przez judasza. Ray opierał się plecami o ścianę po lewej stronie drzwi. Na jego twarzy malował się wyraz cierpienia.

- Wiem już, skąd Gilbert wiedział, kiedy wychodzę - powiedział szeptem. - Nie chciałem ci o tym mówić.

- Cicho - burknęłam. Nie miałam pojęcia, na czym polega jego problem, wyłączając oczywisty, czyli obitą głowę. Wyraźnie nie miał ochoty tu ze mną przychodzić. Wymyślał setki powodów, byleby tylko się wywinąć. Byłam jednak nieugięta. Z jednej strony uznałam, że jeśli pracownicy hotelu przyłapią nas razem, łatwiej będzie udawać, że właśnie wychodziliśmy. Z drugiej - po tym, co usłyszałam od Chestera, nie zamierzałam sama ponosić odpowiedzialności za wszystko, co się wydarzyło.

Tak jak poprzednio, Laura uchylła drzwi na długość łańcucha. Wyciągnęłam przed siebie torbę.

- Poznaje mnie pani? Skończyłam pracę i znalazłam to w korytarzu.

- To moje?

- Tak mi się zdaje. Wczoraj- widziałam tę torbę w pani szafie.

- I co? Sama z niej wyszła?

- Nie wiem. Znalazłam ją i pomyślałam o pani, to wszystko. - Wzruszyłam ramionami. - To pani czy nie?

Obejrzała torbę uważnie.

- Zaczekaj - powiedziała. - Sprawdzę.

Drzwi została uchylone, ale nie zdjęła łańcucha. Podeszła do szafy. Wymieniliśmy z Rayem porozumiewawcze spojrzenia. Wiedziałam, że Laura nie znajdzie swojej torby w szafie, czekałam jednak grzecznie, żeby nie wypaść z roli.

Laura wróciła do mnie z zakłopotaną miną.

- To chyba rzeczywiście moja torba. - Widać było, że mi nie ufa, ale chyba nie potrafi wymyślić racjonalnego wyjaśnienia wszystkich nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, jakich ofiarą padła ostatnio. Zaginiony klucz, nieistniejąca przesyłka, znikająca z szafy torba.

- Mogę zostawić ją za drzwiami, jeśli tak pani woli.

- Nie. Nie trzeba. - Przymknęła drzwi i zdjęła z chrzęstem łańcuch. Po chwili znów je uchyliła tak, by w szparze zmieściła się torba. Wyciągnęła rękę.

Nie podałam jej torby, tylko chwyciłam za drzwi, obejmując dłonią ich krawędź. Pchnęłam lekko.

- Hej! - zawołała zaskoczona i zirytowana. Uśmiechnęłam się do niej, licząc, że uśmierzę jej obawy.

- Mogę wejść? Musimy pomówić. - Znów napałam ciałem na drzwi.

- Odsuń się - rzuciła, próbując mnie odepchnąć. Siłowałyśmy się przez chwilę, póki Ray nie zdecydował się

wkroczyć do akcji. Przeciwno dwóm przeciwnikom nie miała szans. Przestała się szamotać i odstąpiła, zrezygnowana.

- Nazywam się Kinsey Millhone - powiedziałam, wchodząc do pokoju. - A to mój przyjaciel Ray.

Odsunęła się o krok, patrząc ze zgrozą na jego posiniaczoną twarz.

- O co chodzi? - spytała.

- Porozmawiamy sobie o pieniądzach. Ty, ja i Ray. Obróciła się i podbiegła do szafki nocnej, na której

stał telefon. Ray rzucił się za nią. Przycisnął widełki, nim zdążyła wybrać zero.

- Spokojnie. Chcemy tylko pogadać - wyjaśnił. Wyjął jej z ręki słuchawkę i odłożył na miejsce.

- Kim jesteście? To napad?

- Ależ skąd! - Znów się uśmiechnęłam. - Śledziliśmy cię od Kalifornii. Twój przyjaciel Gilbert ukradł tam sporo forsy. Ray chce ją odzyskać.

Laura przeniosła spojrzenie na Raya. Szybko spuściła wzrok.

- Ty jesteś Ray Rawson.

- Zgadza się.

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, podskoczyła do niego, by wymierzyć mu policzek. Ray wyczuł jej intencje i zasłonił się przedramieniem. Drugą ręką chwycił ją za nadgarstek.

- Nie radzę - warknął.

- Zabieraj ode mnie łapy! Ray potrząsnął głową.

- Nic z tego. Forsa należy do mnie i gościa o nazwisku Johnny Lee. Johnny zmarł cztery miesiące temu, więc jego dola trafi do jego syna i wnuka. Gilbert próbował nas okraść.

- Gówno prawda. To był wasz łup. Twój i Gilberta. To ty chcesz go oszukać. Przez ciebie zginął jego brat.

- Bzdura! Tak ci powiedział?

- Tak. Ponoć długo szykowaliście się do skoku, ale ty zdradziłeś. Wystawiłeś ich glinom. Donnie zginął podczas strzelaniny.

- Chwila - nie wytrzymałam. - Co tu jest grane?

Ray nie zwrócił na mnie uwagi, całkowicie skupiony na Laurze.

- Ten drań cię okłamał. Wcisnął ci kit. Pewnie *tak* cię namówił, żebyś mu pomogła, prawda? Bo mam nadzieję, że inaczej nigdy byś się nie zgodziła.

- Daruj sobie, krętaczu. Gilbert uprzedził, że będziesz próbował odwrócić kota ogonem.

- Chcesz poznać prawdę? Proszę bardzo. Powiem ci, jak było.

Zasłoniła dłońmi uszy, jasno wyrażając, co o tym myśli.

- Nie zamierzam tego słuchać. Wiem wszystko od Gilberta.

Uniosłam rękę.

- Przestańcie wreszcie i wyjaśnijcie mi, co tu się dzieje. Znaćcie się?

- Nie do końca - powiedział Ray. Popatrzył pytająco na Laurę. Oboje przymknęli powieki. Ray znów się do mnie odwrócił. - To moja córka. Nie widziałem jej od lat.

Laura rzuciła się na niego i zaczęła okładać pięściami jego pierś.

- Gnojek z ciebie! - wrzasnęła, po czym nagle wybuchła płaczem.

Ray zagarnął ją w ramiona.

- Wiem, kotku. Wiem - mruzczał, poklepując ją po plecach. - I cholernie źle się z tym czuję.

Łzy Laury obeschły dopiero po pięciu-sześciu minutach. Nadal trzymała jednak głowę na ramieniu ojca. Za sprawą jej wyдутego brzucha ich uścisk wyglądał dziwnie. Ray oparł posiniaczony policzek na jej splątanych włosach, z których większość wymknęła się z upięcia i wisiała w płomiennorudych strąkach. Był wprost ogłuszony odgłosami cierpienia, jakie wydawała, nie przejmując się - jak dziecko - niczyją reakcją. Dla żadnego z nich ten kontakt nie wydawał się czymś naturalnym. Nie wierzyłam też, by owa krótka chwila bliskości cokolwiek zmieniła. Nie znali się od lat, więc przelotny kontakt niczego

w ich relacjach nie naprawi. Na razie jednak czekałam cierpliwie, aż im przejdzie wzruszenie, myśląc przy tym kuzynce Tashy i o babce, której zupełnie nie znałam.

Podeszłam do okna i zapatrzyłam się na rozciągnięty za oknami płaski teksański krajobraz. Ziemia wydawała się jałowa. Tutaj, tak samo jak w Kalifornii, ludzie wydarli ją pustyni tylko dzięki ciągłym dostawom cennej wody. Teraz przynajmniej wiedziałam, dlaczego Ray się tak upierał, żeby zaczekać na mnie na dole. Pewnie umierał ze strachu na myśl o spotkaniu z córką, zwłaszcza wiedząc, że Gilbert ją wykorzystał. Dlaczego najbardziej wzruszające chwile w życiu są zarazem najbardziej przygnębiające?

Odgłosy łkania za moimi plecami wreszcie przycichły. Pomiedzy ciężkimi westchnieniami pojawiły się szepty i mamrotanie. Taktownie starałam się ich nie słuchać. Kiedy wreszcie się obróciłam, oboje siedzieli ramię w ramię po jednej stronie łóżka. Łzy zmyły mocny makijaż Laury, ukazując mnóstwo starych siniaków. Wyraźnie było widać, że niedawno ktoś podbił jej oko. Wzdłuż szczęki biegł zielony placek, żółknący już na brzegach. Kolory na twarzy kobiety odpowiadały barwom na twarzy jej ojca. Ze zdziwieniem pomyślałam, że pobił ich ten sam mężczyzna. Ray przyjrzał się jej uważniej i chyba wpadł na tę samą myśl, co ja, bo w jego oczach pojawił się wyraz bólu.

- On ci to zrobił? Bo jeśli tak, zabiję gnoja. Przysięgam.

- To nie tak.

- To nie tak - przedrzeźniał. - Bzdura!

Jej oczy znów zaszyły łzami. Wyszłam do przedpokoju. Wróciłam z pojemnikiem pełnym chusteczek. Podałam

je Rayowi, a on podsunął pudełko Laurze. Wydmuchała nos, po czym spojrzała na mnie z pretensją.

- Nie jesteś prawdziwą pokojówką - powiedziała głosem pełnym urazy. - Nie umiesz nawet porządnie ułożyć narzuty.

- Jestem prywatnym detektywem.

- Wiedziałam, że pokojówki nie ścielą tu łóżek. Powinnam była zaufać instynktowi.

- Co prawda, to prawda. - Przysiadłam na drugim łóżku. - A teraz, czy któś z was zechce mi oddać forszę?

Ray spojrzał na mnie, zaskoczony.

- O co ci chodzi?

- O forszę.

- Nie wiem, gdzie ona jest. Myślałem, że gdzieś tutaj.

- Spytaj córkę - podsunęłam.

- Ja jej nie mam. I nie wiem, o czym mówicie.

- Wiesz. - Wyciągnęłam rękę i popukałam ją w brzuch. Rozległ się głuchy odgłos. Prawdziwy brzuch zdecydowanie nie wydaje takiego dźwięku.

Laura klepnęła mnie w dłoń, odpychając ją.

- Przestań!

Ray popatrzył na nas w osłupieniu.

- Ma forszę w brzuchu? Połknęła ją tak jak przemytnicy prochy?

- Niezupełnie. Po prostu doczepiła sobie sztuczny brzuch.

- Jak na to wpadłaś? - Ray nie mógł wyjść z podziwu.

- W torbie znalazłam tampony. Kobiety w ciąży ich nie potrzebują.

Wszystkie dziewczyny o tym wiedzą.

- Jestem w ciąży. - Laura wreszcie odzyskała głos. - Przestań się czepiać. Dziecko urodzi się w styczniu. Dokładnie szesnastego.

- Podnieś sukienkę. Chętnie popatrzymy, jak kopie.

- Nie muszę tego robić. Nie wierzę, że masz czelność sugerować coś takiego!

- Ray, wiem, co mówię - upierałam się. - Trzyma pieniądze w brzuchu. Dzięki temu na lotnisku nikt niczego nie zauważył. Gdyby ktokolwiek zobaczył w torbie osiem kawałków, musiałaby się nieźle tłumaczyć.

- Nie bądź śmieszna. Prawo nie zabrania wywozić forsy do innego stanu.

- Owszem, nie, o ile ta forsa nie została wcześniej skradziona - powiedziałam wyraźnie, jakbym mówiła do średnio rozbitego dziecka. Użerałyśmy się jak siostry o kieckę na wieczorne wyjście.

- Dajcie spokój, dziewczyny - wtrącił się Ray. Zacisnęłam dłonie w pięści.

- Mam ją walnąć w brzuch? Proszę bardzo, to będzie niezły test.

- Moja ciąża nie powinna cię obchodzić.

- Przeciwnie. Chester wynajął mnie, żebym odnalazła pieniądze.

-Nie... mam... ich - powiedziała, akcentując każde słowo.

Uniosłam zaciśniętą pięść.

- Niech ci będzie - rozzłościła się. - Cholera jasna! To kamizelka z doczepianym brzuchem. Zadowolona?

Zachwycające oburzenie. Jakbym to ja przez cały czas kłamała.

- Świetnie. Pokaż. Jestem ciekawa, jak wygląda.

- Ray, powiedz jej, żeby się ode mnie odczepiła. Ray zerknął w moją stronę.

- Daj spokój. Nie wygłupiaj się. Poza tym myślałem, że interesuje cię historia pieniędzy.



- Bo interesuje.
- Więc skończ z tymi bzdurami i przejdźmy do rzeczy. - Popatryj na córkę. - Ty pierwsza. Chętnie wysłucham wersji Gilberta. Łzawej opowieści o tym, jak to zdradziłem pozostałych.
- Pozwólcie, że najpierw obmyję twarz. Czuję się koszmarnie. - Nos miała czerwony, oczy zapuchnięte od płaczu. Podniosła się. Podeszła do umywalki. Odkręciła wodę i ochlapała nią twarz.
- To twoja córka? - szepnęłam. - Trzeba mnie było uprzedzić.
- Patrzył w ziemię jak szczeniak, który narobił na nowy dywan.
- Kiedy Laura wróciła, zaczekał, aż usiądzie na łóżku, po czym przesiadł się na krzesło i przysunął je bliżej.
- Bez makijażu dziewczyna wyglądała żałośnie, bo po zmyciu pudru ujawniły się nowe siniaki i piegi na jej twarzy. Zerknęła na Raya i jej spojrzenie trochę się rozjaśniło. Podniosła do oczu kłęb chusteczek, które miała nawinięte na palec wskazujący. Widać nie bardzo odpowiadał jej fakt, że znalazła się w centrum uwagi.
- Gilbert powiedział, że w czterdziestym pierwszym roku napadliście na bank.
- To się zgadza - przytaknął Ray. Spojrzałam na niego wymownie.
- Doprawdy?
- Było was pięciu. Ty, Gilbert, jego brat Donnie, facet, którego nazwisko wspomniałeś...
- Johnny Lee - podsunął Ray.
- On i facet o nazwisku McDermid.
- Mała poprawka. Było nas sześciu, bo McDermidów zgłosiło się dwóch. Frank i Darrell.

Laura wzruszyła ramionami, bez sprzeciwów przyjmując tę wersję, która i tak nie zmieniała jej poglądów na sprawę.

- Podobno wydałeś wszystkich. Gliniarze pojawili się podczas napadu. Wywiązała się strzelanina, w której zginął brat Gilberta, Donnie, McDermid i jeden z policjantów. Forsa zniknęła, ale Gilbert podejrzewał, że ty i Johnny wiecie, co się z nią stało. Johnny odsiedział dwa lata, a potem zapadł się pod ziemię. Gilbertowi nie udało się go wytropić, zaczekał więc, aż ty wyjdiesz, i zaczął cię śledzić. Doprowadziłeś go do domu Johnny'ego. Gilbert zabrał tylko swoją dolę. I pewnie jeszcze dolę brata. Poza tym uznał, że ty i Johnny korzystaliście z forsy przez lata, więc to, co zabrał, zwyczajnie mu się należało.

- Pozwolisz, że coś sobie wyjaśnię? - spytałam Laurę.

- Jasne.

- Zakładam, że to matka powiedziała ci, kiedy Ray wychodzi.

Skinęła głową.

- Wspomniała o tym mimochodem. Znałam już historię napadu. Byłam wściekła. Nie dość, że mój ojciec siedział przez prawie całe życie, to jeszcze zdradził swoich kumpli. A to największe świństwo, jakiego można się dopuścić.

- Przykro mi, że ci to mówię. Nie wiem, co cię łączy z Gilbertem, ale czy nie przyszło ci do głowy, że tylko dzięki tobie mógł się zbliżyć do Raya?

- Nie. To niemożliwe. Nic nie wiesz.

- Fakty mówią same za siebie. Wystarczy tylko ruszyć głową - wtrącił się Ray. - Nigdy cię o mnie nie pytał? Może nie po nazwisku, ale na pewno wypytywał cię o ojca, o sytuację rodzinną, o relacje z ojczymem i inne takie.

- Co z tego? Na pewnym etapie znajomości wszyscy zadają takie pytania.

- Nie wydało ci się to dziwne? Zwłaszcza gdy wyszło na jaw, że niby przypadkiem wzięliśmy udział w tym samym napadzie czterdzieści lat temu?

- Nie. Gilbert pracował z Paulem. Moim ojczymem - wyjaśniła mi uprzejmie. - Pewnie od niego usłyszał nazwisko Rawson.

- Oczywiście - rzucił cierpko Ray. - Bo akurat Paul przechwalała się mną i moją przeszłością.

- Co za różnica, kiedy Gilbert usłyszał twoje nazwisko? - zjeżyła się Laura. - Grunt, że je usłyszał. Może tak chciał los.

Mina Raya zdradzała zniecierpliwienie - nie wierzył w tę historię ani przez chwilę - ale machnął ręką, zachęcając, by Laura mówiła dalej.

- Nie powiem ani słowa więcej, jeśli będziesz się tak zachowywał - oznajmiła urażonym tonem. - Spytałeś o moją wersję, więc ci ją opowiadam.

- Masz rację. Przepraszam. Ale chcę jeszcze o coś zapytać...

- Nie spodziewaj się, że wiem wszystko - zastrzegła.

- Rozumiem. Pomyśl jednak logicznie. Jeśli, jak twierdzi Gilbert, wsypałem kumpli, to dlaczego spędziłem czterdzieści lat za kratkami? Gdybym dogadał się z gliniarzami, nie przesiedziałbym ani dnia. Albo trafiłbym do jakiegoś zacisznego więzienia stanowego na kilka miesięcy, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Laura umilkła. Niemal widziałam, jak obracają się trybiki w jej mózgu, gdy próbowała wymyślić sensowne wyjaśnienie.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie wspomniał.
  - Rusz głową.
  - Gilbert nie siedział długo - powiedziała z wahaniem.
  - Miał siedemnaście lat. Był niepełnoletni i popełnił pierwsze przestępstwo. Johnny zawsze podejrzewał o zdradę młodszego McDermida, Darrella. Frank był na to zbyt honorowy. Darrell zeznawał przeciwko nam w sądzie i dostał do odsiadki niecały rok. Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo nas wsypał i w zamian dostał niski wyrok. Gilbert próbuje mnie wrobić. Kocha forszę. Chce położyć łapy na całym łupie, więc szuka wymówki. A przy okazji, błagam, powiedz, że za niego nie wyszłaś.
  - Mieszkamy razem.
  - Super. O roku, od kilku lat?
  - Mniej więcej.
  - I jeszcze się na nim nie poznałaś?
- Milczała. Sądząc po siniakach, dobrze wiedziała, jaki jest Gilbert.
- Nie oszukałby mnie. To ty kłamiesz jak najęty.
  - Zaczekaj z opinią. Nie poznałaś jeszcze mojej wersji tej historii. Podniosłam rękę.
  - Zaskoczy mnie to, co usłyszę? - spytałam. - Dostanę przez ciebie napadu wściekłości?
  - Nie, dlaczego? - Pozwolił sobie na głupi uśmiech.
  - Bo zastanawia mnie liczba twoich wersji. Ta, o ile dobrze liczę, jest trzecia.
  - Zgadza się. I ostatnia, jak mi Bóg miły. Zerknęłam na Laureę.
  - Łże jak najęty. Nie przeszkadzają mu w tym nawet powybijane zęby.

- Nie skłamałem. - Znów się uśmiechnął. - Nie wspomniałem tylko o tym i owym.

- Jak choćby o strzelaninie z gliniarzami? O czym jeszcze? Śmiało. Mów. To będzie fascynujące.

- Daruj sobie ten sarkazm.

- A ty daruj sobie te bzdury! Mówiłeś, że siedzieliście z Gilbertem w jednej celi.

- Musiałem coś wymyślić. Uważasz, że to takie proste? Czterdzieści lat trzymałem gębę na kłódkę. Johnny i ja przysięgliśmy sobie, że nikomu nic nie powiemy. Niestety, zmarł, zanim zdążył mi podać istotne informacje.

- Zaczekaj z opowieścią, aż ułożę się wygodniej - poprosiłam. Rozciągnęłam się na łóżku. Wyjęłam spod narzuty poduszkę i wsunęłam ją sobie pod kark. Zrzuciłam buty i umościłam się wygodnie. Opowieść Raya była jak bajka i zamierzałam się nią cieszyć.

- Wygodnie? - spytał.

- Nawet bardzo.

- Plan opracował Johnny - podjął. - I namówił mnie, żebym poszedł razem z nim. Zanim opowiem wam o napadzie, chcę, byście zrozumiały jego okoliczności. Mam nadzieję, że nie będziecie mi miały za złe dygresji.

- Tylko pod warunkiem że tym razem powiesz prawdę, Ray - burknęłam.

Podniósł się i zaczął krążyć po pokoju.

- Zastanawiam się, jak daleko cofnąć się w czasie... Spróbujmy tak... Zimą trzydziestego siódmego roku wylała rzeka Ohio. Od stycznia padało niemal bez przerwy, więc poziom wody ciągle się podnosił. W końcu pod wodą znalazło się dwadzieścia tysięcy akrów ziemi wzdłuż całej doliny rzeki. W tym czasie Johnny siedział w więzieniu

stanowym w Lexington. Osadzeni zaczęli się buntować. Sześćdziesięciu uciekło, wśród nich Johnny. Dotarł do Louisville i zniknął, wykorzystując zamieszanie. Pomagał przy budowie wałów - przerwał i spojrzał najpierw na Laurę, a potem na mnie. - Wytrzymajcie jeszcze trochę. Dzięki temu dowiedzie się, skąd wziął się pomysł napadu i jak powstał jego plan.

- Nie ma sprawy - zachęciłam, a gdy znów na mnie spojrzał, dodałam:  
- No dalej, śmiało.

- Do miasta ściągnęły tysiące ochotników. Ludzi, których nikt o nic nie pytał. Wystarczyło pomagać. Nikogo nie obchodziło, kim jesteś ani skąd się tam wzięłeś. Zdarzało się, że Johnny wsiadał do łódki i wiosłował po zachodnich dzielnicach, ściągając z dachów tych, którzy uciekli przed wielką wodą. Pokazywał mi zdjęcia. Woda sięgała drugiego piętra, wyżej niż uliczne latarnie. W życiu czegoś takiego nie widziałyście. Johnny zrobił sobie tratwę z czterech beczek i kilku skrzynek. Pływał nią po ulicach. Bawił się jak nigdy dotąd. Został w mieście na dłużej, żeby pomóc przy sprzątaniu. Wtedy wymyślił napad.

Ray milczał przez chwilę, nim podjął:

- Zawaliło się mnóstwo budynków. Centrum było pod wodą przez ponad tydzień. Kiedy woda opadła, powstały ekipy, które uprzątały zniszczenia i naprawiały, co się dało. Johnny był bystry i miał zręczne ręce. Powiedział, że zna się na budowlance, trafił więc do jednej z takich ekip. Kiedyś sprzątał piwnicę i ze zdumieniem odkrył, że mieści się ona pod bankiem. Prądu nie było od wielu dni, kolektory burzowe zawiodły i woda podmyła fundamenty. W ścianach pojawiły się pęknięcia, które Johnny miał naprawić. Nie zwiódłby fachowców, ale wtedy ich

brakowało, a wszyscy inni byli zbyt zajęci, by zawracać sobie nim głowę. Tak czy inaczej, powiedział, że usunął uszkodzenia, choć w rzeczywistości tylko pokrył je tynkiem. Podrobił też dokument odbioru, aby mieć pewność, że nikt go nie sprawdzi.

Spotkaliśmy się cztery lata później. Dowiedziałem się wtedy od Johnny'ego, że wielkie sklepienie podziemi zostało zabezpieczone prętami zbrojeniowymi numer pięć o średnicy czternastu centymetrów i kilkoma warstwami wylewki. Budowano je w czasach Wielkiego Kryzysu, w ramach projektu prac społecznych, wyobraźcie więc sobie, jak było solidne. Rozkucie go wymagało mocnych narzędzi i czasu. Ponoć Johnny od razu pomyślał, że warto by wykorzystać szansę od losu, wiedział jednak, że sam nie da sobie z tym rady. I tu pojawiłem się ja.

Johnny zabrał się do pracy. Nocami i w weekendy przemykał do piwnicy banku, wchodząc z budynku obok. Cierpliwie kuł sklepienie. Nie minął miesiąc i dotarł od spodu do posadzki. Dziś wystarczy dobry sprzęt, wtedy obrabiało się banki dzięki ciężkiej pracy i sprytowi. Napad wymagał cierpliwości oraz dobrego planowania. Trudniejszym orzechem do zgryzienia okazał się dla Johnny'ego system alarmowy. Nie umiał sobie z nim poradzić. Stało się jasne, że potrzebujemy pomocników. Johnny uczył się kiedyś ślusarstwa, przejrzał dostępne poradniki i nauczył się na pamięć danych technicznych wszystkich zamków w banku, nadal potrzebny był nam jednak ktoś, kto rozbroi alarm. Przypomniałem sobie wtedy o koleśku, z którym siedziałem. Sądziłem, że można mu zaufać. Nazywał się Donnie Hays. Przyprowadził ze sobą brata, Gilberta. Jak powiedziała Laura, Donnie już nie żyje, a Gilbert zabrał się do czegoś innego. - Uniósł

w górę zabandażowaną rękę i wymownym gestem wskazał na swoją posiniaczoną twarz.

Przez twarz Laury przemknął grymas zdziwienia. Zerknęła na mnie pytająco. Widać nie przyszło jej wcześniej do głowy, że to Gilbert tak urządził Raya.

- Johnny z kolei zwerbował dwóch innych braci - podjął Ray. - Byli kuzynami. Znali się z czasów odsiadki Johnny'ego w Lexington. Donnie Hays rozbroił alarm, a my zabraliśmy się do pracy z kilofami i młotami. Kopaliśmy jak szaleńcy, aż wreszcie przebiliśmy posadzkę. Johnny zajął się opróżnianiem skrzynek na depozyty, a my zbieraliśmy to, co z nich wysypywał.

- Chwila - przerwałam mu. - A kim jest Farley? Ma z tym coś wspólnego?

- Farley to bratanek Gilberta - wyjaśniła mi Laura. - Był z nami w Kalifornii.

- Jasne. Wybacz, że ci przeszkodziłam - zwróciłam się do Raya. - Mów dalej.

- Pracowaliśmy jak maszyna. Johnny wysypywał forszę i kosztowności z pudeł na depozyty, my pakowaliśmy je w torby, a potem podawaliśmy je sobie z rąk do rąk, wynosząc je przez otwór w podłodze do samochodu, który czekał w zaułku. Wszystko szło nam jak z płatka, aż tu nagle zjawili się gliniarze i misterny plan diabli wzięli. Do banku wdarła się uzbrojona jednostka, w strzelaninie zginęli Frank McDermid i Donnie Hays oraz jeden z policjantów. Byłem wtedy w gorącej wodzie kąpanym małolatem. To ja go zastrzeliłem. Do więzienia trafili Gilbert i Darrell McDermid. Ponoć gdy wyszedł, zginął w wypadku, ale nie wiem, czy to prawda.

- Tobie i Johnny'emu udało się uciec? - spytałam.



Potrząsnął głową.

- Nie do końca. Daliśmy nogę, wiedzieliśmy jednak, że wcześniej czy później policja wpadnie na nasz ślad. Byliśmy przerażeni. Siedzieliśmy na workach z forszą, ale nie mieliśmy pojęcia, co dalej. Postanowiliśmy się rozdzielić. Johnny powiedział, że zna idealne miejsce na ukrycie łupów, ale lepiej, żeby tylko jeden z nas je znał. Ufałem mu. Bez wahania powierzyłbym mu własne życie. Obiecał, że nie tknie ani centa, póki obaj nie będziemy wolni. Każdy z nas poszedł swoją drogą. Kiedy go złapano, nie miał przy sobie pieniędzy. Gliniarze próbowali z niego wyciągnąć, gdzie je ukrył, ale nie pisnął ani słowa. Przyznał, że brał udział w kradzieży, ale nigdy nie powiedział, co się stało z łupem. Jak na ironię, solidne bicie wydusiło z niego przyznanie się do winy, które skróciło mu wyrok.

Obaj podejrzewaliśmy, że wydał nas Darrell. Podczas procesu zeznawał przeciwko nam w sądzie. Potem przysięgał, że to nie on nas wrobił i próbował zwalić wszystko na nieżyjącego brata. I ja, i Johnny dostaliśmy po dwadzieścia pięć lat, ale dzięki przyznaniu się do winy Johnny mógł wnieść o apelację. Po dwóch latach wrócił do rodziny, a ja utknąłem w zakładzie karnym o zaostrozonym rygorze w Atlancie, w stanie Georgia. Johnny nawiązał ze mną kontakt. Ustaliliśmy, że ze skradzionej forsy weźmie tyle, ile będzie potrzebował na życie i wsparcie dla mojej matki w Kentucky. - Ray wskazał na brzuch Laury.

- Tyle zostało z naszych wielkich łupów.

- Chwileczkę! Skąd wiesz, że jest tego osiem tysięcy?

- Johnny informował mnie, ile pieniędzy wyciągnął i ile z nich wydał.

Policzyłem to sobie.

- Gdzie reszta?

- Pewnie w kryjówce Johnny'ego. Wpatrzyłam się w niego z niedowierzaniem.

- Chyba mi teraz nie powiesz, że Johnny umarł, nim zdążył ci powiedzieć, gdzie schował forszę.

Wzruszył ramionami.

- A jednak powiem.

12

Laura jęknęła głucho i pochyliła się do przodu, jakby zaraz miała zemdleć. Próbowwała wepchnąć głowę między kolana, ale uniemożliwiał jej to wydatny brzuch. Opadła więc na łóżko, chwyciła jedną z poduszek i przytuliła się do niej mocno, podciągając kolana do brody jak płaczące dziecko.

- Co się dzieje? - spytał zaniepokojony Ray.

- Boże! Myślałam, że tego jest więcej. I że wiesz, gdzie ten Johnny to ukrył - wyszeptała i zaczęła szlochać.

Widać mam twarde serce, bo spokojnie siedziałam obok i zastanawiałam się, dlaczego taki płacz nazywa się czasem beczeniem. W życiu nie słyszałam w nim dźwięku, który by to usprawiedliwiał.

Ray przesunął się i przysiadł na łóżku tuż za jej plecami.

- Dobrze się czujesz?

Potrząsnęła głową, przesuwając nią po narzucie.

- Nic jej nie będzie - powiedziałam znużonym tonem. Może i zabrzmiało to szorstko, ale wiedziałam, co kombinuje Laura, i te jej łzy na zawołanie zaczynały mnie już drażnić.

Ray pogłaskał ją po plecach i kilka razy poklepał po ramieniu, dość nieporadnie wyrażając w ten sposób swój niepokój i troskę.

- Przestań już - poprosił. - Nic złego się nie stało. Powiedz, co cię trapi, a na pewno ci pomogę. Masz na to moje słowo. Tylko nie płacz.

- Nie mów jej zbyt wiele, Ray - uprzedziłam. - Kombinuje, jak wykiwać Gilberta, a przecież ponoć jest w nim zakochana. Jak myślisz, co zrobi z kimś, na kim jej nie zależy? To znaczy z nami, gdybyś nie zrozumiał aluzji.

Brwi Raya uniosły się w wyrazie zdziwienia, gdy zerknął na Laurę.

- Czy to prawda? Próbujesz od niego uciec?

- Jasne. Zwalając nam go na głowę - podsunęłam. Żadne z nich nie zwróciło na mnie uwagi. I po co się wysilałam?

Podaliśmy jej kolejny plik chusteczek, a ona znów przeprowadziła ten sam rytuał. Najpierw wydmuchała nos. Następnie przycisnęła chusteczki do oczu, ocierając nieistniejące łzy. Zaczęła coś tłumaczyć, ale kiepsko jej szło, więc szybko przejęłam inicjatywę.

- Ona i Farley połączyli siły. Laura wzięła forszę, a potem się z nią ulotniła. Teraz się ukrywa. Tak przynajmniej mi się zdaje.

- Postanowiliście oskubać Gilberta? - Ray próbował mówić spokojnie, ale ton jego głosu zdradzał niepokój. Znał Gilberta i wiedział, na jakie niebezpieczeństwo naraziła się Laura.

Skinęła głową. Łzy płynęły po jej policzkach.

- Boże, dziecko. Szkoda, że nie wiedziałem, co zamierzasz. To nie jest dobry pomysł, uwierz mi.

- Trudno. Farley mnie kocha. Obiecał, że mi pomoże. Wie, że Gilbert mnie bije. Musiałam od niego uciec, bo by mnie zabił.

- Rozumiem, ale Gilbert to szaleniec. Nie spodoba mu się, że uciekłaś z jego forsą. Jeśli cię znajdzie, wolę nie myśleć, co ci zrobi. Porozmawiaj z nami. Wspólnie znajdziemy jakieś rozsądne wyjście.

Uwielbiałam, kiedy mówił „my”.

Laura westchnęła ciężko i usiadła. Jej niepodkreślone makijażem oczy wyglądały, jakby uniosły się ku skroniom. Przez zapchany nos mówiła ciszej niż zwykle. Miała zaczerwienioną, pokrytą piegami twarz. Orzechowe tęczówki jaśniały na tle zmierzwionych ciemnorudych włosów. Jej zielona sukienka była pognieciona, białe golf plamiły ślady po podkładzie.

- Nie pomyślałam o konsekwencjach. Chciałam po prostu mieć go z głowy. - Podciągnęła rękawy. - Popatrz. Na całym ciele mam siniaki. Wyglądam gorzej niż ty. Z tym, że ja dostaję takie lanie regularnie od kilku miesięcy.

- To oczywiste, że musisz go zostawić. Nie rozumiem tylko, dlaczego się na to zgadzałaś?

- Nie miałam wyjścia. Próbowалам od niego uciec. Dwa razy mieszkałam w schronisku dla maltretowanych kobiet i u przyjaciół. I wszędzie mnie odnajdował, po czym skłaniał do powrotu. Pilnuje, żebym z nikim się nie zaprzyjaźniła. Rozlicza mnie z każdej minuty. Nie pozwala mi pracować. Nie mam własnych pieniędzy. Kiedy powiedział mi o swoim planie, wiedziałam, że muszę wykorzystać okazję. Pomyślałam, że jeśli zdobędę pieniądze... uda mi się od niego uwolnić.

- Weź sobie forsę - powiedział Ray. - Jest twoja. Długo nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, gdy Kinsey wymieniła twoje nazwisko. Zapytaj ją, jeśli nie wierzysz. Oniemiałem z wrażenia.

- Tak bym tego nie nazwała - wtrąciłam. - Ale na pewno długo milczałeś.

- Nie wiedziałem, córeczko, że masz coś wspólnego z tą sprawą - uzupełnił Ray.

- A to by coś zmieniło? - spytała Laura, wydmuchując nos. Wyglądała na zadowoloną z faktu, że udało jej się go zaskoczyć.

- Gdybym wiedział, nigdy bym tu nie przyjechał. Darowałbym ci te osiem tysięcy. Teraz też tak zrobię. Weź je sobie. Są twoje.

- Nie chcę ich.

- Mówiłaś, że nie masz wyboru.

- Mam.

- Jaki?

- Nie wiem. Porozmawiam z Farleyem. Coś wymyślimy.

- Nie wygłupiaj się. Zależało ci na nich. Zmieniłaś zdanie?

Laura podskoczyła, zniecierpliwiona.

- Owszem, chciałam je zabrać, bo myślałam, że zdradziłeś kumpli, by zdobyć te osiem tysięcy. Uznałam, że po czymś takim nie zasługujesz, by je mieć.

Miałam dość melodramatycznych scen. Życzyłam sobie, by wreszcie przeszli do rzeczy.

- Podzielcie się pieniędzmi i skończcie tę bezsensowną kłótnię - podsunęłam.

Ray pokręcił głową.

- Nie musimy się dzielić. Niech Laura zatrzyma całość. Ja wrócę do Louisville i poszukam reszty.

- Liczysz, że coś znajdziesz po czterdziestu latach? - spytałam z niedowierzaniem.

- Może i nie, ale przynajmniej zyskam pewność, że Laura uwolni się od Gilberta.

- Powiedziała ci już, że sama sobie poradzę. -W głosie Laury zabrzmiała irytacja.

- Pozwól sobie pomóc.

- Już na to za późno.

Zdezorientowany Ray obrócił się w moją stronę.

- Ty z nią pogadaj - poprosił. - Przemów jej do rozumu, bo ja nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

- Powiem ci, o co, i lepiej mi zaufaj - odparłam. - Laura pragnie twojej miłości i akceptacji. Chce, żebyś błagał ją o wybaczenie za wszystko, przez co przeszła z twojego powodu. Do niczego więcej nie jesteś jej potrzebny. Prędzej umrze, niż przyjmie od ciebie pomoc.

- Dlaczego?

- Bo nie chce ci nic zawdzięczać - wyjaśniłam. Spojrzał przez ramię na córkę.

- To prawda? Kinsey ma rację?

- Chyba tak. - Jeszcze raz otarła oczy i wydmuchała nos. - Poza tym myślałam, że forsy jest więcej. Liczyłam na kilka milionów.

- Nigdy nie ukradliśmy milionów. Gilbert twierdzi inaczej?

- Skąd miałam wiedzieć. Od lat o tym opowiadał. Być może w tych opowieściach łupy były coraz większe. Ważne, że osiem tysięcy nie wystarczy, aby zacząć od nowa. Miałam nadzieję, że wyjadę za granicę, wynajmę mieszkanie... Osiem tysięcy zbyt szybko się rozejdzie.

- Na razie wystarczy. Jedź do innego stanu. Zmień nazwisko. Znajdź sobie pracę. Ta forsa pomoże ci stanąć na nogi.

Na twarzy Laury pojawił się wyraz desperacji.

- Gilbert mnie odnajdzie. Myślałam, że dzięki Farleyowi pójdzie mi łatwiej, ale teraz bardzo się o niego martwię.

- Gdzie on się podziewa? - spytałam.

- Został z Gilbertem w Santa Teresa. Nie chcieliśmy wzbudzać podejrzeń.

Podniosłam rękę.

- Zaczekaj chwilę. Pogubiłam się trochę. Jak wyglądał pierwotny plan?

- Kiedy wyjeżdżałam z Santa Teresa? Miałam lecieć do Palm Beach na Florydzie i tam spotkać się z Gilbertem. Miał tam też być koleś, którego wynajął, żeby mnie pilnował. Gilbert chciał jak najszybciej wywieźć forszę z Kalifornii, ale bał się, że podróżując we trójkę, wzbudzimy podejrzenia. Poza tym i on, i Farley musieli czekać na paszporty. Ja dostałam swój wcześniej, miałam więc polecieć do Palm Beach i tam na nich poczekać. Potem razem polecilibyśmy do Rio.

- Zostawiłaś Farleya z Gilbertem? - zawołałam. - Kiepski pomysł. Nie znam go wprawdzie, ale głowę dam, że nie da rady oszukać stryja.

- To prawda - zgodził się ze mną Ray. - Gilbert jest nieobliczalny, zwłaszcza gdy wietrzy podstęp. Zobacz, jak mnie urządził. Myślisz, że pozwoli ci odejść?

- To co mam teraz zrobić? - jęknęła Laura. - Co się stało, to się nie odstanie. Wzięłam pieniądze i uciekłam. Ledwie tu weszłam, przeliczyłam je. Myślałam, że umrę, gdy odkryłam, jak jest ich mało.

- Mam pytanie - wtrąciłam. - Kiedy Farley do ciebie dołączy?

- Jak najszybciej. Koleś od paszportów przysięgał, że już mu go wysłał. Farley wie, gdzie jestem. Umówiliśmy się, że kiedy przyjedzie, zadzwoni z budki przy hotelu.

- Ale nie zadzwonił?

- Zadzwonił. Raz. Dzisiaj rano. Czekał, aż zostanie sam. Kiedy powiedziałam mu, że mamy tylko osiem tysięcy, był przerażony. Obiecał, że coś wymyśli i że odezwie się za godzinę.

- I od tamtej pory milczy - podsunął Ray. Laura skinęła głową.

- Gilbert pewnie już wie, że nie wysiadłaś na lotnisku w Palm Beach - powiedziałam. - Czy facet, który miał cię pilnować, już do niego zadzwonił?

- Na pewno, ale Gilbert nie ma pojęcia, gdzie się ukryłam.

- Bardzo skomplikowany ten twój plan - zauważyłam kąśliwie. - A pomyślałaś o Farleyu i o tym, że Gilbert będzie go podejrzewał?

- Myślisz, że odkryje, co nas łączy?

- Jasne, że tak! - Ray nie krył zniecierpliwienia. -Czekał na tę forszę przez czterdzieści lat. To psychopata. Podejrzewa wszystkich dookoła. A ty jesteś żalną amatorką. Pewnie dawno już cię przejrzał.

- Dallas jest ogromne. Nigdy mnie tu nie znajdzie -próbowała się bronić Laura. - Za pokój zapłaciłam gotówką i podałam fałszywe nazwisko.

- Farley wie, gdzie się ukryłaś.

- Ufam mu.

Ray zacisnął powieki.

- Lepiej więcej, póki możesz - poradził.

- Dokąd?



- Nieważne. Wyjedź.
- A co z Farleyem? Nie będzie wiedział, gdzie mnie szukać.
- I o to chodzi - powiedziałam. - Ray ma rację. Nie myśl o Farleyu, tylko o tym, żeby od Gilberta dzieliło cię jak najwięcej kilometrów.
- Nigdzie się stąd nie ruszę. Obiecałam Farleyowi, że tu na niego zaczekam.
- Jezu... - westchnęłam.
- Gilbert nie jest supermanem. Nie wyśledzi mnie promieniami rentgenowskimi w oczach - upierała się.
- Jasne - warknęłam. Otworzyłam torebkę i grzebałam w niej, póki nie znalazłam biletu na samolot. Potem zaczęłam otwierać szuflady biurka i szafek. Szukałam książki telefonicznej. - Słuchajcie, kochani. Nie mam pojęcia, jak zamierzacie rozwiązać ten problem i guzik mnie to obchodzi. Ja się stąd zabieram.
- Wyjeżdżasz? - Ray był wyraźnie zaskoczony. - A co z ehesterem?
- Zwolnił mnie. - Znalazłam książkę ważącą chyba z pięć kilogramów, a w niej spis działających w mieście firm. Z trudem wydobyłam ją z szuflady i położyłam sobie na kolanach. Zaczęłam ją kartkować, by znaleźć dział oznaczony „Linie lotnicze”. - Nie zamierzam się angażować w spór między tobą a twoją córką. Sami musicie się dogadać. Zlecono mi odzyskanie gotówki, którą teraz tak hojnie oddajesz Laurze, ale po drodze straciłam robotę. To już nie moja sprawa. Nic mnie tu nie trzyma. Jeśli Chester uzna to za stosowne, sam odbierze od ciebie swoją dolę. Jest wściekły, więc pewnie nie odda mi pieniędzy za bilety i nocleg w hotelu, dlatego nie będę się narażać na

dodatkowe koszty. Wracam do domu, póki jeszcze panuję nad sytuacją.

Znalazłam numer do biura rezerwacji American Airlines i przytrzymałam na nim palec.

- Nie możesz nas tak zostawić. - W głosie Raya zabrzmiało oburzenie.

- Mam inne zdanie.

- Jakie?

- Nie jesteśmy współnikami. Przyjechałam tu pod wpływem impulsu i wyjadę, kiedy zechcę. - Położyłam słuchawkę na ramieniu i przytrzymałam ją policzkiem, wybierając numer. Po chwili zabrzmiał w niej mechaniczny głos, informujący mnie, że wszyscy operatorzy są zajęci. Przycisnęłam guzik oczekiwania i wróciłam do rozmowy z Rayem. - Pieniądze pochodzą z kradzieży. To kolejny powód, dla którego nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

- Od napadu minęło czterdzieści lat - sprostował Ray. - Bank już nie istnieje. Budynek zburzono w czterdziestym dziewiątym roku. Większość klientów już nie żyje. Nawet gdybym zamierzał oddać łup, zabrakłoby na niego chętnych. Miałbym wręczyć forszę urzędnikom stanu Kentucky? Niby dlaczego? Spędziłem za kratkami niemal całe życie. Zarobiłem na każdego centa.

- Przepięknie pozostaje przestępstwem - zauważyłam uprzejmie, by nie prowokować kłótni.

- Nie słyszałaś o przedawnieniu? Kto odbierze mi łup po tylu latach? Poza tym odpokutowałam przecież za swoje grzechy.

- Przedyskutuj to z adwokatem. Być może masz rację. Ja jednak zakładam, że się mylisz, i dlatego umyłam ręce.

Laura poruszyła się ze zniecierpliwieniem. Nasza dyskusja o problemach prawnych najwyraźniej ją znudziła. Pochyliła się do mnie i zasyczała:

- Odłóż wreszcie telefon. Przez ciebie Farley nie będzie mógł się dodzwonić.

Podniosłam głowę jak gliniarz kierujący ruchem na skrzyżowaniu. W słuchawce zabrzmiał głos kasjera American Airlines, który przedstawił się uprzejmie.

- Dzień dobry, Bret - odparłam. - Nazywam się Kinsey Millhone. Mam otwarty bilet w obie strony z Santa Teresa do Palm Beach na Florydzie. Chciałabym zarezerwować termin powrotu. Jestem teraz w Dallas, interesuje mnie więc lot stąd do Santa Teresa.

- Jaki dzień pani odpowiada?

- Chcę wylecieć jak najszybciej. Najchętniej dzisiaj, jeśli to możliwe.

Pogrążona w rozmowie z Bretem, zauważyłam jednak, że Ray i Laura wzięli się do omawiania rodzinnych spraw, obracających się głównie wokół kwestii skradzionych pieniędzy. Wyglądało na to, że dziewczyna pozwoliła się wreszcie obdarować spornymi ośmioma tysiącami. Mimochodem usłyszałam, że Ray proponuje, by zeszli razem do pokoju na dziesiątym piętrze po jego rzeczy. Zamierzał zostawić je w pokoju Laury, póki wspólnie nie zdecydują, co dalej.

Laura zaczęła się krzątać po pokoju, zagłuszając głos kasjera, z którym usiłowałam ustalić plan podróży. Okazało się, że muszę wybrać spośród kilku tras, z przesiadką w San Francisco lub Los Angeles. Była niedziela, więc zarezerwowano już prawie wszystkie miejsca w obu lecących bezpośrednio do Santa Teresa samolotach, postanowiłam jednak spróbować szczęścia i czekać na wolne

miejsce na lotnisku. Kasjer poprosił, bym się wstrzymała, aż sprawdzi, czy istnieje taka możliwość. Po jakimś czasie podniósł słuchawkę i zaproponował mi dwa loty: jeden bezpośredni i jeden z przesiadką. Najbliższy samolot startował o godzinie czternastej dwadzieścia dwie. Zerknęłam na zegarek. Była dwunasta trzydzieści. Gdyby udało mi się szybko załatwić transport hotelowy albo zamówić taksówkę, dotarłabym na lotnisko w ciągu trzydziestu pięciu, góra czterdziestu minut.

Laura pogrzebała w szufladzie nocnej szafki za moimi plecami, po czym pochyliła się i zbliżając twarz do mojego policzka, warknęła:

- Rozłącz się wreszcie.

Usiadła z westchnieniem na sąsiednim łóżku i zaczęła rozwiązywać tenisówki.

Posłałam jej uspokajający uśmiech i zaczęłam dopytywać kasjera o szczegóły lotu. Kiedy odłożyłam słuchawkę, odkryłam, że Ray nadal siedzi w pokoju.

- Myślałam, że zszedłeś na dół po torby - zagadnęłam.

- Bałem się, że wyjedziesz, nim zdążę wrócić.

- I nie pomyliłeś się. Co zamierzasz? Wrócisz do Kalifornii?

- Raczej nie. Zaczekam z Laurą na wieści od Farleya. Kiedy sytuacja się wyjaśni, pojedę do Louisville. Wynająłem już samochód. Jeśli będę siedział cicho, nikt mnie tu nie odkryje.

- A co z ehesterem? Wolałabym nie psuć ci zabawy, ale połowa pieniędzy należy do niego.

- Kto tak twierdzi?

- Sam tak mówiłeś. Miałeś mu zwrócić część należącą do jego ojca.

- Zapomnij. To palant. Nie zamierzam się z nim dzielić.

- Powinam była na to wpaść.  
- Wiedziałaś, że uwielbiam kłamać.  
- I to ja mam mu przekazać złe wieści? Dzięki, Ray. Wrobiłeś mnie.  
Co mu powiedzieć?

- Wymyśl coś. Powiedz, że cię oszukałem. To proste.  
- Jasne.  
- Mówię ci, że to palant. Założę się, że nie zwróci ci kosztów tej wycieczki.

- Wzrusza mnie twoja wiara w ludzi - zauważyłam ironicznie.  
Laura wciąż się na mnie dąsała, darowałam więc sobie czułe pożegnania. Sięgnęłam po torbę, zarzuciłam ją sobie na ramię i wyszłam. Schodami przeciwpożarowymi zeszłam dwanaście pięter do lobby.

Złapałam taksówkę i kazałam się zawieźć na lotnisko. Gdybym zdecydowała się na podróż hotelowym busem, nie kosztowałoby mnie to wprawdzie ani centa, ryzykowałabym jednak spotkanie z ochroniarzami. Jak na razie, udawało mi się skutecznie omijać kierownictwo hotelu. Byłam zachwycona, że w czasie pobytu w Teksasie nie zadarłam z prawem.

W taksówce sprawdziłam zawartość portfela. Wracałam do domu, wszystkie pieniądze mogłam więc przeznaczyć na podróż. Wyszło tego mniej więcej trzydzieści pięć dolarów. Od czasu do czasu zdarzało mi się wydać niewielką sumę, zasadniczo jednak moje finanse przetrwały tę przygodę w stanie prawie nienaruszonym. Po powrocie będę wprawdzie musiała uiścić opłaty za parking - siedem dolarów za dzień, a nie było mnie dwa albo trzy - to jednak wydawało się błahostką. Wystarczy, że zadzwonię do Henry'ego, a przywiezie mi potrzebną kwotę. Nie wymeldowałam się wprawdzie oficjalnie z hotelu, ale w dniu

przyjazdu recepcjonistka pobrała z mojej karty opłatę za nocleg i na pewno zachowała dane, by obciążyć mnie rachunkiem za dłuższy pobyt. Jego wysokość sprawdzę, kiedy dostanę kolejny wyciąg z konta. Tak czy inaczej, hotel nie da się oszukać.

Wysiadłam przy bramce odpraw American Airlines. Weszłam do budynku terminalu i przeszłam przez lobby, by na tablicy informacyjnej odnaleźć loty, których numer mi podano. Pierwszy samolot startował o czternastej dwadzieścia dwie, kolejny - dopiero o osiemnastej dziesięć, dlatego nie uwzględniono go nawet na tablicy. Odnalazłam bramkę lotu o czternastej dwadzieścia dwie. Podróżowanie bez bagażu sporo na lotnisku ułatwia. Minęłam kontuar z kasą biletową i ustawiłam się w kolejce do bramki bezpieczeństwa. Moja torba została przekazana do prześwietlenia, a ja przeszłam przez bramkę z wykrywaczem metalu. Rozległ się przejmujący pisk. Poklepałam się po kieszeniach, ale nie znalazłam nic prócz spinacza do papieru i kilku monet, które wykorzystywałam do automatów telefonicznych. Zawróciłam i wrzuciłam je do plastikowej miseczki. Jeszcze raz przeszłam przez bramkę. Tym razem pisk przeszedł w wycie. Podeszła do mnie jedna z pracownic ochrony niczym wróżka trzymająca w dłoni magiczną różdżkę, czyli przenośny detektor. Wtedy sobie przypomniałam.

- Chwileczkę - zawołałam. - Wiem, co to jest.

Ku oburzeniu czekających za mną pasażerów, jeszcze raz zawróciłam, zdjęłam kurtkę i położyłam ją na taśmie prowadzącej do skanera. Tym razem pokonałam bramkę bez problemów. Obawiałam się trochę, że ochroniarze zaczną mnie wypytywać o klucz ukryty pod poduszką na ramieniu, nikt jednak nie pisnął o tym słowa. Pewnie jak tydzień długi

widują tu znacznie ciekawsze rzeczy. Chwyciłam z taśmy torbę oraz kurtkę i ruszyłam do kolejnej bramki.

Wyjęłam bilet i wyjaśniłam sytuację stojącej przy wejściu pracownicy linii lotniczych. Nie podzielała mojego optymizmu. Uznała, że nie powinnam liczyć na łut szczęścia, bo wykupiono niemal wszystkie bilety. Mimo to usiadłam z boku i czekałam, obserwując odprawę szczęśliwców z miejscówkami. Takich jak ja było więcej i chyba wszyscy liczyliśmy na miejsce w tym samym samolocie, niestety, całkowicie obłożonym. Baczynym okiem obrzuciłam konkurencję. Niektórzy z nich wyglądali na takich, którzy potrafili wyklócić się o wszystko. Sama pewnie też bym się zdecydowała na awanturę, gdybym wierzyła, że to mi coś da. Na razie wolnych foteli było sporo, a samolot nie miał pozwolenia na start. Choć sprawny technicznie, mógł zostać uziemiony przez kontrolę lotów, co z kolei oznaczało, że nasz los nie był jeszcze przesądzony. Poza tym nigdy nie słyszałam, by linie lotnicze ustąpiły pod naciskiem wrzaskliwego pasażera, na razie więc nie warto było zawracać sobie nimi głowy.

Wyciągnęłam z torby romansidło i zaczęłam czytać. Kiedy nadszedł czas odlotu, rozpoczęła się odprawa. Pasażerów wpuszczano na pokład zgodnie z numerami foteli, od ogona samolotu ku jego czółu, co jakiś czas robiąc wyjątek dla osób uprzywilejowanych. Na koniec wyczytano nazwiska sześciu pasażerów z listy rezerwowej. Nie było mnie wśród nich. Kobieta przy bramce posłała mi przeproszący uśmiech, z którego wynikało, że nic więcej nie da się zrobić. Obiecała jednak, że wpisze mnie na początek listy rezerwowej na kolejny samolot.

Na razie jednak miałam cztery wolne godziny. Jak zdążyłam się zorientować, załoga samolotu codziennie latała

dwa razy z Dallas do Santa Teresa i z powrotem, a pasażerów przez siedem dni w tygodniu odprawiano przy tej samej bramce. Teraz musiałam tylko zorganizować sobie jakoś czas, po czym wrócić tutaj, zanim rozpocznie się kolejna odprawa. Jeśli dopisze mi szczęście, znajdę wolne miejsce i wrócę do domu. Jeśli będę miała pecha, utknę w Dallas do poniedziałku, do czternastej.

Przeszłam jakiś kilometr wzdłuż korytarza, tylko po to, żeby rozprostować nogi. Skorzystałam z toalety, zachowując się przy tym, jak na damę przystało. Kiedy wyszłam, skręciłam w prawo i znalazłam lotniskowy odpowiednik kawiarni pod gołym niebem, oddzielony od reszty terminalu niskim płotkiem z pleksi i sztucznymi roślinami w doniczkach. Mały bar oferował wino, kilka rodzajów piwa i egzotyczne koktajle. Obok kontuaru w ladzie chłodniczej leżały na lodzie owoce morza. Nie jadłam lunchu, zamówiłam więc sobie piwo i talerz świeżych krewetek, do których podano sos koktajlowy, ostrygowe krakersy i ósemki cytryny. Krewetki obrałam i polałam je sosem. Nie przeszkadzało mi, że od czasu do czasu ktoś przystaje, by popatrzeć, jak jem. Kiedy skończyłam, powlokłam się z powrotem do bramki.

Usiadłam przy oknie. Spokojnie czytałam książkę, co jakiś czas obserwując zza szyby lądujące i startujące samoloty. Zdarzało się, że z nudów zapadałam w krótką drzemkę, ale krzesła w poczekalniach lotnisk nie projektuje się z myślą o wygodzie, szybko się więc budziłam. Wreszcie z czterech godzin zrobiła się jedna. Wiedząc, że czas oczekiwania zbliża się do końca, postanowiłam przejść się do kiosku i kupić lokalną gazetę. Na swoje stanowisko przy bramce wróciłam o piątej, dokładnie



w chwili, kiedy na lotnisku lądował samolot z Santa Teresa. Podeszłam do jednej z pracownic stojących przy bramce i upewniłam się, że moje nazwisko jest na liście rezerwowej.

Większość krzeseł w poczekalni było teraz zajętych, oparłam się więc o kolumnę i zaczęłam przeglądać gazetę. Otwarto drzwi samolotu i na schodach pojawili się pasażerowie pierwszej klasy. Wyglądali na wypoczętych dużo bardziej od podróżnych, którzy weszli do budynku nieco później. Wszyscy lustrowali tłum, szukając bliskich, którzy mieli tu na nich czekać. Kiedy znajdowali, rzucali się im w ramiona z okrzykami radości. Babcie tuliły do piersi swoje wnuki, żołnierze obejmowali narzeczone, mężowie i żony wymieniali obowiązkowe całusy. Dwie nastolatki z pękami wypełnionych helem balonów w dłoniach zaczęły piszczeć na widok chłopaka, który przed chwilą wysiadł z samolotu. Kolejne minuty spędziłam w miłej atmosferze, zadowolona, że nie muszę już myśleć o ponurych doniesieniach z gazety. Zamierzałam właśnie przyłączyć się do zabawy, kiedy w drzwiach pojawiła się ostatnia grupa pasażerów. Wśród nich dostrzegłam charakterystyczny kapelusz. Przetarłam oczy, patrząc z niedowierzaniem na Gilberta, który właśnie wszedł do budynku.

13

Zerknęłam na zegarek. Odprawa pasażerów zacznie się pewnie za jakieś dwadzieścia-trzydzieści minut. Teraz samolotem zajmie się ekipa sprzątająca, której członkowie pozbierają rozrzucone gazety, zużyte chusteczki do nosa, słuchawki i zgubione przez pasażerów przedmioty.

Odłożyłam gazetę i ruszyłam za Gilbertem. Łatwo było go śledzić, bo jego stetson, jasna dzinsowa kurtka i kowbojki rzucały się w oczy. Był mniej więcej w wieku Raya, choć wcześniej uznałam go za młodszego. Przedtem oceniłam go na mniej więcej pięćdziesiątkę, w rzeczywistości miał jednak jakieś sześćdziesiąt dwa-sześćdziesiąt trzy lata. Nie potrafiłam wymyślić, co widziała w nim Laura, chyba że szukała sobie ojca, i to dosłownie. Podejrzewałam, iż jego seksualna atrakcyjność wiąże się ściśle z jego brutalnością. Wiele kobiet bierze agresję za skłonność do żartów, a mrukliwość traktuje jak oznakę duchowej głębi.

Gilbert pchnął obrotowe drzwi wiodące do tej samej hali odbioru bagażów, w której znalazłam Laurę w niedzielę nad ranem. Klębiący się w niej tłum zapewniał mi naturalną osłonę. Kiedy czekał na walizkę, poszukałam wzrokiem telefonu. Wiedziałam, że na pewno znalazłabym kilka aparatów tuż za rogiem, nie chciałam jednak spuszczać Gilberta z oka. Podeszłam do tablicy informacyjnej z folderami hoteli i znalazłam numer recepcji Desert Castle. Umieszczony obok telefon łączył z hotelową recepcją lub biurem rezerwacji busów, nie umożliwiał jednak połączeń wewnętrznych. Czekając, aż ktoś odbierze, wygrzebałam z torebki kartkę i długopis.

- Desert Castle - powiedział damski głos w słuchawce.
- Dzień dobry. Dzwonię z lotniska. Czy mogłaby mnie pani połączyć z centralą telefoniczną hotelu?
- Przykro mi, ale nie. Nie mam takiej możliwości.
- A czy zechce mi pani podać wasz numer?
- Oczywiście. Interesuje panią dział rezerwacji, sprzedaży czy cateringu?
- Wystarczy numer centrali.

Kobieta wymieniła kilka liczb, które skwapliwie zanotowałam, obiecując sobie, że znajdę automat telefoniczny, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Za moimi plecami rozległ się wreszcie dzwonek imitujący dźwięki alarmu w samochodzie. Zachodzące na siebie metalowe płyty karuzeli zagrzechotały i zaczęły się poruszać w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Na pasie pojawiły się dwie walizki. Wkrótce potem przenośnik wypuścił dwie kolejne. Oczekujący pasażerowie rzucili się do przodu i zaczęli tłoczyć się przy pasie. Bagaże ruszyły w powolną podróż na metalowym pasie.

Kiedy Gilbert zaczął wypatrywać walizki, wygrzebałam z kieszeni kurtki dwie ćwierćdolarówki. Bawiłam się nimi nerwowo, patrząc, co zaraz zrobi. Zdjął z karuzeli miękką, materiałową walizkę i przepchnął się przez tłum, zmierzając w stronę korytarza. Odwróciłam się powoli, zanim znalazł się w pobliżu, pilnując, by nie przyciągnąć jego uwagi żadnym gwałtownym ruchem, po czym ruszyłam za nim. Przy ruchomych schodach zatrzymał się pod jedną ze ścian, przykucnął i zaczął grzebać w walizce. Po chwili wyciągnął z niej spory pistolet, do którego przykręcił tłumik. Kilku przechodniów obejrzało się na niego, po czym wróciło do swoich zajęć, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Widać nie wyglądał im na szaleńca, gotowego rzucić się z bronią w tłum i zastrzelić każdego, kto wejdzie mu w drogę. Nieniepokoiony przez nikogo, spokojnie zatknął pistolet za pasek spodni i obciągnął kurtkę, by go zasłonić.

Poprawił stetsona, zapiął walizkę i niespiesznie ruszył w kierunku punktu wynajmu samochodów. Nie dokonał wcześniej rezerwacji, bo najpierw wypytał agenta Budget, a potem przeszedł do kontuaru Avis. Wypatrzyłam automaty telefoniczne - wszystkie zajęte, prócz jednego.

Wrzuciłam monetę do otworu i wykręciłam numer hotelu Desert Castle. Czekając na połączenie, odwróciłam się plecami do automatu, szukając wzrokiem pracowników ochrony lotniska.

- Desert Castle, w czym mogę pomóc?

- Próbuję się dodzwonić do Laury Hudson w pokoju numer dwanaście trzydzieści sześć, ale linia jest zajęta. Zechce pani sprawdzić, czy Ray Rawson nadal jest zameldowany w waszym hotelu.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Odłożyła słuchawkę. Zapadła cisza. Po chwili znów się odezwała.

- Tak. Czy mam do niego zadzwonić?

- Tak, ale jeśli nie odbierze, proszę do mnie wrócić.

- Oczywiście.

Telefon zadzwonił w pokoju Raya co najmniej piętnaście razy, zanim telefonistka znów się odezwała.

- Pan Rawson nie odbiera. Czy chce pani zostawić wiadomość?

- A czy zamiast tego nie mogłaby go pani jakoś wezwać?

- Niestety nie. Przykro mi. Czy coś jeszcze?

- Nie, dziękuję. Chociaż tak. Chwileczkę. Proszę połączyć mnie z kierownikiem i...

Rozłączyła się, nim zdążyłam dokończyć zdanie.

Adrenalina krążąca w moich żyłach sprawiała, że z trudem łapałam oddech. Hays stał przy kontuarze wypożyczalni Avis i wypełniał formularz. Potem pochylił się nad kolorową mapą okolicy. Zadał agentowi jakieś pytanie, na które ten skwapliwie odpowiedział, wskazując palcem trasę. Zerknęłam na nich po raz ostatni, po czym wjechałam ruchomymi schodami na ulicę.

Światła ulicznych latarni tylko gdzieniegdzie rozpraszały mrok parkingu dla pasażerów oczekujących na transport z lotniska. Tuż przede mną zatrzymała się przy krawężniku lśniąca limuzyna. Kierowca w uniformie wysunął się zza kierownicy i pomógł wysiąść parze srebrnowłosych starszków. Kobieta miała na sobie futro zwierząt, jakich w życiu nie widziałam. Rozejrzała się niespokojnie, jakby oczekiwała obelg z tego powodu. Kierowca wydobył z bagażnika walizki.

Wzrokiem szukałam patrolu strażników lotniska. Światło i cienie tańczyły na betonowej płycie, układając się w zdumiewająco regularny wzór. Okoliczne budynki tworzyły tu swoisty tunel dla wiatru, który rozpraszał smród spalin przejeżdżających samochodów. Znów objęłam spojrzeniem drogę. Nigdzie ani śladu hotelowego busa. Na postoju ani jednej taksówki. Gilbert pewnie dawno już odebrał klucze do wypożyczonego auta i wyszedł znajdującymi się teraz za mną drzwiami, żeby wózek z wypożyczalni podwiózł go na parking. Albo, co gorsza, przeszedł tylko przez ulicę, by odebrać auto z podziemnego garażu po drugiej stronie budynku lotniska.

Utkwiłam spojrzenie w limuzynie. Kierowca przyjął napiwek, dotknął palcami daszka czapki w geście salutu i zamknął tylne drzwi. Obszedł auto od tyłu, otworzył drzwi po stronie kierowcy i wsunął się z kółko. Zapukałam gwałtownie w okno po stronie pasażera. Było tak ciemne, że nie widziałam, co się dzieje wewnątrz. Szyba opadła z cichym poszumem. Kierowca spojrzał na mnie pytająco. Jego twarz nie zdradzała emocji. Miał trzydzieści kilka lat, okrągłe policzki i rzadkie rude włosy, zaczesane od czoła do tyłu. Nad jego uszami dostrzegłam czerwony ślad po czapce.

Pochyliłam się ku niemu i podsunęłam mu pod nos portfel, w którym trzymałam prawo jazdy z Kalifornii

i licencję prywatnego detektywa.

- Proszę uważnie posłuchać. Potrzebuję pomocy. Jestem prywatnym detektywem z Santa Teresa w Kalifornii. Gdzieś za moimi plecami czai się facet z bronią, który przyjechał do Dallas zabić parę moich przyjaciół. Muszę się dostać do hotelu Desert Castle. Wie pan, gdzie to jest?

Bardzo ostrożnie wziął ode mnie portfel. Zachowywał się czujnie jak kot, który skusił się na przekąskę z ręki kogoś obcego.

- Znam ten hotel - powiedział. Przyjrzał się zdjęciu na licencji, a potem przeczytał ją uważnie, jakby chciał zapamiętać najważniejsze informacje. Przejrzał pozostałe dokumenty. Oddał mi portfel. Spokojnie czekał, patrząc mi w oczy. Odblokował drzwi i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Opadłam na siedzenie pasażera.

Limuzyna ruszyła z cichym mruzeniem silnika. Jej siedzenia pokryte były szarą skórą. Deska rozdzielcza z polerowanego drewna orzechowego lśniła niczym plastik. Tuż przy swoim lewym kolanie dostrzegłam telefon.

- Mogę stąd zadzwonić na policję? - spytałam.

- Śmiało.

Wybrałam numer dziewięćset jedenaście i wyjaśniłam sytuację dyspozytorce, która podniosła słuchawkę. Na koniec kobieta spytała mnie, gdzie jestem, i obiecała, że zastępca szeryfa spotka się ze mną w lobby Desert Castle. Rozłączyłam się i spróbowałam jeszcze raz zadzwonić do hotelu. Tym razem jednak nikt nie odpowiedział.

Zawróciliśmy przed lotniskiem i pomknęliśmy w stronę autostrady. Wokół ciągnął się monotony, pustynny krajobraz. Co jakiś czas reflektory omiały długie pasy zieleni i widoczne w głębi monolityczne biurowce. Oświetlone billboardy wyglądały jak tekturowe tablice. Kiedy

wjechaliśmy na estakadę, dostrzegłam pod nami pasma autostrady, zmienione w rzeki światła przejeżdżających aut. Niepokój ścisnął mi wnętrze, pulsował niczym zepsuty neon, oświetlający organy wewnętrzne.

- Jak panu na imię? - spytałam. Gdybym się nie odezwała, pewnie dostałabym szału.

- Nathaniel.

- Jak został pan kierowcą limuzyny?

- Potrzebowałem pieniędzy, żeby dokończyć powieść - odparł ponuro.

- Ach - westchnęłam.

- Pochodzę z południowej Kalifornii. Liczyłem, że załapię się na pisanie scenariuszy, wyniosłem się więc do Hollywood. Załapałem robotę u aktorki, która grała zwariowaną szwagierkę kelnerki z piątką dzieciaków w jednym sitcomie. Serial utrzymał się ledwie przez kilka sezonów, ale aktorka wypłynęła na szersze wody. I nieźle się przy tym obłowila. Wozilem ją co rano do studia i odbierałem wieczorem, myłem jej auto i takie tam. Obiecała, że jeśli napiszę dobry scenariusz, skontaktuje mnie ze swoim agentem i pomoże mi się przebić. Wymyśliłem więc łązawą historię o relacjach matki z córką chorą na raka. Powiedziała, że zobaczy, co da się zrobić. Niedługo później w kinie przy Westwood Boulevard obejrzałem film o dziewczynie umierającej na raka. Wyobraża pani sobie? Grały w nim Shirley McLane i Debra Winger. To ja wymyśliłem scenariusz, ale jakoś nikt o tym nie wspomniał. Wielkie dzięki, naiwniaku.

Spojrzałam na niego z zainteresowaniem.

- To pan wymyślił scenariusz do *Czułych słówek!*

- Nie cały scenariusz, ale jego podstawę. Koncept. U mnie dziewczyna nie wyszła za mąż i nie miała dzieci. Osobiście uważam, że z tym akurat przesadzili.

- Myślałam, że *Czułe słówka* napisał Lany McMurtry. Potrzęsnałam głową, wzdychając ciężko.

- Do tego zmierzam. Jak pani myśli, skąd wziął pomysł?

- A co z astronautą, którego grał Jack Nicholson?

- Aż tak bym się nie wygłupił. Według mnie wcale im ta postać nie wyszła. Dużo później odkryłem, że agent babki, u której pracowałem, był współnikiem agenta Shirley McLaine. Tak działa Hollywood. Ręka rękę myje. Szczerze mówiąc, ta sprawa zniechęciła mnie do filmu. W życiu nie zobaczyłem centa za scenariusz, a kiedy spytałem o to tę znajomą aktorkę, spojrzała na mnie tak, jakby nie miała pojęcia, o co mi chodzi. Rozwaliłem jej za to samochód i spaliłem dom.

- Akurat.

Popatrzył na mnie spod oka.

- Ma pani bardzo ciekawą pracę.

- Niespecjalnie. Najczęściej przekładam papierki.

- To tak jak ja. Ludziom wydaje się, że dzięki tej limuzynie na co dzień widuję gwiazdy. Tymczasem tylko raz wiozłem do hotelu Sonny'ego Bono. Przegroda cały czas była zamknięta, co oznacza, że mnie olał. Pewnie się bał, że zadzwonię do jakiegoś brukowca, jeśli zobaczę, jak wsadza łapę pod spódnicę jakiejś laski.

Odwróciłam się na siedzeniu. Przegroda była opuszczona, zajrzałam więc w głąb limuzyny. Z powodu zaciemnionych okien niewiele zobaczyłam. Za nami ciągnął się sznur samochodów. Wszystkie pędziły jak my z zawrotną szybkością. Zjechaliśmy z autostrady, skręcając na teren kompleksu przemysłowo-rozrywkowego, do którego należał hotel. W oddali zobaczyłam Desert Castle. Czerwony neon ostro odcinał się od ciemnego nieba. Kolor wysączał



się z liter powoli, a potem wsączał się z powrotem. Okna oświetlone i ciemne tworzyły na fasadzie wzór szachownicy. Stosunek kwadratów jasnych i ciemnych sugerował, że przynajmniej połowa miejsc w hotelu jest zajęta. Martwiły mnie trochę auta siedzące nam na ogonie. Była niedziela, wątpliwe więc, by którekolwiek jechało teraz do biurowca. Minęliśmy miniaturową oazę ze śmieszną wieżą ze sztucznego kamienia, tylko odrobinę wyższą ode mnie. Nathaniel gładko wyprowadził limuzynę na okrągły podjazd i zatrzymał się bezszelestnie tuż przed portykiem.

Poczułam niepokój na myśl, że zażąda zapłaty za usługę.

- Nie mam przy sobie pieniędzy na napiwek - powiedziałam wprost. - Przykro mi.

- Nie ma sprawy. - Podał mi wizytówkę. - Gdyby wpadł pani pomysł na postać kobiety detektywa, proszę zadzwonić. Najlepiej, jakby babka umiała skopać komuś tyłek.

Wysiadłam i zatrzasnęłam drzwi, wiedząc, że limuzyna ruszy niemal w tej samej chwili. Nigdzie nie dostrzegłam zastępcy szeryfa, ale pomyślałam, że Dallas to duży rejon, a ja zadzwoniłam niedawno, więc może jeszcze nie dojechał. Ruszyłam do drzwi obrotowych, podbiegając co kilka kroków. W lobby tłoczyli się chłopcy z drużyny biegaczy, ubrani w szorty lub džinsy i lśniące koszulki z kolorowym wizerunkiem ich maskotki na plecach. Wszyscy mieli na nogach tenisówki, w których ich stopy wydawały się ogromne. Szczupłe nogi sprawiały wrażenie szczudeł. Ich torby i wielkie płócienne worki leżały na podłodze w nieregularnych stosach. Chłopcy biegali między nimi, popychali się i dokazywali. Kilka dziewcząt siedziało na podłodze, opierając się o bagaże. Jednemu z dzieciaków dwaj koledzy ściągnęli na siłę koszulkę. Siłował się teraz z nimi, próbując ją odebrać. Wszyscy trzej chichotali

nerwowo. Nieodparcie przypominali mi szczeniaki, zajęte wyrwaniem sobie starej skarpety. Dorośli opiekunowie nie reagowali na ich wybryki, być może licząc, że nim dzieciaki wsiądą do autobusu, ich energia się wyczerpie i pójdą szybko spać.

Przepchnęłam się między nimi, podeszłam do windy i wcisnęłam przycisk „w górę”. Drzwi otworzyły się cicho. Wsiadłam, obrzucając lobby ostatnim uważnym spojrzeniem, by sprawdzić, czy nie pojawił się w nim Gilbert. Przed wejściem do hotelu zatrzymał się srebrzysty autobus. Silnik głośno warczał, otwierające się drzwi wydały dźwięk, jakby powietrze uszło z materaca. Wcisnęłam guzik oznaczony cyfrą „12”. Drzwi się zasunęły.

Wysiadłam na piętrze Laury. Biegiem pokonałam korytarz i zastukałam do drzwi z numerem dwanaście trzydzieści sześć. Niecierpliwie przebierając palcami, powtarzałam pod nosem:

- Szybciej, szybciej, szybciej.

Otworzyła mi Laura. Na mój widok cofnęła się lekko, zadziwiona.

- Co tu robisz? Miałaś wyjechać?

- Gdzie Ray? Muszę z nim pogadać.

- Śpi. Co się stało?

- Widziałam na lotnisku Gilberta. Jedzie tu z pistoletem. Obudź Raya, spakuj się i znikaj.

- O nie... - Zbladła jak ściana, dłoń uniosła do ust w geście rozpacz.

- Co się dzieje? - Zza jej pleców dobiegł głos Raya. Wstał i ruszył w moją stronę, po drodze wciskając koszulkę w spodnie.

Weszłam do środka. Laura zamknęła za mną drzwi. Oparła się o ścianę, zaciskając ze zgrozą powieki.

Wsunęłam łańcuch w szczelinę zasuwki.

- Rusz się - rzuciłam.

Rozkazujący ton zadziałał. Laura podeszła do szafy, zdarła z wieszaka płaszcz i sięgnęła po torbę.

- Co się dzieje? - Ray patrzył na nas, wyraźnie zdezorientowany.

- Kinsey widziała na lotnisku Gilberta. Przywiózł ze sobą broń. Jedzie tutaj. Trzeba było zadzwonić, a nie tłuc się taki kawał drogi - zwróciła się do mnie z pretensją w głosie. Odsunęła zamek i zaczęła wrzucać do torby kosmetyki stojące na blacie.

- Dzwoniłam. Było zajęte.

- Rozmawiałam z obsługą. Musimy czasem coś jeść - wyjaśniła.

- Uciszcie się wreszcie - warknął Ray. - Bierzcie się do roboty.

- Przecież już coś robię - odgryzła się Laura. Zgarniała teraz do torby koszulę nocną, kaptcie, brudną bieliznę. Chwyliła wiszącą na oparciu krzesła sukienkę dżinsową, rozłożyła ją, przytrzymała podbródkiem i złożyła, najpierw na trzy, a potem jeszcze raz na połowę.

Ray odebrał ją od niej, zwinął i wrzucił do torby, ze świstem zamykając suwak.

Po lewej stronie drzwi zauważyłam jego dwie walizki. Chwyliłam rączkę mniejszej, czekając, aż podniesie tę większą.

- Bierz tylko to, co najważniejsze - powiedziałam. - Masz wóz?

- Stoi na parkingu.

- Gilbert wjedzie windą czy wejdzie po schodach?

- Kto go wie?

- Wyjdźcie od tyłu - poradziłam. - Gilbert straci trochę czasu, dobijając się do tych drzwi. Na pewno zejdzie też na dół, by zapukać do Raya, jeśli się dowie, że się tu zatrzymał. Daj kluczyki i powiedz, gdzie zaparkowałeś.

- A co my mamy robić? - spytała Laura.

- Zaczekajcie na zewnątrz, przy wieży ze sztucznego kamienia niedaleko wjazdu. Wsiądę do auta i podjadę po was. Gilbert mnie nie zna, więc nawet jeśli gdzieś się na niego natknę, niczym to nie grozi.

Ray szybko opisał mi samochód i powiedział, gdzie go znajdzie. Na plastikowym breloczku przy kluczykach widniały numery rejestracyjne, miałam więc pewność, że bez trudu go znajdzie. Podałam Rayowi torbę. Laura tymczasem rozglądała się po pokoju, by mieć pewność, że nie zostawi niczego istotnego. Zdjęłam łańcuch i uchyliłam drzwi. Wystawiłam głowę na zewnątrz i rozejrzałam się po korytarzu. Gestem przywołałam Laurę i Raya. Poszli w prawo, w kierunku schodów przeciwpożarowych.

Skręciłam w lewo, w stronę wind.

Miałam wrażenie, że tym razem kabina porusza się z połową normalnej prędkości. - Wlepiłam wzrok w tablicę z numerami piętra, odliczając w myślach od dwunastu do zera. Na poziomie lobby rozległo się znane mi już *ping*. Drzwi rozsunęły się z szumem. Gilbert stał pół metra ode mnie, czekając na windę. Nasze spojrzenia się spotkały. Jego oczy wyglądały jak dwie ciemne, bezdenne jamy. Uciekłam wzrokiem, jakbyśmy się nigdy nie spotkali i zwróciłam się w prawo, w stronę recepcji. Drzwi windy zamknęły się za moimi plecami. Rozejrzałam się po lobby, szukając zastępcy szeryfa. Ani śladu policji. Ruszyłam przed siebie, co jakiś czas oglądając się instynktownie na tabliczkę

z numerami pięter. Dziwne. Winda powinna była jechać w górę, tymczasem stała jak zaklęta. Znow rozległo się *ping* i otworzyły się drzwi. W kabinie zobaczyłam Gilberta. Postąpił krok do przodu i stał, patrząc na mnie z namysłem. Przestępcy i gliniarze mają często szósty zmysł, instynkt, który zaczyna działać, gdy rośnie poziom adrenaliny. Ich sukces, a czasem także życie zależą od ich przenikliwości. Gilbert najwyraźniej też należał do ludzi umiejących szybko ocenić sytuację i kojarzyć fakty. Wyraz jego twarzy świadczył, że zapamiętał mnie z lotniska w Santa Teresa. Nigdy się nie dowiedziałam, w jaki sposób skojarzył mnie z Laurą Huckaby. To była niezapomniana chwila. Rozpoznanie przemknęło między nami jak błyskawica.

Starając się utrzymać normalne tempo, skręciłam za róg. Minęłam wejście do baru i znow skręciłam w prawo w krótki korytarz, w którym znajdowało się troje drzwi. Pierwszych nie oznaczono, na drugich widniała tabliczka: „Tylko dla personelu”, na trzecich natomiast - „Konservacja”. Ledwie straciłam Gilberta z oczu, puściłam się biegiem. Łokcie ocierały mi się rytmicznie o biodra. Szarpnęłam za klamkę drzwi bez tabliczki i znalazłam się w pustym korytarzu, którego jeszcze nie znałam. Miał betonową podłogę i betonowe, pozbawione ozdób ściany. Nieco dalej skręcał w lewo. Wysokie ściany oświetlało przytłumione światło, sufit tonął w mroku. Z cienia wyłaniały się tylko nieruchome grube liny i haki. Minęłam stopy tac, drewnianych palet wypełnionych szkłem, stopy lnianych obrusów, skrzynki wypełnione talerzami różnej wielkości. Ustawione pod ścianami jedno na drugim rzędy krzeseł utrudniały przejście.

Moje kroki odbijały się echem od ścian korytarza, mimo że dzięki gumowym podeszwom adidasów

poruszałam się stosunkowo cicho. Najprawdopodobniej trafiłam na korytarz dla personelu, biegnący wzdłuż sali bankietowej, krąg wewnątrz kręgu, z dostępem do wind towarowych i kuchni znajdujących się piętro niżej. Kilka stopni wiodło w górę. Chwyciłam za poręcz i pognałam do góry, przeskakując po kilka stopni. Torebka ciążyła mi jak kotwica, ale nie mogłam nic na to poradzić. Wyżej ciągnął się podobny korytarz, z tym że tutaj pod ścianami ustawiono dekoracje na różne okazje: świąteczne aniołki, bożonarodzeniowe choinki, dwie wielkie połączone ze sobą maski symbolizujące komedię i tragedię, lśniące pozłotą drewniane amorki, niezliczone walentynkowe serca przeszycie złotymi strzałami. Nieopodal wznosił się las jedwabnych fikusów. Wyglądał jak prawdziwy, pozbawiony był jednak ptaków i zwierząt.

Skądś z tyłu dobiegł mnie skrzyp otwieranych drzwi. Przyspieszyłam kroku, niemal biegnąc korytarzem. Po lewej dostrzegłam prowadzącą w górę metalową drabinkę, która wyglądała jak składane wewnętrzne schody przeciwpożarowe. Zerknęłam przez ramię, świadoma, że ktoś idzie korytarzem w moją stronę. Chwyciłam za pierwszy szczebel i ruszyłam w górę, stukając cicho gumowymi podeszwami o metal. Przystanąłam na szczycie drabinki, mniej więcej sześć metrów nad podłogą. Tu zaczynała się wąska stalowa antresola biegnąca wzdłuż ściany. Od sufitu dzieliła ją niewielka odległość - wystarczyło sięgnąć, by dotknąć go palcami. Pas metalu miał szerokość nie większą niż metr. Z jego wysokości kryjąca się w cieniu podłoga wyglądała jak nieruchoma rzeka betonu. Przed upadkiem chronił mnie tylko metalowy łańcuch zawieszony na niewysokich stalowych słupkach. Jak zwykle na wysokości ogarnął mnie irracjonalny strach. Bałam się, że spadnę.

Poruszałam się teraz bardzo wolno, cały czas przytrzymując się ściany. Nie śmiałam przyspieszyć kroku, w obawie, że jeśli poruszę się gwałtowniej, antresola zerwie się z metalowych wsporników, które ją podtrzymywały. Nie sądziłam, by ktokolwiek zdołał mnie zobaczyć w panujących tu ciemnościach, pamiętałam jednak, że korytarz wytwarza echo potęgujące każdy dźwięk. To ono mogło mnie zdradzić. Gdzieś z tyłu dobiegł stukot obcasów o beton. Szybkie kroki stopniowo zwalniały. Przyklęłam, opierając się na rękach. Ostrożnie wychyliłam się do przodu. Metalowa konstrukcja zatrzęsła się i zabrzęczała. Przesunęłam torebkę do przodu. Próbowałam zachowywać się cicho, ale antresola grzechotała i tańczyła pod moim ciężarem.

Nagle dostrzegłam w ścianie drewniane drzwi. Bardzo ostrożnie chwyciłam za gałkę i otworzyłam je. Zajrzałam do słabo oświetlonego, zatęchłego schowka wysokości nie większej niż sto osiemdziesiąt centymetrów. Wzdłuż jego sufitu biegł rząd zaopatrzonych w klamki podłużnych okien. Część z nich była otwarta i wpuszczała do wnętrza odrobinę światła. Wyłożona wykładziną podłoga śmierdziała starym kurzem. Wpełzłam do środka na kolanach i rękach, zawieszona z przodu torebka obijała mi się o brzuch. Ciszę zakłócał jedynie mój ciężki oddech.

Odwróciłam się i wolno zamknęłam za sobą drzwi. Podpełzłam do najbliższego okna i ostrożnie podniosłam się na nogi. Okno wychodziło na jedną z wielkich, pustych sal przeznaczonych na duże spotkania lub bankiety. Wykładzinę zdobił wzór kwiatów lilii, stalowoniebieskich na szarym tle. Znajdujące się pomiędzy kolumnami rozsuwane drzwi można było zasunąć, dzieląc tym samym salę

na dwie mniejsze. Osiem wiszących w równych odstępach kandelabrow przypominało kiście złożone z sopli lodu. Wszystkie lśniły lekko, rzucając jasne światło. Wzdłuż ścian, tuż pod sufitem biegł rząd szyb z dymnego szkła, zasłaniając przed oknem gości zaplecze i schowek, w którym się ukryłam. Zerknęłam za siebie. W mroku dostrzegłam połyskujący lekko zestaw kolorowych żelowych tub, które po podłączeniu do prądu rozbłyskiwały światłem, tworzących kaskady i fontanny na specjalne okazje.

Wykorzystując nikłe światło padające z okien, przykucnęłam i zaczęłam grzebać w torebce. Po kilku chwilach znalazłam wreszcie portfel. Wyjęłam z niego prawo jazdy, dowód osobisty i licencję detektywa, a także resztę banknotów i monet. Wszystko to wepchnęłam pośpiesznie do kieszeni kurtki. Potem wcisnęłam do nich jeszcze kluczyki do auta Raya, tabletki antykoncepcyjne i scyzoryk, a na koniec szczoteczkę i pastę do zębów, przeklinając pod nosem fakt, że w damskich kurtkach nie przewidziano wewnętrznej kieszonki. Kieszenie omal nie popękały w szwach, ale mówi się trudno. W razie potrzeby potrafiłam znieść z godnością brudne majtki, ale na pewno nie brudne zęby.

W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że podłoga pod moimi stopami zaczęła delikatnie wibrować. Mieszkając w Kalifornii wiedziałam, że trzęsienie o sile **2,2** w skali Richtera przechodzi przez powierzchnię ziemi jak fala oceanu. Odwróciłam głowę, patrząc na drzwi. Odłożyłam torbę, przykucnęłam i wolno ruszyłam w ich stronę. Wyczułam je palcami i zaczęłam macać dłońmi w poszukiwaniu zasuwki. Po drugiej stronie ktoś wspiał się już na antresolę. Odetchnęłam z ulgą - znalazłam zasuwkę i popchnęłam ją, zamykając drzwi.



Nie zdążyłam cofnąć ręki, kiedy drewno zadygotało gwałtownie. Ktoś szarpał za gałkę, próbując otworzyć drzwi. Poczułam paralizujący strach, łzy napłynęły mi do oczu. Przycisnęłam dłoń do ust, by stłumić okrzyk grozy. Kolejne szarpnięcie. Drzwi zadrżały mocno, a zasuwka zadzwoniła. Miałam wrażenie, że za chwilę będzie po wszystkim i stanę oko w oko z napastnikiem. Cisza. Podłoga znów zachybotała, co oznaczało, że Gilbert odchodzi. Powiodłam wzrokiem w lewo, jakbym chciała przeniknąć nim ścianę i śledzić Gilberta idącego antresolą. Modliłam się w duchu, by nie znalazł kolejnych drewnianych drzwi wiodących do tego pomieszczenia.

Najwyraźniej moje modły zostały wysłuchane, bo po kilku minutach znów poczułam wibracje podłogi sygnalizujące, że mija zamknięte drzwi, zawracając w stronę metalowej drabinki wiodącej w dół na korytarz.

Zaczekałam, póki nie zyskałam pewności, że nic mi już nie grozi. Wydawało się, że trwa to wieczność, potem jednak okazało się, że minął ledwie kwadrans. Ostrożnie podpełzłam do drzwi i odsunęłam zasuwkę. Przekrzywiłam głowę, nasłuchując. Cisza. Kiedy otworzyłam drzwi, włączył się alarm przeciwpożarowy.

14

Otwarcie drzwi sprzęgło się z początkiem alarmu, przez chwilę podejrzewałam więc, że Gilbert zdołał w jakiś sposób zastawić na mnie pułapkę. Umieszczone na suficie zraszacze zaczęły rozpryskiwać strugi wody. Dobiegł mnie odległy, niedający się z niczym pomylić śwąd dymu, ledwie wyczuwalny w dusznym powietrzu,

jak perfumy przechodzącej obok kobiety. Wróciłam do schowka i przez jedno z okien wyjrzałam na salę bankietową. Ani śladu płomieni czy kłębow czarnego dymu. Pomieszczenie wyglądało na puste, jasne i pozbawione wyrazu. W głośnikach rozległ się czyjś głos, udzielający wskazówek gościom hotelu. Nie rozróżniałam słów, słyszałam jedynie nagłący ton komend. Na razie nikt nie miał pojęcia, gdzie zaczął się pożar.

Światło zgasło. Schowek pogąrzył się w ciemnościach. Ruszyłam w wyciągniętymi przed siebie rękami w stronę drewnianych drzwi, uwolniona od ciężaru torby, która została gdzieś pod oknem. Bez niej czułam się niemal naga, wolna, lekka, a zarazem pełna obaw. Torebkę tę traktowałam dotąd jak talizman. Dawała mi poczucie bezpieczeństwa, tak jak ulubiony kocyk daje je dziecku. Doskonale znałam jej kształt i ciężar. Jej zawartość stanowiła gwarancję, że potrzebny przedmiot zawsze jest w zasięgu ręki. Służyła mi za poduszkę i broń. Bez niej miałam wrażenie, że straciłam rękę, wiedziałam jednak, że muszę się z nią rozstać. Posuwając się na oślep, namacałam krawędź antresoli. Kiedy przesunęłam dłoń odrobinę w lewo, moje palce natrafiły na pustkę. Wiedziałam, że pode mną otwiera się otchłań.

Wokół panowała ciemność choć oko wykol, do moich uszu docierał jednak złowieszczy trzask i odgłosy pękania. Ognisty podmuch posłał w moją stronę snop iskier. Czułam zapach rozgrzanego suchego drewna, przełamany przez gryzący smród chemikaliów na bazie benzyny, pod wpływem gorąca zmieniających stan skupienia. Przesunęłam się o krok. Teraz widziałam miękki rdzawy blask, wydobywający z ciemności załom korytarza skręcającego

w lewo. Sączyło się stamtąd długie pasmo dymu. Jeśli zostanę na antresoli, pożar mnie nie sięgnie, ale chmura toksycznego dymu zabije mnie równie skutecznie jak ogień.

Woda ze zraszaczy płynęła miarowo, nie gasząc jednak płomieni. Na ścianach tańczył brązowordzawy blask. Pojawił się drobny popiół i czarny gryzący dym, wysysający z pomieszczenia cały dostępny tlen. Na metalowej antresoli było ślisko. Zabezpieczające ją łańcuchy chwiały się gwałtownie z każdym moim krokiem. Głośniki znów ożyły. Ten sam nagły głos powtórzył komunikat, który brzmiał dla mnie jak zlepek przypadkowych głosek. Dotarłam do szczytu drabiny. Bałam się odwrócić plecami do szalejącego ognia, nie miałam jednak innego wyjścia. Prawą stopą namacałam pierwszy szczebel. Ruszyłam w dół, szczebel po szczeblu coraz szybciej oddalając się od krawędzi antresoli. Cały czas zachowywałam ostrożność, świadoma, że ręce ślizgają mi się na metalowych poręczach. Oświetlone blaskiem ognia łańcuchy na antresoli lśniły złotem, iskry tryskały w górę, błyskając w mroku jak robaczki świętojańskie w upalną letnią noc. W świetle błyskających zza załomu korytarza płomieni widziałam unoszące się w górę kłęby szarego dymu.

Pokonałam ostatni szczebel drabiny i ruszyłam korytarzem w lewo. Wokół panowało gorąco nie do zniesienia. Skądś dobiegał chrzęst pękającego pod wpływem wysokiej temperatury szkła, radosny dźwięk szalu destrukcji, jaki wywoływał zbliżający się ogień. Mimo że konstrukcja budynku składała się głównie z betonu, w hotelu znalazło się dość łatwopalnych materiałów, by dostarczyć karmy szybko rozprzestrzeniającym się płomieniom. Rozległ się głuchy stuk i rumor, gdy ściana za moimi plecami

poddała się i runęła. Widać pożar zaczął już trawić tę część budowli. Po lewej dostrzegłam drzwi. Dotknęłam palcami gałkę. Była chłodna, więc nacisnęłam ją całą dłonią, napierając jednocześnie ramieniem na drzwi. Wypadłam z impetem na korytarz na drugim piętrze.

Tutaj powietrze było znacznie chłodniejsze. Zraszacze wiszące u sufitu co chwila skrapiały deszczem pusty hol. Przywykłam już do ciemności, które tu wydawały się mniej nieprzeniknione. Teraz spowijał mnie zaledwie kredowo szary mrok. Wykładzina była mokra i zapadała mi się pod stopami, z każdym moim krokiem wydając mlaszczący dźwięk. Bojąc się zaufać oczom, wyciągnęłam przed siebie ręce, jakbym bawiła się w ciuciubabkę, i macałam przed sobą, ostrożnie stawiając stopy. Alarm przeciwpożarowy wył bezustannie, przechodząc od wysokiego pisku do miarowego buczenia. Gdybyśmy byli na łodzi podwodnej, już byśmy zatonęli.

Wyczułam palcami framugę kolejnych drzwi. Gałka znów była chłodna, co oznaczało, że ogień nie dotarł do pomieszczenia znajdującego się po drugiej stronie. Przekręciłam ją i pchnęłam drzwi. Znalazłam się na klatce schodowej, którą dobrze znałam. W ciemności pobiegłam w dół, ufając, że dobrze zapamiętałam drogę. Powietrze wydawało mi się chłodne. Pachniało orzeźwiająco.

Kiedy dotarłam na parter, włączył się generator awaryjny. Znów rozbłysły światła. Korytarz opustoszał, drzwi były pozamykane. Nigdzie nie dostrzegłam nawet śladu ruchu ani smużki dymu. Zraszacze nie działały. Wszystkie sale, które mijałam, opuścili już goście. Wreszcie znalazłam drzwi oznaczone tabliczką: „Wyjście awaryjne”. Otwierało się je, naciskając biegnący w poprzek uchylny drążek. Na wysokości oczu wisiały tablice informacyjne. Ledwie pchnęłam drzwi, zawyła kolejna syrena. Nie obejrzałam się

jednak. Szłam szybko przed siebie, póki nie dotarłam na parking, na którym Ray zostawił wypożyczony samochód.

Przed głównym wejściem do hotelu stało kilka wozów strażackich. Wokół gromadziły się grupki ewakuowanych gości, dyskutujących gorączkowo. Nocne niebo rozjaśniał żółty blask, który tłumili gdzieś słupy białej pary unoszącej się tam, gdzie woda z pomp gasiła z sykiem płomienie. Tryskające z armatek ustawionych po obu stronach budynku strumienie wody krzyżowały się w powietrzu jak para świetlistych kling. Część hotelu ogarnął pożar. Okna były powybijane, pojawiały się w nich języki ognia i kłęby tłustego, czarnego dymu. Fragment podjazdu, który widziałam z parkingu, blokowały wozy i sprzęt strażacki oraz karetki, których sygnalizatory rzucały w mrok pasma bursztynowego światła. Nad głowami gapiów kołował śmigłowiec, z którego ekipa lokalnej telewizji nadawała relację na żywo.

Z kieszeni kurtki wyciągnęłam kluczyki i podeszłam do wynajętego przez Raya auta. Odpaliłam silnik i włączyłam ogrzewanie. Ubranie miałam wilgotne. Z mokrych, przyklejonych do twarzy włosów woda kapła mi na policzki. Wiedziałam, że śmierdzą dymem, mokrą wełną oraz dżinsem. W butach mi chlupotało. Noce w Teksasie były zimne. Czulałam, że moje ciało drży, przemarznięte do szpiku kości. Zaczekałam, aż silnik się rozgrzeje. Samochód był duży. Ford, pięcioro drzwi, automatyczna skrzynia biegów, biały lakier i czerwona tapicerka. Ustawiłam lusterka i patrząc w nie, przeczesalam wzrokiem parking. Nigdzie ani śladu Gilberta.

Nie włączając świateł, ruszyłam wzdłuż ogrodzenia w stronę wyjazdu z parkingu. Stał przy nim gliniarz

z latarką i zawracał auta, które próbowały wjechać na teren hotelu. W rzedzie żywopłotów wypatrzyłam lukę, przejechałam przez krawężnik i precyzyjnie się przez rzadkie zarośla. Wyjechałam na drogę w odległości około stu metrów od kierującego ruchem policjanta. Na pewno mnie zauważył, ale niewiele mógł mi zrobić, zajęty powstrzymywaniem aut gapiów, chcących popatrzeć na pożar. Skręciłam w prawo na drogę wiodącą do autostrady. Przejeżdżając obok miniaturowego zamku, zwolniłam i nacisnęłam klakson. Ray i Laura wybiegli z cienia. Ray dźwigał trzy walizki, objuczony jak muł. Laura nadal miała na sobie fałszywy brzuch, w którym osiem tysięcy dolarów spoczywało bezpiecznie niczym dziecko. Tak długo byliśmy przekonani o jej ciąży, że nawet teraz Ray usiłował podtrzymywać ją opiekuńczo. Usłyszałam skrzypienie otwieranego bagażnika, a później głuchy odgłos świadczący, że Ray wrzucił do niego bagaże. Rozległ się trzask zamykanej pokrywy. Po chwili Ray wsunął się na siedzenie pasażera obok mnie, Laura usiadła z tyłu. Przycisnęłam pedał gazu i ruszyłam z piskiem opon, żeby jak najszybciej zniknąć z zasięgu wroga.

- Martwiliśmy się, że już nie przyjedziesz - powiedział Ray. - Jeszcze chwila, a poszlibyśmy piechotą.

Odwrócił się na siedzeniu i spojrzał przez tylną szybę auta na płonący hotel.

- To robota Gilberta? - spytał.

- Jest taka możliwość - odparłam.

- Jasne, że to on podpalił budynek - wtrąciła gorzko Laura. - Pewnie czeka przed wejściem, gotów nas zgarnąć, ledwie przejdziemy przez obrotowe drzwi.

Zerknęłam na nią w lusterku wstecznym. Podobnie jak Ray, odwróciła się i patrzyła do tyłu. Horyzont rozjaśniał

blask przechodzący od ostrej czerwieni po delikatniejszy, łososiowy odcień koloru. Tak, gdzie woda z węży tłumiała płomień, unosiły się białe chmury pary.

- To duży pożar. Nie wzniciłby go bez materiałów łatwopalnych.

- Dla niego to żaden problem, uwierz mi. Jeśli chce, działa bardzo szybko. Potrafi improwizować - obstawała przy swoim Laura.

Ray odwrócił się do przodu, sięgnął po pas i zapiął go. Potem obrzucił pytającym spojrzeniem moje brudne ubrania i mokre włosy. Czułam się jak pies, którego zostawiono na podwórku podczas ulewy. Ray uniósł się lekko na siedzeniu, wyciągnął z kieszeni spodni chusteczkę i podał mi ją bez słowa. Otarłam wodę z twarzy.

- Dzięki.

- Wrócisz na lotnisko?

- Nie taka mokra. Poza tym, przegapiłam... Niech to szlag!

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że zostawiłam bilet w porzuconej w hotelowym schowku torbie. Na wszelki wypadek pomacałam kieszenie, mając jednak świadomość bezcelowości tego gestu. Nie mogłam uwierzyć, że zachowałam się aż tak bezmyślnie. Tak bardzo się spieszyłam, że zapomniałam o kopercie. Teraz żałowałam, iż nie sprawdziłam torby dokładniej albo że mimo wszystko nie zabrałam jej ze sobą. Teraz mój dobytek stanowiło wyłącznie to, co udało mi się upchnąć w kieszeniach. Z żalu nad sobą zrobiło mi się niedobrze. Zaginiony bilet umożliwił mi powrót do domu, a co więcej, pochłonął większość moich funduszy.

- Cholera jasna - warknęłam.

Laura pochyliła się do przodu.

- Co się stało?

- Zostawiłam bilet powrotny.

- To już po nim - skwitowała ze złośliwym uśmiechem.

Gdybym nie trzymała kierownicy, rzuciłabym się do tyłu i spuściłabym jej lanie. Ray dostrzegł wyraz mojej twarzy.

- Dokąd jedziemy? - zapytał, najwyraźniej próbując zmienić temat i zapobiec katastrofie.

- Nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, gdzie jesteśmy -rzuciłam gderliwie. Wskazałam schowek na rękawiczki. -Sprawdź, czy jest tam jakaś mapa.

Schowek okazał się prawie pusty. Ray znalazł w nim tylko kopię umowy wypożyczenia samochodu i małą zmiotkę o zniszczonym włosiu. Zatrzasnął klapę i zajrzał do kieszeni na drzwiach po stronie pasażera. Nie odrywając oczu od drogi, wsunęłam dłoń w kieszeń po swojej stronie. Dopisało mi szczęście, bo natrafiłam na plik papierów i starannie złożoną mapę kraju. Ray westchnął z satysfakcją, wziął ją ode mnie i zapalił górne światelko. Rozłożona mapa zajęła prawie całą przestrzeń z przodu.

- Chyba powinniśmy trzymać się krajowej trzydziestki wiodącej na północ.

- Dokąd?

Laura przyjrzała mu się uważnie.

- Pewnie do Louisville, co?

- Przeszkadza ci to? - Odwrócił się w jej stronę.

- Gilbert nie jest idiotą. Jak myślisz, dokąd teraz pojedzie?

- Pewnie do Louisville. I co z tego? Będziemy jechać całą dobę. Nie od razu wpadnie na to, w którym kierunku podążamy.



- Ten od razu przyjdzie mu do głowy, Einsteinie.
  - Bzdura! Mamy z tuzin innych do wyboru. Laura sięgnęła do przodu i odebrała mu mapę.
  - Za długo byłeś w pudle - warknęła. Usiadła wygodniej i zaczęła szeleścić mapą, znów ją rozkładając i składając inaczej. Wreszcie znalazła okolice Dallas i wskazała na wschód.
  - Spójrzcie. Do Louisville prowadzą dwie drogi, przy czym trzydziestka jest krótsza. Założę się, że Gilbert wsiądzie teraz do samochodu i pogna nią jak szalony. Dotrze do miasta pierwszy.
  - A jak nas w nim znajdzie? Wynajmiemy w jakimś motelu pokoje na fałszywe nazwiska. Zapłacimy gotówką i zamówimy do pokoju wszystko, czego nam będzie trzeba. Sama tak zrobiłaś.
  - Owszem. I zobacz, co z tego wynikło. Kinsey znalazła mnie w mgnieniu oka. Gilbert też nie będzie miał z tym problemów.
  - Miała fart. Trafiła na ciebie przypadkiem. Powiedz jej - poprosił.
  - Nie nazwałabym tego farterem - odparłam urażonym tonem.
  - Przecież wiesz, o czym mówię. Chodzi mi o to, że nie znalazłaś jej dzięki dedukcji. Po prostu ją śledziłaś. Zgadza się?
  - Tak, ale wróćmy do Gilberta. Jak myślicie, jak was znalazł? - spytałam.
- Ray wzruszył ramionami.
- Założę się, że przycisnął Farleya, a ten puścił farbę. Z tylnego siedzenia dobiegł jęk Laury.
  - Tak myślisz? Rany, nie pomyślałam o tym. Czy Farleyowi coś się stało?

- Na twoim miejscu nie zawracałbym sobie nim głowy. Zerknęłam do tyłu. Laura nadal studiowała mapę.

- Jakie jest najbliższe miasto w drodze do Louisville? - spytałam.

Znów rozłożyła mapę.

- Najpierw Texarkana, potem Little Rock. Dalej jest jeszcze Memphis, Nashville i Louisville. Dlaczego pytasz?

- Bo zamierzam wrócić do domu. W Little Rock podrzucicie mnie na lotnisko, gdzie złapię samolot do Santa Teresa.

- A co z biletem? - spytał Ray.

- Zadzwoń do starego przyjaciela. Pomoże mi.

- Niech ci będzie - burknęła Laura. - Ale najpierw stańmy gdzieś na siusiu, bo zaraz zrobię w majtki.

- Dobry pomysł - pochwalił Ray.

Bacznie obserwowałam znaki drogowe, aż w końcu znalazłam zjazd oznaczony międzynarodowymi symbolami restauracji i toalet. Po kilkuset metrach dostrześliśmy słabo oświetloną stację benzynową z doklejonym do niej niewielkim barem. Nawet Gilbert nie miałby tyle sprytu, by nas tu znaleźć. Bak był niemal pełny, minęłam więc dystrybutory i zaparkowałam z boku, z dala od wjazdu. Ray poszedł do toalety, a Laura otworzyła bagażnik i wyjęła z niego swoją torbę.

- Pożyczę ci sukienkę - zaproponowała.

W mdłym świetle lamp damskiej toalety zdjęłam najpierw adidas i mokre skarpety, a potem zrzuciłam z siebie wilgotną kurtkę, dżinsy, golf i bieliznę z plamami wody. Znów przeszedł mnie lodowaty dreszcz. Na szczęście ciepłe ciuchy Laury zaczęły mnie grzać natychmiast, gdy tylko je na siebie włożyłam. Ponieważ miała na sobie sztruksową sukienkę bez rękawów i biały golf, mnie

przypadła w udziale dzinsowa kiecka, rajstopy i zdecydowanie za duże tenisówki.

- Na razie - rzuciła, wychodząc. Jak widać, wielkodusznie dała mi kilka chwil samotności.

Odkręciłam kurek i zaczekałam, aż z kranu zacznie płynąć gorąca woda. Umyłam twarz i zwilżyłam głowę, zmywając z siebie smród dymu. Grubymi papierowymi ręcznikami wysuszyłam następnie włosy, po czym przeczesałam je palcami. Poczułam falę mdłości, zrobiło mi się gorąco. Włożyłam dłonie do umywalki i oparłam się na łokciach, pochylona do przodu. Była niedzielna noc, a ja utknęłam na jakimś pozbawionym nawet nazwy przedmieściu Dallas z byłym więźniem i jego córką z dziwnym nosidłem wypchanym forsą na brzuchu. Wzięłam głęboki oddech i zapatrzyłam się w swoje odbicie w zaśnieżonym lustrze. Zrezygnowana, wzruszyłam ramionami. Pewnie mogło być gorzej. Przynajmniej nikomu nie stała się krzywda i zachowałam jeszcze kilka dolców. Miałam nadzieję na ciepły posiłek, choć wiedziałam, że w tym względzie muszę polegać na hojności towarzyszy podróży. Kiedy dojedziemy do Little Rock, zadzwonię do Henry'ego, który na pewno nie odmówi mi pomocy. Prześle pieniądze za pośrednictwem Internetu albo zapłaci za bilet swoją kartą, a może nawet jedno i drugie. Rano wskoczę do własnego łóżka i zasnę spokojnie, licząc, ile razy dopisało mi szczęście.

Wróciłam do samochodu i schowałam wilgotne ubrania do bagażnika, upychając je między walizkami Raya. Wciąż mokrą kurtkę zabrałam ze sobą do baru, żeby mieć ją na oku. Większość stolików była wolna. Bar wydawał się bardzo skromny i zaniedbany. Wyglądało na to, że unikają go nawet miejscowi, bo choć z pewnością

zaczynał jako przytulna restauracja rodzinna, z czasem podupadł i zamienił się w godną pożałowania ruinę. Nad moją głową nie krążyły co prawda roje much, na pewno jednak w sali unosiły się ich duchy. Okna od frontu zasłane były kurzem pochodzącym z widocznej po drugiej stronie drogi budowy. Nawet jasno nakrapiane sztuczne rośliny pokrywała warstewka pyłu.

Ray i Laura siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku w rogu. Wsunęłam się na kanapę obok Rawsona, bo nie miałam ochoty psuć sobie apetytu widokiem jego posiniaczonej i podrapanej gęby. Laura niestety nie wyglądała wiele lepiej. Podobnie jak ja, nie miała na twarzy nawet śladu makijażu. Różnica polegała na tym, że ja bardzo często się bez niego obywałam, natomiast ona wykorzystywała puder, by maskować siniaki, jakie zostawiał jej na pamiętkę Gilbert. Wydawało się, że większość obrażeń powstała dość dawno, bo ciemnosiną barwę zastąpiły jaśniejsze odcienie żółci i zieleni. Ray dla odmiany obnosił się z szeroką gamą kolorów na twarzy, na której obok siniaków widoczne były również zadrapania i strupy.

Przeniosłam wzrok na menu, oferujące standardowe dania: kotlety z kurczaka, kurczaki z różną, hamburgery, frytki, tosty z bekonem, pomidorem i sałata, grillowane kanapki z serem i rzekomo „świeże” zupy, pochodzące zapewne z wielkich puszek składowanych na zapleczu. Zamówiliśmy hamburgery, frytki i duże szklanki zwietrzałej coli. Pozbawiony gazu napój smakował niczym syrop, jaki kiedyś szanujące się gospodynie domowe wytwarzały w domu na drobne przypadłości kobiece. Kelnerka na szczęście nie zainteresowała się siniakami na twarzy moich towarzyszy, podała nam jedzenie i odeszła bez słowa.

Jedząc, odezwałam się do Raya:

- Zaspokój moją ciekawość. Powiedz mi, jak zamierzasz *znaleźć* pieniądze, kiedy już dotrzecie do Louisville.

Przełknął kęs hamburgera i otarł usta papierową serwetką.

- Jeszcze nie wiem. Johnny obiecał, że gdyby wydarzyło się coś złego, pogada z moją matką, ale nie wiem, czy się z nią spotkał. Umówiliśmy się, że jak tylko wyjdę, przyjadę do niego do Kalifornii. Razem mieliśmy wrócić do Louisville i zabrać stamtąd forszę. Zależało mu na uroczystej oprawie. Chciał celebrować koniec długiego oczekiwania, nacieszyć się owocami ciężkiej pracy, jaką włożyliśmy w napad. Niezależnie od tego, gdzie ukrył łupy, do schowka potrzebny jest klucz.

- Który mam ja - przypomniałam.

- Co to za klucz? - spytała Laura. Sprawiała wrażenie urażonej, że wcześniej o nim nie słyszała i że tym razem ja wiem więcej niż ona.

Ray nie odpowiedział.

- Nadal go masz? - zawołał, zdziwiony.

- Powiedzmy, że bez trudu go zdobędę.

- To dobrze. Chciałbym go dostać, nim wyjedziesz.

- Myślisz, że pomogę ci oszukać Chestera i ukraść jego dołę?

- On oszukał mnie pierwszy. Ciebie też nabije w butelkę, zobaczysz.

- Darujmy sobie te gadki. Sądziś, że Johnny dotrzymał obietnicy?

- Forsa nie rozpułnęła się przecież w powietrzu. Na pewno obmyślił plan awaryjny i znalazł dodatkową skrytkę, na wypadek gdyby dajmy na to, pewnego dnia potrącił go samochód. Dlaczego pytasz? Masz jakiś pomysł?

Potrząsnęłam głową.

- Po prostu byłam ciekawa. Co więc zamierzasz?

- Zacznę szukać, jak tylko wjadę do miasta.

Kiedy ruszyliśmy w drogę, Ray zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu i zapadł w sen. Jego miejsce z przodu zajęła Laura. Ja znów prowadziłam. Obie patrzyłyśmy na srebrną wstęgę drogi wijącą się przed nami aż po horyzont. Światelka deski rozdzielczej rozjaśniały auto miękkim blaskiem. Ze względu na Raya ściszyłyśmy radio i ograniczyłyśmy rozmowy do wymienianych od czasu do czasu spostrzeżeń. Ray zaczął chrapać. Jego głośne charczenie przerywał czasem bezdech, przez co miało się wrażenie, że ktoś zatyka mu nos. Kiedy stało się jasne, że śpi jak kamień i że nie obudzi go nawet eksplozja auta, zaczęłyśmy rozmawiać przyciszonymi głosami.

- Pewnie nie miałaś okazji, żeby go lepiej poznać - zauważyłam.

Wzruszyła ramionami.

- W zasadzie nie, choć matka zmuszała mnie, żebym pisała do niego raz w miesiącu. Starła się pielęgnować wspomnienia rzadkich chwil, które spędziłyśmy razem. Często o nim rozmawiałyśmy. Zdarzało mi się rozglądać wtedy po pokoju, bo nie miałam pojęcia, o kim mówi. Potem wyszła drugi raz za mąż i chyba zapomniała o Rayu. Z początku miałam z tego powodu poczucie winy, ale potem sama wyrzuciłam go z myśli. Dzieci rzadko spełniają oczekiwania innych.

- A ja mam wrażenie, że próbują zadowolić wszystkich dookoła. Nie mają innego wyjścia. Ich los zależy od kaprysów dorosłych, starają się więc ich uszczęśliwić.

- Musiałaś być znerwicowana. Twój rodzice żyją?

- Nie. Zginęli w wypadku, gdy miałam pięć lat.

- To teraz wyobraź sobie, że jedno z nich zjawia się nagle przed twoim nosem. Przez całe życie marzysz o ojcu, a potem go odzyskujesz i zdajesz sobie sprawę, że nie wiesz, co z nim zrobić.

Zerknęła niespokojnie do tyłu na śpiącego Raya. Jeśli tylko udawał, że śpi, był w tym mistrzem.

- Byłaś blisko związana z matką?

- Póki nie spotkałam Gilberta. Nie znosiła go, być może dlatego, że nie zwracał sobie nią głowy. Ma maniery damy z Południa. Lubi, gdy faceci jej nadskakują.

- A twój ojczym? Skąd się wziął?

- On i Gilbert są do siebie podobni jak dwie krople wody. Zawsze mówił, że Hays mnie bije, bo na to zasługuję. Nie znaczy to, oczywiście, by go pochwalał. Po prostu powtarzał, że nie ma winy bez przyczyny. Nigdy mi nie wierzył. Mawiał: „Cóż, to ty tak twierdzisz, Gilbert pewnie ująłby to inaczej”. Uważał, że postępuje fair, bo nie wyciąga pochopnych wniosków. Zachowywał się jak bezstronny sędzia, gotów wysłuchać racji oskarżyciela i obrońcy, by móc wydać sprawiedliwy wyrok. I zawsze przy tym twierdził, że nikogo nie osądza. Co w istocie oznaczało, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Według niego zasługiwałam na wszystko, co mnie spotkało. Pewnie sam miał czasem ochotę złoić mi skórę.

- A twoja matka? Nie przeszkadzało jej, że Gilbert cię bije, czy po prostu o tym nie wiedziała?

- Powtarzała to, co mówił Paul. Mieli taką niepisaną umowę. Nigdy nie podważała jego opinii. Nie życzyła sobie kłótni ani różnicy zdań. Uległością kupowała sobie ciszę i spokój. Liczyło się tylko to, że może się wesprzeć na męskim ramieniu. Paul zawsze zachowywał się tak, jakby

zrobił jej wielką łaskę, że się z nią ożenił. Kiedy się poznali, miała dwadzieścia cztery lata i pięcioletnie dziecko. Jej były mąż siedział za kratkami. Nikt jej nie pomagał. Pracowała w aptece za ladą. Pensja nie starczała jej na życie. Dostawała zapomogę z opieki społecznej. Uważała, że jest zerem. Wstydziała się tego, że potrzebuje wsparcia. Nie byłam wprawdzie bękartem, ale w jej oczach zasługiwałam na mniej niż inne dzieci. Później obiecała sobie, że nigdy więcej nie wróci na dno. Paul zapewnił jej dobrobyt. Nie musiała pracować. Zresztą, on sobie tego nie życzył. Miała prowadzić mu dom i spełniać wszystkie jego zachcianki. Nieźle się urządził.

- Na to wygląda. Widzę, że ci dopiekl. Uśmiechnęła się.

- To prawda. Kiedy dorastałam, w kółko mnie krytykował i wszystkiego mi zabraniał. Rozstawiał mnie po kątach. Omal nie zwichnął sobie ręki, poklepując się dumnie w pierś i rozprawiając o tym, ile to dla nas zrobił. Na swój sposób rzeczywiście był dobry dla matki. Na mnie mu nie zależało. Szczerze mówiąc, trudno się dziwić. Byłam koszmarnym bachorem. I jakoś z tego nie wyrosłam. - Odchyliła głowę na oparcie fotela. - Jesteś mężatką?

- Byłam. - Uniosłam w górę dwa palce.

- Dwa razy? Ja też. Pierwszy mąż nadużywał środków odurzających. - Palcami narysowała w powietrzu cudzysłów, akcentując wyszukany termin.

- Kokainy?

- I heroiny. Nie gardził też amfą i trawką. Drugi był maminsynkiem. Nie miał ani krzty charakteru. Działał mi na nerwy, bo nie potrafił podjąć najprostszej decyzji ani niczego wokół siebie zrobić. Ciągle musiałam dodawać



mu pewności siebie, jakbym sama miała jej w nadmiarze. Kiepsko mi szło, bo szczerze mówiąc, nie wiem, jak uszczęśliwić innych.

- A co z Gilbertem?

- Był cudowny. Na początku. Niestety, nikomu nie ufa. Nie umie się otworzyć. Ale bywa słodki. Czasem gdy się urznie, płacze jak dziecko. Omal mi wtedy serce nie pęknie.

- I dlatego facet rozwała ci nos.

15

Minęliśmy Greenville, Brashear, Saltillo i Mount Vernon, a także sporo rozrzuconych wśród łagodnych wzgórz wsi ukrytych wśród lasów. Laura spała, opierając głowę o szybę. Ruch był niewielki, monotonna droga sprawiała, że ciążyły mi powieki. Kilka razy złapałam się na tym, że przysnęłam - za każdym razem budził mnie ruch opadającej gwałtownie głowy. Próbowałam odpędzić zmęczenie, przypominając sobie wszystko, co wiem o Texarkanie. Okazało się, że bardzo niewiele, bo katalog informacji ograniczał się do dwóch. Po pierwsze, obito mi się o uszy, że granica stanów Teksas i Arkansas biegnie przez środek miasta, co oznacza, że w każdym z tych stanów mieszka mniej więcej połowa jego obywateli. Po drugie zaś, mieści się tam więzienie federalne, o którym nic nie słyszałam. Tyle na temat umysłowej stymulacji.

Kiedy dotarliśmy na peryferie miasta, zatrzymałam się na całodobowej stacji benzynowej i wysiadłam, by rozprostować nogi. Ray spał jak kamień, więc kierownicę przejęła Laura. Wcześniej wysupłała ze swojego schowka

pięć dolarów. Zapłaciłyśmy nimi za paliwo. Granicę stanu przekroczyliśmy około dwudziestej drugiej trzydzieści. Do Little Rock zostały mniej więcej dwie godziny jazdy. Rozparłam się na fotelu pasażera, zsuwając się niedbale w dół i opierając stopy o deskę rozdzielczą. Objęłam się ramionami, by się trochę rozgrzać. Resztką wilgoci z kurtki otuliła mnie chmurą zapachu wilgotnej wełny. Szum silnika połączony z rytmicznym chrapaniem Raya szybko posłał mnie w objęcia Morfeusza.

Ocknęłam się, czując, że ślina spływa mi z kącika ust. Opuściłam stopy i usiadłam prosto, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduję. Minęliśmy znak drogowy, informujący, że właśnie zjeżdżamy z drogi krajowej numer trzydzieści na drogę krajową numer czterdzieści, prowadzącą na północ.

- Daleko do Little Rock? - spytałam.

- Minęliśmy już. Dojeżdżamy do Biscoe.

- Minęliśmy Little Rock?! Mówiłam przecież, że chcę tam wysiąść - wyszeptałam ochryple.

- Pogubiłam się. Miałaś mapę i spałaś jak zabita. Nie miałam pojęcia, gdzie w Little Rock jest lotnisko, a nie miałam ochoty tracić czasu na szukanie.

- Trzeba było mnie obudzić.

- Próbowałam. Zawołałam cię po imieniu. Nie zareagowałaś.

- Nie widziałaś znaków?

- Nie widziałam. Zresztą, o tej porze i tak nie złapałabyś samolotu.

Little Rock to zabita dechami wiocha, zrozum to wreszcie - powiedziała głośno, po czym przypomniała sobie o Rayu i znów ściszyła głos. - Znajdźmy jakiś motel, żeby się przespać. Ledwie trzymam się na nogach. W ciągu ostatniej godziny kilka razy omal nie zjechałam z drogi.

Rozejrzałam się dookoła. W ciemności dostrzegłam nieliczne światełka wiejskich domów. Poza tym nic, prócz lasu.

- Śmiało. Nie krępuj się - rzuciłam kwaśno.

- Niedługo dotrzemy do miasta - odparła beztróska.

I rzeczywiście. Wkrótce dojechaliśmy do miasteczka, w którym przy drodze znalazł się jednopiętrowy motel. Mrugające światełka informowały, że są w nim wolne pokoje. Laura zatrzymała się na małym, wysypanym żwirem parkingu i wysiadła. Odwróciła się plecami do auta i sięgnęła pod sukienkę, pewnie po to, by ze sztucznego brzucha wyciągnąć trochę gotówki. Szturchnęłam Raya. Wracał do rzeczywistości wolno i z oporami, jak nurek przechodzący proces dekompresji.

- Laura zarządziła postój. Obie jesteśmy wykończone.

- Nie ma sprawy. - Usiadł, podciągając się na siedzeniu. Zamrugał ze zdziwieniem. - Jesteśmy jeszcze w Teksasie?

- Już w Arkansas. Minęliśmy Little Rock. Przed nami Memphis.

- Zamierzałaś nas zostawić.

- Owszem.

Ziewnął i potarł twarz dłońmi. Zerknął na zegarek, próbując z mroku dostrzec cyferblat.

- Która godzina? - spytałam.

- Po pierwszej.

Laura dotarła tymczasem do wejścia do motelu. Padające ze środka światło było przytłumione, a drzwi, jak mi się zdaje, zamknięte, bo Laura zastukała w nie rytmicznie, a potem przycisnęła nos do szyny, zasłoniła oczy dłonią i próbowała zajrzeć do lobby. Wreszcie z biura

kierownika wychynął jakiś nieszczęśnik. Nastąpiła ożywiona wymiana zdań, okraszona bogatą gestykulacją i spojrzeniami rzuconymi często w naszą stronę. W końcu Laura została zaproszona do kontuaru. Stała przy nim i zaczęła wypełniać formularz meldunkowy. Wydęty brzuch sprawiał, że wyglądała krucho. Każdy facet by się nią zaopiekował, zwłaszcza o tej porze. Nie zaszkodziła jej też spora garść gotówki. Wreszcie formalności dobiegły końca i Laura wróciła do samochodu z dwoma kluczami w rękę. Podała mi je i usiadła za kółkiem.

- Ray śpi w innym pokoju. Nie zniosę jego chrapania.

Włączyła silnik i zawróciła. Okazało się, że przypadły nam dwa pokoje w narożniku budynku. Nieopodal stało tylko jedno auto z numerami rejestracyjnymi stanu Iowa, uznałam więc, że chwilowo Gilbert nam nie grozi. Ray wydobyl z bagażnika jedną ze swoich walizek, Laura chwyciła za torbę, ja natomiast pozbierałam naręcze wilgotnych ubrań, które wcześniej upchnęłam między tobołkami. Miałam nadzieję, że jeśli rozwieszę je gdzieś na noc i pozwolę im wyschnąć, rano będą się nadawały do włożenia.

Ray przystanął przy drzwiach.

- O której rano wyjeżdżamy? - spytał.

- Najlepiej przed szóstą. Spiesz się. Nie warto tracić czasu - oznajmiła Laura. - Rozsuń zasłony, gdy wstaniesz. My też tak zrobimy.

- Zerknęła na mnie. -Może tak być?

- Jasne. Nie ma sprawy.

Ray zniknął w swoim pokoju. Podreptałam za Laurą do naszego. Kiepsko. Dwa podwójne łóżka, trochę gratów i wszechobecny smród stęchlizny. Gdyby kolor brązowy miał zapach, wydzielalby właśnie taką woń.

W miejscach podobnych jak to nie należało wyskakiwać z łóżka, nie robiąc wcześniej hałasu. Gdy się o tym zapominało, pod stopą natychmiast czuło się pękający chitynowy pancerzyk jakiegoś robala. Jeden z takich insektów tkwił właśnie w kącie i bezskutecznie próbował wspiąć się na którąś ze ścian, drapiąc w nią jak pies, który chce wyjść na zewnątrz. Takich jak on nie można było nawet rozgnieść butem, nie ryzykując, że na jego czubek natychmiast chluśnie masa czegoś, co wygląda jak rzadki cytrynowy pudding.

Obejrzałam uważnie szafę. Nie znalazłam zasuszonych zwłok pajaków ani martwych gryzoni, rozwiesiłam więc w niej wilgotne ubrania.

W łazience z podłogą wyłożoną brązowymi winylowymi kwadratami królowała kabina prysznicowa ze ściankami z pleksiglasu. Na półeczce zauważyłam dwie owinięte folią szklanki i dwa mydła wielkości karty wizytowej w papierowym opakowaniu. Zachwycona, wyjęłam z kieszeni podróżną szczoteczkę do zębów wraz z miniaturową tubką pasty, po czym wyczyściłam wreszcie zęby. Ponieważ nie miałam pidżamy, postanowiłam spać w pożyczonej bieliźnie. Cienką bawełnianą kołdrę złożyłam na połowę, żeby było mi ciepłej. Laura wyszła do łazienki, starannie zamykając za sobą drzwi, żeby zdjąć sztuczny brzuch. Zasnęłam niemal natychmiast, nie słyszałam więc, jak wspina się na swoje trzeszczące łóżko.

Wokół panowały ciemności, kiedy Laura obudziła . mnie szturchnięciem za kwadrans szósta.

- Chcesz wykapać się pierwsza? - spytała.
- Nie. Prysznic jest twój.

Światło z łazienki omiotło mi twarz, nim Laura zamknęła za sobą drzwi. Kiedy wyszła z łazienki, rozsunęła zasłony, wpuszczając do pokoju blask padający ze świateł wokół parkingu. Za ścianą słyszałam szum płynącej wody, co oznaczało, że Ray też się już obudził. Pewnie w więzieniu przyzwyczyił się do pobudki o tej porze. Teraz pewnie cieszył się prysznicem zażywany w samotności, pod którym nie groził mu gwałt za każdym razem, kiedy schylał się po mydło. Uniosłam się na łokciu i popatrzyłam na mieszczący się po drugiej stronie ulicy warsztat samochodowy. Zawieszona nad wejściem czterdziestowatowa żarówka rzucała mdłe światło na zatoczkę dla klientów. Poniedziałkowy poranek, a ja jestem gdzie? Przyjrzałam się reklamie na pudełku od zapalek wrzuconym do popielniczki. No tak. W Whiteley w stanie Arkansas. Po drodze zwróciłam uwagę na znak przy wjeździe do miasta informujący, że zamieszkują je pięćset dwadzieścia trzy osoby. Ktoś pewnie grubo przesadził. Ni z tego, ni z owego poczułam falę nostalgii i tęsknoty za domem. W czasach mojej szalonej młodości, nim jeszcze zaczęto się bać opryszczki oraz AIDS, zdarzało mi się budzić w pokojach takich jak ten. Nie macie pojęcia, jakie katusze przeżywałam, usiłując sobie przypomnieć, kto gwizdże wesoło za drzwiami łazienki. Często ukazywał się w nich ktoś, kto kazał mi wątpić w mój dobry gust w sprawie wyboru męskiego towarzystwa. Szybko odkryłam, że cnotliwe życie to jedyna gwarancja, by nie czuć już wstrętu do samej siebie.

Kiedy Laura wyszła wreszcie z łazienki, kompletnie ubrana i ze sztucznym brzuchem przywiązany do pasa, umyłam zęby, wzięłam prysznic i umyłam głowę, zużywając do tego celu maleńką kostkę mydła. Moje džinsy, choć suche, nadal śmierdziały spalenizną jak długo

nieczyszczona popielniczka albo wygasłe obozowe ognisko, znów pożyczyłam więc sukienkę od Laury. Kąpiel zdecydowanie poprawiła mi nastrój. Dziarsko pozbierałam swoje ubrania z szafy i zaniosiłam je do samochodu.

Jechaliśmy prostą drogą na północ. Chłód doskwierał nam coraz bardziej. Powietrze wydawało się coraz ostrzejsze, a wiatr - coraz bardziej przenikliwy. Ray włożył na siebie podszytą flanelą dżinsową kurtkę, a każdej z nas rzucił po swetrze. Pełna wdzięczności, szybko wsadziłam swój przez głowę, narzucając na niego jeszcze kurtkę. Z powodu grubej wełny zrobiła się ciasna, z trudem więc poruszałam ramionami, ale w zamian czułam rozkoszne ciepło. Laura owinęła się swetrem ojca jak szalem.

Wsunęłam się na tylne siedzenie i spokojnie czekałam, aż Laura odda klucze, a Ray wyda swoje ostatnie drobne w automacie na słodczyce stojącym w rogu recepcji. Oboje wrócili do auta, obładowani batonikami, przekąskami i napojami, które Ray rozdzielił sprawiedliwie między wszystkich. Zanim Laura wjechała na autostradę, zjedliśmy całkowicie pozbawione wartości odżywczych śniadanie złożone z coli, orzeszków ziemnych, czekoladowych batoników, ciastek z masłem orzechowym i kukurydzianych chrupek z serem.

Po drodze Laura włączyła ogrzewanie. Wnętrze auta szybko wypełniło się mydlanym zapachem płynu po goleniu Raya. Trzeba mu przyznać, że dbał o siebie wręcz obsesyjnie, choć efekt psuła posiniaczona twarz i poobcierane palce. Wydawało się, że przywiózł ze sobą niewyczerpany zapas czystych białych koszulek i bojówek. Jak na mężczyznę po sześćdziesiątce, świetnie się trzymał. Ja i Laura prezentowałyśmy się znacznie gorzej. Obie wyglądałyśmy tak, jakbyśmy godzinę wcześniej z trudem

zwlokły się z łóżka, co poniekąd było prawdą. Ponieważ w ciasnej klatce wynajętego auta ciągle siedziałyśmy blisko siebie, zauważyłam, że dziewczyna zawdzięcza swój płomienny kolor włosów farbie. Słabo widoczne odrosty tuż przy skórze głowy miały szaromysi odcień z dużą ilością srebra. W kosmykach okalających jej twarz dostrzegłam teraz prześwity siwizny, wyglądające jak pasemka bieli na pokrytej nierówno bejcą ramie obrazu. Zastanawiałam się, czy przedwczesne siwienie zawdzięcza genom ojca.

Słońce uniosło się wreszcie zza widocznych na horyzoncie kłębow białych chmur, zmieniając kolor nieba, które najpierw miało kolor świeżej brzoskwini, potem żółtego masła, a na koniec czystego, łagodnego błękitu. Otaczał nas płaski, równinny krajobraz. Z mapy wynikało, że znaczną część stanu stanowiły doliny dopływów Mississippi. Wszystkie rzeki płynęły na wschód, a potem na południe, by dołączyć do królowej rzek. Niebieskie plamy jezior i gorących strumieni znaczyły mapę jak krople deszczu, w północno-zachodniej części stanu zrównoważone wyżyną Bostonu i górami Oauchita. Laura cały czas mocno dociskała pedał gazu, utrzymując równe tempo dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

O siódmej byliśmy już w Memphis. Wyteżyłam wzrok, szukając automatu telefonicznego. Zamierzałam zadzwonić do Henry'ego, potem jednak zdałam sobie sprawę, że różnica czasu wynosi dwie godziny i w Kalifornii jest dopiero piąta. Henry co prawda wstawał zwykle wcześniej, ale nie bladym świtem. Jakby wyczuwając tok moich myśli, Laura zerknęła na mnie w lusterku wstecznym.

- Wiem, że chcesz wracać do domu, ale nie możesz zaczekać z tym do Louisville?



- A co? Nie podoba ci się Nashville? - spytałam zadziornie. - Dojedziemy tam przed południem, co mi bardzo odpowiada.

- Będziemy musieli nadłożyć drogi. Sprawdź na mapie, jeśli mi nie wierzysz. Pojedziemy czterdziestką, a potem wjedziemy na sześćdziesiątkę piątkę w kierunku północnym. Przetniemy granicę stanu. - Podała mi mapę złożoną tak, by widoczna była trasa, o której mówiła.

Przyjrzałam się jej, próbując oszacować odległość.

- Nie straciecie więcej jak godzinę. Do Nashville jest trochę ponad trzydzieści kilometrów. Poza tym, o ile pamiętam, nie miałaś ochoty na podróż do Louisville, więc skąd ten nagły pośpiech?

- Nie powiedziałam, że nie chcę jechać do Louisville. Tam przecież mieszkam. I tam zacznie mnie szukać Gilbert. Postanowiłam jednak, że zabiorę z naszego mieszkania swoje rzeczy, zanim się zorientuje.

- Zapomnij o tym - rzucił Ray. - Kupisz sobie nowe. Trzymaj się z daleka od tego mieszkania, bo Gilbert już tam pewnie na ciebie czeka.

- Nie, jeśli dojadę do miasta pierwsza. Dlatego właśnie nie mam ochoty zatrzymywać się przy lotnisku. Kinsey poleci do domu z Louisville. Kilka kilometrów jej nie zbawi.

Poczułam, że robi mi się gorąco ze złości.

- Miną kolejne trzy godziny - warknęłam.

- Nie zatrzymam się tutaj.

- Kto pozwolił ci decydować za wszystkich?

- A dlaczego miałabym cię słuchać?

- Przestańcie, dziewczyny! - zawołał Ray. - Zaczynacie działać mi na nerwy, a mam dość własnych zmartwień. Gilbert depcze nam po piętach. - Odwrócił się do mnie

ze zmartwionym wyrazem twarzy. - Wiem, że bardzo chcesz wrócić do domu, ale mam propozycję. Kilka godzin spóźnienia nie zrobi ci wielkiej różnicy. Jedź z nami do Louisville. Zatrzymasz się u mojej matki. Tam ci nic nie grozi. Weźmiesz gorący prysznic i doprowadzisz się do porządku, a mama wypierze ci ubrania. - Zerknął na Laurę. - Ciebie też zapraszam. Na pewno ci się tam spodoba. Ile lat nie widziałaś babci?

- Pięć albo sześć.

- To kawał czasu. Pewnie się za tobą stęskniła. - Znów odwrócił się w moją stronę. - Zjemy u niej obiad, a potem odwieziemy cię na lotnisko. Zapłacimy nawet za bilet - kusił.

Laura oderwała wreszcie spojrzenie od drogi.

- Doprawdy? My zapłacimy? - spytała, kładąc nacisk na to „my”.

- Tak, bo to przez nas Kinsey wpadła w tarapaty. Chester pewnie jej nie zapłaci, a sporo już wydała. Przynajmniej tyle możemy dla niej zrobić.

- Widzę, że bez oporów szastasz forszą, której jeszcze nie masz - mruknęła.

Uśmiech Raya zbladł. Nawet siedząc z tyłu, zauważyłam zmianę jego nastroju.

- Sugerujesz, że nie mam prawa do tego, co się tam kryje? - spytał zimno, wskazując na sztuczny brzuch córki.

- Jasne, że masz. Problem w tym, że ta przygoda i tak nas słono kosztowała.

- Co z tego?

- To, że wypadaloby najpierw spytać mnie o zdanie. Sporo ryzykowałam, tak jak i ty. Poza tym, o ile pamiętam, niedawno nalegałeś, żebym zatrzymała te osiem tysięcy.

- Odmówiłaś.
- Wcale nie!
- Wyraźnie słyszałam, jak odmawiasz - wtrąciłam. Kusiło mnie, żeby pokazać jej język.
- Nie masz tu nic do gadania! - wrzasnęła. - Ta sprawa ciebie nie dotyczy. Pilnuj własnego nosa.
- Omali się nie roześmiałam.
- Postaraj się bardziej. Zaczyna mi się to podobać -zadrwiłam. - Ponoć takie awantury wynikają z „dynamiki rodziny”. Zdaje się, że tak to nazwano. Jestem adoptowanym dzieckiem. Nigdy nie miałam siostry. Nie wiedziałam, że to takie fajne.
- A co ty wiesz o rodzinie?
- Nic. Nigdy jej nie miałam. I dlatego kręcą mnie te kłótnie. Chcę się nimi cieszyć, póki mogę.
- Naprawdę nie masz rodziny? - spytał Ray.
- Mam krewnych, ale nie czuję się z nimi związana. Część moich kuzynów mieszka w Lompoc. Nigdy ich nie widziałam. Nie było okazji, żeby skakać sobie do oczu.
- Ja też przez wiele lat obywałem się bez rodziny. I bardzo tego żałuję.
- Ożywił się. - To co? Jedziesz z nami do Louisville? Daję słowo, że odeślemy cię stamtąd do domu.
- Zwykle nie odmawiam, gdy ktoś ładnie prosi, a już na pewno, gdy mam do czynienia z kimś, kto traktuje mnie jak córkę i pięknie przy tym pachnie.
- Niech będzie - zgodziłam się. - Przekonałeś mnie wizją obiadu u twojej matki.
- Będzie zachwycona.
- Długo jej nie widziałeś?
- Siedemnaście lat. Wyszedłem wtedy na warunkowe, ale wdałem się w bójkę i wróciłem za kratki. Nigdy nie

odwiedzała mnie w więzieniu. Pewnie nie chciała widzieć, co się tam dzieje.

Ustaliwszy szczegóły naszej umowy, dalej podróżowaliśmy w przyjaznej atmosferze. Do Nashville dojechaliśmy za dwadzieścia pięć jedenasta, głodni jak wilki. Laura zauważyła widoczne zza galerii handlowej Briley Parkway złociste łuki wjazdu do McDonald's i skręciła w najbliższy zjazd. Kiedy zatrzymaliśmy się na parkingu, sięgnęła pod sukienkę i dokonała kolejnej wypłaty z Banku Spółdzielczego Fałszywego Brzucha. Ponieważ tylko moja twarz nie nosiła śladów bicia, wydelegowano mnie do baru po lunch dla wszystkich. Żeby urozmaicić naszą dietę, wybrałam różne rodzaje hamburgerów, kilka big maków i pizzę na grubym spodzie z podwójnym serem. Kupiłam też podwójne zestawy frytek, cebulowe krążki i wielkie cole, które gwarantowały, że co dwadzieścia minut będziemy się zatrzymywać na siusiu. Na deser wybrałam ciastka w kształcie zwierzątek zapakowane w pudełka ze sprytnymi uchwytami ze sznurka, specjalnie dla tych, którzy kolekcjonują zużyte opakowania. Dowodząc niesłychanej wprost wytworności, zjedliśmy w samochodzie zaparkowanym na tyłach centrum handlowego, po czym po kolei poszliśmy do toalety, by opróżnić pęcherze przed drogą. Tym razem prowadził Ray. Laura przesiadła się na fotel pasażera, a ja wyciągnęłam się z tyłu i zapadłam w drzemkę.

Kiedy się obudziłam, Ray i Laura rozmawiali przyciszonymi głosami. Ich mamrotanie przypomniało mi czasy dzieciństwa, kiedy zwinięta na tylnym siedzeniu słuchałam szeptu rodziców wymieniających jakieś uwagi. Tak właśnie nauczyłam się podsłuchiwać. Teraz też przymknęłam oczy i zaczęłam wsłuchiwać się w słowa.

Najpierw odezwał się Ray.

- Wiem, że nie sprawdziłem się jako ojciec, ale pozwól mi to naprawić.

- Mam już ojca. Jest nim Paul.

- Zapomnij o nim, to palant. Sama tak mówiłaś.

- Kiedy?

- Wczoraj wieczorem, kiedy rozmawialiście z Kinsey. Mówiłaś, że zawsze cię tylko krytykował.

- Zgadza się. Jak widzisz, mam już ojca. Po co mi drugi?

- Nie musisz mnie tak traktować, ale chciałbym być częścią twojego życia.

- Po co?

- Jak to po co? Co to w ogóle za pytanie? Jesteś moim jedynym dzieckiem. Krwią z krwi i kością z kości.

- Bzdura.

- Z iloma osobami łączą cię więzy krwi?

- Z niewidoma. I chwała Bogu - rzuciła kwaśno Laura.

- W porządku. Niech ci będzie. Nie zamierzam cię do niczego zmuszać. Rób, co chcesz.

- Nie obrażaj się. Nie chodzi o ciebie - zapewniła. -Bądźmy szczerzy. Życie nauczyło mnie, że od mężczyzn dostaję wyłącznie baty.

- Dzięki, że mi ufasz. - Ray pozwolił sobie na ironię.

Rozmowa przestała się kleić. Odczekałam kilka minut, po czym ziewnęłam głośno, jakbym dopiero się obudziła. Usiadłam i zaczęłam się wpatrywać w migający za oknami krajobraz. Choć słońce stało wysoko, świeciło blado. Okoliczne wzgórza pokryte były ciemną zielenią, charakterystyczną dla listopada. Trawa nadal wydawała się świeża, ale drzewa zaczęły już gubić liście. Widziane z daleka nagie gałęzie wyglądały jak szare tumany mgły.

Gdzieś tam rosły sosny i jodły. Pomyślałam, że latem zbocza wzgórz porasta pewnie gęsta roślinność, nadająca im intensywnie zieloną barwę. Ray spojrzał na mnie w lusterku.

- Byłaś kiedyś w Kentucky?

- O ile pamiętam, nie. Słyszałam, że to kraina koni. Oczekiwałam szmaragdowej trawy i białych ogrodzeń.

- Znajdziesz je bliżej Lexington, na północnym wschodzie. Tyle że teraz płoty są czarne. We wschodniej części stanu, w hrabstwie Harlan, są kopalnie węgla. Tutaj, na zachodzie natomiast mamy zagłębienie tytoniu.

- Kinsey nie potrzebuje przewodnika - rzuciła Laura.

- Przeciwnie - odparłam. Fakt, że zawsze stawała wobec Raya okoniem, dawał mi poczucie wyższości. Role zostały przydzielone: ona była złą córką, ja dobrą. - Pokaż mi to na mapie.

Ray wskazał palcem obszar na północ od granicy Tennessee, pomiędzy zalewami Nolin a Barren.

- Niedawno minęliśmy Bowling Green. Po lewej mamy Park Narodowy Jaskini Mamuciej. Gdybyśmy mieli czas, na pewno byśmy ją zwiedzili. Turyści schodzą w dół, a przewodnik gasi światło. Zapada ciemność choć oko wykol. W jaskini panuje mrok czarniejszy niż najczarniejsza noc i głucha cisza. Dwanaście stopni Celsjusza. Zimno jak w chłodniach, w których pakuje się mięso. Odkryte korytarze mają łączną długość ponad czterystu pięćdziesięciu kilometrów. Ostatnio byłem tam w trzydziestym drugim roku z wycieczką szkolną. Dotąd to pamiętam. Myślałem o tej wycieczce, siedząc za kratkami. Marzyłem, że dostaję wolny dzień i spędzam go tutaj.

Laura popatrzyła na niego dziwnie.

- Marzyłeś o jaskini? Nie o kobietach, whisky czy choćby o szybkich brykach?

- Chciałem uciec od wiecznie zapalonego światła nad głową i jazgotu innych więźniów. Od chrapania, które doprowadza do szału. I od smrodu. Jaskinia Mamucia pachnie mchem i wilgotnym kamieniem, a nie potem i testosteronem. Jej woń przywodzi na myśl życie przed narodzinami... uciekło mi słowo... życie prebiotyczne.

- Rany - mruknełam sucho. - Żałuję, że muszę szybko wracać do Kalifornii. Nabrałam ochoty na tę wycieczkę.

Ray uśmiechnął się, niezrażony.

- Żartujesz sobie, ale na pewno by ci się tam spodobało. Gwarantuję.

- Życie prebiotyczne? - Laura uniosła brwi w wyrazie niedowierzania.

- Dziwi cię, skąd znam takie słowa? W pudle zrobiłem maturę. Zacząłem nawet studia. Ekonomia, psychologia i inne takie bzdury. To, że siedziałem, nie znaczy, iż jestem idiotą. Zdziwiłabyś się, ilu bystrzaków wegetuje za kratkami.

- Serio? - spytała z powątpiewaniem.

- Serio. Założę się na początek, że na maszynie szyję znacznie lepiej od ciebie.

- To akurat nie wymaga specjalnych zdolności - prychnęła.

- Rozmowa z tobą zawsze poprawia mi nastrój - zauważył cierpko. - Naprawdę wiesz, jak schlebić mężczyźnie.

- Pieprz się.

- Słyszałem, jak narzekasz, że ojczym podkopywał twoją pewność siebie. Spróbuj o tym zapomnieć i nie zachowuj się jak on.

Tym razem Laura nie odpowiedziała. Ray przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, po czym przeniósł wzrok na drogę.

- Daleko jeszcze? - spytałam.

- Jakieś półtorej godziny. Jak ci tam z tyłu?

- Bardzo wygodnie.

Do Louisville dotarliśmy tuż przed południem, wjeżdżając do miasta od strony drogi numer sześćdziesiąt pięć. Po lewej rozciągało się lotnisko. Na jego widok omal nie zawyłam z tęsknoty. Skręciliśmy w drogę prowadzącą na zachód, w kierunku Shively, mijając kolejne dzielnice bankowe i handlowe w centrum miasta. Po prawej wznosiły się drapacze chmur, potężne betonowe bloki, w większości zwieńczone prostym dachem. Przed nami płynęła rzeka Ohio. Za nią zaczynał się stan Indiana.

Dojechaliśmy do Portland, dzielnicy, w której dorastał Ray Rawson. Na widok znajomej okolicy na jego twarzy pojawił się pełen rozrzewnienia uśmiech. Odwrócił się w moją stronę, kładąc ramię na oparciu fotela.

- Tam dalej płynie kanał Portland - wyjaśnił nam. -Sto lat temu zbudowano tu śluzy, żeby zapobiegać powodziom. Pracował przy nich mój pradziadek. Jeśli zdążymy, zabiorę was tam na małą wycieczkę.

Zdecydowanie bardziej zależało mi na samolocie do domu niż na zwiedzaniu lokalnych atrakcji, wiedziałam jednak, że zaproponował to, podekscytowany powrotem po tylu latach w rodzinne strony. Większość ostatnich czterdziestu pięciu lat spędził za kratami, nic więc dziwnego, że zachowywał się jak gość z Księżyca i dziwił się zmianom, jakie zaszły podczas jego nieobecności. Być



może napawał go otuchą fakt, że czas łagodnie obszedł się z okolicą, w której spędził dzieciństwo. Ulice nadal były szerokie, drzewa gubiły liście, jak zawsze jesienią. Część z nich miała nagie gałęzie, na innych jednak zachowały się barwne plamy liści w kolorze ciepłej żółci i czerwieni. W uliczce, w którą wjechaliśmy, fronty większości budynków zdobiły szyldy i reklamy sklepów oraz warsztatów usługowych: prywatnego przedszkola, zakładu fryzjerskiego, sklepu wędkarskiego oferującego żywe przynęty. Wszystkie podwórka były małe i płaskie, oddzielone płotkami z grubego drutu z rozchwierutаныmi furtkami. Suche liście, wyglądające jak skrawki burego papieru, zapychały rynny i zaśmiecały chodniki. Przy krawężnikach parkowały dziesięcio-dwunastoletnie auta. Starsze modele stały na podjazdach, zaopatrzone w karteczki z napisem: „Na sprzedaż”, wetknięte za wycieraczki. Słupów telefonicznych było tu więcej niż drzew. Druty telefoniczne ciągnęły się wzdłuż i w poprzek ulicy, jak linki namiotów obozowiska, którego jeszcze nie rozstawiono. W głębi dostrzegłam kilka wagonów tramwajowych czekających na bocznicy.

Założyłabym się o każde pieniądze, że tak samo ulica ta wyglądała w latach czterdziestych. Nigdzie nie dostrzegłam śladów remontów czy rozbiórki. Żaden dom nie został zburzony, by zrobić miejsce dla nowego. Żywopłoty wybujały, niestrzyżone od lat. Potężne pnie drzew zasłaniały sobą okna oraz ganki, choć posadzono je zapewne po to, by ich rozłożyste gałęzie chroniły przed skwarem mieszkańców domów. Chodniki były popękane i wybrzuszone przez korzenie. Czterdzieści lat mrozów, upałów i deszczów zniszczyło tynk na fasadach wielu domów. Tu i ówdzie błysnęła świeża farba, ale pewnie niewiele się zmieniło, odkąd biegał tutaj mały Ray.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed domem jego matki, odniosłam wrażenie, że na piersiach, legł mi dziwny ciężar. Takie mroczne przeczucie ogarnia czasem człowieka w kinie, kiedy oglądając horror, usłyszy gdzieś w oddali skowyt albo ponurą muzykę, zapowiadającą pojawienie się złowieszczego cienia w wodzie lub okrutnej zjawy czającej się za drzwiami piwnicy. Być może uległam w końcu przygnębieniu, które zrodziło się z braku snu, fatalnej diety i faktu, że chodziłam w pożyczonych ciuchach. Nagle pożałowałam, że już wiele godzin temu nie wsiadłam do samolotu lecącego do Kalifornii.

Laura wyłączyła silnik i wysiadła. Po chwili w jej ślady poszedł Ray. Przystanął na chodniku i z zachwytem wpatrzył się w dom. Nie miałam wyboru. Musiałam do nich dołączyć. Czułam się jak więzień. Wrażenie to było tak silne, że aż zaswędziało mnie skóra.

16

Dom matki Raya stał na wąskiej działce w uliczce niewielkich domków jednorodzinnych. Wzniesiono go z czerwonej cegły. Miał jedno piętro i parterową dobudówkę od frontu. Dwa wąskie okna o szerokich nadprożach zabezpieczono żelaznymi kratami. Trzy stopnie z betonu wiodły do drzwi umieszczonych dokładnie pośrodku frontu i ocienionych niewielkim drewnianym daszkiem. Drugie wejście znajdowało się z boku budynku. Prowadziła do niego wąska ścieżka. Dom obok wyglądał niemal identycznie, pozbawiony był jednak daszku nad drzwiami, co sprawiło, że ich drewno wystawione zostało na ataki żywiołów.

Ray od razu skierował się do bocznego wejścia. Ja i Laura gęsiego podreptałyśmy za nim. Powietrze między domami było mroźne. Objęłam się ramionami, by zatrzymać choć odrobinę ciepła, i przeskakiwać nogi na nogę, żeby jak najszybciej znaleźć się w środku. Ray zapukał w drzwi, których szklane tafle przesłaniały częściowo ozdobnie kute kraty. Zza szyby sączyło się światło z pokoju na lewo, nikt jednak nie pospieszył, by otworzyć.

Ray odwrócił głowę w moją *stronę*.

- Tutaj nazywają takie domki „strzelnicą”. Mają szerokość jednego pomieszczenia i długość czterech. Stojąc przy frontowych drzwiach, można przestrzelić je na wylot. - Wskazał piętro. - Ten należy do większych, bo ma nad kuchnią dodatkową sypialnię. Dom i przybudówka pochodzą z czasów mojej prababki. Kazała je zbudować w osiemset osiemdziesiątym roku.

- To widać - mruknęła Laura. Ray pogroził jej palcem.

- Trzymaj język za zębami, żeby nie urazić babci.

- Jasne. Bo jak tylko ją zobaczę, od razu zacznę krytykować jej ukochany domek. Może trochę więcej zaufania?

- Co się z tobą dzisiaj dzieje? Przestań wreszcie robić z siebie ofiarę.

W domu rozbłysło kolejne światło. Laura przełknęła cisnącą się jej na usta kąśliwą odpowiedź, bo nagle uchyliła się jedna z zasłon i wyjrzała zza niej staruszka. Widać było, że nie ma zębów, bo usta miała ściągnięte w małe kółeczko, a zapadnięte policzki wyglądały, jakby je wciągnęła. Wyglądała na niską i krępą. Białe włosy ściągnęła *mocno do tyłu* i spięła w ciasny koczek, dla pewności owinięty gumkami. Obrzuciła nas uważnym spojrzeniem zza grubych okularów w drucianych oprawkach.

- Czego chcecie? - Popatrzyła surowo zza szkieł.

- To ja, mammo! - zawołał głośno Ray.

Przez kilka sekund jej mózg przetwarzał informację. Widać było, że jest zaskoczona. Uniosła do ust zaciśnięte w pięści dłonie, a potem zabrała się do otwierania drzwi - odsunęła zasuwę, przekręciła zamek, zdjęła łańcuch, a na koniec przekręciła w innym zamku staroświecki, długi klucz, co zajęło jej sporo czasu. Wreszcie drzwi stanęły otworem, a ona rzuciła się w ramiona syna.

- Ray - szeptała drżącym głosem. - Och, Ray. Rawson roześmiał się w głos, przygarniając ją do piersi.

Przytuliła się mocno, wyrażając radość i ulgę cichym popiskiwaniami. Choć pulchna, sięgała mu ledwie pod pachę. Biały wiązany fartuch z szelkami okrywał podomkę, którą według wszelkich znaków na niebie i ziemi uszyła sobie sama: różową bawełnę ozdobił wzór biegnących ukośnie białych guzików, rękawy wykończone były różową tasiemką. Kiedy odsunęła się od syna, okulary tkwiły krzywo na czubku jej nosa. Szybko zerknęła w stronę Laury stojącej za plecami Raya. Widać było, że nie ma pewności, co jest snem, a co jawą.

- Kto to? - spytała podejrzliwie.

- To ja, babciu, Laura. A to Kinsey. Zabraliśmy ją z Dallas. Co u ciebie?

- Wielkie nieba! Laura! Nie do wiary. Cudownie cię widzieć, kochanie. Szkoda, że nie uprzedziliście. Wyglądam okropnie. Gdybym wiedziała, że przyjedziecie, zdjęłabym te stare łachy.

Laura objęła ją i pocałowała mocno, stając przy tym trochę bokiem, żeby ukryć wydatny sztuczny brzuch. Matka Raya i tak niczego nie zauważyła.

- Pozwól, że ci się przyjrę. - Objęła dłońmi twarz Laury i popatrzyła na nią uważnie. - Kiepsko cię widzę,

kochanie, ale zdaje mi się, że przypominasz dziadka Raw-sona. Dobry Boże. Od tak dawna nie miałam od ciebie wieści. - Po jej policzkach potoczyły się łzy. Uniosła róg fartucha, by ukryć zawstydzenie. Po chwili jednak rozpogodziła się, zapominając o wzruszeniu. - Co też ja wyrabiam? Wchodźcie, śmiało. Nie wybaczę ci, synu, że do mnie nie zadzwoniłeś. Mam w domu straszny bałagan.

Weszliśmy do przedpokoju - najpierw Laura, potem Ray, na końcu ja. Zaczekaliśmy, aż staruszka zamknie drzwi. Nagle zdałam sobie sprawę, że dotąd nie znam jej imienia. Po prawej zauważyłam wąskie schody wiodące do sypialni na piętrze, nawet o tej porze dnia pograżonej w ciemnościach. Po lewej znajdowała się kuchnia, jedyne dobrze oświetlone pomieszczenie w tym domu. Budynek stał tak blisko sąsiednich, że dostawało się do niego bardzo niewiele promieni słonecznych. W kuchni było tylko jedno okno na przeciwległej od drzwi ścianie nad białym porcelanowo-żeliwnym zlewem. Na środku stał duży stół z czterema drewnianymi krzesłami, każdym innym. Nad nim wisiała na drucie goła żarówka. Miała pewnie ze dwieście pięćdziesiąt watów, bo nie tylko zalewała pomieszczenia rażącym w oczy światłem, ale też podgrzewała je o co najmniej dwadzieścia stopni Celsjusza.

Starą czteropalnikową kuchenkę z podnoszoną klapą pokrywała zielono-czarna emalia. Na lewo od drzwi stał kredens z wysuwającym blaszanym blatem i wbudowanym pojemnikiem na mąkę oraz sitem. Ogarnęła mnie fala wspomnień. Kiedyś już widziałam podobny mebel, być może u babci w Lompoc, kiedy miałam cztery lata. Przymykając oczy, niemal mogłam powiedzieć, co stało na półce: pudełko papieru do pieczenia, cylindryczna

granatowa puszka z solą ozdobiona wizerunkiem roześmianej dziewczyny pod parasolem („Syp, kiedy leje”), pomarańczowa kwadratowa puszka kawy zbożowej, pudełko owsianki, duża puszka kakao. W spiżarce pani Rawson znajdowały się mniej więcej te same produkty, choć na półce królował wielki słoik z miętowo-zielonego szkła z napisem: CUKIER. Obok stały dwa wysokie, pasujące do siebie młynki do soli i pieprzu.

Mimo protestów Raya, jego matka zabrała się do uprzątnięcia stosów gazet z kuchennych krzeseł.

- Daj spokój, mamo. Nie sprzątaj. Oddaj mi to.

- Nie dyskutuj ze mną. - Klasnęła w dłonie. - Sama sobie poradzę. Gdybym wiedziała, że przyjdziecie, wcześniej bym to uprzątnęła. Teraz Laura pomyśli, że kiepska ze mnie gospodyni.

Ray odebrał jej papiery i rzucił je na wielki stos gazet pod ścianą. Laura wymruczała usprawiedliwienie i wycofała się z pokoju. Miała nadzieję, że jest tu gdzieś łazienka, z której pozwoli mi skorzystać w swoim czasie. Podsunęłam sobie jedno z krzeseł i usiadłam, rozglądając się dyskretnie, podczas gdy Ray i jego matka krzatali się, próbując ogarnąć bałagan.

Ze swojego miejsca widziałam część jadalni z wbudowanym w ścianę przeszklonym kredensem. Była zagracona do granic możliwości. Śmieci, meble i kartony sprawiały, że ledwie dało się po niej chodzić. Zwróciłam uwagę na stare drewniane radio Zenith z dużymi okrągłymi gałkami do nastawiania częstotliwości i zaokrągloną na rogach obudową rozmiaru komody. Niżej stał głośnik o podobnym kształcie, z naciągniętą mocno zużytą tkaniną na froncie. Tapetę zdobił motyw poskręcanych brązowych liści.

Za jadalnią prawdopodobnie znajdował się salon, którego dwa okna wychodziły na ulicę i frontowe drzwi. W kuchni dominowała woń kulek na mole oraz mocnej kawy, która zbyt długo parzyła się na kuchence. Nagle usłyszałam bulgotanie w rurach i odległy dźwięk splukiwanej gdzieś wysoko wody. Po chwili do kuchni wróciła Laura. Nie miała już na sobie sztucznego brzucha. Pewnie wołała nie wdawać się w szczegóły swojego błogosławionego stanu, gdyby babka raczyła go wreszcie zauważyć.

Wróciłam do słuchania staruszki, nadal dobrodusznie narzekającej na syna, który nie uprzedził jej o swojej wizycie.

- Ciekawe, z czego teraz przygotowuję wam kolację? Nie mam nic w lodówce.

- Mamo, powiem ci, co zrobimy - przerwał jej Ray spokojnie. - Napiszesz, czego potrzebujesz, a my wyskoczymy do sklepu i za chwilę będziemy z powrotem.

- Mam już przygotowaną listę zakupów. Muszę ją tylko znaleźć - odparła, przeglądając papiery leżące na stole. - Moja sąsiadka z drugiego domu na lewo Freida Green podwozi mnie do sklepu raz w tygodniu, kiedy sama robi zakupy. Proszę. Co tam jest napisane?

Ray podniósł skrawek papieru do oczu i odczytał głośno fałszywie pogodnym tonem:

- Kotlety wieprzowe z sosem beszamelowym, a do tego słodkie ziemniaki z duszonymi jabłkami i cebulką, chleb kukurydziany...

Sięgnęła po kartkę, próbując mu ją odebrać, ale Ray uniósł ją wyżej, poza zasięg rąk matki.

- Nie wygłupiaj się, synu. Na pewno tego nie napisałam. Zaraz... To właśnie chciałbyś zjeść na kolację?

- Zgadza się. - Podał jej papier.

- Da się zrobić. Mam słodkie ziemniaki. I kilka słoików z fasolką oraz duszonymi pomidorami. Zostały z zeszłego roku. Upiekłam też ciasteczka z masłem orzechowym. Zjemy je na deser, jeśli przywieziesz do nich lody waniliowe, bo nie lubię zimnego mleka - mówiąc, pisała jednocześnie na kartce dużymi, wyraźnymi literami.

- Dla mnie bomba - odparł Ray. - A ty jak myślisz, Kinsey?

- Fantastyczne menu.

- Żebyś wiedziała! - wtrąciła pani Rawson. - Wybacz. Zupełnie o tobie zapomniałam. Napij się czegoś? Mam tu gdzieś puszkę coli. Zajrzyj, proszę, do spiżarki. Z góry przepraszam za bałagan. Od dawna zamierzałam tam posprzątać, ale ciągle to odkładam.

- Za picie dziękuję. Za to chętnie skorzystam z telefonu. Prosiłabym też o kartkę i coś do pisania.

- Dzwon śmiało. Byle nie do Paryża. Mam abonament, choć chyba z niego zrezygnuję, bo przecież do nikogo nie dzwonię. Tu masz papier. Lauro, pokaż Kinsey, gdzie jest telefon. Stoi przy łóżku. Ja tymczasem dokończę listę zakupów.

- Obiecałem Kinsey, że będzie mogła wyprać u ciebie ubrania - powiedział Ray. - Masz proszek?

- W schowku - odparła pani Rawson, wskazując palcem drzwi w przedpokoju.

Wzięłam kartkę oraz długopis i przeniosłam się do sypialni, zapchanej rzeczami jak szafa na ubrania. Jedyne światło padało ze znajdujących się na lewo uchylonych drzwi od łazienki. Ciężkie zasłony były upięte nad górnymi krawędziami okien zasłoniętych żaluzjami. Na podwójnym łóżku z metalowym stelażem leżały stosy ręcznie robionych kołder. Całość wyglądała jak żywcem



wyjęta z wystawy sklepu meblowego z lat czterdziestych. Wszystkie powierzchnie pokrywała gruba warstwa kurzu. Szczerze mówiąc, cały dom sprawiał wrażenie zaniedbanego, co pewnie należało zrzucić na karb słabnącego wzroku staruszki.

Stary czarny telefon z tarczą stał tuż obok metalowej lampki na nocnej szafce zavalonej książkami o dużych literach, buteleczkami lekarstw, słoiczkami kremów i maści. Włączyłam światło i wykręciłam numer informacji, prosząc o podanie numerów do biur rezerwacji biletów United Airlines i American Airlines. Najpierw zadzwoniłam do biura United. W słuchawce rozległ się mechaniczny głos informujący, że wszystkie linie są teraz zajęte, ale mój telefon zostanie wkrótce odebrany zgodnie z kolejnością. Czekając na połączenie, z szacunku do pani Rawson powstrzymałam odruch przeszukania szuflady stolika. Rozejrzałam się jednak uważnie, szukając sztucznego brzucha Laury, który musiał tu gdzieś być.

Wreszcie agent biura podniósł słuchawkę i pomógł mi dokonać rezerwacji. Najbliższy samolot do Chicago odlatywał z Louisville o dziewiętnastej dwanaście, na miejscu zaś był o dziewiętnastej dwadzieścia dwie, co wynikało z godzinnej różnicy czasu. Na lotnisku musiałabym poczekać kilkanaście minut na kolejny samolot, odlatujący do Los Angeles o godzinie dwudziestej czternaście. Dotarłabym tam o dwudziestej drugiej dwadzieścia cztery czasu kalifornijskiego. W tej sytuacji znów pozostawałoby mi czekać na samolot do Santa Teresa o dwudziestej trzeciej. W domu byłabym czterdzieści pięć minut później. W Los Angeles miałabym wprowadzić niewiele czasu na przesiadkę, agent jednak zapewnił, że bramki przylotu i odlotu usytuowane są bardzo blisko siebie. Fakt, że podróżowałam bez bagażu,

znacznie ułatwiał sprawę. Na koniec usłyszałam jeszcze, że powinnam pojawić się na lotnisku co najmniej na godzinę przed startem samolotu, żebym zdążyła zapłacić za bilety.

Czekałam na kolejne szczegóły, kiedy Ray wetknął głowę przez drzwi i rzucił mi świeży ręcznik.

- To dla ciebie - oznajmił. - Kiedy skończysz gadać, wskocz pod prysznic. Na drzwiach powiesiłem czysty szlafrok. Gdy będziesz gotowa, mama wstawi pranie.

Zasłoniłam dłonią membranę.

- Dzięki. Zaraz się rozbiorę i przyniosę rzeczy. Co z tymi z samochodu?

- Już o tym pomyślałem. Czekają w pralce. - Odwrócił się, by odejść, po czym zatrzymał się, jakby o czymś sobie przypomniawszy. - Jeszcze jedno. W centrum handlowym, do którego jedziemy, jest pralnia chemiczna. Jeśli dasz mi kurtkę, zostawię ją przed zakupami i odbiorę w drodze powrotnej.

Usłyszałam głos agenta. Zajęta ustalaniem szczegółów podróży, pokiwałam tylko entuzjastycznie głową. Trzymając słuchawkę między ramieniem a policzkiem, opróżniłam kieszenie kurtki i podałam mu ją. Pomachał mi i wyszedł, nim skończyłam rozmawiać.

Odłożyłam słuchawkę i poszłam do łazienki. Wystarczył rzut oka i znalazłam sztuczny brzuch wepchnięty do kosza na pranie. Wyjęłam go i uważnie obejrzałam, zachwycona pomysłowością konstrukcji. Całość wykonana była z imitującej skórę gumy wykorzystywanej zwykle do produkcji masek. Brzuch tworzyła półelastyczna owalna skorupa podszyta wyściółką, w której mieściły się niezliczone paczki banknotów. Do ciała mocowały ją grube płócienne pasy. Wyjęłam kilka paczek i przesunęłam palcami po ich krawędzi, przeglądając pięcio-, dziesięcio-,

dwudziesto- i pięćdziesięciodolarówki różnej wielkości. Niektórych nigdy nie widziałam na oczy, założyłam więc, że wyszły z użycia, nim nauczyłam się posługiwać pieniędzmi. Część wyglądała, jakby dopiero co zeszły z prasy drukarskiej. Zrobiło mi się ciężko na sercu na myśl, że Laura płaciła za nasze codzienne zakupy banknotami, za które kolekcjonerzy daliby krocie. Ray był głupcem, że jej na to pozwolił. Nie miał przecież pojęcia, ile pieniędzy znajdzie w skrytce Johnny'ego.

Na powrót upchnęłam brzuch w koszu na brudną bieliznę. Myśl, że nadal nie znam odpowiedzi na wiele nurtujących mnie pytań, nie dawała mi spokoju. Choć z drugiej strony (jak powiedziała Laura), to w końcu nie mój interes. Za sześć godzin lecę do Kalifornii. Nawet jeśli Ray znajdzie jakieś pieniądze, nic mi do tego.

Błękitny szlafrok z miękkiej szenili wisiał na drzwiach, tak jak zapowiedział Rawson. Zdjęłam z siebie pożyczoną dzinsową sukienkę i bieliznę Laury, włożyłam szlafrok i zaniosiłam brudne ubrania do kuchni. Ray i Laura wyjechali już na zakupy. Na kuchence w białym emaliowanym rondlu w niebieskie groszki bulgotały słodkie ziemniaki. Słoiki z pomidorami i zieloną fasolką zostały zdjęte ze spiżarnianej półki i czekały na blacie na swoją kolej. Przez głowę przemknęła mi myśl o zatruciu jadem kiełbasianym ze źle zakonserwowanych przetworów, ale zbagatelizowałam ją. Ostatecznie, w takich przypadkach ryzyko śmierci wynosi zaledwie sześćdziesiąt pięć procent. Zresztą matka Raya nie dożyłaby pewnie matuzalemowego wieku, gdyby nie znała się na pasteryzowaniu słoików.

Drzwi do schowka stały otworem. Pomieszczenie to nie było izolowane, wewnątrz panowało więc przejmujące

zimno. Matka Raya kręciła się jednak między półkami, tak jakby chłód jej w niczym nie przeszkadzał. Przy ścianie po lewej stała przedpotopowa pralka z suszarką. Z przestrzeni pomiędzy nią a ścianą wystawał duży odkurzacz, którego obłe kształty przywodziły na myśl statek kosmiczny.

- Wskakuję pod prysznic, pani Rawson - powiedziałam. - Gdzie zostawić rzeczy?

- Tutaj. Właśnie wkładam do pralki rzeczy Laury. Mów mi Helen. - Zachichotała. - Mój ostatni mąż mówił na mnie Diablica Helen.

Chwyciła plastikowy kubek do odmierzania proszku i wsadziła do niego kciuk, by wyczuć, jak wysoko sięgają granulki.

- Od lat jestem ślepa jak kret. Wzrok pogarsza mi się niemal z dnia na dzień. Poruszam się na pamięć i nie potykam się, póki ludzie nie zaczynają przestawiać mi sprzętów. Mam ustalony termin operacji, ale czekałam z nią, aż wróci Ray, żeby pomógł mi w domu. Ale dajmy już spokój tym narzekaniom. Niepotrzebnie cię zatrzymuję.

- Nie ma sprawy. Zaczekam. Pomóc ci w czymś, Helen?

- Nie trzeba, kochanie. Idź się wykąpać. Zatrzymaj szlafrok, póki twoje rzeczy nie wyschną. To długo nie potrwa. Pralka jest stara, ale jara. Moja przyjaciółka, Freida Green, ma nową, a jednak suszy pranie trzy razy dłużej niż ja i zużywa dwa razy więcej wody. Gdy tylko z tym skończę, zagniotę ciasto na chleb kukurydziany. Mam nadzieję, że lubisz jeść.

- I to bardzo. Wykąpię się szybko, a potem ci pomogę.

Kąpiel pod jej prysznicem była niezwykłym doświadczeniem. Woda kapała ospale, raz zimna, a raz gorąca, cyklicznie, jakby współgrała z cyklem prania. Mimo to zdołałam

wyszorować się porządnie i umyć włosy w obłoku białej piany, na zmianę mocząc je i skrapiając szamponem, aż znów wydały mi się czyste. Wytarłam się do sucha i znów włożyłam szlafrok Helen. Nagie stopy wsunęłam w adidas, by nie chodzić boso po niespecjalnie czystych podłogach. Zasadniczo nigdy nie przejmowałam się wyglądem, nie mogłam się jednak doczekać, żeby odzyskać własne ubrania.

Zanim wróciłam do kuchni, wykorzystałam telefoniczną kartę kredytową, by zadzwonić na międzymiastową do Henry'ego. Nie było go w domu, odezwała się jednak automatyczna sekretarka. Zostawiłam wiadomość.

- Mówi Kinsey. Jestem w Louisville w Kentucky. Dochodzi trzynasta miejscowego czasu, a ja mam lot o dziewiętnastej. Nie wiem, o której wyjadę, zakładam jednak, że spędzę tu najbliższe kilka godzin. Jeśli możesz, odbierz mnie, proszę, z lotniska. Skończyła mi się gotówka, nie zabiorę więc auta z parkingu. Spróbuję pożyczyć trochę pieniędzy, ale moi gospodarze nie są ludźmi, na których można polegać. Jeśli nie odezwiesz się, nim wyjadę, zadzwonię do ciebie z Los Angeles, gdy tylko tam wyląduję.

Zerknęłam na numer telefonu zapisany na karteczce przyklejonej do środka tarczy i przedyskutowałam go Henry'emu. Odłożyłam słuchawkę. Uczesałam się i wróciłam do kuchni, gdzie Helen powierzyła mi zadanie nakrycia do stołu.

Ray i Laura wrócili z zakupów. Mieli ze sobą moją kurtkę zapakowaną w czysty worek z pralni oraz torby pełne zakupów, które należało rozpakować i pochować. Odebrałam od nich kurtkę i zawiesiłam ją na gałce drzwi do sypialni. Laura poszła za mną. Zamknęła się w łazience, żeby wziąć prysznic. Pranie dobiegło końca, bo zza ściany

schowka rozległ się warkot suszarki. Kiedy tylko ucichnie, odzyskam swoje rzeczy i wreszcie się w nie ubiorę.

Na razie jednak Helen pokazała mi, jak obrać i pokroić słodkie ziemniaki. Sama zabrała się do krojenia jabłek oraz cebuli, które wrzuciła następnie na rozgrzane masło. Siedziałam cicho jak mysz pod miotłą, przysłuchując się rozmowie Raya z przygotowującą kolację matką.

- Cztery miesiące temu ktoś włamał się do domu Freidy Green. Wtedy kazałam założyć kraty na okna. Na zebranie mieszkańców zaprosiliśmy dwóch oficerów policji, którzy pokazali nam, jak się bronić na wypadek ataku. Freida i jej przyjaciółka Minnie Paxton poszły na kurs samoobrony. Ponoć nauczyły się tam krzyczeć i kopać przeciwnika w czułe miejsca. Mówią, że trzeba złamać mu rzepkę kolanową, żeby upadł. Freida ćwiczyła ten cios i upadła na plecy. Przetrąciła sobie kość ogonową. Minnie omal się nie posusiała ze śmiechu, póki nie odkryła, że to nie przelewki. Biedna Freida musiała potem przez miesiąc siedzieć na torebce z lodem.

- Zabraniam ci uganiać się za ciemnymi typkami. Nawet nie myśl o tym, żeby ich kopać.

- Nigdy bym tego nie zrobiła. Staruszki takie jak ja muszą się oszczędzać. Nie mogą polegać na sile. Nawet Freida w końcu to przyznała. Dlatego założyłam tyle zamków. Kiedyś latem zawsze zostawiałam drzwi otwarte, żeby dobrze wywietrzyć mieszkanie. Już się tego oduczyłam.

- Zanim zapomnę, mam... Przychodziły do mnie jakieś listy? Podałem kiedyś ten adres koledze z Kalifornii. Miałem nadzieję, że napisze albo przyśle paczkę.

- Tak. Coś przyszło. List. Już dawno. Odłożyłam go. Na pewno gdzieś tu jest. Nie pamiętam, gdzie go

włożyłam. Sprawdź w szufladzie kredensu, pełno w niej rupieci.

Ray otworzył szufladę i zaczął w niej grzebać, rozgarniając na boki kable do lampek, baterie, ogryzki ołówków, kapsle od butelek, talony, młotek, śrubokręt, chochle i łyżki. Na dnie znalazł plik kopert, z których większość opatrzona była napisem: *Do właściciela nieruchomości*. Wśród nich znalazła się jednak zwykła biała koperta zaadresowana do Raya Rawsona. Adresu zwrotnego nie podano. Ray zerknął na znaczek.

- O to mi chodziło - oznajmił.

Rozdarł kopertę. Ze środka wyciągnął czarno-białą rozkładaną kartkę okolicznościową z widokiem cmentarza. Otworzył kartę i odczytał zapisaną wewnątrz wiadomość:

Tobie dam klucze królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie.

Ewangelia św. Mateusza 16,19

Wyrazy współczucia

Do spodu karty taśmą przyklejony był niewielki mosiężny klucz. Ray oderwał go, obrócił w palcach i podał mi, unosząc brwi w wyrazie zdziwienia. Obejrzałam klucz uważnie ze wszystkich stron. Miał około czterech centymetrów długości. Z przodu wyciśnięto prasą napis *Master*, z tyłu - literę M i cyfry pięć, pięć, zero. Zapamiętałam je bez trudu, bo była to data moich urodzin pisana wspak.

- Jak dla mnie, to klucz od kłódki - powiedziałam.

- A ten, który masz?

- Zostawiłam go w łazience. Przyniosę, gdy tylko Laura stamtąd wyjdzie.

Kolacja była gotowa, kiedy Laura raczyła się wreszcie pojawić. Włosy miała starannie ułożone. Gruba warstwa makijażu kryła siniaki. Zaczekałam, aż Helen zacznie nakładać na talerze potrawkę, po czym wycofałam się do sypialni. Ze stosu swoich rzeczy leżących na szafce przy łóżku wybrałam scyzoryk. Zdjęłam kurtkę z gałki drzwi, wyjęłam ją z worka i odwróciłam na nice. Ostrzem scyzoryka przecięłam kilka szwów na ramieniu. Wyjęłam klucz. Był ciężki i duży. Miał jakieś piętnaście centymetrów długości, duże oczko i długi, zaokrąglony trzon. Przysunęłam go do lampki, ciekawa, czy również na nim znajdzie napis: *Master*. Tym razem jednak litery na trzonku tworzyły napis: *Lawless*. Innych znaków charakterystycznych nie znalazłam. Cóż... O kłódkach firmy Master słyszałam, ale marka Lawless nigdy nawet nie obita mi się o uszy. Być może klucz pochodził z jakiegoś lokalnego zakładu albo z firmy, która już dawno wycofała się z rynku.

Wróciłam do kuchni. Usiadłam przy stole i wręczyłam klucz Rayowi.

- Do czego to? - spytała Laura, wsuwając się na krzesło obok.

- Nie jestem pewien. Na pewno jednak ma coś wspólnego z tym mniejszym. - Ray położył mój duży klucz obok małego leżącego na środku blatu.

- Ten duży Johnny przykleił do górnej części sejfu. Chester znalazł go, porządkując mieszkanie - wyjaśniłam.

- Coś je łączy z łupem?

- Mam nadzieję. Bo inaczej już po nas - westchnął Ray.

- Jak to?

- Mamy tylko te klucze. Nic więcej. Chyba że wiesz, gdzie ukryta jest forsa sprzed czterdziestu lat.



- Nie mam pojęcia, gdzie jej szukać - przyznała Laura.  
- Ja też nie. Liczyłem, że Kinsey nam pomoże, ale teraz nie ma już na to czasu. - Ray jeszcze raz westchnął, po czym zwrócił się do matki. - Zmówić modlitwę?

Dlaczego czułam się winna? Przecież nie zrobiłam nic złego.

Kolacja była obfita i stanowiła hołd oddany tradycyjnej południowej kuchni. Po raz pierwszy tego dnia miałam w ustach jedzenie, którego nie nafaszerowano sztucznymi ulepszaczami i konserwantami. Cukier, sól i tłuszcze dostarczają co prawda niezbędnych dla organizmu składników, od porządnego posiłku wymagałam jednak znacznie więcej. Jadłam więc z apetytem i w skupieniu, nie do końca świadoma rozmów toczących się przy stole, póki nie dotarł do mnie podniesiony głos Raya.

Rawson odłożył widelec i wpatrzył się w córkę wzrokiem wyrażającym zdziwienie i przerażenie zarazem.

- Co takiego zrobiłaś? - spytał z niedowierzaniem.  
- Nie rozumiem, o co się pieklisz.  
- Kiedy z nią rozmawiałaś? Twarz Laury zapłonęła purpurą.  
- Kiedy przyjechaliśmy - odparła tonem usprawiedliwienia. - Widziałeś przecież, jak szłam do pokoju. Szukałam telefonu.  
- Jezu Chryste! *Zadzwońska* do niej?  
- To moja matka. Dlaczego miałam nie dzwonić? Nie chciałam, żeby się martwiła, gdy Gilbert stanie na progu. Co z tego?  
- Jeśli Gilbert do niej zapuka, na pewno powie mu, gdzie jesteś.  
- Nie powie.

- Oczywiście, że powie. Gilbert owinie ją sobie dookoła małego palca. Potrafi być czarujący. A jak nie, będzie ją bił, póki mu wszystkiego nie wyśpiewa. A wyśpiewa, wiem, co mówię. Ja też wyśpiewałem. Kiedy zaczął mi łamać palce, błagałem, żeby mnie wysłuchał. Ostrzegłaś ją przynajmniej?

- Przed czym?

- Rany! - Ray przesunął dłonią po twarzy, naciągając skórę.

- Przestań traktować mnie jak ostatnia idiotkę!

- Nadal nie rozumiesz, prawda? Ten facet mnie zabije. I ciebie też. A potem zabije jeszcze Kinsey, babcię i każdego, kto wejdzie mu w drogę. Chce położyć łapę na tej forsie. I tylko na tym mu zależy.

- A niby jak nas znajdzie? Nie uda mu się - upierała się Laura.

- Zbieramy się. - Ray zerwał się z krzesła, rzucił serwetkę na stół i ponaglił mnie spojrzeniem.

Wiedziałam równie dobrze jak on, że jeśli Gilbert dowie się, gdzie jesteśmy, dotrze tu w ciągu godziny.

- Jadę z tobą - powiedziałam, odsuwając krzesło. Laura wyglądała na przerażoną.

- Nie skończyliśmy kolacji. Nie wygłupiajcie się. Ray już jej nie słuchał. Odwrócił się w moją stronę.

- Zbierz swoje rzeczy. Mamo, wez płaszcz i wyłącz kuchenkę. Wszystko zostaw tak, jak jest. Później posprzątam.

Panika udzieliła się wszystkim. Helen ogarnęła kuchnię nic nierozumiejącym wzrokiem. Jej głos drżał.

- Co się dzieje, synu? Nie rozumiem. Dlaczego wyjeżdżamy? Nie zjedliśmy jeszcze lodów.

- Rób, co mówię. Ubieraj się - rzucił. Chwycił ją za łokieć i wyciągnął zza stołu. Zaczął zakręcać kurki z gazem.

Musiałam się przebrać. Miałam na sobie adidasy i niebieski szlafrok Helen. Rzuciłam się do schowka, po drodze omal nie przewracając krzesła Raya. Dopadłam suszarki. Laura protestowała z ożywieniem, ale zbierała się równie szybko jak pozostali. Chwyciłam ciepłe jeszcze ubrania i pobiegłam z nimi do sypialni. Zrzuciłam buty, naciągnęłam skarpety, stanik i majtki. Potem wcisnęłam się w dżinsy i golf. Na koniec znów sięgnęłam po adidasy. Spieszyłam się tak, że nawet ich porządnie nie włożyłam, tylko przydepnęłam pięty. Matko Boska, jak tak dalej pójdzie, zdobędę złoty medal na olimpiadzie błyskawicznego naciągania na siebie ciuchów. Narzuciłam kurtkę i zaczęłam pospiesznie wypychać kieszenie tym, co leżało na stoliku. Schowałam pieniądze, karty kredytowe, klucze do domu, tabletki i inne drobiazgi. Z kuchni dobiegł pisk Laury i odgłos tłuczonego szkła, gdy miska rozprysła się na podłodze. Pognałam do kuchni, po drodze wciskając do kieszeni to, czego nie zdążyłam jeszcze schować.

Wewnątrz panowała cisza. Helen, Ray i Laura stali nieruchomo, jakby skamienieli. Resztki porcelanowej miski pełnej tłuczonych słodkich ziemniaków leżały nieopodal stołu pośród pomarańczowej brei. Nie zwróciłam na nią uwagi, dostrzegłam bowiem przyczynę zamieszania. W drzwiach prowadzących do jadalni stał Gilbert z wymierzonym we mnie pistoletem.

17

Tym razem nie miał na głowie stetsona, ale jego rozwichrzone włosy ciasno przylegały do głowy w miejscu, na którym wcześniej opierał się kapelusz. Jasnoniebieską

dżinsową kurtkę zdobiły wypustki z baraniej skóry i ciemnoczerwone obszycia.

- Marla przesyła pozdrowienia - oznajmił. - Przyszła-by ze mną, ale kiepsko się czuje.

Na wzmiankę o matce Laura zaczęła płakać. Nie wydała przy tym żadnego dźwięku, ale jej twarz poczerwieniała, a oczy wypełniły się łzami. Z głębi gardła wyrwał jej się nieartykułowany piskliwy dźwięk. Osunęła się na krzesło.

- Wstawaj! - wrzasnął Gilbert. - Trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Pistolet w jego dłoni zmuszał do uległości. Ja w każdym razie nie zamierzałam się z nim sprzeczać. Laura podniosła się powoli, nie patrząc mu w oczy. Głośno wypuściła powietrze i otarła łzy z policzków. Wyraźnie czuła się winna, że jej niefrasobliwe zachowanie ściągnęło na nas kłopoty. Podjęła ryzyko, za które wszyscy teraz zapłacimy. Rozejrzałam się, dostrzegając wszystko z zadziwiającą ostrością. Ray miał na sobie kurtkę, w ręku trzymał kluczyki. Stał blisko matki, na którą zdołał naciągnąć płaszcz. Helen tkwiła przy stole z uniesionymi rękami, owinięta szalikiem po uszy jak dziecko, które wybiera się na sanki. Gdyby Gilbert zjawił się pięć minut później, już by nas nie zastał. Choć pewnie i te pięć minut by nie wystarczyło, bo założę się, że od dłuższego czasu nas podsłuchiwał. Fakt, że wszyscy trzymaliśmy ręce w górze, nadawał tej dramatycznej skądinąd scenie komiczny charakter. Wyglądaliśmy tak, jakby Gilbert przerwał nam jakiś tajemniczy rytuał, który wymagał wznoszenia rąk do nieba. Gdybyśmy grali w westernie, ktoś by się rzucił teraz na niego i wyrwał mu broń, w kuchni Helen jednak nic takiego się nie zdarzyło. Nie odrywałam wzroku od jego twarzy, próbując zgadnąć, co zamierza. Helen wodziła wokół pustym spojrzeniem, jej

ciemne oczy błyszczały spod zasłony szarej mgły włosów. Myślałam, że będzie zaskoczona lub wściekła, ona jednak nie okazała żadnych emocji. Być może wyczuła, że w tych okolicznościach lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań. Drżała lekko. Pomyślałam, że tak pewnie trzęsie się bezdomny pies na stole raka.

W powietrzu nadal unosił się zapach smażonej wieprzowiny i sosu beszamelowego. Resztki kolacji leżały na talerzach, brudne garnki piętrzyły się w zlewie. Być może Freida Green posprząta tu za kilka dni.... Kiedy już gliniarze zdejmą taśmę otaczającą miejsce zbrodni i dom zostanie wystawiony na sprzedaż.

Gilbert trzymał pistolet w prawej ręce. Lewą sięgnął do kieszeni kurtki. Wyciągnął z niej rolkę srebrnej taśmy.

- Powiem wam, co teraz zrobimy - rzekł spokojnie. -Ray, ty usiądziesz na krześle, a Laura unieruchomi cię za pomocą tej taśmy. Hej, mała, nie płacz. Nic złego się jeszcze nie stało. Próbuję panować nad sytuacją. Nie chcę, żeby któreś z was zgrywało bohatera i rzucało się na mnie z pięściami. Wtedy pistolet mógłby wystrzelić, a przecież ja nie zamierzam nikogo skrzywdzić. Babcia nie wyglądałaby dobrze z dziurą w głowie. No i mózg ciężko jest zdrapać ze ściany. Rayowi też nie pasowałaby przestrelona klatka piersiowa. Chodź do mnie, mała. Pomóż mi. Udowodnij, że jeszcze mnie kochasz.

Rzucił taśmę Laurze. Złapała ją w locie, po czym znieruchomiała. Mijały sekundy.

- Błagam, Gilbercie...

- *Zwiąż go!*

Drgnęłam, słysząc jego wrzask. Laurze nie drgnęła nawet powieka, ale posłusznie zabrała się do dzieła.

Podeszła do ojca. Nie opuszczając rąk ani o centymetr, Ray przesunął się wolno w stronę krzesła, które podstawił mu Gilbert. Usiadł. Laura płakała. Łzy płynęły z jej oczu tak rzęsiście, że nie byłam pewna, czy w ogóle widzi, co robi. Słone strumyczki zmyły makijaż z jej twarzy, ukazując znowu siniaki, które wyglądały teraz jak plamy starej farby. Kosmyki rudych włosów wymknęły się z jej fryzury i przykleiły do mokrych policzków.

Gilbert skoncentrował się teraz na Rayu.

- Jeśli zaczniesz coś kombinować, zabiję cię - ostrzegł.

- Daruj sobie. Nie będę ci przeszkadzał - odparł Ray. Gilbert popatrzył na mnie spod oka.

- Bądź tak miła i podaj mi te metalowe skarby. Sięgnęłam po leżące na kuchennym stole klucze. Nie

miałam ochoty się z nimi rozstawać, ale nie widziałam innego wyjścia. Położyłam je na wyciągniętej dłoni Gilberta. Obrzucił je szybkim spojrzeniem, po czym schował do kieszeni kurtki.

- To nas łączą stare porachunki - odezwał się Ray. - Dziewczyny i moja matka nie mają z tym nic wspólnego. Zrób ze mną, co chcesz, ale pozwól im odejść.

- Nie musisz mi przypominać, że mogę z tobą zrobić, na co mi przyjdzie ochota. - Gilbert roześmiał się nieprzyjemnie. - Nie obchodzi mnie ta stara ani ta druga. - Wskazał mnie lufą pistoletu. - Ale z Laurą musimy sobie pogadać. Uciekła ode mnie. - Skrzywił się w jej stronę. - Rusz się wreszcie z tą taśmą.

- Nie rób tego, Gilbercie - szepnęła. - Proszę cię.

- Przestań jęczeć! - ofuknął ją. - Nic jeszcze nie zrobiłem. Stoję sobie grzecznie i gadam z twoim ojcem. Bierz się do roboty. Ray nie będzie sprawiał kłopotów.

- Jedźmy stąd. Wsiądźmy do auta i odjedźmy stąd we dwoje.  
- Nie skończyłaś go wiązać. Co ja mówię, nawet nie *zaczęłaś*. - W głosie Gilberta zabrzmiała irytacja. Nie był to dobry znak.

Ray popatrzył na Laurę łagodnie.

- Nie przejmuj się, słonko. Rób, co ci każe. Postarajmy się, żeby nikomu nic się nie stało.

- Też tak myślę. - Gilbert uśmiechnął się kwaśno. -Zachowajcie spokój, a ty, Lauro, owiń taśmę wokół jego kostek, tak by przylegały do nóg krzesła. Ręce niech założy za oparciem. Skrępuj je mocno. Sprawdzę cię później. Nie myśl, że uda ci się mnie oszukać. Nie znoszę, gdy ktoś próbuje wystrychnąć mnie na dudka. Znasz mnie, więc wytrzymaj nos i przestań się mazać.

Laura pogrzebała w kieszeni. Wyjęła chusteczkę i wydmuchała w nią nos. Potem schowała ją do kieszeni i zaczęła rozwijać taśmę. Kiedy puścił klej, rozległ się dźwięk przypominający odgłos darcia papieru. Laura pochyliła się i zaczęła owijać taśmę wokół prawej kostki Raya, przymocowując ją do nogi krzesła - najpierw kilka razy okręciła rolkę wokół jego nogawki, a potem także wokół drewna.

- Ma trzymać mocno - upomniał ją Gilbert. - Jeśli uznam, że za słabo ją naciągnęłaś, postrzelę twojego starego w nogę.

- Staram się! - zawołała Laura. Spojrzała na Gilberta. Przez chwilę w jej oczach zamiast strachu błysnęła furia.

Spodobało mu się, że zdołał wyprowadzić ją z równowagi. Uśmiechnął się lekko.

-Gdyby wzrok zabijał... Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Gdzie Farley? - spytała ponuro.

- Zostawiłem go w Kalifornii. Zrobiłaś z niego bezużyteczny worek gnoju. Tylko jęczał i szczał. Nie znoszę czegoś takiego. Nie wdając się w szczegóły, powiem, że cię sprzedał. Taka jest prawda. Wyśpiewał wszystko, co chciałem wiedzieć, byleby tylko ratować własną skórę. Mdli mnie, gdy o tym pomyślę. Tacy jak on nie zasługują na szacunek.

Podszedł do krzesła, na którym siedział Ray, i obrzucił nas uważnym spojrzeniem, by mieć pewność, że żadne z nas się nie ruszy, po czym przykucnął i sprawdził taśmę. Wstał, najwyraźniej zadowolony z pracy Laury.

- Gdy już z nim skończysz, zajmij się nią. - Wskazał mnie lufą pistoletu.

Laura odkleiła kolejny kawałek taśmy i zaczęła mocować nią do nogi krzesła lewą kostkę Raya.

- Co zrobiłeś Farleyowi? - spytała.

Gilbert wyprostował się i postąpił dwa kroki do tyłu.

- Co *ja* mu zrobiłem? Nic mu nie zrobiłem. To ty go skazałaś. Zdradziłaś mnie. Uprzedzałem cię wiele razy. Wiedziłaś, co go czeka. Niestety, niczego nie potrafisz się nauczyć. Próbowalem, wiele razy próbowałem ci pokazać, czego oczekuję, ale do ciebie to i tak nie dotarło.

- Zabiłeś go?

- Owszem, zabiłem - powiedział z naciskiem. - I przykro mi, że to ja muszę cię o tym powiadomić.

- Był twoim bratankiem. Twoim najbliższym krewnym.

- Co z tego? To nic nie znaczyło. Mam gdzieś więzy krwi. Dla mnie liczy się wyłącznie lojalność. Nie potrafisz tego pojąć, prawda? Powiem ci coś. Nie próbuj wzbudzać we mnie wyrzutów sumienia. Jeśli Farley ucierpiał, to wyłącznie z twojej winy. Ostrzegałem cię setki razy, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Sprzeciwiasz mi się wyłącznie na własną odpowiedzialność.



- Zawsze byłam ci posłuszna. Kiedy się sprzeciwiłam?

- Nie chodzi o nasz związek, tylko o forszę. I o Rio. Rozumiesz teraz? Nie poleciałas do Rio, jak się umówiliśmy, i zobacz, co narobiłaś. Farley... Mniejsza z tym. Nie mówmy już o nim.

- Mam pytanie, młody człowieku - odezwała się Helen. Zerknęłam na nią spod oka. Stała spokojnie w uniesionych rękami. - Czy mogę zdjąć płaszcz i usiąść?

Gilbert zmarszczył brwi, niezadowolony, że mu przerwała. Najwyraźniej uwielbiał osądzać innych, a obarczanie winą za wszystko Laury sprawiało mu wręcz sadystyczną przyjemność.

Helen na niego nie patrzyła. Jej spojrzenie koncentrowało się gdzieś nad jego prawym ramieniem - najwyraźniej pomyliła go z framugą. Gilbert zareagował natychmiast, zdziwiony jej zachowaniem.

- Hej, tu jestem. - Zamachał rękami. - Widzę, że jesteś ślepa jak kret. Wzięłaś wieszak za uzbrojonego faceta.

- To nie oczy mi doskwierają tylko nogi - odparła z godnością. - Mam osiemdziesiąt pięć lat. Ile jeszcze będę tak stała?

- A co? Rączki cię bolą?

Nie odpowiedziała. Jej zamglone łzami spojrzenie znów powędrowało po kuchni. Rozejrzałam się dyskretnie, szukając czegoś, co mogłoby zastąpić mi broń. Cały czas próbowałam ułożyć w głowie jakiś plan. Bałam się narazić pozostałych. Zamiary Gilberta wydawały się oczywiste. Jedno po drugim wiąże nas i zaknebluje, a potem pozabija, gdy uzna, że nie jesteśmy mu już potrzebni. Nic na to nie poradzimy. Stałam najbliżej niego, obawiałam się jednak, że jeśli na niego skoczę, dostanie szafu i zacznie strzelać na oślep. Wiedziałam, że muszę

go powstrzymać, nie zamierzałam jednak rezygnować z ostrożności i zachowywać się jak bohaterka kiczowatego filmu. Taki nierozważny krok mógłby pogorszyć naszą sytuację i narazić na szwank pozostałych.

- Siadam - oznajmiła Helen. - Jeśli ci to nie odpowiada, zastrzel mnie.

- Weź najbliższe krzesło. - Gilbert machnął pistoletem. - Opuść ręce, ale nie dotykaj niczego na stole. -Dziękuję. - Helen położyła dłonie na blacie i opadła ciężko na krzesło. Szybkimi ruchami ramion zrzuciła z siebie płaszcz. Ostrożnie rozprostowała palce i rozmasowała nadgarstki, po czym złożyła ręce na kolanach.

Gilbert wychylił się do tyłu, by widzieć, jak Laura pęta taśmą ręce ojca. Ramiona Raya znajdowały się za oparciem krzesła. Żeby połączyć dłonie, musiał lekko unieść się na siedzeniu i mocno wygiąć ramiona.

Jego cierpienie wyraźnie bawiło Gilberta.

- Gdzie kamizelka? - spytał Laurę.

- W pokoju.

- Idź po nią, gdy skończysz. Zobaczymy, ile w niej jest.

- Kazałeś mi związać Kinsey.

- Zrobisz to, jak przyniesiesz kamizelkę, kretynko -warknął.

- W torbie znalazłam osiem tysięcy. Mówiłeś o milionie - rzuciła z irytacją. Odłożyła rolkę na podłogę i pomaszerowała do pokoju.

Byłam pod wrażeniem jej odwagi. Ja nie ośmieliłabym się mówić do Gilberta takim tonem. Nie wydawał się zaskoczony wzmianką o ośmiu tysiącach, założyłam więc, że powiedział mu o nich Farley.

Laura wróciła. W ręce trzymała swój sztuczny brzuch. Gilbert odebrał go od niej i rzucił na blat za swoimi

plecami. Zerknął na zawartość. Przeliczył paczki banknotów, po czym popatrzył na Raya.

- Gdzie reszta forsy? Gdzie biżuteria i kolekcja monet? - zapytał.

- Nie wiem. Przysięgam, że nie widziałem ich na oczy. Gilbert przymknął oczy. Widać było, że kończy mu się cierpliwość.

- Byłem z wami w tym banku, pamiętasz? Pomogłem wam wynieść forszę i klejnoty. Gdzie się podziały diamenty i cenne monety? Zarobiliśmy na nich fortunę. Były warte ze dwa miliony albo i więcej. Johnny nie miał przy sobie ani centa, gdy go złapali. Wiem to na pewno.

- Nie przeczę, pamiętaj jednak, że miałeś wtedy siedemnaście lat. Żaden z nas na oczy nie widział miliona, o dwóch nie wspominając. Nie wiedzieliśmy, ile warte są łupy, bo nie udało nam się wszystkiego policzyć. Chcesz czy nie, taka jest prawda.

- Na pewno było tego więcej. Siedem albo osiem wielkich worków. Tyle dobra nie rozpląnęło się przecież w powietrzu. Ten sukinsyn schował gdzieś łupy. Gdzie?

- Nie mam pojęcia. Zgaduj, jeśli chcesz. Ja też postanowiłem spróbować. Wróciłem, żeby znaleźć kryjówkę Johnny'ego.

- Nie powiedział ci o niej?

- Przysięgam na Boga, że nie. Sądzę, że nie do końca mi ufał.

Postanowiłam włączyć się do rozmowy.

- Skąd wiesz, że ich nie wydał? - podsunęłam, patrząc na Raya.

- Istnieje taka możliwość, ale w nią nie wierzę. Przez lata wspierał moją matkę, tak jak się umówiliśmy.

- Co takiego? - wrzasnął Gilbert. Popatrzył ze złością na Helen. - To prawda?

- Owszem - odparła zadowolona. - Wydał w banku zlecenie stałe. Dostawałam na konto pięćset dolarów. Co miesiąc. Od czterdziestego czwartego roku do zeszłego miesiąca. Ostatni przelew przyszedł w lipcu albo w sierpniu, nie pamiętam dokładnie.

- Od czterdziestego czwartego roku? - Gilbert potrząsnął głową. - Nie wierzę. Ile przysyłał? *Pięćset miesięcznie!* To śmieszne.

- Razem wychodzi dwieście czterdzieści sześć tysięcy dolarów - podpowiedział mu Ray usłużnie. - W więzieniu w Ashland skończyłem liceum w klasie matematycznej. Spróbuj kiedyś. Warto zainwestować w siebie. Wzbogacisz sobie słownictwo, poznasz gramatykę...

Gilbert nie zareagował, wstrząśnięty hojnością Johnny'ego.

- Nie podbieraj mnie. Johnny naprawdę dał starej dwieście czterdzieści sześć tysięcy? Nie... Nie wierzę. To rozbój w biały dzień.

- Zapisywałam każdy przelew - pochwaliła się Helen. - Jeśli to pana interesuje, znajdzie pan szczegóły w małym czerwonym notesie. W tamtej szufladzie. - Drżącym palcem wskazała szufladę, w której trzymała list do Raya.

Gilbert podszedł do kredensu i otworzył szufladę, ze zniecierpliwieniem grzebiąc w wypełniających ją drobiazgach. Szybko stracił cierpliwość - wyszarpnął ją i wysypał na podłogę jej zawartość. Pochylił się i podniósł mały kołonołotnik z czerwonymi okładkami. Trzymając broń w prawej dłoni, oparł o nią notes i zaczął go wertować, przekładając kartki lewą ręką.

Mimo że stałam daleko, widziałam długie nierówne kolumny cyfr i dat, ciągnące się strona po stronie.

- Sukinsyn! - warknął Gilbert. - Jakim prawem szastał moją forszą?

Rzucony z wściekłością notes przeleciał przez kuchnię i wpadł do miski z duszonymi pomidorami.

Teraz to Ray dobrze się bawił. Nie uśmiechnął się wprawdzie zwycięsko, ale ton jego głosu zdradzał satysfakcję.

- Drugie pięć stów zatrzymywał co miesiąc dla siebie. Nie tak znowu dużo. Po czterdziestu jeden latach wchodzi, że wydał razem czterysta dziewięćdziesiąt dwa tysiące. Sam to sobie oblicz. Jeśli zwinęliśmy z banku pół miliona, zostałyby osiem tysięcy. Wszystko się zgadza.

Kilkoma susami Gilbert znalazł się przy nim. Wsunął mu pod brodę lufę pistoletu i mocno pchnął, zmuszając go, by uniósł głowę.

- Niech cię szlag! *Wiem, że zgarnęliśmy więcej!* Chcę odzyskać swoją dołę! Rozwałę ci łeb, jeśli mi nie powiesz, gdzie Johnny schował forszę.

- Jeśli mnie zabijesz, tylko na tym stracisz. Beze mnie na pewno niczego nie znajdziesz. - Ray mówił spokojnie, bez emocji. - Jeśli Johnny ukrył część łupu, pomogę ci ją odszukać. Wiem, o czym myślał i jak działał. Ty zupełnie go nie znałeś.

- Znalazłem skrytkę pod dnem szafki. Już o tym zapomniałeś?

- Powiedziałem ci o niej. Jestem pewny, że beze mnie byś na nią nie trafił.

Gilbert odsunął pistolet od policzka Raya. Twarz mu pociemniała. Nerwowe ruchy zdradzały napięcie.

- Zrobimy tak. Zabiorę ze sobą Laurę. Zabiję ją, jeśli do jutra nie przywieziesz mi forsy. Czy to jasne?

- Bądź rozsądny. Potrzebuję znacznie więcej czasu.

- Masz czas do jutra.

- Postaram się, ale niczego nie mogę ci obiecać.

- Skoro tak, Laura zginie.

- Jak cię znajdę?

- Nie zawracaj sobie tym głowy. Sam się do ciebie zgłoszę.

Helen westchnęła, skrzywiła się i potarła jedną sękatą dłoń o drugą.

- Czego? - warknął na nią Gilbert.

- Odezwał się mój artretyzm. Zaboląła mnie ręka.

- Mam ci pomóc? Załatwię tę sprawę w mgnieniu oka. Tym. - Pomachał bronią pod nosem staruszki, po czym znów odwrócił się do Raya. Helen podniosła rękę.

- Czego?!

- Za długo już siedzę. Stare kości sztywnieją, gdy tkwię w jednej pozycji dłużej niż pięć minut. Chętnie rozprostowałabym nogi.

- Niech cię diabli, kobieto! Kręcisz się, jakby cię mrówki oblaży.

Helen roześmiała się, mylnie biorąc jego wściekłość za kiepski żart. Na powierzchni nerwów poczułam wzbierające bąbelki rozpacz. Helen naprawdę jest ślepa. Za chwilę Gilbert zabije ją bez wahania, a ona chichocze, jakby nie dostrzegąła zagrożenia. Facet jej grozi, a do niej to nie dociera. Może to i lepiej. W jej wieku strach prowadzi czasem do śmierci i kończy się atakiem serca. W moim wieku zresztą także.

Gilbert wymierzył w nią pistolet.

- Wstań. Ale pamiętaj, żadnych gierek. Nawet nie myśl o tym, żeby stąd uciec i zatrzymać jakieś auto. - Ton jego głosu wyraźnie uległ zmianie. Mówił teraz swobodnie, ba, chwilami nawet zalotnie. Albo traktował Helen z pobłażaniem, choć ona wyraźnie nie chciała tego dostrzec.

Zachichotała i machnęła ręką.

- Dawno minęły czasy, kiedy zatrzymywałam auta jednym ruchem ręki. To nie mnie powinien się pan obawiać. Dużo groźniejsza jest moja przyjaciółka, Freida Green.

Gilbert nastawił uszu. Uśmiechnął się lekko, udając, że traktuje tę groźbę poważnie.

- Doprawdy? A czemuż to? Czyżby była gospodynią z piekła rodem?

- Owszem. Ja zresztą także. Mąż nieboszyk nazywał mnie Diablicą Helen. Tak mu dopieklam.

- Jasne, babciu. A kim jest Freida? Może tu zajrzeć bez zapowiedzi?

- To moja sąsiadka. Mieszka dwa domy dalej ze swoją przyjaciółką Minnie Paxton. Niedawno gdzieś wyjechały. Nikt nie mówi tego głośno, myślę jednak, że łączy je coś więcej niż przyjaźń. Ale mniejsza z tym. Jakies cztery miesiące temu w okolicy doszło do wysypu włamań. Tak powiedział ten policjant. Do „wysypu”, jakby chodziło o jakąś chorobę. Na zebraniu mieszkańców pojawili się dwaj mili oficerowie i pokazali nam podstawy samoobrony. Minnie nauczyła się kopać napastnika w czułe miejsce. Freida też tego próbowała, ale przewróciła się podczas ćwiczeń.

Ray posłał mi porozumiewawcze spojrzenie, ale nie umiałam rozgryźć, o co mu chodzi. Być może był rozdrażniony, że jego matka opowiada takie dyrdymały.

Gilbert roześmiał się w głos.

- Szkoda, że tego nie widziałem. Ile lat ma ta starucha?

- Niech pomyślę... O ile dobrze pamiętam, Freida ma trzydzieści jeden lat, a Minnie jest dwa lata młodsza i ma zdecydowanie lepszą kondycję. Freida wściekła się wtedy, bo stłukła sobie kość ogonową. Wrzeszczała, że na pewno istnieje lepszy sposób karania złodziei niż przetrącanie im rzepek kolanowych.

Gilbert z powątpiewaniem pokręcił głową.

- No nie wiem. Wybita rzepka boli jak cholera.

- To prawda - odparła Helen. - Problem w tym, że trzeba podejść dostatecznie blisko, by dosięgnąć takiego delikwenta, a to wcale nie jest proste. Poza tym, ja i tak nie umiałabym wtedy utrzymać równowagi.

- Z tego, co mówisz, Freida też ma z tym kłopoty. Znalazła inne rozwiązanie?

- Jasne. Poradziła nam zawiesić pod blatem stołu półkę, na której można schować nabitą strzelbę. Mniej więcej taką. - Helen wstała i obróciła się lekko w stronę stołu, po czym cofnęła się o krok, wyciągając spod niego klasyczną dubeltówkę dwunastkę z ponad półmetrowymi lufami. Kolbę przycisnęła łokciem do boku i wsparła na biodrze, by lepiej rozłożyć ciężar broni.

Wszyscy czworo patrzyliśmy na nią w milczeniu, wlepiając wzrok w wielką strzelbę, która jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazła się nagle w rękach kogoś, kto jeszcze przed chwilą wydawał się zupełnie nieszkodliwy i co tu kryć, lekko stuknięty. Cały efekt zepsuły niestety jej wiek i ślepotą, bo niewiele widząc, wycelowała broń w stronę framugi okna. Oczywiście, nie uszło to uwadze Gilberta. Zrobił głupią minę i zawołał:



- Rany! Lepiej to odłóż, i to szybko.

- To ty rzuć ten swój pistolecik, zanim poślę cię na łono Abrahama - odparła buńczucznie, przysuwając się plecami do ściany. Pomyślała o wszystkim, tylko nie o tym, że celuje nie tam, gdzie trzeba. Ramiona drżały jej z wysiłku. Widać było, że z trudem utrzymuje lufy w poziomie, nawet jeśli nie przykłada już wagi do tego, by dobrze wymierzyć.

Serce waliło mi jak młotem. Bałam się, że Gilbert strzeli do Helen, ale na szczęście nie potraktował jej poważnie.

- Ta pukawka jest bardzo ciężka - zauważył. - Na pewno chcesz ją tak trzymać?

- Szybko się uwinę.

- Ile waży, pięć-sześć kilogramów? Wydaje się, że to niewiele, ale ręce mdleją, gdy długo się ją nosi. - Przeciągnął głoskę „u”, by pokazać, że to naprawdę męczące zajęcie.

Już ten dźwięk wystarczył, bym opadła z sił, Helen jednak nie wyglądała na zniechęconą.

- Zastrzelę cię, zanim zdążę się zmęczyć - rzuciła. -Lojalnie ostrzegam. W jednej lufie mam śrut na ptaszki. W drugiej loftkę, która rozerie ci gębę na strzępy.

Gilbert znów się roześmiał. Wydawał się autentycznie rozbawiony postawą staruszki.

- Nieładnie, Diablico. Nieładnie. A jak twój artretyzm? Już ci nie dokucza?

- Przeciwnie. I sprawia, że zagina mi się jeden palec. Popatrz. - Przesunęła broń na lewo, wycelowała i nacisnęła spust.

*Ka-bum!* Zobaczyłam kilka jaskrawożółtych iskier. Rozległ się ogłuszający huk. U wylotu lufy pojawiła się

fala uderzeniowa powietrza i gazów prochowych, a po niej cienka smuzka dymu. Śrut przemknął obok prawego ucha Gilberta, poleciał dalej i rozbił kuchenne okno. Zabłakane drobinki podziurawiły mu płat ucha i zdarły skórę z ramienia. Rozchodzące się jak palce linie śrucin przeorały mu kark, zalewając go krwią. Laura krzyknęła i osunęła się na podłogę. Zanim upadła, ja już leżałam, przyciskając mocno brzuch do wykładziny. Ray szarpnął się, przewracając krzesło. Gilbert zawył z bólu i niedowierzania, unosząc ręce do twarzy. Jego pistolet poszybował w powietrze i upadł ciężko na podłogę.

Siła odrzutu pchnęła Helen na ścianę. Kolba rąbnęła ją w biodro, a dubeltowa lufa podskoczyła z szarpnięciem w górę. Staruszka szybko odzyskała równowagę i znów opuściła lufę, przygotowując się do oddania drugiego strzału.

Policzek Gilberta pokrył się czerwonymi kropkami. Jego twarz wyglądała teraz jak obsypana trądzikiem. Krew sącząca się z prawego ucha wsiąkała mu we włosy. W powietrzu unosił się gryzący zapach. W głębi gardła poczułam coś słodkiego.

- Teraz rozwalę ci łeb! - zawołała Helen.

Gilbert wycharczał coś, czego nie zrozumiałam, pochylił się i chwycił leżącą Laurę za włosy. Szarpnięciem postawił ją na nogi i zasłonił się jej ciałem jak tarczą, sięgając jednocześnie po sztuczny brzuch wypchany pieniędzmi.

Wciąż przywiązany do krzesła Ray wykręcił szyję, próbując dostrzec, co się dzieje.

- Nie strzelaj, mamó! - zawołał.

- Jeśli pociągniesz za spust, ta suka zginie. Przetrączę jej kark! - wrzasnął Gilbert. Dyszał ciężko z bólu. Choć

pozbawiony broni, nadal stanowił śmiertelne zagrożenie. Trzymał Laurę za szyję, wsuwając przedramię pod jej podbródek. Przywarła do niego całym ciałem. Rozpaczliwie drapała jego rękę, próbując odciągnąć ją w dół, by chronić się przed uduszeniem.

Gilbert zaczął wycofywać się z kuchni w stronę jadalni. Ciągnął za sobą Laurę, która szurała piętami o podłogę.

Helen się zawahała, bez wątpienia zagubiona pośród chaosu dźwięków i kształtów.

Gilbert zniknął w jadalni, przedzierając się tyłem przez zagracone wnętrze. Laura sapała i jęczała, bezskutecznie próbując wydobyć słowa z zaciśniętej tchawicy. Rozległo się głucho uderzenie, a potem brzęk tłuczonego szkła, kiedy Gilbert wyważał kopniakiem drzwi. Zapadła cisza.

Zawahałam się, rozdarta między pragnieniem pościgu za Gilbertem a chęcią niesienia pomocy Helen. Śmiertelnie blada staruszka stała teraz oparta o ścianę i dygotała jak w febrze. Opuściła strzelbę i opadła ciężko na krzesło.

- Co się stało? Dokąd uciekł ten drań?

- Zabrał Laurę. Ale nie martw się. Wszystko będzie dobrze - pocieszył ją Ray. Nadal leżał na podłodze, przywiązany do przewróconego na bok krzesła i szarpał niecierpliwie rękami, próbując się uwolnić.

Pochyliłam się nad nim, by pomóc mu wstać, ale nie dałam rady podnieść go razem z krzesłem. Sięgnęłam po duży nóż leżący na blacie i po kolei rozciąłam nim taśmę owiniętą wokół kostek i nadgarstków Rawsona. Kiedy udało mu się oswobodzić jedną rękę, zaczął zdzierać resztki taśmy. Nie spuszczał przy tym oka z matki.

- Pomóż mi - wymamrotał wreszcie, zwracając głowę w moją stronę.

- Co Gilbert robi Laurze? - spytałam.

- Nic, jeśli dostanie forszę. Na razie traktuje ją jak polisę ubezpieczeniową.

Chwyciłam go za rękę i pociągnęłam w górę, pomagając mu podnieść się z podłogi. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- W porządku? - rzucił.

- Tak - odparłam.

Oboje podeszliśmy do Helen, która nadal siedziała na krześle, trzymając strzelbę na kolanach. Wyciągnęłam rękę i odebrałam jej broń. Staruszka wyglądała żałośnie. Miała zgarbione ramiona, drżące ręce, oddech płytki i nierówny. Podczas odrzutu kolba boleśnie uderzyła ją w biodro, na którym utworzył się już pewnie duży siniak. Na walkę z Gilbertem zużyła cały swój zapas energii. Bałam się, że nie wytrzyma psychicznie.

- Należało go zabić - mruknęła. - Biedna Laura. Szkoda, że nie mogłam się zmusić, żeby rozwalić gnojkwowi łeb.

Ray sięgnął po krzesło, usiadł na nim i przysunął się do matki. Wziął ją za rękę i zaczął głaskać.

- Jak się czujesz, Diablico - spytał łagodnie.

- Zaraz wezmę się w garść. Tylko złapię oddech - sapnęła. Popukała się dłonią w piersi, próbując się wyprostować. - Nie jestem aż tak stuknięta, jak udawałam.

- Długo nie wiedziałem, co zamierzasz - przyznał Ray. - Nie wierzyłem, że się na to porwiesz. Kiedy zaczęłaś z nim gadać, myślałem, że ci odbiło. Póki nie wyjęłaś tej pukawki. Byłaś wspaniała. Absolutnie nieustraszona.

Machnęła niecierpliwie ręką, jakby odganiała się od muchy, ale widać było, że pochwały syna sprawiają jej przyjemność.

- Może i jestem już stara, ale nie straciłam jeszcze ikry.

- Myślałam, że nic nie widzisz - wtrąciłam. - Skąd wiedziałaś, gdzie stoi Gilbert?

- Widziałam na tle okna jego cień. Poza tym, choć niedowidzę, słuch nadal mam dobry. A jemu gęba się nie zamykała. Freida namówiła mnie na siłownię. Na ławeczce wyciskam piętnaście kilogramów. Słyszeliście tego drania? Kiedy powiedział, że długo nie utrzymam sześćdziesięciokilogramowej strzelby, myślałam, że szlag mnie trafi ze złości. Nawet porządni ludzie nie doceniają staruszek, a co dopiero mówić o taki puszczającym się macho jak ten gnojek. - Przycisnęła palce do ust. - Niedobrze mi. Będę wymiotować. Dobry Boże...

18

Ray zaprowadził matkę do łazienki. Wkrótce potem usłyszałam szum spuszczonej wody i uspokajające pomruki, kiedy pakował ją do łóżka. Czekając, aż wróci do kuchni, pozbierała porozrzucone po podłodze drobiazgi i schowała je do szuflady, którą wsunęłam na miejsce. Postawiłam przy stole krzesło, do którego przywiązany był Ray, po czym zaczęłam na czworakach szukać broni Gilberta. Gdzie to cholerstwo przepadło? Przysiadłam na piętach niczym wielki piesek preriowy i rozejrzałam się po kuchni, próbując ustalić, dokąd potoczył się pistolet, kiedy Gilbert wypuścił go z dłoni. Starannie unikając odłamków szkła, przejrzałam kątem przy oknie i przesunęłam dłońmi wzdłuż listwy przypodłogowej. Wreszcie znalazłam. Automatyczny colt kaliber czterdzieści pięć z drewnianą kolbą w kolorze orzecha włoskiego utknął za kredensem. Wyłowiłam go stamtąd widelcem, starając się

nie zatrzeć odcisków palców. Jeśli trafią na posterunek policji w Louisville, być może okaże się, że Gilbert został zwolniony warunkowo. Znow pójdzie za kratki - choć dopiero wówczas, gdy uda się go złapać.

Położyłam pistolet na kuchennym stole i podeszłam na palcach do drzwi sypialni. Zapukałam cichutko. Chwilę później otworzył mi Ray.

- Zadzwońmy na policję - powiedziałam. Próbowałam go wyminąć i sięgnąć do telefonu, ale powstrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Mowy nie ma.

- Dlaczego nie? - Ze względu na panią Rawson rozmawialiśmy ściszymi głosami. Jak na jeden dzień miała dość emocji.

- Zaraz do ciebie przyjdę. Zaczekam tylko, aż zaśnie. Musimy pogadać. - Zaczął zamykać drzwi. Przytrzymałam je.

- A o czym tu gadać? Potrzebujemy pomocy.

- Zaczekaj, proszę. - Uniósł rękę i pokiwał głową, dając znak, że porozmawiamy za chwilę. Zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Niechętnie wróciłam do kuchni, by na niego poczekać. Postanowiłam, że w tym czasie posprzątam trochę ten bałagan. Za drzwiami schowka znalazłam zmiotkę i szufelkę. W rozrzucone po podłodze purée ze słodkich ziemniaków leżące między odłamkami porcelany ktoś wdepnął. Dookoła pełno było małych ziemniaczanych śladów wyglądających jak psie kupki. Z szafki pod zlewem wyciągnęłam kosz na śmieci i zaczęłam wrzucać do niego zbierane ostrożnie odłamki szkła i naczyń. Zwilżonym ręcznikiem papierowym wytarłam resztki zaschniętych ziemniaków.

Zlew i blat roboczy zasiane były drobinkami szkła z okna rozbitego śrutem. Byłam zdziwiona, że odgłos wystrzału nie zwrócił uwagi sąsiadów. Do wnętrza wtargnął zimny wiatr, nic jednak nie mogłam na to poradzić. Wyciągnęłam ze schowka wielki staroświecki odkurzacz i zatknęłam na rurze szczotkę do czyszczenia tapicerki. Przez kilka kolejnych minut słuchałam grzechotania bijących o plastik odłamków szkła. Od czasu wyjazdu z domu, jeśli akurat kogoś nie ścigałam lub przed kimś nie uciekałam, od razu wcielałam się w rolę pokojówki i zabierałam się za sprzątanie. W pewnej chwili przytknęłam ucho do drzwi sypialni. Mogłabym przysiąc, że słyszę głos Raya rozmawiającego przez telefon. Być może zmańczał i wziął sobie do serca moją radę.

Ray wszedł do kuchni, cicho zamykając za sobą drzwi. Pomaszerował prosto do spiżarki i wyciągnął z niej butelkę burbona. Postawił na stole dwa grube kieliszki i napełnił je od serca. Podał mi jeden i stuknął go w żartobliwym toaście. Swój kieliszek uniósł do ust i wypił jednym haustem, przechylając głowę do tyłu. Wzięłam głęboki oddech. Wlałam alkohol do gardła, nieprzygotowana na tak ostre pieczenie w przełyku. Miałam wrażenie, że żar zalał mi twarz, a żołądek stanął w płomieniach. Potem poczułam, że napięcie ustępuje, rozwiewa się jak dym. Potrząsnęłam głową i zadrzałam, gdy ciepła fala powoli ogarniała całe moje ciało.

- Ohyda. Nie znoszę burbona. Nie mogłabym się nim urżnąć. Jak ty to robisz, że tak po prostu go w siebie wlewasz? - Trening czyni mistrza. - Nalał sobie drugi kieliszek i znów wychylił go jednym haustem. - Brakowało mi tego w pudle.

Zauważył pistolet, który rzuciłam na blat stołu, podniósł go i bez słowa wcisnął za pasek spodni.

- Dzięki, Ray - rzuciłam kąśliwie. - Właśnie zatarłeś odciski palców.

- I tak nikt ich nie sprawdzi.

- Serio? Skąd ta pewność?

Nie odpowiedział. Poszedł do jadalni, opróżnił jeden ze stojących tam kartonów, złożył go i zatkał nim otwór w oknie, mocując go do ramy taśmą pozostawioną przez Gilberta. W kuchni zrobiło się dużo ciemniej, a zimny wiatr nadal wciskał się przez szpary, zyskaliśmy jednak pewność, że do domu nie wleczą tędy ptaki ani zabłąkane maleńkie statki kosmiczne. Ray zajął się teraz naczyniami. Opróżnił zlew, a brudne garnki i patelnie poustawiał równo na blacie, szykując się do ich umycia. Uwielbiałam patrzeć na mężczyzn zajętych domowymi obowiązkami.

- Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon. Zadzwoń na policję?

- Do Marli. Żeby sprawdzić, jak się czuje. Gilbert pobił ją do nieprzytomności. Złamał jej nos, ale Marla nie wniesie oskarżenia, póki Laura nie będzie bezpieczna.

- Zadzwoń na policję - powtórzyłam. Miałam nadzieję, że za pierwszym razem po prostu mnie nie usłyszał. Jeszcze raz włączyłam odkurzacz i uprzątnęłam kawałki szkła, które wcześniej uszły mojej uwadze. Czekałam, aż Ray podniesie meble, by ułatwić mi pracę, ale celowo tego nie zrobił. Wyłączyłam odkurzacz. - O co chodzi? Dlaczego nie chcesz zawiadomić policji? Laura została porwana. Chyba zdajesz sobie sprawę, że sam jej nie uwolnisz.

- Marla nie wniesie oskarżenia. Przynajmniej nie teraz.

- Nie mówię o Marli, tylko o tobie.

- Najpierw znajdziemy forszę. Przez jeden dzień Laura jest bezpieczna. Jutro wezwiemy gliny.

- Odbiło ci. Potrzebujesz pomocy.

- Dam sobie radę.

- Bzdura. Gilbert zabije ci córkę.



- Nie, jeśli znajdę forszę.

-Niby jak?

- Jeszcze nie wiem.

Opasał się fartuchem. Zatkał korkiem odpływ i odkręcił kurek z gorącą wodą. Następnie wlał do zlewu stojącego nieopodal płynu do mycia naczyń, starając się nie zamoczyć przy tym owiniętych bandażem palców. Kiedy komora wypełniła się wodą, na której piana utworzyła białą górę, Ray włożył do niej talerze i sztućce.

- Nauczyłem się myć naczynia, kiedy miałem sześć lat - powiedział, sięgając po szczoteczkę z długą rączką. -Mama postawiła mnie na przysuniętym do zlewu zydeltu i pokazała mi, jak należy to robić. Od tamtej pory zmywanie należało do moich obowiązków. W więzieniu naczynia wkładało się do wielkiej przemysłowej zmywarki, zasady jednak pozostały te same. Starzy więźniowie radzili sobie z obowiązkami, ale młodzi umieli tylko okładać się po gębach. Większość z nich należała do gangów albo dilaowała prochami. Na samą myśl cierpła mi skóra.

- Ray...

- Przypominali walczące koguty... Nastroszone i agresywne. Niezważające na nic. Byli młodzi, ale wiedzieli, że ich przeznaczeniem jest śmierć. Nie mieli nadziei ani marzeń. Mieli tylko złość. Oczekiwali szacunku, choć nie robili nic, by na niego zasłużyć. Połowa z nich nie umiała nawet czytać.

- Do rzeczy - ponagliłam.

- Ta historia nie ma morału. Po prostu próbuję zmienić temat, bo nie zamierzam dzwonić po gliniarzy.

- Masz z tym jakiś problem?

- Nie lubię ich.

- Nie namawiam cię przecież do ślubu z nimi - prychnęłam kpiąco. Przyjrzałam mu się uważnie. - O co chodzi? Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz.

Wypłukał półmisek i odstawił go na suszarkę. Unikał mojego wzroku. Wzięłam ściereczkę i zaczęłam wycierać naczynia, które wyciągał z płukania.

-Ray?

Odstawił na suszarkę kolejny półmisek.

- Złamałem warunek. Zawahałam się. Warunek?

- Jaki warunek? Wzruszył lekko ramionami. Wreszcie zrozumiałam.

- Warunek? Jesteś na zwolnieniu warunkowym?

- Mniej więcej.

- A dokładnie?

- Po prostu sobie wyszedłem.

- Uciekłeś?

- Nie nazwałbym tego ucieczką. Byłem w ośrodku półotwartym.

- Ale nie miałeś prawa go opuszczać. Zgadza się?

- Nie musiałem forsować płotu. I nie zamykano nas w celach nawet na noc. Zresztą, nie mieliśmy cel tylko pokoje - wyjaśniał mi cierpliwie. - Nie uciekłem, tylko wyszedłem na zewnątrz. Nazwijmy to samowolnym oddaleniem się.

- Rany boskie! - Wzięłam głęboki oddech, próbując wyobrazić sobie konsekwencje. - Skąd wzięłeś prawo jazdy?

- Nie mam prawa jazdy.

- I prowadziłeś bez dokumentów? A jak udało ci się wypożyczyć samochód?

- Nie wypożyczyłem go.

Przymknęłam oczy. Marzyłam, by po prostu położyć się na podłodze i zasnąć. Uniosłam powieki.

- Ukradłeś auto z wypożyczalni? - Zdałam sobie sprawę, że przybrałam oskarżycielski ton, ale nic nie mogłam na to poradzić. Ray był mi winien wyjaśnienia.

Wydał usta.

- Wiedziałem, że tak zareagujesz. Zrozum. Jeśli wezwiemy gliniarzy, zaczną mnie wypytywać, sprawdzą mnie i wrócę za kratki. Koniec balu.

- Zaryzykujesz życie własnego dziecka, żeby nie trafić do więzienia?

- To nie tak. - A jak?

Odwrócił się i popatrzył mi w oczy. Jego spojrzenie było czyste jak woda w strumieniu.

- Jak mam dogadać się z Gilbertem, gdy gliniarze będą deptać mi po piętach?

- Zaufaj mi, Ray. Nie warto ryzykować. Jeśli potem cię złapią, nie wyjdiesz z pudła do końca życia.

- Czyli jak długo? Mam sześćdziesiąt pięć lat. Jak myślisz, ile mi jeszcze zostało?

- Nie bądź idiotą. Kawał życia przed tobą. Popatrz na własną matkę. Dzięki jej genom dożyjesz setki. Nie odbieraj sobie szansy.

- Powiem ci to wprost, Kinsey. Jeśli wezwiemy gliniarzy, oboje trafimy do aresztu. Zacznie się wypełnianie papierków. Zadadzą nam setki pytań, na które ja nie odpowiem. Na tym etapie sprawdzą moją przeszłość albo nie. Jeśli ją sprawdzą, już po mnie, a Laura tego nie przeżyje. Jeśli nie sprawdzą, i tak nie zrobi mi to wielkiej różnicy,

bo nie wyjdziemy z tego obronną ręką. Stracimy cenne godziny tylko po to, by na koniec usłyszeć, że w tej sytuacji gliniarze nic nie mogą nam pomóc. Jaka szkoda... Zostaniemy na łodzi, nie mając pojęcia, gdzie jest forsa, którą ukrył Johnny. Wtedy zjawi się Gilbert i nie będzie słuchał wymówek. Co mu zresztą powiemy? Wybacz, stary, ale nie znaleźliśmy jeszcze forsy, bo zmarnowaliśmy kupę czasu na posterunku.

- Powiesz mu, że znaleźliśmy skrytkę. Ze mamy pieniądze i chcemy się z nim spotkać. Kiedy przyjedzie, zgarnie go policja.

Ray wyglądał na znudzonego.

- Oglądasz za dużo filmów. Gliniarze zawalają połowę spraw, które prowadzą. Zgarną porywacza, owszem, ale ofiara przy tym zginie. Wiesz, co będzie potem? Zacznie się głośny proces. Publiczność będzie miała używanie. Dziwany prawnik opowie historię trudnego dzieciństwa Gilberta. Wciśnie przysięgłym, że facet jest chory psychicznie, że Laura go gnębiła i że dokonał przestępstwa wyłącznie po to, by się bronić. Tysiące dolarów zostaną wyrzucone w błoto, bo w końcu przysięgli go uniewinnią. Gość spokojnie wraca do domu. Laura nie żyje, ja idę za kratki. Kto jest górą? Ja raczej nie, a już na pewno nie ona.

Czułam, że tracę cierpliwość. Rzuciłam na bok ścierkę.

- Wiesz, co ci powiem? Rób, co chcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcesz pomocy policji? W porządku. Twoja sprawa. Ja i tak wyjeżdżam.

- Wracasz do Kalifornii?

- Jeśli się uda - odparłam. - Zakładam, oczywiście, że skoro Gilbert zabrał osiem tysięcy ze sztucznego brzucha,

nie zapłacisz za mój bilet, jak obiecałeś, ale jakoś to przeżyję. Nie mam forsy na taksówkę, będę więc wdzięczna, jeśli zawieziesz mnie na lotnisko. Zrób dla mnie chociaż tyle. Ray też przestał się hamować.

- Jasne. Żaden problem. Doprowadźmy kuchnię do porządku i w drogę. Co cię obchodzi, że Laura zginie? Gdybyś chciała, mogłabyś jej pomóc, ale nie, to dla ciebie zbyt trudne. Jej śmierć obciąży twoje sumienie, tak samo jak moje.

- A niby dlaczego? Sam doprowadziłeś do tej tragedii. I masz jeszcze czelność zwalać winę na mnie! Zachowujesz się jak Gilbert.

Wyciągnął rękę i ścisnął mnie za ramię.

- Pomóż mi.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Odwróciłam głowę. Jego ton uległ zmianie.

- Usiądźmy spokojnie - poprosił. - Wymyślmy coś. Tylko o to proszę. Samolot masz dopiero za kilka godzin...

- Jaki samolot? O czym ty mówisz? Zrobiłam rezerwację, owszem, ale nie kupiłam biletu. Nie stać mnie na podróż.

- Zostań więc i pomóż. Nic na tym nie tracisz.

- Nie mogę. Za dwa dni Święto Dziękczynienia. Zaproszono mnie na ślub. Muszę wracać. Pobierają się moi przyjaciele. Jestem druhną panny młodej. Niedługo zacznie się na lotniskach przedświąteczny tłok. Nie znajdę innego miejsca. Muszę brać to, które udało mi się załatwić. I tak miałam szczęście.

- Nie masz czym zapłacić za bilet.

- Wiem! - wrzasnęłam.

- Ciii. - Ray przycisnął palec do ust i spojrzał znacząco na drzwi sypialni, za którymi spała jego matka.

- Wiem, że nie mam czym zapłacić - dodałam szeptem. - Spróbuję coś wymyślić.

Ray wyciągnął portfel.

- Ile potrzebujesz?

- Pięćset.

Schował go z powrotem.

- Myślałem, że masz przyjaciół, którzy chętnie pożyczą ci pieniądze.

- Owszem, ale muszę do nich zadzwonić, a twoja matka śpi przy telefonie.

- Niedługo wstanie. Jest już stara. Nocami prawie nie śpi, często drzemie za to w ciągu dnia. Kiedy się obudzi, zadzwoń do Kalifornii. Może któryś z twoich przyjaciół zapłaci za bilet kartą kredytową i załapię się na wybrany lot. Wiesz co? Zajrzę i sprawdzę, co u mamy. Zgoda? -Podszedł do drzwi sypialni i otworzył je szeroko. - Zaraz wstanie. Zaczyna się kręcić.

- W porządku. Znowu zamknął drzwi.

- Pomóż mi tylko wymyślić, gdzie Johnny schował forszę. Pogadajmy. Więcej o nic cię nie poproszę. - Gestem zaprosił mnie do stołu.

Patrzyłam na niego w milczeniu. Tak to bywa, moi drodzy. Altruizm i korzyść własna idą ramię w ramię. Którą ścieżkę wybrać: wąską i kamienistą czy szeroką i wygodną? Jak na razie, nie miałam pojęcia, która jest która. Podczas tej podróży jedyną legalną czynnością, jakiej się oddawałam, było odkurzanie. Poza tym włamałam się do kilku hotelowych pomieszczeń, pomogłam w ucieczce zbiegłemu więźniowi i choć nieświadomie, to jednak wzięłam udział w popełnionych przez niego przestępstwach. Kto wie, może i odkurzając, naruszyłam jakieś

prawo stanowe? Po co teraz udawać, że niezłomnie trzymam się zasad?

- Gnojek z ciebie - rzuciłam.

Podsunał mi krzesło. Usiadłam. Nie mogłam wprost uwierzyć, że się zgodziłam. Powinnam była iść do najbliższego centrum handlowego i znaleźć w nim automat telefoniczny, ale tego nie zrobiłam. Czułam się związana z siedzącym naprzeciwko mnie człowiekiem, z jego córką i starą, śpiącą w pokoju obok matką. Jakby świadoma tego, że o niej myślę, Helen stanęła w drzwiach. Wyglądała na wypoczętą, choć oczy miała załzawione. Wystarczył kwadrans, by wróciła do sił. Ray podsunał jej krzesło.

- Jak się czujesz? - spytał.

- W porządku - odparła. - Już mi lepiej. Teraz mówcie, co robimy.

- Próbujemy wymyślić, gdzie Johnny ukrył forszę.

Widać Ray przyznał się matce do wszystkiego, bo Helen nie wyglądała na zdziwioną jego zachowaniem i stosunkiem do sprawy. W wieku osiemdziesięciu pięciu lat nie bała się już więzienia.

Nie wiedzieć skąd, na stole pojawił się nagle notes i długopis.

- Zapisujmy wszystko. Albo tylko ja będę pisał - zaproponował Rawson. Podchwycił moje spojrzenie. - Nie krępuj się. Dzwon. Telefon jest tam.

- Wiem, gdzie jest telefon - warknęłam. - Zaraz wracam.

Dzięki telefonicznej karcie kredytowej znów zadzwoniłam do Henry'ego i znów bezskutecznie. Nadal był poza domem. Nagrałam na sekretarce kolejną wiadomość, tym razem dodając, że mój rychły powrót do domu stoi

pod znakiem zapytania, jako że skończyły mi się fundusze. Jeszcze raz podałam numer Helen i gorąco poprosiłam o wiadomość, gdyby Henry wymyślił jakiś sposób ściągnięcia mnie do Kalifornii, najchętniej wybranym już samolotem. Potem spróbowałam dodzwonić się do Rosie, ale telefon był ciągle zajęty. Wróciłam do kuchni.

- I jak? - spytał bez emocji Ray.

- Zostawiłam Henry'emu wiadomość. Mam nadzieję, że oddzwoni za godzinę lub dwie.

- Szkoda, że z nim nie porozmawiałaś. Nie warto jechać na lotnisko, póki nie uzgodnisz z nim szczegółów.

Usiadłam przy stole, nie zwracając uwagi na nieszczerze współczucie w jego głosie.

- Zaczniemy od kluczy - powiedziałam.

Ray pospiesznie napisał na kartce słowo „klucze”. Kilkakrotnie obwiodł je kółeczkiem, mrużąc oczy z namysłem.

- Po co zawracać sobie głowę kluczami, skoro i tak ma je Gilbert? - spytał wreszcie.

- To jedyna wskazówka, jaką dysponujemy. Zapiszmy wszystko, co nam się przypomni.

- Czyli co? Bo ja nie pamiętam, jak wyglądały.

- Pierwszy był żelazny. Miał jakieś piętnaście centymetrów długości i rzeźbione ucho. Na trzonku widniał napis „Lawless”. Na drugim....

- Zaczekaj. Skąd to wiesz?

- Obejrzałam go dość dokładnie - Odwróciłam się w stronę Helen. - Masz książkę telefoniczną? Nigdzie jej nie widzę, a pewnie nam się przyda.

- Mama trzyma ją w szufladzie komody. Zaczekaj chwilę. Przyniosę.

- Ray wstał i poszedł do sypialni.



- Słyszałeś o firmie o nazwie Lawless? - zawołałam za nim. - Może to jakiś miejscowy zakład. - Spojrzałam na Helen. - Z niczym ci się to nie kojarzy?

Potrząsnęła głową.

- W życiu nie słyszałam tak głupiej nazwy.

Ray wrócił z dwiema książkami w ręce - jedna zawierała spis abonentów prywatnych, druga natomiast listę firm z okolic Louisville.

- Skąd pomysł, że chodzi o miejscowy zakład? Wzięłam od niego książkę z numerami firm. Spis abonentów Ray odłożył na jedyne wolne krzesło.

- Jestem optymistką. I zawsze zaczynam od tego, co wydaje się najbardziej oczywiste.

Wertowałam książkę, póki nie znalazłam numerów i adresów okolicznych zakładów ślusarskich. Nie znalazłam wśród nich żadnego z nazwiskiem Lawless w nazwie, postanowiłam jednak popytać w Firmie Ślusarskiej Louisville, spora reklama głosiła bowiem, że zakład ten działa od tysiąc dziewięćset dziesiątego roku.

- Warto też zajrzeć do biblioteki miejskiej i przejrzeć książki telefoniczne z lat czterdziestych.

- Kinsey jest prywatnym detektywem - wyjaśnił matce Ray. - Dlatego na nas trafiła.

- No proszę. A ja cały dzień próbowałam zgadnąć, czym się zajmuje.

Położyłam książkę na stole i otworzyłam ją na spisie zakładów ślusarskich. Wskazałam palcem reklamę najstarszej w Louisville firmy ślusarskiej.

- Zaraz do nich zadzwonię - powiedziałam. - Na czym skończyliśmy?

- Zerknęłam na kartkę. - Na drugim kluczu był napis „Master”. Myślałam, że ta firma robi wyłącznie kłódki, ale może się myliłam. Zapytam o to, gdy

zadzwońię do ślusarzy. Pytanie, do czego pasują te klucze. Czy szukamy dużych wrót czy małych drzwi? A może tylko drzwiczek do szafki, schowka albo sejfu? Ray wzruszył ramionami.

- Obstawiam zwyczajne drzwi. W latach czterdziestych nie było schowków przechowalni na każdym rogu jak dzisiaj. Gdziekolwiek Johnny ukrył forszę, musiał mieć pewność, że nikt tam nie zajrzy. Klucz nie wygląda mi też na taki do schowka depozytowego. Poza tym Johnny nie znosił banków. Od tego zaczęły się jego kłopoty. Nie wyobrażam sobie, żeby zaniósł łup z napadu na bank do innego banku.

- To oczywiste. Banki upadają, łączą się z innymi albo wypadają z rynku. A co powiesz na jakiś gmach użyteczności publicznej? Ratusz, sąd, kuratorium albo muzeum?

Ray potrząsnął głową. Widać było, że nie podoba mu się ten pomysł.

- Na jedno by wyszło, nie sądzisz? Taki budynek można sprzedać, zburzyć i postawić na jego miejscu inny. I to bez względu na to, co się w nim mieściło.

- A może jakieś inne ważne miejsce. Jakiś pomnik albo zabytek. Tego na pewno nikt by nie zniszczył.

- Musiałbym pomyśleć.

- Kościół! - zawołała nagle Helen.

- Możliwe - zgodził się Ray.

Pani Rawson popukała palcem w notes.

- Zapisz to.

Ray posłusznie spełnił jej życzenie.

- Do tego tama nad rzeką, szkoły i Churchill Downs. To obiekty chronione. Nikt by ich nie tknął.

- Może schował pieniądze na terenie jakiejś posiadłości w okolicy?

- Dobry pomysł. Kiedyś ich tu nie brakowało. Mnie długo nie było, więc nie wiem, które się uchowały.

- Przypominam ci, że Johnny uciekał przed pościgiem - przypominałam. - Na pewno wybrał miejsce, do którego łatwo dotrzeć. I stosunkowo odludne.

Ray zmarszczył czoło.

- Skąd miał pewność, że nikt tego nie znajdzie? Wiele ryzykował, zostawiając gdzieś wielkie worki z forszą. Nie bał się, że znajdą je grające w ringo dzieciaki?

- Teraz dzieci nie grają w ringo. Mają gry wideo - zauważyłam kpiąco.

- Wobec tego nie dzieciaki tylko robotnicy budowlani albo wścibscy sąsiedzi - odparł. - Poza tym musiał szukać miejsca, które jest suche.

- Pewnie masz rację. Klucze natomiast świadczą, że nie zakopał pieniędzy w ziemi.

- Szkoda, że Gilbert nam je zabrał. Teraz nawet jeśli znajdziemy miejsce ukrycia forsy, nie damy rady się do niej dostać.

- Tym się nie przejmuj - pocieszyłam go. - Zawsze mam przy sobie komplet wytrychów. Wystarczy, że znajdziemy właściwy zamek.

- Każdy zamek można obejść. Nauczyłem się tego w pudle. Zresztą nie tylko tego.

- Widzę, że przyłożyłeś się do edukacji - zakpiłam.

- Zawsze byłem dobrym uczniem - powiedział skromnie.

Przez chwilę wszyscy troje siedzieliśmy w milczeniu, wysilając wyobraźnię. Ja odezwałam się pierwsza.

- Ślusarz, który oglądał większy klucz, powiedział, że wygląda mu on na klucz do bramy. Co wy na to? Może

Johnny znalazł jakąś opuszczoną rezydencję. Duży klucz pasuje do bramy, a mały otwiera kłódkę na frontowych drzwiach.

Ray nie wydawał się zachwycony.

- Skąd miał pewność, że budynek nie zostanie sprzedany ani zburzony?

- Może to jakiś zabytek objęty ochroną konserwatora.

- Co oznaczało, że pewnego dnia zostanie wyremontowany, a miasto wprowadzi opłaty za wejście. Wtedy każdy miałby dostęp do pieniędzy.

- Fakt - przyznałam. - Choć z drugiej strony, przecież nie zostawił worków na widoku. Na pewno dobrze je ukrył.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia. Zapadła cisza.

- Mówimy o dużych workach - powiedział po chwili Ray. - Siedmiu albo ośmiu płóciennych torbach wypchanych gotówką i klejnotami. Ważyły swoje. W tamtych czasach nie byliśmy ułomkami, mieliśmy niewiele ponad dwadzieścia lat i mnóstwo siły, a ledwie upchnęliśmy je w bagażniku auta.

Zerknęłam na niego uważnie.

- Jaki mieliście plan? Co zrobiliby z łupem Johnny, gdyby nie pojawili się gliniarze?

- Pewnie też by je ukrył. Zawsze powtarzał, że większość złodziei rabujących banki wpada właśnie dlatego, że forsa uderza im do głowy i od razu zaczynają nią szastać. Próbują sprzedać srebro i klejnoty, podczas gdy policja podaje do wiadomości wszystkich szczegółowy opis skradzionych przedmiotów. Dlatego tak łatwo jest trafić na ich trop.

- Wynika z tego, że Johnny zawczasu przygotował jakąś kryjówkę.

- Tak myślę.  
Zastanowiłam się nad tym, co usłyszałam.
- Gdzie go złapano?
- Nie pamiętam. Gdzieś poza miastem. Zdaje się, że dokądś jechał.
- Złapali go na Ballardsville Road - wtrąciła się do rozmowy Helen. -  
Nie wiem dlaczego, ale ta nazwa utkwiała mi w pamięci. Zapomniałeś?  
Twarz Raya natychmiast się rozpozogodziła.
- Racja. Skąd wiedziałaś?
- Mówili o tym w radio. Byłam przerażona. Myślałam, że pojechałeś  
razem z nim. Nie wiedziałam, że się rozdzieliliście. Sądziłam, że  
wpadłeś.
- Bo wpadłem. Tyle że gdzie indziej.
- Jak szybko po napadzie policja aresztowała Johnny'ego? - spytałam.  
Ray przyjrzał mi się uważnie.
- Myślisz, że schował forszę gdzieś między bankiem a drogą, na której  
go złapali?
- Chyba że miał czas pojechać do innego miasta i wrócić do  
Louisville. Wiesz, jak jest. Najprostsze rozwiązania zawsze  
przychodzą nam do głowy na końcu. Wydają się tak oczywiste, że o  
nich zapominamy. Kiedy widzieliście się po raz ostatni, Johnny miał  
przy sobie worki z łupem. Gdy go złapano, już ich przy nim nie  
znaleziono. To zaś oznacza, że schował je po waszej rozmowie, a przed  
aresztowaniem. Ile miał na to czasu?
- Pół dnia.
- Czyli nie zapuścił się daleko.
- Zgadza się. Zakładałem, że forsa została w mieście. Nie  
pomyślałem, że ją dokądś wywiózł. Kurczę! Może być wszędzie w  
promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów.

- Nie wydaje mi się - powiedziałam. - Ograniczmy się do Louisville. Nie mam ochoty na wycieczki po zachodnim Kentucky.

Ray zerknął na zapiski.

- Co jeszcze pamiętacie? - spytał. - Mało tego.

- Jest coś jeszcze - zawołałam. - Dopiero teraz sobie o tym przypomniałam. Na małym kluczu widniały litera M i liczba pięćset pięćdziesiąt. Zapamiętałam je, bo skojarzyłam je z datą swoich urodzin. Piąty maja.

- Co z tego?

- Pójdziemy do ślusarza i każemy mu zrobić taki sam.

- Po co?

- Nie wiem. Przynajmniej zyskamy klucz. I może ten ślusarz nam coś podsunie.

Ray nie wydawał się przekonany.

- Kiepski pomysł - powiedział. - Stąpamy po kruchym lodzie.

- Przestań jęczeć - zgromiłam go. - Warto sprawdzić każdą wskazówkę. Zdarzało mi się rozwiązywać zagadki na podstawie mniejszej liczby wskazówek.

- Niech ci będzie - westchnął z powątpiewaniem i zapisał na kartce adres ślusarza, którego wybrałam. Sięgnął po okrycie wiszące na oparciu krzesła.

Kiedy się ubierał, wstałam i zapięłam guziki kurtki, żeby było mi cieplej.

- Co z twoją mamą? - spytałam. - Nie powinna być teraz sama.

Helen drgnęła, przerażona taką perspektywą.

- Nie zostanę tu sama - zawołała płaczliwie. - Gilbert jest na wolności. Co będzie, jeśli wróci?

- Pojedziesz z nami - postanowił Ray. - W razie czego zaczekasz w samochodzie.

- Mam tak po prostu siedzieć i czekać?
- A dlaczego nie?
- Zgoda. Ale muszę mieć broń.
- Nie pozwolę ci wsiąść do auta z tą wielką strzelbą, mamó. Jeśli zauważy nas jakiś patrol, zgarnie nas, bo gliniarze pomyślą, że szykujemy skok na warsztat ślusarza.
- Wobec tego wezmę kij bejsbolowy. Freida podsunęła mi kiedyś ten pomysł. Kupiła porządny kij i zostawiła mi go pod łóżkiem.
- Jezus, ta Freida to jakiś babochłop - westchnął Ray.
- Co najwyżej herod-baba, synu - poprawiła go matka.
- Ubieraj się.

19

Firma Ślusarska Louisville mieściła się przy Main Street w dwupiętrowym budynku z czerwonej cegły, pochodzącym prawdopodobnie z lat trzydziestych. Ray zaparkował w bocznej uliczce i wdał się w kłótnię z matką, która oznajmiła, że nie zostanie w samochodzie, mimo że wcześniej tak się umówili. Wreszcie uległ i pozwolił jej iść z nimi, choć uparła się, że weźmie ze sobą swój kij bejsbolowy.

Front kamienicy był wąski i wsparty na kolumnach z ciemnego kamienia. Drewnianą stolarkę pomalowano na kolor brązowy o odcieniu błota. Na szybie jedyne wychodzącego na ulicę okna wisiała karta z wypisaną ręcznie listą usług. Wynikało z niej, że tutejsi ślusarze zakładają zasuwki i zamki, dorabiają klucze, instalują sejfy ściennie i podłogowe oraz zmieniają w nich szyfry.

Znajdujący się za drzwiami warsztat był długi i wąski. Królowała w nim długa drewniana lada, za którą stały

różne maszyny do dorabiania kluczy. Na wszystkich ścianach, od podłogi do sufitu, wisiały na haczykach tysiące kluczy, ułożone według porządku znanego jedynie właścicielowi tego przybytku. Przesuwana drabina na kółkach umożliwiała dostęp do haczyków znajdujących się poza zasięgiem rąk. Niemal każdy centymetr wytartej drewnianej podłogi zajmowały oferowane na sprzedaż sejfy marki Horizon. Byliśmy jedynymi klientami. Prócz nas w warsztacie nie było nikogo. Nigdzie nie dostrzegłam nawet śladu kasjera, sprzedawcy lub choćby ucznia.

Właściciel zakładu, Whitey Reidel, miał jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu i wielkie brzuszisko. Ubrany był w białą płócienną koszulę, czarne szelki i czarne spodnie. Nie widziałam co prawda jego nóg, mogłabym się jednak założyć, że mankiety tych ostatnich były kilkakrotnie podwinięte. Jego wielki nos sprawiał wrażenie miękkiego jak z ciasta, pod oczami miał ciemne worki. Linia włosów kończyła mu się wysoko nad czołem, jakby wraz z upływem lat jego czupryna wycofywała się niczym odpływ. To, co z niej zostało, sterczało kępkami białych włosów pionowo w górę jak u plastikowej lalki. W typowej dla siebie postawie oparł się dłońmi o ladę i odchylił do tyłu, jakby w warsztacie wiał silny wiatr. Popatrzył pytająco na kij bejsbolowy w rękach Helen.

- Uczy dzieci grać w bejsbol - pospieszył z wyjaśnieniem Ray.

- W czym mogę państwu pomóc?

Postąpiłam krok do przodu. Przedstawiłam się, po czym opowiedziałam mu pokrótce, po co i dlaczego przyszliśmy. W chwili gdy wspomniałam o kluczu do kłódki z napisem Master i wytłoczonym symbolem M pięćset pięćdziesiąt, pokręcił głową i wydał usta.



- Nic z tego - powiedział.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Nie musi pani. Wyjaśnienia nic nie pomogą. Kluczy do kłódek firmy Master nie oznacza się symbolem M.

Patrzyłam na niego w milczeniu jak urzeczona. Ray i jego matka stali za moimi plecami. Odwróciłam się do nich.

- Powiedz mu - rzuciłam.

- To ty widziałaś ten klucz, nie ja. Chociaż nie. Ja też go widziałem, ale nie zapamiętałem szczegółów.

- Pamiętam dokładnie - zapewniłam Reidela. - Ma pan jakąś kartkę? Pokażę panu.

Popatrzył na mnie z politowaniem, ale sięgnął po notes i ołówek. Zapisałam wytłoczony na kluczu symbol. Wskazałam na niego palcem, jakby ten gest miał udowodnić, że się nie mylę. Reidel nie zaprzeczył. Sięgnął tylko pod ladę i wyciągnął katalog kłódek firmy Master.

- Jeśli znajdzie tu pani taki klucz, na pewno go dla was zrobię. Znów oparł się na ladzie, tym razem wychylając się do przodu.

Zakłopotana, przejrzałam katalog, czując się jak uparte dziecko. Firma wyprodukowała mnóstwo serii, niektóre oznaczając literami, a inne cyframi, żadna jednak nie zawierała w nazwie litery M.

- Mogłabym przysiąc, że to był klucz do kłódki firmy Master - burknęłam.

- Wierzę.

- Dlaczego więc wytłoczono na nim nieprawdziwe symbole? Znów wydał usta i wzruszył ramionami.

- To był pewnie duplikat.

- Co z tego?

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej klucz.

- To klucz do kłódki. Na jednej stronie widnieje na nim oznaczenie producenta, w tym przypadku jest to napis: Master. Taki sam był pewnie na kluczu, o którym pani mówi. Czy wyglądał tak jak ten?

- Mniej więcej.

Helen straciła zainteresowanie. Podeszła do jednego ze stojących pod ścianą sejfów i usiadła na nim ciężko, opierając się na kiju bejsbolowym jak na lasce.

- Pani klucz miał z tej strony napis Master, zgadza się? -Tak.

Reidel obrócił klucz.

- Z tej strony umieszcza się symbole kłódki, do której pasuje klucz. Rozumie pani? - Spojrzał najpierw na mnie, a potem na Raya. Niemal równocześnie kiwnęliśmy głową jak pacynki. - Dzięki tym numerom odnajduję w katalogu odpowiednią kłódkę albo klucz. Do znalezionej klucza dorabiam duplikat. W przeciwieństwie do oryginału, duplikat nie jest oznaczony symbolem.

- Okej - mruknęłam niepewnie, przeciągając głoski. Nie miałam pojęcia, do czego zmierza.

- Litery i cyfry, które pani widziała, naniesiono prawdopodobnie później, kiedy duplikat był już gotowy.

Wskazałam palcem na zapisane w notesie cyfry.

- Czyli że napis umieścił na kluczu nie ślusarz tylko ktoś inny? - spytałam dla pewności.

- Zgadza się.

- Po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu?

- To pani przyszła do mnie, nie ja do pani. - Uśmiechnął się szeroko. Od razu zwróciłam uwagę na ciemne

przebarwienia na jego zębach tuż przy dziąsłach. - Firma Master nie oznacza kluczy w ten sposób. To jakaś ścierna.

- Czy to możliwe, że cyfry są symbolem innego producenta? -  
podsunęłam.

-Tak.

- Czy jeśli go znajdę, zrobi mi pan taki sam klucz?

- Oczywiście - parsknął. - Problem w tym, że producentów jest około pięćdziesięciu. Każdy z nich wydaje po dwa-trzy katalogi. Niektórych nie mam na stanie. Zdarza się także, że wyciśnięte na kluczu symbole oznaczają numer domu albo mieszkania. Pani opis niczego nam nie daje.

- Słyszał pan o firmie o nazwie Lawless? Potrząsnął głową.

- Nie ma takiej.

- Skąd ta pewność? - spytałam, poirytowana tym, że zachowuje się tak, jakby pozjadał wszystkie rozumy.

- Przede mną ten zakład prowadził mój ojciec i dziadek. Nasza rodzina zajmuje się ślusarką od siedemdziesięciu lat. Gdyby taka firma istniała, przynajmniej raz bym o niej usłyszał. Chyba że mieści się za granicą.

Skrzywiłam się, dając do zrozumienia, że tego akurat nie wiem i w żaden sposób nie ustalę.

- Istnieje szansa, że ta firma działała w latach czterdziestych, a potem wycofała się z rynku?

-Nie.

Ray położył mi rękę na ramieniu.

- Chodźmy stąd. Spróbujemy wymyślić coś innego.

- Jeszcze chwila.

- Daj już spokój. Wyglądasz, jakbyś chciała rzucić się facetowi do gardła. - Odwrócił się do matki. - Idziemy, mamo.

Pomógł jej się podnieść. Prawą ręką chwycił ją za łokieć, lewą wsunął pod moje ramię. Pociągnął mnie w stronę drzwi. Wiedziałam, do czego zmierza. Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie zamierza dłużej stać i wyklócać się z kimś, kto z całą pewnością wiedział o kluczach więcej niż my troje razem wzięci.

Czułam, że narasta we mnie frustracja.

- Te symbole na pewno coś znaczą. Wiem, że mam rację.

- Nie obchodzi mnie, czy masz rację, czy nie - uciął. - Grunt, żeby Gilbert nam odpuścił. - Popatrzył na Reidela. - Bardzo dziękujemy za pomoc.

Otworzył drzwi i wypchnął nas na zewnątrz.

- Nie potrzebujemy klucza. Gilbert go ma - przypomniał.

- Owszem. Ale na pewno go nam nie odda.

- Nie bądź tego taka pewna. Jeśli znajdziemy zamek, pójdzie nam na rękę. W końcu zależy mu na forsie, prawda?

- Po co umieszczać na kluczu literę i liczbę? Może M pięćset pięćdziesiąt to jakiś szyfr? Nie są to symbole klucza, wobec tego co oznaczają?

- Przestań się tym przejmować.

- Nie mogę. Gilbert zażąda od nas informacji. Sam tak powiedziałeś.

Wokół było zaskakująco ciemno. Wieczorny wiatr niósł chłód znad rzeki Ohio, która znajdowała się pewnie trzy, może cztery przecznice stąd. Nad naszymi głowami krążyły zabłąkane płatki śniegu. Świeciły latarnie. Prawie wszystkie sklepy i warsztaty przy Main już zamknięto. W kolejnych budynkach gasły światła. Większość z nich wzniesiono z cegły. Miały cztery-pięć pięter i styl charakterystyczny dla minionej epoki. Kilka witryn na parterze zabezpieczono kratami zamkniętymi na duże kłódki. Od czasu do czasu

zza szyb migało przytłumione światło, sączące się pewnie z zaplecza, większość sklepów była już jednak pusta. Ciemne okna wystawowe sprawiały, że ulica wyglądała na opuszczoną. Ruch uliczny w tej części miasta powoli zamierał. Widoczne na wschodzie centrum migotało z oddali światłami dwudziesto-trzydziestopiętrowych biurowców.

Wracając do domu Helen, objechaliśmy okolicę, by sprawdzić, czy Gilbert nas nie śledzi. Żadne z nas nie wiedziało wprawdzie, jakim samochodem się teraz porusza, rozglądaliśmy się jednak uważnie, zakładając, że być może dostrzeżemy go czającego się wśród cieni lub siedzącego w zaparkowanym aucie. Ray zatrzymał się w uliczce dla dostawców węgla biegnącej za domem pani Rawson. Przemknęliśmy przez podwórko w stronę pogrążonego w mroku tylnego wejścia. Żadne z nas nie pomyślało o tym, by zostawić zapalone światło, wewnątrz panowały więc egipskie ciemności. Ray wszedł pierwszy. Helen i ja przystanęliśmy na schodkach werandy. Tupałyśmy, by się rozgrzać. Pani Rawson nadal trzymała w ręku kij, znów wykorzystując go jako oparcie. Na ciemnym listopadowym niebie widziałam nagie gałęzie drzew rosnących na sąsiednich podwórkach. Wiatr szarpał ich koronami. Zanim Ray zapalił lampy i światelko na werandzie, trzęsłam się z zimna. Weszliśmy do kuchni i zaczęliśmy, aż Ray sprawdzi pokoje od frontu oraz nieużywaną sypialnię na górze.

Nie było nas zaledwie godzinę, ale dom już przeszedł smrodem stęchlizny i starego jedzenia. Żarówka w kuchni jaśniała ostrym blaskiem, którego nie łagodził żaden klosz. W szparach wokół kartonu zasłaniającego rozbite okno świszczwał wiatr. Helen krzątała się między spiżarnią a lodówką, zbierając produkty potrzebne do przyrządzenia

kolacji. Poruszała się pewnie, zauważyłam jednak, że liczy pod nosem kroki. Ja i Ray oklapiliśmy z kretesem. Siedzieliśmy w milczeniu albo bąkaliśmy coś na odczepnego, podświadomie czekając na telefon. Helen nie miała automatycznej sekretarki, nie wiedzieliśmy więc, czy przypadkiem Gilbert lub Henry nie zadzwonili, kiedy nas nie było.

Zasiedliśmy do kolacji złożonej z jajecznicy na bekonie, odsmażanych ziemniaków, odgrzanych jabłek z cebulą oraz domowych biszkoptów z dżemem truskawkowym. Szkoda, że Helen nie usmażyła biszkoptów, zamiast je piec. Jeśli nie liczyć potężnej dawki cholesterolu, wszystko, co jedliśmy, było znakomite. Przemknęło mi przez myśl, że takie pyszności przygotowują pewnie wszystkie babcie. Porzuciłam nadzieję, że zdążę na samolot i wrócę do domu. Mówi się trudno. Był dopiero poniedziałek. Na podróż miałam jeszcze wtorek lub środę. Dość już się namartwiłam. Po co się tym gryźć? Zrobię, co się da, by pomóc Rayowi, a potem spokojnie ruszę własną drogą.

Po kolacji Helen zamknęła się u siebie, żeby spokojnie pooglądać telewizję. Ray zajął się zmywaniem, podczas gdy ja sprzątałam ze stołu. Ścierałam właśnie blat, przesuwając cukierniczkę i młynki z solą oraz pieprzem, kiedy zauważyłam kartkę od Johnny'ego Lee. Widocznie Helen zostawiła ją na stole. Jeszcze raz przeczytałam treść, przysuwając papier do światła.

- Co tam masz? - spytał Ray.

- Kartkę, którą przysłał ci Johnny. Czytam wiadomość. Wygląda, jakby napisał ją na maszynie.

- Przeczytaj na głos.

- *Tobie dam klucze królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz*

*na ziemi, będzie rozwiązane w niebie. Ewangelia św. Mateusza, 16,19. Wyrazy współczucia.* To chyba kartka z rodzaju tych, w których tekst wpisuje się samemu.

- Możliwe. Gdyby zamierzał mi przekazać zaszyfrowaną wiadomość, właśnie taką by kupił. Nie tak łatwo znaleźć kartkę z potrzebnym tekstem, prawda?

Jeszcze raz przebiegłam wzrokiem cytat z Biblii.

- Może M pięćset pięćdziesiąt oznacza Ewangelię św. Mateusza rozdział piąty, werset pięćdziesiąty.

- Rozdział piąty to Kazanie na górze. I ma tylko czterdzieści osiem wersów. - Zerknął na mnie, zadowolony z siebie. - W pudle nie tylko opowiadałem o swoich wyczynach. W poniedziałkowe wieczory chodziłem na spotkania Towarzystwa Biblijnego.

- Jesteś człowiekiem pełnym niespodzianek.

- Lubię tak o sobie myśleć.

Odwróciłam kartkę i przyjrzałam się umieszczonej na jej froncie czarno-białej wyblakłej fotografii. Widniał na niej cmentarz przysypany śniegiem. Podważyłam róg papieru i zajrzałam pod spód. Dopiero teraz zauważyłam, że zdjęcie cmentarza przyklejono na typowym widoczku morza o zachodzie słońca. Oderwałam je więc i obróciłam, żeby sprawdzić, czy na odwrocie nie znajdę jakiejś ręcznie napisanej notatki. Fotografia formatu dziesięć na piętnaście centymetrów została wydrukowana na standardowym papierze Kodaka, matowym, bez marginesu. Na białym tle widniał tylko stylizowany napis Kodak, i nic więcej.

- Myślisz, że to nowa odbitka ze starego negatywu? A może reprodukcja starego zdjęcia? - spytałam.

- A co za różnica? Wzruszyłam ramionami.

- Widoczek zachodzącego słońca nad morzem nic nam nie powie. I klucz wcale do niego nie pasuje. Chyba że istotna jest kartka, a klucz ma tylko odwracać uwagę.

Ray odebrał mi kartkę oraz zdjęcie i podszedł z nimi do stołu. Obejrzał je uważnie, odwracając tak, by światło żarówki padało na fotografię. Zajrzałam mu przez ramię. Widoczne na zdjęciu nagrobki wyglądały na stare. Ozdobne litery zmyły deszcze i zatarły zimowe śnieżyce. Naliczyłam pięć mniejszych pomników i trzy większe, przypominające mauzolea, ozdobione rzeźbami aniołków i baranków. Na mniejszych, wykonanych prawdopodobnie z granitu lub marmuru, widniały płaskorzeźby liści, zawijasów, krzyży albo gołębi. W centralnym punkcie stał wysoki na prawie trzy i pół metra obelisk z białego marmuru ustawiony na granitowym postumencie z napisem: PELISSARO. Poza nagrobkami na zdjęciu widoczne były również drzewa, wszystkie stare i pozbawione liści. Ziemię pokrywała cienka warstwa śniegu. W rogu fotografii widniał jeszcze fragment kamiennego muru i żelazny płot ogradzający część nagrobków.

- Zakładam, że nie poznajesz tego miejsca. Ray potrząsnął głową.

- Może to prywatny cmentarz w posiadłości jakiejś zamożnej rodziny - podsunął.

- Za duży. Prywatny byłby mniejszy i mniej oficjalny. I nagrobki miałyby bardziej jednolity charakter. Te bardzo się od siebie różnią, mają różne rozmiary i styl.

- Jaki związek ma cmentarz z kluczami? Johnny nie miał czasu, żeby wykopać trumnę i schować w niej forszę. Był środek zimy. Ziemia zamarzła na kamień.

Przyjrzałam mu się z zainteresowaniem.

- Była zima? Może więc wtedy zrobił to zdjęcie?



- Możliwe. Ale żeby zakopać worki, musiałyby mieć ze sobą narzędzia albo przynajmniej gwarancję, że znajdzie je na miejscu. Kiedyś wspominał, że pracował jako dozorca cmentarza. Może schował łupy w mauzoleum. Jak myślisz?

- Dlaczego przysłał ci zdjęcie cmentarza? Czyżby chodziło o nazwisko Pelissaro? Na razie głośno myślę... Zostawił pieniądze u kogoś o tym nazwisku. W budynku lub warsztacie, który się z nim kojarzy i mieści w najbliższym sąsiedztwie cmentarza. W budynku Palissaro, mleczarni Pelissaro, w posiadłości starego Pelissaro.... - Uniosłam pytająco brwi.

Znów pokręcił głową.

- Nie do mnie z tym pytaniem.

- A może ważne jest to, co z cmentarza widać. Wieża ciśnień, zabudowania gospodarcze, kamieniołom... Gdzie książka telefoniczna? Pewnie to głupie, ale kto wie, może szczęście nam dopisze. Poszukajmy.

- Czego?

- Nazwiska Pelissaro. Może Johnny miał cichego współnika.

Rozejrzałam się po kuchni. Na jednym z krzeseł przy stole, tam, gdzie wcześniej zostawił go Ray, znalazłam spis abonentów prywatnych z Louisville i okolic. Usiadłam, położyłam książkę na blacie i odnalazłam listę nazwisk na literę P. Ani jednego Pelissaro. Ani jednego nazwiska, które brzmiałoby choć podobnie.

- Niech to szlag! Choć może w latach czterdziestych mieszkał tu jakiś Pelissaro. Nie zaszkodzi rano sprawdzić w bibliotece.

- Czas nas goni. Gilbert zadzwoni lada chwila. Nie powiem mu przecież, że czekamy na otwarcie biblioteki. I na pewno nie przyznam, że liczymy na ślepy traf. Nie wydam na siebie wyroku śmierci.

- Jesteś do niczego, wiesz? Zobaczmy tutaj. - Sięgnęłam po spis firm i otworzyłam go na stronie z napisem *Cmentarze*. Niżej znalazłam ich blisko dwadzieścia. Podsunęłam książkę Rayowi. - Spójrz i powiedz, gdzie znajdują się te cmentarze. Gdybyśmy zaznaczyli na mapie okrąg, pewnie zawęziłoby to obszar poszukiwań. Jeśli będzie trzeba, sprawdzimy cmentarze w pobliżu miejsca, w którym schwytano Johnny'ego. Jak myślisz? Pewnie nie ma ich wiele. Sądząc po fotografii, to stary, dobrze utrzymany cmentarz. Na pewno jeszcze istnieje.

- Tego nie wiemy. Kiedy budowano tamę i zbiornik retencyjny, część grobów została przeniesiona.

- Jeśli forsa została zalana, to przepadła, założmy więc, że Johnny lepiej wybrał kryjówkę. Masz plan Louisville? Pokaż mi najważniejsze miejsca.

Ray poszedł do samochodu. Wrócił z wielką mapą południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, z atlasem i planem miasta.

- Wypożyczalni należą się gratulacje - powiedział. - Świetnie wyposażyła swoje auta.

- Jak zawsze myślisz tylko p innych - zauważyłam kąśliwie i rozłożyłam plan. - Zacznijmy od Dixie Highway.

Jeden po drugim zaznaczyliśmy na planie miasta wszystkie cmentarze wymienione w spisie firm Louisville. W stosownej odległości od miejsca, w którym aresztowano Johnny'ego Lee, znajdowały się cztery, może pięć. Na osobnej kartce wypisałam ich nazwy, adresy i numery telefonów do zarządcy.

- Co teraz? - spytał Ray.

- Jutro z samego rana zadzwonimy do biura każdego z cmentarzy i spytamy, czy pochowano u nich jakiegoś Pelissaro.

- Czyli zakładamy, że chodzi o cmentarz w Louisville.

- Musisz być takim dupkiem? Widać cmentarz ma tu jakieś znaczenie, bo inaczej Johnny nie przysyłałby ci zdjęcia. Zamierzał ci pomóc, a nie namieszać w głowie.

- Jasne. Mam tylko nadzieję, że się za bardzo nie przyłożył i że jednak rozszyfrujemy jego wiadomość.

Nim wybiła dziewiąta, miałam dość. Zaczęłam jęczeć, że czas się położyć. Ray jednak nie okazywał zmęczenia. Był rozdrażniony. Niepokoił go fakt, że Gilbert jeszcze się do nas nie odezwał.

- Co mu powiesz, gdy zadzwoni? - spytałam.

- Nie wiem. Coś wymyślę. Namówię go, by rano przywiózł tu Laureę. Chcę mieć pewność, że nic się jej nie stało. Na razie chodźmy spać. Wyglądasz na wykończoną.

Wyciągnął z szafy kilka koców i poduszkę.

- Zrób siusiu, nim pójdziesz na górę - poradził. - Tam nie ma łazienki.

Kilka minut poświęciłam na toaletę, po czym poszłam za Rayem na górę. Pokój był niemal pusty. Stało w nim tylko łóżko z drewnianą ramą i zapadniętymi sprężynami, kulawy stolik nocy oraz lampka z czterdziestowatową żarówką, osłoniętą żółknącym abażurem. Z przerażeniem pomyślałam o biegających tu gdzieś insektach, ale szybko uznałam, że w tak potwornym zimnie nie przeżyłoby żadne stworzenie.

- Masz wszystko, czego ci potrzeba? - spytał Ray.

- Poradzę sobie - odparłam.

Przysiadłam ostrożnie na łóżku, nasłuchując jego kroków na schodach. Nie mogłam się wyprostować, bo ścięte ściany okapu zwisały nisko nad moją głową. W pokoju panowało przejmujące zimno, śmierdziało sadzą. Pomiędzy materacem a sprężynami łóżka ktoś położył jako izolację

stare gazety, które szeleściły głośno za każdym razem, gdy się poruszyłam. Uniosłam róg materaca i sprawdziłam datę na jednej ze stron tytułowych: piąty sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dwa.

Położyłam się w ubraniu, owijając się tyłoma warstwami koca, ile udało mi się uzyskać. Skuliłam się w pozycji embrionalnej, licząc, że dzięki temu zatrzymam choć tę odrobinę ciepła, która jeszcze we mnie została. Wyłączyłam lampkę, mimo że kusiło mnie, by zostawić włączone światło i cieszyć się mizernym ciepłem żarówki. Poduszka była płaska i lekko wilgotna. Z dołu sączyło się światło i dobiegały hałasy - Ray krążył po domu, odsuwał ze zgrzytem krzesło, w telewizji ktoś śmiał się głośno. Nie miałam pojęcia, jak uda mi się przy tym zasnąć, wiedziałam jednak, że muszę przynajmniej spróbować. Po jakimś czasie ocknęłam się i zapaliłam lampkę, by sprawdzić godzinę. Była druga nad ranem. Na dole nadal paliło się światło. Nie słyszałam już wprawdzie telewizora, ale ciszę nocy zakłócał od czasu do czasu jakiś niezidentyfikowany dźwięk. Kiedy obudziłam się po raz drugi, dom był ciemny i pogrążony w ciszy. Miałam pełny pęcherz, uznałam jednak, że jakoś wytrzymam do rana.

Nie znoszę spać w cudzym domu. Nie wiem, co jest wtedy gorsze - fakt, że człowiek marznie i nie ma dostępu do dodatkowego koca, czy że chce mu się siusiu, a do łazienki daleko. Miałam ochotę zejść na palcach na dół, bałam się jednak, że Helen weźmie mnie za włamywacza, a Ray pomyśli, że zamierzałam wskoczyć mu do łóżka.

Po raz kolejny obudziłam się bladym świtem. Leżałam pogrążona w żalu nad sobą. Ledwie dobiegły z dołu pierwsze odgłosy krzątania, stoczyłam się z łóżka

i pomknęłam do drzwi. Ray i jego matka już wstali. Zamknęłam się w łazience, gdzie oprócz kilku innych czynności umyłam też zęby. Kiedy wróciłam do kuchni, Ray czytał poranną gazetę. Nie zdążył się ogolić. Jego policzki i podbródek pokrywała biała szczecina, szorstka pewnie w dotyku jak płyty chodnikowe. Przywykłam już do widoku jego siniaków, nie zwróciłam więc na nie uwagi. Na tradycyjną białą koszulkę tym razem narzucił rozpiętą dżinsową koszulę. Jak na swój wiek, świetnie się trzymał. Pięknie zarysowane mięśnie klatki piersiowej zawdzięczał pewnie wielogodzinnym treningom w więziennej siłowni.

- Gilbert się odezwał? Potrząsnął głową.

Usiadłam przy kuchennym stole, który Helen na powrót nakryła wczoraj obrusem. Ray podał mi kilka stron gazety. Jeszcze jeden dzień i ustalimy poranne zwyczaje, jak stare dobre małżeństwo mieszkające u jego matki. Helen kręciła się wokół kuchenki, podpierając się kijem jak laską.

- Bolał cię nogi? - spytałam ją.

- Biodro. Mam siniak odtąd dotąd - pokazała, nie kryjąc satysfakcji.

- Jak by co, chętnie ci pomogę.

Kawa wkrótce zabulgotała, a Helen zabrała się do smażenia kiełbasek. Tym razem przeszła samą siebie, przygotowując dla nas danie, które nazwała „jednooki Jack”. Składało się nań jajko sadzone ułożone na kromce opieczzonego chleba. Ray polał je jeszcze keczupem, mnie nie starczyło na to odwagi.

Po śniadaniu wzięłam do ręki telefon i zadzwoniłam do biur administracji pięciu cmentarzy, które wytypowaliśmy

wczoraj. W czwartym rozmawiająca ze mną kobieta otworzyła kartotekę i znalazła kogoś o nazwisku Pelissaro. Poprosiłam ją o wskazówki, jak do nich dojechać, rozłączyłam się i zadzwoniłam do kolejnego biura, by sprawdzić, czy przypadkiem na tamtejszym cmentarzu nie pochowano innego Pelissaro. Nie pochowano. Został nam tylko jeden. Wymieniliśmy z Rayem porozumiewawcze spojrzenie.

- Obyś miała rację - powiedział.

- Spójrz na to tak: nic na tym nie stracimy.

- Jasne.

Pomaszerowałam pod prysznic. Kiedy myłam głowę, zadzwonił telefon. Słyszałam go zza ściany. Jego ostry dźwięk przebił się przez szum wody i strugi białej piany ściekającej mi po twarzy i uszach. Odebrał Ray. Po chwili podniósł głos. Szybko dokończyłam mycie, zakręciłam wodę, wytarłam się i ubrałam. Kiedy dotarłam do kuchni, Ray szykował już narzędzia. Część z nich przyniósł z niewielkiej szopy stojącej na podwórku. Znalazł parę łopat, długą linę, parę nożyc blacharskich, kombinerki, szczypce do prętów, młotek, żelazny łańcuch, starą wiertarkę ręczną i dwa wkrętaki.

- Gilbert jedzie tu z Laurą. Nie mam pojęcia, co znajdziemy. Może nawet będziemy musieli wykopać trumnę, przygotowałem się więc na wszelki wypadek.

Colt Gilberta leżał na metalowym wysuwającym blacie kredensu. Przechodząc obok, Ray podniósł go i wsunął za pasek spodni.

- Po co ci to? - spytałam.

- Więcej nie dam się zaskoczyć.

Miałam ochotę zaprotestować, ale uznałam, że i tak nic z tego nie wyniknie. Czułam narastający niepokój, jakby

na piersi leżał mi kamień, a żołądek skręcał się i rozwijał jak sprężyna śląc drobinki strachu w górę i w dół całego ciała. Wahałam się, rozdarła między pragnieniem ucieczki a ciekawością, która kazała mi zostać i sprawdzić, co z tego wszystkiego wyniknie. O czym myślałam? Ze uda mi się zmienić bieg rzeczy? Owszem. Poza tym zaszłam już tak daleko, że nie wypadało zawrócić.

20

Laura i Gilbert zjawili się po godzinie. Przywieźli ze sobą płócienną torbę, do której zapakowali pewnie osiem tysięcy dolarów gotówką. Gilbert znów miał na głowie kapelusz. Widać postanowił podbudować swój wizerunek twardego faceta, który dość mocno ucierpiał, gdy spuściła mu lanie osiemdziesięcioletnia, ślepa jak kret staruszka. Laura wyglądała na wykończoną. Jej twarz była kredowo-biała, stare siniaki znaczyły zielonymi i żółtymi plamami linię szczęki. Bładość cery podkreślały jeszcze ciemnorude włosy, mocne i lśniące, które w tym zestawieniu wydawały się nie na miejscu. Jej oczy miały ten sam co u Raya orzechowy kolor, podbródek znaczyła taka sama dziurka. Wymięte ubrania robiły wrażenie, jakby w nich spała. Miała na sobie rzeczy, w których zobaczyłam ją po raz pierwszy: zbyt dużą sukienkę z jasnego dżinsu z krótkimi rękawami, białą bluzkę z długimi rękawami, biało-czerwone rajstopy i wysokie czerwone tenisówki. Sztuczny brzuch zniknął, wyglądała więc co najmniej dziwnie, jakby nagle straciła na wadze albo obudziła się ze śpiączki po bardzo wyczerpującej chorobie.

Gilbert wydawał się spięty. Jego twarz nadal znaczyły drobne czerwone cętki w miejscach, gdzie sięgnął go śrut wystrzelony przez Helen. Na rozerwanym płatku ucha błyszczał kawałek taśmy. Mimo tych przykrych doświadczeń facet miał wyczyszczone buty i wyprasowane dzinsy. Strój dopełniała świeża biała koszula w stylu westernowym, skórzana kamizelka i wąski krawat ze sznurka zapinany na ozdobną klamrę. Wyraźnie pozował na kowboja, choć mogłabym się założyć, że na zachód od Mississippi był tylko raz i pewnie spędził tam co najwyżej tydzień. Na widok babci Laura postąpiła kilka kroków w głąb kuchni, ale wtedy Gilbert pstryknął palcami, a ona jak pies wróciła do jego boku. Lewą ręką przytrzymał ją za kark i szepnął jej do ucha kilka słów. Wyglądała na przerażoną, ale nie próbowała się opierać. Uwagę Gilberta zwróciła teraz broń zatknięta za pasek spodni Raya.

- Może byś mi oddał colta? - rzucił.

- Najpierw ty oddaj klucze.

- Szkoda czasu na bezsensowne sprzeczki. - Gilbert uniósł prawą rękę do gardła Laury. Rozległ się szcęk i z noża, który trzymał, wyskoczyło ostrze. Jego czubek zadrasnął skórę dziewczyny. Jęknęła z bólu i zaskoczenia.

-Tato!?

Ray natychmiast zauważył kropelkę krwi i sztywną postawę córki. Zerknął w stronę colta za pasem. Wyjął go i wyciągnął w stronę Gilberta kolbą do przodu.

- Weź go sobie. I zabierz nóż z jej szyi.

Gilbert przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, po czym niemal niedostrzegalnym ruchem odsunął ostrze. Laura nawet nie drgnęła. Krew kapiała z rany na bluzkę. Łzy znaczyły wilgocia policzki.

Ray potrząsnął niecierpliwie bronią.

- No bierz. Tylko schowaj nóż.



Gilbert przycisnął guziczek na ręczce noża, chowając ostrze. Laura dotknęła palcami draśnięcia na szyi, po czym spojrzała na zakrwawione palce. Podeszła do krzesła i usiadła na nim ciężko. Twarz miała białą jak kreda. Gilbert tymczasem przełożył nóż do lewej ręki, a prawą chwycił za kolbę colta. Sprawdził magazynek, w którym nadal tkwił komplet nabojów, po czym wsunął broń za pasek, odciągając wcześniej kurek i włączając zabezpieczenie. Odzyskawszy broń, wyraźnie się odprężył.

- Musimy sobie ufać, prawda? Kiedy dostanę swoją dolę, odzyskasz Laurę i będziemy kwita.

- Tak się umówiliśmy - przypomniał mu Ray. Widać było, że gotuje się z wściekłości, której nie mógł wyładować na Gilbertcie.

- Wszystko zostanie zapomniane i odpuszczone. Podajmy sobie ręce na zgodę. - Postąpił o krok i wyciągnął rękę.

Ray zerknął na nią, po czym wyciągnął swoją. Uścisnęli sobie dłonie.

- Bierzmy się do roboty. Koniec z machlojkami. Gilbert uśmiechnął się blado.

- Nie muszę kombinować, dopóki mam ją. - Popatrzył znacząco na Laurę, która przyglądała im się z mieszaniną przerażenia i niedowierzania w oczach.

- Co ty wyprawiasz? - rzuciła do ojca. - Po co oddałeś mu broń? Wierzysz, że drań dotrzyma słowa?

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Gilberta.

- Nie mieszaj się do tego - burknął.

- Nie podzieli się z nami forszą. - W głosie Laury zabrzmiały teraz złość i rozżalenie. - Odbiło ci? Powiedz mi, gdzie szukać worków, i zbierajmy się stąd, póki jeszcze żyję.

- Hej! - Ray nie był w nastroju do dyskusji. - Biznes to biznes. Siedziałem w pudle czterdzieści lat, żeby dostać tę forszę. Nie odpuszczę tylko dlatego, że nie umiesz dogadać się z własnym facetem. Gdzie byłeś przez wszystkie te lata? Bo ja wiem, że siedziałem, a ty? Nagle zjawiasz się w moim życiu, oczekując, że za ciebie zapłacę. I płacę. Siedź więc cicho i pozwól mi to załatwić po mojemu.

- Pomóż mi, tato. Musisz mi pomóc.

- Pomagam. Kupuję twoje życie. Gość słono za nie liczy, więc zamknij się i daj nam pogadać.

Z kamiennym wyrazem twarzy Laura wbiła wzrok w podłogę. Mięśnie na jej zaciśniętych szczękach drgały. Gilbert dobrze się bawił, patrząc, jak obrywa po uszach. Wyciągnął dłoń, jakby chciał jej dotknąć, ale odtrąciła jego rękę. Uśmiechnął się pod nosem i mrugnął do mnie porozumiewawczo. Nie ufałam żadnemu z nich. Czułam, że ze strachu boli mnie żołądek.

Mimo to słuchałam ze spokojem, gdy Ray wykladał obojgu szczegóły naszego planu i opowiadał Gilbertowi o telefonach, które wykonaliśmy, i o tym, co udało nam się dzięki nim dowiedzieć. Zauważyłam, że opuścił kilka bardzo istotnych informacji, takich jak choćby nazwa cmentarza czy nazwisko na pomniku.

- Nie znaleźliśmy jeszcze forsy, ale jesteśmy coraz bliżej. Skoro liczysz na dołę, ubrudź trochę ręce i nam pomóż - zakończył, patrząc na Gilberta z odrazą.

Wymienili chłodne, pełne obietnic uśmiechy. Popatrzyłam najpierw na jednego, potem na drugiego i pomyślałam, że nie chcę być w pobliżu, kiedy chwycą się w końcu za łby.

- Zakładam, że masz przy sobie klucze - podjął tymczasem Ray.

Gilbert sięgnął do kieszeni, wyjął dwa nanizane na kółko klucze, uniósł je, pokazując Rayowi, po czym szybko schował.

Ray bez słowa zaczął zbierać przygotowane wcześniej narzędzia: linę, łopaty, nożyce do prętów.

- Bierzcie, co wam w ręce wpadnie. Wychodzimy - obwieścił. - Wsadzimy wszystko do bagażnika.

Gilbert odczekał chwilę, by nie wyglądało, że skwapliwie słucha rozkazów Raya, po czym podniósł wiertarkę.

- Jeszcze chwila. Staruszka jedzie z nami.

- Z tobą nigdzie się nie wybieram, kmiotku - odparła rezolutnie Helen. Usiadła na krześle, wpatrzona z uporem w swój kij do bejsbola.

Ray znieruchomiał.

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Nie zostawię jej tutaj, bo nikt mi nie zagwarantuje, że nie zadzwoni po gliny - wyjaśnił Gilbert, ostentacyjnie ignorując panią Rawson.

- Przecież wiesz, że nie zadzwoni - mruknął Ray.

- Owszem, zadzwonię - zapewniła natychmiast jego matka.

Gilbert popatrzył Rayowi w oczy.

- Widzisz? To wariatka. Jedzie z nami albo nici z umowy.

- Nie wygłupiaj się. Chcesz, żeby forsa przepadła? Gilbert uśmiechnął się, zaciskając palce na karku Laury. Potrząsnął jej głową.

- Mnie nic nie przepadnie. Ty za to sporo stracisz. Ray zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, rzucił:

- Jezu! Włóż płaszcz, mamó. Jedziesz z nami. Przykro mi, że cię niepokoję.

Helen popatrzyła najpierw na niego, a potem na Gilberta pustym wzrokiem.

- Nie ma sprawy, synu. Skoro nalegasz... Ponieważ Gilbert nam nie ufał, pojechaliśmy wszyscy

jednym autem. Gilbert, Helen i Laura siedzieli z tyłu. Pani Rawson trzymała wnuczkę za rękę. Nadal miała ze sobą kij, na który Gilbert zerkał znacząco. Wyczuwając kierunek jego spojrzeń, potrząsnęła swoją bronią w jego kierunku.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem, mamusko - mruknął. Ray prowadził. Siedziałam obok i udzielałam mu

wskazówek, śledząc trasę na mapie. Pojechaliśmy na wschód Portland Avenue, skręciliśmy w Market Street, a potem pod mostem przemknęliśmy na siedemdziesiątkę jedynek wiodącą na północ. Dzień był wietrzny i tylko odrobinę cieplejszy niż poprzedni. Niebo miało chłodny niebieski odcień skorupki jajka rudzika, na horyzoncie piętrzyły się białe chmury. Liczyłam, że Ray złamie któryś z przepisów drogowych i że zatrzyma nas patrol drogówki, on jednak jak na złość kontrolował szybkość i dawał rękami znaki, jakich nie widziałam od lat.

Półtora kilometra przed wjazdem na drogę ekspresową Watterson skręcił na Gene Sny der i wjechał w pierwszą drogę zjazdową. Przez jakiś czas jechaliśmy dwudziestką dwójką. Potem skręciliśmy w rzadko używaną polną drogę ciągnącą się pewnie wiele kilometrów w głąb stanu. Moja wyobraźnia natychmiast przywołała obraz kupców i farmerów siedzących na wozach okrytych białym płótnem i zmierzających ku tym lesistym krainom, by ich kości spoczęły w tutejszej ziemi. Cmentarz Dwunastu Fontann leżał kilka kilometrów od granicy hrabstwa

Oldham. Otoczony wapiennym murem, zajmował teren należący niegdyś do pięciusetakrowej puszczy, porośniętej bujnym poszyciem. Teraz pagórkowaty, dziki zakątek został okiełznany i uporządkowany.

Wiodąca na cmentarz żelazna brama, osadzona na słupach z polnego kamienia, z których każdy miał cztery i pół metra wysokości, stała otworem. Tuż za nią droga rozwidlała się, otaczając trzy wzniesione obok siebie duże kamienne fontanny, wystrzeliwujące kolumny wody i drobnej mżawki w zimne listopadowe powietrze. Dyskretny drogowskaz skierował nas na prawo, gdzie na tle cyprysów i wierzb płaczących odcinał się niewielki kamienny budynek. Ray zaparkował w wysypanej żwirem zatoczce. Zza okna domku mignęła mi twarz obserwującej nas kobiety.

Do biura poszedł Gilbert. Zabrał ze sobą Helen, bo posiniaczona twarz Laury wzbudziłaby zbyt duże zainteresowanie. Jego policzki wprawdzie nadal znaczyły ślady od śrutu, ale wiedzieliśmy, że nikt nie odważy się o nie zapytać.

Kiedy oboje zniknęli nam z oczu, Laura podchwyciła w lusterku wstecznym spojrzenie Raya.

- Co z nią? - spytała, wskazując mnie głową.

- Jak to: co z nią? - Ray wydawał się zaskoczony.

- Gilbert bał się, że babcia zadzwoni po policję. Skąd pewność, że Kinsey tego nie zrobi?

Odwróciłam się na siedzeniu, by popatrzeć jej w twarz.

- Nigdzie nie zadzwonię. Chcę tylko wrócić do domu. Nie raczyła mi odpowiedzieć.

- Myślisz, że będzie spokojnie patrzyła, jak odjeżdżamy z forszą? - naciskała Raya.

- Nic jeszcze nie znaleźliśmy - przypomniał jej.

- Ale znajdziemy. I co wtedy? Ray wyglądał na zdesperowanego.

- Jezu, Lauro! Czego ty ode mnie oczekujesz?

- Narobi nam kłopotów.

- Wcale nie! - wrzasnęłam.

Nie zaszczyliła mnie spojrzeniem. Zaciśnęła mocno usta i odwróciła głowę do okna. Gilbert i Helen wracali. Ledwie podeszli, Gilbert wepchnął staruszkę na siedzenie, po czym przeszedł na drugą stronę auta. Helen wymamrotała jakiś przytyk.

- Uważaj na słowa, mamó - skarcił ją Ray. Zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła tylko rękę i z uczuciem dotknęła jego ramienia.

Gilbert wsiadł i zatrzasnął z hukiem drzwi, wręczając mi ulotkę, którą ze sobą przyniósł. Ponieważ uprzedziłam, że przyjedziemy, urzędniczka przygotowała dla nas broszurę opisującą statut i historię cmentarza. Wewnątrz znajdował się rozkładany plan, na którym znakiem X zaznaczono miejsca godne obejrzenia oraz kartka z zaznaczonym dojazdem do sektora, o który pytaliśmy. Symbol nagrobka z nazwiskiem Pelissaro otoczony był czerwonym kółkiem.

Odwróciłam się do Gilberta.

- To może być ślepa uliczka - zastrzegłam.

- Obyście wobec tego mieli plan B - warknął w odpowiedzi.

Owszem, miałam plan B: uciekać jak najszybciej.

Ray znów uruchomił silnik. Pokazałam mu trasę, którą kobieta z biura wyrysowała niebieskim długopisem. Poszczególne sektory cmentarza tworzyły połączone ze sobą koła. Z lotu ptaka wyglądały pewnie jak obrączki umieszczone na patchworkowej kołdrze. Wokół każdego z kół

biegły drogi, które splatały się ze sobą, tworząc ósemki. Skręciliśmy w pierwszą krętą drogę w lewo i jechaliśmy nią aż do Fontanny Trzech Panien. Przy rozwidleniu znów wybraliśmy drogę w lewo, minęliśmy jezioro, po czym skręciliśmy w prawo, okrążając starą część cmentarza. Jego nazwa pochodziła, rzecz jasna, od licznych fontann, które wylaniały się niespodziewanie, plując wściekle wodą w stronę nieba. W Kalifornii takie marnotrawstwo wody nie przeszłoby bez echa, zwłaszcza w czasach posuchy, które ostatnio zdarzały się coraz częściej.

Minęliśmy kwatery żołnierzy, gdzie pochowano poległych. Identyczne białe nagrobki stały tu w równych rzędach niczym świeżo posadzone drzewka owocowe. Perspektywa zmieniała się, w miarę jak pokonywaliśmy kolejne metry drogi, a punkt zbiegu sunął wzdłuż rzędów białych krzyży niczym promień latarni morskiej. W starej części cmentarza, do której właśnie wjechaliśmy, wznosiły się imponujące mauzolea - konstrukcje z wapnia i granitu ozdobione wymyślnymi gzymsami i jońskimi pilastrami. Przy większych sarkofagach wzrok przyciągały figurki dzieci ze spuszczoneymi głowami, kamienne baranki, urny, wykute w kamieniu draperie i korynckie kolumny. Roilo się od piramid, iglic, posągów pogrążonych w żałobie kobiet w pozycji pełnej zadumy, odlanych z brązu psów, łuków, filarów, popiersi surowo wyglądających mężczyzn i misternie rzeźbionych waz, pomiędzy którymi zdarzały się też proste granitowe tablice lub pomniki w dużo skromniejszym stylu. Mijaliśmy kolejne nagrobki ciągnące się jak okiem sięgnął. Każdy z nich wskazywał na rodzinne więzi, kończył czyjaś historię. Powietrze wydawało się ciężkie, ziemię przesycalo cierpienie. Każdy kamień zdawał się mówić, że liczy się tylko chwila, w której żyjemy. Każdy oznaczał kogoś, kto odszedł. Kogoś, kogo

kochaliśmy i za kim będziemy głęboko tęsknić już zawsze. Ci, którzy go pochowali, także już nie żyją, tak samo jak ci, którzy brali udział w ich pogrzebie.

Kwaterna rodziny Pelissaro mieściła się w ślepej uliczce. Zaparkowaliśmy nieopodal i wysiedliśmy. Gilbert rzucił kapelusz na tylne siedzenie. Ruszyliśmy hurmem w stronę grobu. Trzymałam przed nosem fotografię, którą przysłał Johnny, dziwiąc się, że po czterdziestu latach wszystko wygląda tu tak samo jak wtedy. Obelisk z białego marmuru z nazwiskiem Pelissaro nadal górował nad otaczającymi go nagrobkami. Zachowała się większość drzew z fotografii, choć teraz ich korony sięgały znacznie wyżej. Tak jak na zdjęciu, ich gałęzie były nagie, tym razem jednak ziemi nie okrywał śnieg. Wokół rosła trawa. Niektóre kępki uschły, znacząc brązowym kolorem połacie ciemnej zieleni. Znalazłam widoczną na fotografii grupę nagrobków otoczonych metalowym płotem, a także fragment kamiennego muru na prawo od nas.

Gilbert zaczął się niecierpliwić.

- Co teraz? - spytał Raya.

Wymieniłam z Rawsonem porozumiewawcze spojrzenia. Jak na razie Gilbert dotrzymywał swojej części umowy. Przywiózł ze sobą Laureę, która była nie tylko cała i zdrowa, ale też niepoobijana, co znaczyło, że poprzedniego wieczoru nie dostała lania. My tymczasem staliśmy bezczynnie, przeciągając sprawę, bo tak naprawdę nie mieliśmy pojęcia, co robić. Próbowaliśmy wyjaśnić, że nie wiemy jeszcze wszystkiego, ale Gilbert nie zamierzał tolerować słabości. Helen czekała cierpliwie, okutana płaszczem i wpatrywała się z uwagą w jeden z nagrobków, który wzięła prawdopodobnie za kogoś z nas.



- Nie będę kopał na chybił trafił - oznajmił Gilbert. -A już na pewno nie tknę tego olbrzyma. Wygląda, jakby ważył kilka ton.

- Daj mi chwilę - poprosił Ray. Wpatrywał się przed siebie, ogarniając wzrokiem nagrobki i szczegóły krajobrazu: dolinki, drzewa, pierścień wzgórz na horyzoncie. Wiedziałam, co robi, bo sama próbowałam obmyślić kolejny ruch w dziwacznej szaradzie, w którą się zaplątaliśmy. Liczyłam, że gdy tu dotrzemy, w oddali pojawi się wieża ciśnień ze słowem kluczem wypisanym na obwodzie. Miałam nadzieję na choćby skromny składzik na narzędzia ogrodnicze albo drogowskaz, cokolwiek, co by powiedziało nam, co dalej. Pomnik rodziny Pelissaro był istotny, bo inaczej po co Johnny przysyłałby jego zdjęcie. Równie ważne wydawały się klucze, ale to pomnik *coś* oznaczał. Pytanie tylko co.

Ray przebiegł wzrokiem nazwiska na okolicznych nagrobkach. Żadne nie brzmiało znajomo. Obróciłam się dookoła, lustrując okrągły plac za naszymi plecami, otoczony przez tworzące półokrąg grobowce.

- Znalazłam - powiedziałam, chwytając Raya za ramię. Wyciągnęłam przed siebie palec.

Przed nami stało w kręgu pięć grobowców z szarego piaskowca. Budowle wtapiały się we wzgórze obecne w tym zakątku cmentarza jak podniesiony kołnierzyk koszuli. Ich fasady znacznie się między sobą różniły. Jedna przypominała miniaturową katedrę, inna - rachityczną wersję Partenonu. Dwie przywodziły na myśl budynki dobrze prosperujących banków ozdobione kolumnadą, z płytkimi stopniami wiodącymi do wejścia zamkniętego na głucho betonową płytą. Na każdej rzeźbionymi literami wypisano nad drzwiami nazwisko rodziny. REXROTH,

HARTFORD, WILLIAMSON. Mój uwagę zwrócił piąty grobowiec opatrzony nazwiskiem LAWLESS. Ray strzelił szybko palcami.

- Daj klucze - rzucił do Gilberta, który bez słowa spełnił polecenie.

Stanęliśmy wszyscy przy drodze, by lepiej przyjrzeć się budowli. Wejścia strzegła żelazna brama z dziurką do klucza widoczną nawet z tej odległości. Kilka prętów najbliżej zamka owinięto dodatkowo łańcuchem spiętym solidną kłódką. Zerknąłam na wsunięty do broszurki szczegółowy plan tej części cmentarza. Mauzoleum Lawlessów mieściło się w części M, kwatery numer pięćset pięćdziesiąt. Wiadomość od Johnny'ego nabrała sensu. Nie wierzyłam, że nam się uda, ale zrozumieliśmy wreszcie jego przesłanie.

Ray ruszył do samochodu stojącego na placu naprzeciwko mauzoleum. Otworzył bagażnik i wyciągnął z niego łyżkę do opon.

- Bierzcie narzędzia - ponaglił nas.

Gilbert znów bez słowa sprzeciwu uzbroił się w łopatę. Laura chwyciła młotek i kilof, który Ray znalazł w ostatniej chwili i wrzucił do bagażnika. Wszyscy pięcioro przeszliśmy na drugą stronę drogi. Helen kuśtykała na końcu, stukając w płyty końcem kija, którym podierała się jak laską. W końcu grupkami wspięliśmy się na schody i zajrzeliśmy przez pręty bramy do środka. Wnętrze grobowca składało się z wyłożonego płytami przedsionka szerokiego na trzy metry i głębokiego na półtora metra. W ścianie w głębi wykuto szesnaście krypt - po cztery w każdym z czterech rzędów. Każdą z nich zamykała oddzielna płyta.

Cofnęliśmy się trochę, robiąc miejsce Rayowi, który wyciągnął mniejszy klucz i wsunął go w zamek wiszącej

luźno na łańcuchu kłódki firmy Master. Po chwili żelazne ogniwa spadły z brzękiem na posadzkę. Duży klucz z oporami obrócił się w zamku bramy. Jej skrzydła otworzyły się szeroko z wysokim, przeszywającym wnętrzości skrzypem, przypominającym zgrzyt metalu o metal. Weszliśmy do środka. Wszystkie krypty wyglądały na zajęte. Na dwunastu umieszczono kamienne tablice z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem zmarłego, jego datą urodzenia i datą śmierci, a czasem także z cytatem z jakiegoś wiersza. Wszyscy tutaj urodzili się i zmarli w poprzednim wieku. Cztery pozostałe krypty zostały zabetonowane. Gładkiej powierzchni ścian nie znaczyły napisy.

Na początku Ray nie kwapił się do działania. Widać zniechęcała go myśl, że ma zakłócić spokój zmarłych. Potem przełamał opory.

- Bierzmy się do roboty - zakomenderował. Niepewnie podszedł do ściany z kryptami i stanął przy umieszczonej najwyżej betonowej pokrywie. Uniósł łyżkę do opon. Po pierwszym uderzeniu pracował już z większą ochotą, w skupieniu waląc rytmicznie w beton. Gilbert zajął miejsce tuż obok i zaatakował pokrywę ostrzem łopaty. W zamkniętym grobowcu echo zwielokrotniło metaliczne dźwięki uderzeń. Tutaj wydawały się ogłuszające, nie byłam jednak pewna, czy słyszeć je także na zewnątrz. Zresztą gdyby nawet ktoś zwrócił na nie uwagę, z pewnością miałby problem z ustaleniem, skąd dobiegają. Wkrótce okazało się, że beton stanowił jedynie cienką zasłonę. Pod wpływem silnych ciosów zaczął pękać. Ledwie Ray przekuł się przezeń na wylot, Gilbert zaczął odrywać kawałki ściany, poszerzając otwór.

Laura tymczasem padła na kolana i z równym wigorem zaczęła walić kilofem w beton maskujący otwór dolnej

krypty. Wokół wirował pył, unoszący się w powietrze szarą chmurą piaskowych drobinek. Gorliwość, z jaką pracowali wszyscy troje, napawała niepokojem. Instynkt łowców sprawił, że w niepamięć poszły kłótnie i spory. Sukces był w zasięgu ręki. Chciwość wyparła wzajemne animozje.

Stanęłyśmy z Helen pod ścianą, by nie wchodzić im w drogę. Przez otwartą bramę widziałam odległe wzgórza i bezlistne drzewa, których gałęzie szarpał wiatr. Wyciągnęłam szyję, patrząc z niepokojem w niebo. Jasny błękit zasnuły kłębiące się ciemne chmury. Pogoda tutaj zmieniała się z minuty na minutę, podczas gdy w Kalifornii wydawała się monotonna i ustalona raz na zawsze. Nie miałam pojęcia, w jakim kierunku zmierzają wydarzenia. Byłam przerażona, żywiłam jednak cień nadziei, że wszystko zakończy się szczęśliwie. Ray i Gilbert podzielą się pieniędzmi, uścisną sobie ręce na zgodę, po czym pójdą każdy w swoją stronę, ja zaś wrócę wreszcie do domu. Laura odejdzie od Gilberta. Być może spędzi trochę czasu z ojcem i babką, zanim znów się rozstaną. Ray zostanie z matką, póki ta nie wydobrzeje po operacji, chyba że wcześniej go złapią i znów wpakują za kratki.

Spojrzałam na zegarek. Był kwadrans po dziesiątej. Jeśli uda mi się zdążyć na popołudniowy lot, dotrę do domu tuż przed obiadem. Ominęła mnie większość przygotowań przedślubnych. Jutro wieczorem, w środę, na dzień przed uroczystością, William i chłopcy pójdą grać w kręgle, a Neli, Klotilde i ja spotkamy się na kolacji u Rosie. Przyszła panna młoda zarzekała się, że nie musimy organizować żadnych prób.

- A co tu próbować? - prychnęła. - Staniemy obok siebie przed urzędnikiem i powtórzymy, co nam każe. Co prawda Neli nie zdążyła jeszcze dopasować mi sukni, ale taki fason nie wymaga wielu poprawek.

Odgłosy uderzeń w grobowcu nabrały tempa. Z oddali dobiegł dźwięk dmuchawy do liści, którą ogrodnik uprzętał gdzieś ścieżki. Na biegnącej nieopodal drodze nie pojawił się żaden samochód. Na chwilę pograżyłam się w zadumie. Gdy się ocknęłam, Ray, Gilbert i Laura wytaszczyli już z grobowca płócienne worki i nieśli je po schodach. Poszliśmy z Heleną za nimi. Przystanęliśmy, kiedy Ray rozwiązał jedną z toreb, zajrzał do środka, po czym wysypał zawartość na asfalt.

- Johnny był geniuszem - westchnął z zachwytem. - Nikt inny by na to nie wpadł. Szkoda, że go tu nie ma. Ucieszyłby się. Patrzcie. Nie znam piękniejszego widoku.

Na chodniku piętrzył się stos pieniędzy amerykańskich i zagranicznych, biżuterii, srebrnych sztućców i naczyń, akcji, sztabek srebra, banknotów z czasów konfederacji, monet w zestawach kolekcjonerskich, obligacji na okaziciela, jakichś dokumentów, serii znaczków oraz złotych i srebrnych dolarów. Sarta kosztowności sięgała mi niemal do kolan, a pozostałe sześć worków wyglądało na równie wypchane. Nawet Helen, choć pewnie niewiele z tego widziała, zdawała się doceniać wartość łupów.

Na szarych płytach chodnika pojawiły się pierwsze ciemne krople deszczu, po nich kolejne i kolejne. Ray spojrzął ze zdziwieniem w niebo, wyciągając przed siebie rękę.

- Zbierajmy się - rzucił.

Laura zabrała się do pakowania kosztowności, podczas gdy Ray i Gilbert zaciągnęli pozostałe worki do samochodu i upchnęli je w bagażniku. Wsiadaliśmy już do auta, kiedy kątem oka dostrzegłam dziwny ruch Gilberta. Przez chwilę myślałam, że zatrzymał się, by wepchnąć koszulę do spodni, potem jednak zdałam sobie sprawę, że sięga po broń. Ray zauważył wyraz mojej twarzy. Odwrócił się

do Gilberta, który stał teraz na szeroko rozstawionych nogach, trzymając pistolet w wyciągniętej ręce. Laura chwyciła Helen za ramię. Znieruchomiały. Potem dziewczyna pochyliła się do ucha babci i szeptem wyjaśniła jej, co się dzieje, wiedząc, że staruszka tego nie widzi.

Gilbert przyglądał się Rayowi z rozbawieniem, zachowując się tak, jakby nikogo prócz nich tam nie było.

- Przykro mi, że ci to mówię, kotku, ale twój kumpel Johnny był zimnokrwistym zabójcą.

Ray osłupiał.

- Serio?

- A owszem. Wydał zlecenie na Darrella McDermida i załatwił go.

Ray wyglądał na zaskoczonego.

- Myślałem, że Darrell zginął w wypadku.

- To nie był wypadek. Ktoś puścił go z dymem. Johnny słono zapłacił, żeby go wykończyć.

- Dlaczego? Bo wydał nas glinom?

- Tak mówił Johnny.

- Kto go załatwił?

- Ja. Chłopak rozpaczał po śmierci brata, skróciłem więc jego męki.

Ray zastanowił się przez chwilę nad tym, co usłyszał, po czym wzruszył ramionami.

- Co z tego? Zwisa mi to. Skurwiel dostał to, na co zasłużył.

- Jasne, tyle że to nie on zawinił. Darrell nie pisnął ani słowa. Ktoś nieźle namieszał Johnny'emu w głowie -podjął Gilbert z udawanym żalem. - To ja powiedziałem wszystko glinom. Dziwię się, że na to nie wpadliście.

- To ty nas wydałeś?

- Niestety tak. Spójrzmy prawdzie w oczy. Drań ze mnie. Nic dobrego. - Gilbert się uśmiechnął. - Przypomnij sobie dowcip o facecie i wężu. Gość uratował węża, a ten go ukąsił. Umierając, facet spytał: dlaczego mnie ugryzłeś, przecież zawdzięczasz mi życie. A waż na to: wiedziałeś, że jestem gadem, kiedy tylko mnie zobaczyłeś.

- Szczerze mówiąc, nigdy nie miałem co do ciebie złudzeń. - Ray sięgnął nagle za siebie. W jego dłoni pojawił się smith & wesson kaliber trzydzieści osiem.

Gilbert roześmiał się.

- A niech mnie. Masz pukawkę. Szykuje się zabawa.

- Lepsza dla mnie niż dla ciebie - warknął Ray. Jego oczy lśniły złowrogo, ale Gilbert nie wydawał się tym zmartwiony. Nadal się uśmiechał, jakby nie traktował Raya poważnie.

- Nie rób tego, tato - poprosiła Laura.

- Dajcie spokój, chłopaki - wtrąciłam. - Nie musicie walczyć. Forsy starczy dla was obu.

- Nie chodzi o forszę - Ray nie raczył nawet na mnie spojrzeć. Nie spuszczał oka z Gilberta, od którego dzieliły go mniej niż trzy metry. - Znęcałeś się nad moją córką i pobiłeś moją byłą żonę. Przez ciebie, gnoju, zginęli Darrell i Farley. Rozumiesz to?

- Jasne - odparł Gilbert.

Cofnęłam się o krok. Wpatrzona w obu mężczyzn, nie zauważyłam, co robi Helen. Tymczasem staruszka uniosła wysoko kij bejsbolowy i machnęła nim dziarsko w stronę Gilberta, przy okazji uderzając w ramię Raya. Oczywiście, chybiła, o mało nie wybijając mi przy tym zębów -poczułam na wargach zimny powiew, gdy lśniące drewno minęło je o włos. Na koniec grzmotnęła w samochód. Siła uderzenia wyrwała jej kij z ręki.

- Jezus Maria, mammo! - wrzasnął Ray. - Zabieraj się stąd. Ale już!

Laura krzyknęła i kucnęła, zasłaniając głowę rękami. Padłam na ziemię. Uniosłam wzrok, w chwili gdy Gilbert przymierzył się do strzału. Rozległ się suchy trzask. Mężczyzna z niedowierzaniem popatrzył w dół na pistolet. Przeładował i znów pociągnął za spust; z tym samym skutkiem. Odciągnął lufę, by wyrzucić nabój, po czym pozwolił jej wrócić do poprzedniej pozycji. Kolejny nabój wskoczył do komory. Gilbert obrócił broń i wycelował ją w stronę Raya. Pociągnął za spust. Trzask. Przeładował i znów wystrzelił. Trzask.

- Co jest, do cholery - warknął. Ray uśmiechnął się z wyższością.

- No i masz! Zapomniałem cię uprzedzić, że skróciłem iglicę.

Padł strzał. Gilbert upadł, wydając z siebie dziwny dźwięk, jakby ktoś uderzeniem wybił mu z płuc całe powietrze. Ray podszedł do niego spokojnie. Stał mu nad głową i jeszcze raz wystrzelił.

Stałam jak zakłęta, patrząc, jak strzela raz po raz.

Odwrócił się. Popatrzył w moją stronę.

- Nie rób tego! - zawołał nagle.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Rozległ się głuchy dźwięk, kiedy kij uderzył w moją czaszkę. Nim zapadła ciemność, spojrzałam na Helen z pretensją. Wyglądało na to, że po kilku bezskutecznych próbach dopięła wreszcie swego i trafiła. Widziałam ją dość dokładnie. Nie miała w ręku kija. To Laura uniosła go nad głowę. Poczułam, że spadam w przepaść.

Noc spędziłam w dwuosobowej sali szpitala baptystów. Głowa bolała mnie tak jak jeszcze nigdy w życiu. Ponieważ



miałam wstrząs mózgu, lekarz nie podał mi środków przeciwbólowych. Co pół godziny sprawdzano mi ciśnienie i temperaturę. Nie wolno mi było zasnąć, przez kilka koszmarne nudnych godzin rozmawiałam więc z dwoma detektywami z biura szeryfa Oldham County, którzy przyjechali, by mnie przesłuchać. Obaj byli mili, ale z niedowierzaniem odnieśli się do tego, co im powiedziałam. Mimo nadwerężonej głowy kłamałam jak z nut, umniejszając swój udział w tej historii. Na koniec zadzwoniłam do redakcji miejscowej gazety. Kiepsko opłacany reporter znalazł dla mnie informacje o napadzie na bank sprzed czterdziestu lat, podał mi nazwiska podejrzanych i mnóstwo barwnych spekulacji na temat tego, co się stało ze skradzionymi pieniędzmi. Worków z forszą oczywiście nie odnaleziono, podobnie jak Raya Rawsona, jego matki staruszki i córki Laury, której konkubent spoczywał teraz w kostnicy miejskiej, podziurawiony kulami jak sito.

Nagabywana, stanowczo oświadczyłam, że zmuszono mnie do współpracy bronią, a potem pobito dotkliwie i porzucono, gdy przestałam być potrzebna. Któż zresztą miałby zaprzeczyć mojej wersji? Pomógł mi porucznik Dolan z Santa Teresa. Kiedy zadzwoniono do niego z biura szeryfa, powiedział o mnie wiele dobrego i żarliwie bronił mojego nadwerężonego honoru. Oficer prowadzący śledztwo pracowicie spisał moje zeznania, po czym wymógł na mnie zapewnienie, że będę zeznawać podczas procesu, gdy Ray oraz jego wesoła kompania zostaną aresztowani i postawieni w stan oskarżenia. Osobiście wątpiłam, by taka chwila kiedykolwiek nadeszła. Ray miał teraz forsy jak lodu. Na jego korzyść przemawiał też fakt, że w ciągu czterdziestu lat za kratkami opanował wiele kruczków i nawiązał mnóstwo przydatnych kontaktów.

Byłam *niemal* pewna, że ma już w *kieszeni* trzy komplety fałszywych dokumentów, a do tego paszporty i bilety do jakiegoś odległego zakątka świata.

Kiedy wypuszczono mnie ze szpitala w środę rano, pielęgniarka schodząca z nocnej zmiany zaproponowała, że podwiezie mnie do Portland, gdzie do niedawna mieszkała Helen Rawson. Wsiadłam przy skrzyżowaniu i pieszo pokonałam resztę drogi. Dom był pogrążony w ciemnościach. Tylne drzwi stały otworem. Widziałam przez nie porozrzucane po podłodze ubrania i drobiazgi świadczące o tym, że mieszkańcy wyjeżdżali w pośpiechu. Weszłam do sypialni. Włączyłam lampkę stojącą na szafce przy łóżku. Niezliczone słoiczki z tabletkami zniknęły, co stanowiło widomy znak, że staruszka wyniosła się stąd razem z synem i wnuczką. Wiedziałam, że mogę dzwonić do woli, nie zwracałam więc sobie głowy wyciąganiem karty telefonicznej. Problem w tym, że po drugiej stronie nikt nie odbierał. Najpierw zadzwoniłam do Henry'ego, gdzie znów włączyła się sekretarka. Czy ten facet nigdy nie siedzi w domu? Potem wybrałam numer Rosie. Nikt nie podniósł słuchawki. Moja przyjaciółka Vera wyjechała pewnie z mężem lekarzem na długi świąteczny weekend. Stary kumpel Jonah Robb nie odebrał telefonu. Nie zastałam nawet Darcy Pesco, recepcjonistki / firmy, w której pracowałam jakiś czas temu. Pech mnie nic opuszczał. Wpadłam w panikę, bezskutecznie próbując wymyślić, kto jeszcze zechciałby uratować mnie z opresji. Zdesperowana, zadzwoniłam wreszcie do jedynej osoby, która mi się przypominała. Odebrała po czwartym sygnale.

Tasha? Mówi Kinsey, twoja kuzynka. Mówiłaś, że mogę zadzwonić, gdybym czegoś potrzebowała...

## EPILOG

Ślub odbył się wieczorem w Święto Dziękczynienia. Kwiaty, świece i wspaniałe aromaty zmieniły restaurację Rosie nie do poznania. Panna młoda wystąpiła w białej hawajskiej sukni z diademem z gipsu we włosach, William w szykownym smokingu. Stali oboje przed urzędnikiem stanu cywilnego, czule trzymając się za ręce. Ich twarze promieniały uśmiechem. W ciepłym świetle świec nie wyglądali wprawdzie dużo młodziej, ale parę lat im ubyło. Jaśnieli szczęściem i wewnętrznym blaskiem. Wszyscy ulegliśmy nastrojowi chwili. Henry, Charlie, Lewis, Neli i Klotilde na swoim wózku. Słowa „na dobre i złe, w bogactwie i w ubóstwie, w zdrowiu i w chorobie” dotyczyły ich wszystkich. Oni wiedzieli, co znaczy kochać i być kochanym. Zнали smak cierpienia i choroby. Wiek dawał im przewagę doświadczenia.

Stałam wśród nich, myśląc o Rayu, Laurze i Helen. Zastanawiałam się, dokąd wyjechali. Choć to absurdalne, było mi przykro, że nie zczekali, by sprawdzić, jak się czuję. W pewien pokrętny sposób stali mi się bliscy jak rodzina. Traktowałam nas jak zespół, który razem stawia czoło trudnościom, nawet jeśli znaliśmy się zaledwie kilka dni. Wiedziałam, oczywiście, że kiedyś się rozstaniemy, ale polubiłam to poczucie więzi, tymczasem oni porzucili mnie bez śladu żalu.

William i Rosie zostali ogłoszeni mężem i żoną. On ujął w dłoń jej twarz. Wymienili pocałunek delikatny i słodki jak płatki róż.

- Całe życie czekałem na tę chwilę, kochana - szepnął drżącym ze wzruszenia głosem. Wszyscy zaczęli płakać. Ja również.

Z poważaniem, Kinsey Millhone.